

Monika B. Janowska



Potknąć
zabę

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Monika B. Janowska



Potknąć
żabę

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32

Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61

Rozdział 1

Złe wiadomości przychodzą parami

Co mnie podkusiło, żeby samodzielnie naprawiać ciekące rury pod zlewozmywakiem?! Skąd ta niezłomna wiara we własne możliwości?! Nie pierwszy raz moja pewność siebie, w której utwierdzały mnie podręczniki dla samotnych kobiet typu „Masz w sobie moc” czy „Po jaką cholere Ci facet?”, wywiodła mnie na manowce. Tym razem doprowadziła do prawdziwego kataklizmu w kuchni! Gdzieś jeszcze broniły się we mnie resztki ortodoksyjnego feminizmu, zalane prawdziwym potopem z ciekącego kranu, który dołączył do ciekących rur. Resztę mojej kobiecej duszy pochłonęły paniczne poszukiwania telefonu do jakiegoś hydraulika, zanim sąsiadka z dołu przyjdzie mnie udusić własnymi rękami.

A miałam dzielnie dawać sobie radę sama! Nie liczyć na wsparcie żadnego męskiego ramienia! Po wielu, ba!, bardzo wielu przykrych, bolesnych, a nawet dramatycznych doświadczeniach z mężczyznami podjęłam decyzję o samowystarczalności! Jednak w obliczu hydraulicznej katastrofy w kuchni moje powtarzane często motto „Żadnych facetów” brzmiało jak kiepski żart.

— Najpierw zakręć główny zawór! — wykrzyczała Justyna, koleżanka z pracy, do której zadzwoniłam w odruchu totalnej rozpacz, trzymając się ostatkiem sił swojej zasady „bezfacetowości”.

— A co to takiego?! — ryknęłam, choć przecież Justyna nie była głuchą, otepiałą staruszką. — I gdzie to jest?!

— Janek!!! — krzyknęła Justyna do swojego męża, który musiał udzielać informacji ze sporej odległości, sądząc po ilości potwornych decybeli, które docierały przez słuchawkę. — Gdzie może być ten zawór?!!!

Omam nie ogłuchłam, a woda lała się do kolejnego garnka, który przytomnie zdążyłam podstawić. W tle usłyszałam Janka, który powiedział coś o łazience. Pobiegłam tam, zanim Justyna zdążyła powtórzyć mi jego słowa. Zawór rzeczywiście był. Na wszelki wypadek wściekle czerwony, dla takich idiotek jak ja, więc przekręciłam go, kończąc bez pożegnania rozmowę z Justyną.

Potop został powstrzymany, a Janek w moich oczach zasłużył na miano bohatera, choć niełatwo mi ostatnio przychodzi postrzeganie w ten sposób jakiegokolwiek mężczyzny. Teraz z zapałem rzuciłam się do sprzątanía. Na dobry początek porwałam spod zlewozmywaka pełen wody garnek i odruchowo wylałam zawartość do... zlewozmywaka. Oczywiście na efekt nie musiałam długo czekać. Potężne chluśnięcie zmiotło wszystko, co spotkało na swojej drodze, a co zwykłam trzymać w szafce pod zlewozmywakiem. Ziemiaki i cebula popłynęły po płytkach w stronę drzwi. Dla towarzystwa spłynęły też trzy małe puszkí z resztkami farb, którymi jakieś sto lat temu malowałam krzesła, a których żal mi było

się pozbywać. No i na koniec — niczym statki na pełne morze wypłynęły trzy przykładnie zgniecione do recyklingu plastikowe butelki. Stojąc z pustym garnkiem w rękach, patrzyłam bezmyślnie na prawdziwe pobożowisko.

Dopiero uporczywy sygnał mojego telefonu komórkowego wyrwał mnie z otępienia.

Wypuszczony z rąk garnek uderzył z pluskiem o podłogę, a ja galopem pobiegłam po ręczniki. Nie licząc się ze stratami, rzuciłam w toń całą stertę, która momentalnie nasiąkała. Tymczasem telefon, a raczej ktoś po drugiej stronie, natrętnie domagał się mojej uwagi. Nie było mowy o spokojnej likwidacji szkód popowodziowych.

— Ciociu! — usłyszałam pełen rozpaczy jęk mojej bratanicy Renaty, gdy wreszcie odebrałam połączenie, którego nie udało mi się skutecznie zignorować. Chwilę później do jęku dołączył głośny szloch. Zapowiada się kolejna powódź, westchnęłam proroczo w myślach. Też miałam ochotę się rozplakać, choć z zupełnie odmiennych powodów.

Postanowiłam mimo wszystko nie tracić czasu. Przytrzymując ramieniem aparat, wykręcałam mokre ręczniki do wiadra.

— Co się stało? — spytałam spokojnie.

Renata najwyraźniej nie usłyszała pytania, zajęta własną rozpaczą, więc odczekałam kilka sekund, wykorzystując czas na wylanie wody z wiadra. W ostatniej chwili powstrzymałam się przed powtórzeniem manewru ze zlewozmywakiem.

— Co się stało? — zapytałam ponownie, raczej nie przeczuwając straszego nieszczęścia. Moja bratanica zawsze miała skłonność do wyolbrzymiania każdego zdarzenia. Namiętnie parała się też czarnowidztwem.

— Czy ty masz pojęcie, co on zrobił?! — oburzyła się Renata.

Domyśliłam się, że ma na myśli Aleksandra, ochrzczonego przeze mnie pieszczotliwie Olusiem, ze względu na swoje wyjątkowo ciepłe i dobrotliwe usposobienie. Ponadto cechowały go cierpliwość i opanowanie godne najwyższych odznaczeń państwowych.

— Umieram z ciekawości — odparłam, wykręcając do wiadra już chyba tysięczny mokry ręcznik. Przy okazji tej akcji zebrałam też trochę ziemniaków i cebuli i rozłożyłam je efektownie na kuchennym blacie.

— Zaprosił na nasz ślub swoją byłą! — ryknęła Renata ze szczerym oburzeniem, którego siła prawie pozbawiła mnie słuchu.

Omam nie parsknęłam śmiechem, ale taktownie się powstrzymałam. Przyłożyłam telefon do drugiego ucha i w tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Zdażyłam jeszcze sięgnąć po jedną z puszek farby, która spektakularnie się otworzyła i rozlała na ręce.

— Jasna cholera, co za nieszczęście! — rzuciłam wściekła na własną nieostrożność.

— Żebyś wiedziała! — przytaknęła Renata. — Zabiję go i już! Jak można zrobić coś takiego?!

Dzwonek u drzwi natarczywie i złowrogo brzęczał w mieszkaniu. Kogo licho niesie? — pomyślałam ze złością. — Może to ta wariatka z dołu przybiegła, by mnie udusić? Tymczasem cholerna, stara farba

w kolorze ciemnej czerwieni nie dawała się zetrzeć mokrym ręcznikiem z mojej ręki. Rozmazałam ją jedynie, plamiąc podłogę i ubranie. Najwyraźniej była wodoodporna, czyli wymagała rozpuszczalnika.

— Poczekaj — powiedziałam do mojej bratanicy. — Idę otworzyć drzwi, bo ktoś dzwoni, jakby się paliło.

Zanim otworzyłam, spojrzałam przez wizjer. Cofnęłam się i ponownie popatrzyłam. Pod moimi drzwiami stało dwóch policjantów.

— Zabiłaś go?! — wyszczałam do Renaty. — Policja już u mnie jest.

— Jeszcze go nie zabiłam — odparła przez zaciśnięte zęby. — Ale na pewno to zrobię, jak ta mała przyjdzie na nasz ślub!

Kolejny dzwonek. Policja! Pewnie wezwała ją sąsiadka z dołu. Wredne babsko! To tak się teraz załatwia zalanie mieszkania? Policję na sąsiadów nasyła? Już ja jej dam do wiwatu!

— Nie możesz go zabić, bo nie wyjdiesz za mąż — odpowiedziałam, otwierając drzwi. — Przynajmniej wstrzymaj się jakieś parę minut. Muszę kończyć. Pa!

Schowałam telefon do kieszeni, przy okazji barwiąc go na czerwono. Przeklęta farba!

— Dzień dobry — usłyszałam mocny męski głos, choć przede mną stało dwóch hobbitów w policyjnych mundurach. Wyraz twarzy mieli niezwykle poważny, jakby właśnie otrzymali zaszczytne zadanie zniszczenia pierścienia Saurona.

— Dzień dobry — odpowiedziałam zaciekawiona.

— Czy pani Paulina Bożek? — spytał ten z prawej.

— Bożyk — poprawiłam.

Ten z prawej zerknął do notatnika, który trzymał w ręce.

— No tak — potwierdził i wykrzyknął radośnie: — Bożyk!

Pod wpływem mocniejszego szturchnięcia kolegi z lewej jego uśmiech znikł i znów powróciła służbowa mina.

— Paulina Bożyk? — spytał ponownie i jakoś tak grobowo.

— Owszem, słucham — rzekłam, trąc zaciekle dłonie i nie mogąc skupić myśli. Przeklęta farba! Skóra zaczęła mnie od niej swędzieć i piec, jakby ktoś mi ręce polewał wrzątkiem.

Spojrzeli z zaciekawieniem na moje umazane farbą dłonie, których nie mogłam przestać o siebie pocierać. Też spojrzałam w tym kierunku i ogarnęła mnie groza! Całe ręce miałam czerwone. Zarówno od farby, jak i od natychmiastowego uczulenia na nią. Wściekłe pocieranie też nie pozostało bez śladu. Dwóm policyjnym hobbitom jawiłam się zapewne jako prawdziwa Lady Makbet w oscarowej roli!

— Czy możemy wejść? — Ten z lewej szybciej uwolnił wzrok od mego szekspirowskiego przedstawienia.

— A musicie? — odparłam niepewnie. Raczej niekomfortowo się czuję, gdy ktoś składa mi wizytę, a ja mam totalny bałagan. Dzisiaj za moimi plecami miałam prawdziwy kataklizm.

Spojrzeli na siebie, jakby po raz pierwszy spotkali się z odmową.

— Przepraszam. Mam spore zamieszanie w domu. — Czułam się zobowiązana do wytłumaczenia. —

Ale co się stało? Mówcie, panowie, bo zaraz zejdem na zawał.

— Pani mąż... — zaczął ten z lewej. — Pani mąż Grzegorz Bożek nie żyje.

— To znaczy Bożyk — poprawił ten z prawej.

No i masz! Zawsze w chwilach stresu zachowuję się jak skończona idiotka, więc i teraz pokazałam bezmiar swej głupoty, rzucając ze szczerym oburzeniem:

— Ale chyba nie myślicie, że to ja go zabiłam?! — Na dowód swej niewinności podsunęłam im przed oczy splamione czerwienią dłonie Lady Makbet.

Rozdział 2

Wsparcie mile widziane

Jestem w szoku i wymagam natychmiastowego pocieszenia — oznajmiłam bez wstępów mojej bratowej Joannie, gdy tylko zamknęłam drzwi za policjantami i mogłam wykonać telefon do przyjaciela.

W pierwszym odruchu zadzwoniłam do mojej najstarszej siostrą i najwierniejszej przyjaciółki Joanny, a prywatnie mojej bratowej. Znamy się od pierwszej klasy szkoły podstawowej, którą obie skończyłyśmy, również obie zakończyłyśmy edukację na liceum. Rzadko się zdarza, by przyjaźń trwała tyle lat. Może to jedynie być dowodem na to, że poza tym, że jesteśmy wciąż piękne i młode, to jeszcze wyjątkowe.

Jednego tylko pojąć nie zdołam. Jak to się stało, że moja najlepsza przyjaciółka wyszła za mąż za mojego brata Przemka. Osobiście uważam, że zdrowa na umyśle, normalna kobieta pełna życia i energii nie może się w nim zakochać. Miłość szybciej mogłoby mu wyznać opasłe tomisko o podatkach albo jakiś kodeks, ponieważ Przemek poświęcał im więcej uwagi. Ale kobieta? I to jeszcze Joanna? Strasznie musiałam być zajęta swoimi sercowymi perypetiami, skoro przegapiłam moment, gdy oboje zdecydowali się na małżeństwo.

— Super! A ja jestem w samym środku rodzinnego kataklizmu — odpowiedziała Joanna, nie wykazując zainteresowania moim problemem. — Ręce mam urobione po łokcie. Nadludzkim wysiłkiem zapobiegam właśnie podwójnemu, a może i potrójnemu morderstwu i jednemu szaleństwu.

Grunt to liczyć na prawdziwe wsparcie rodziny w chwili beznadziejnej rozpacz, bezsilności czy samotności, pomyślałam ponuro, choć akurat nie znajdowałam się w żadnym z tych stanów. Śmierć Grzegorza mnie zaskoczyła, ale raczej nie strąciła w bezdenną rozpacz. Wciąż nie potrafiłam w nią uwierzyć.

— Co ty wiesz o kataklizmie?! — rzuciłam, parafrazując Bogusława Linde.

— Akurat weszłam w temat i kto wie, czy zaraz nie będę ekspertem? — odparła zaczepnie Aśka, by po chwili spytać: — Co tam masz? Mówisz przez telefon czy przyjeżdżasz? Tylko uwaga! Przy drugiej opcji ryzykujesz utratę zdrowia psychicznego, w najlepszym wypadku.

— Boże! — wykrzyknęłam, udając przerażenie. — Co tam się u was dzieje? Czyżby mój brat dostał ataku szału?!

Joanna roześmiała się głośno. Obie doskonale wiedziałyśmy, że Przemek to wcielenie opanowania, spokoju i cierpliwości. Joanna i Renata miały szczęście do takich facetów. Czego nie można powiedzieć o mnie. Moja historia obfitowała w zupełnie odmienne typy mężczyzn.

— Twój brat nie jest w stanie dostać ataku szału, chyba że po przeszczepie mózgu — odparła. — Chociaż dzisiaj przydałby się u niego taki atak.

— Renata? — domyśliłam się. — Dzwoniła do mnie...

— To mniej więcej wiesz, o co chodzi. A ty co tam masz? — spytała, wydając z siebie ciężkie westchnienie.

— Dobrze, zrobię wstęp przez telefon, ale i tak zaraz przyjeżdżam.

Joanna milczała i czekała na ciąg dalszy. Jak ją znałam, a znałam już blisko czterdzieści lat, przewracała teraz efektownie swoimi zielonymi oczami.

— Grzesiek nie żyje — rzuciłam wreszcie.

— Jaki Grzesiek? — zdumiała się po chwili dramatycznej pauzy.

— Mój mąż!

— Twój były mąż? — dopytała, akcentując słowo „były”.

— Tak — potwierdziłam ze smutkiem. Mimo wszystko śmierć wymaga odpowiedniej oprawy.

— Zupełnie wyleciał mi z głowy ten Grzesiek — stwierdziła. — Zresztą nikt go tak nie nazywał.

No tak! Pacnęłam się dłonią w czoło. Przecież mój były mąż z naciskiem podkreślał na każdym kroku, żeby zwracać się do niego Grzegorz. „Grzesiek” było zbyt infantylne i poufale, jak zwykł mawiać. Nawet ja nie otrzymałam pozwolenia na zdrobnienia typu „Grześ”.

— Taki młody... To niemożliwe. Jak to się stało? Skąd wiesz? — dopytywała Joanna. — Przecież nie utrzymywaliście kontaktów.

— Hobby... to znaczy policjanci — poprawiłam się natychmiast — przynieśli mi tę wiadomość. Pewnie myślą, że go zamordowałam. Ręce miałam czerwone jak Lady Makbet.

— Lady Makbet nie zabiła swojego męża — zauważyła przytomnie szkolna prymuska z języka polskiego, Asia Chulak z domu Traszyńska.

— Ale ręce miała splamione krwią!

— Raczej jej się tak wydawało — poprawiła. — A ty co masz z nią wspólnego? Bo już nic nie rozumiem.

— Też nic nie rozumiem — westchnęłam zrezygnowana.

— No dobra. To przyjeżdżaj zaraz. Może razem ogarniemy ten cały bałagan rodzinny i literacki. Grzegorz nie żyje — dodała, jakby w zamyśleniu. — Taki młody człowiek...

— A macie w domu rozpuszczalnik? — spytałam, ze smutkiem przyglądając się swoim dłoniom.

— Rany boskie! Jak ja mogę się przyjaźnić z taką wariatką! — jęknęła Asia i rozłączyła się, nie udzielając odpowiedzi.

Tymczasem moje dłonie wołały rozpaczliwie o rozpuszczalnik, którego u mnie w mieszkaniu akurat nie było. I pomyśleć, że na co dzień zajmuję się artystycznym malowaniem bombek i innych ozdób, a nigdy go nie potrzebowałam. Jeżeli jednak mam zdążyć na busa do Legnicy, to powinnam się pospieszyć i zakupy zrobić w sklepie chemicznym na miejscu.

Aby nie budzić grozy współpasażerów, założyłam zimowe rękawiczki. Wolałam znosić zaciekawione albo rozbawione spojrzenia. A takich mogłam się spodziewać, gdyż maj był bardzo ciepły tego roku, a moje jedyne rękawiczki były z jednym palcem na baranym kozuchu z zakopiańskim wzorem na wierzchu. Do letniej sukienki w kwiatki raczej nie pasowały, ale postanowiłam się tym w ogóle nie przejmować. Chociaż Złotoryja, w której zdecydowałam się zamieszkać, to małe miasteczko, szczęśliwie udało mi się nie spotkać nikogo znajomego. Na wszelki wypadek drogę do przystanku przebyłam pospiesznie i zaułkami. Dłonie w zakopiańskich rękawiczkach wsunęłam pod pachy, obejmując się, jakby dokuczał mi chłód.

Pierwszy szok przeżył kierowca busa, który odbierał ode mnie wyliczone pieniądze. Wbił wzrok w moje zakopiańskie rękawiczki i nawet pieniędzy nie przeliczył. Biletu też jeszcze nie wydał, więc stałam w potulnym oczekiwaniu, blokując wejście innym pasażerom. Mijały sekundy, minuty, a może i wieczność, a kierowca, oczarowany wyjątkowym widokiem, nie odrywał wzroku od mych rąk. W końcu musiałam chrząknąć znacząco, by ocknął się z zapatrzenia. Ostatecznie te rękawiczki to żaden cud. Nawet lekko przetarły się na szwach. Wydając bilet przy pomrukach niezadowolenia dobiegających zza moich pleców, kierowca z dziwnym lękiem w oczach przyglądał się mojej twarzy. Zapewne chciał wypatrzeć na niej oznaki szaleństwa, sygnalizujące zagrożenie dla niego i pozostałych pasażerów. Mogłam go zrozumieć. Zwłaszcza że w miasteczku znajdował się szpital dla umysłowo chorych, co musiało zrodzić w jego głowie pewne skojarzenia. Z tymi rękawiczkami na baranym kozuszu jak nic awansowałam na pacjentkę jednego z oddziałów. Nie wiadomo było tylko, czy niebezpieczną. Na szczęście ta wątpliwość została rozstrzygnięta na moją korzyść, bo wreszcie ruszyliśmy z przystanku. Niepokój jednak nie opuścił kierowcy, ponieważ przez całą drogę ze Złotoryi do Legnicy czujnie spoglądał na mnie w lusterku.

Rozdział 3

Czy jestem wdową, czy nie jestem?

Grzegorz nie żyje, powtarzałam sobie w myślach podczas jazdy, ale informacja przekazana przez hobbita nadal do mnie nie docierała. Jak to możliwe? Już dawno nie dotknęła mnie żadna strata. Odkąd umarła moja mama, całe wieki temu, moja rodzina trzymała się szczęśliwie na tym świecie, i to raczej z tendencją do powiększania niż pomniejszania. Grzegorz nie żyje, kolejny raz powtórzyłam w myślach. A wydawał się nieśmiertelną, znakomicie funkcjonującą maszyną, której obce są awarie, zużycie czy zniszczenie. Nowa generacja! Próbowałam odnaleźć w sobie jakieś uczucia, ale poza zdumieniem i niedowierzaniem nic nie czułam. Grzegorz przestał być częścią mojego życia trzy lata temu. Oczywiście rozwód to nie śmierć, ale od tamtej pory widziałam go zaledwie kilka razy. Wyprowadziłam się z Legnicy, aby rozpocząć wreszcie nowe życie i aby nic nie przypominało mi miejsc, które kojarzyły się z sercowymi porażkami. Grzegorz jednak gdzieś tam był, a teraz...

Legnica na rogatkach witała wysokim, smukłym i pomalowanym w narodowe barwy kominem huty. Niewygasający piec hutniczy pracował intensywnie, wypuszczając w atmosferę kłęby szarego dymu. Niby leciał gdzieś w odległy kosmos, ale zawsze na ziemi kłuł w oczy i drażnił smrodem nozdrza. Szare, zapylone mury okalające teren huty ciągnęły się przez większość drogi, by zdecydowanie urwać się przed zielenią Lasku Złotoryjskiego. A raczej umownie zielenią, gdyż od lat szary pył z zakładu osiadał na liściach. Natura walczyła wiosną, ale zdecydowanie nie miała szans z wielkim kombinatem miedziowym.

Drzewa prowadziły gęstym szpalerem w dół, gdzie zaczynał się świat starych, przedwojennych kamienic, które lata świetności miały już za sobą. Pamiętające pruską dyscyplinę, karnie stały obok siebie, wypinając swe pozbawione gdzieniegdzie tynków fronty, zniszczone balkony czy wybrakowane ozdoby architektoniczne. Dopiero w centrum uciekały ponure myśli towarzyszące wjazdowi do miasta. Szarość była jedynie na kostce brukowej albo spękany asfalcie, natomiast budynki prezentowały się całkiem odmiennie.

Lubiłam Legnicę, choć przestałam w niej mieszkać trzy lata temu. Może od tamtej pory szczególnie ją polubiłam, bo mogłam spojrzeć na miasto z dystansu albo z uczuciem tęsknoty? Całe życie do czasu wyprowadzki spędziłam tutaj i poza krótkim okresem wakacji czy urlopu nie mieszkałam w żadnym innym miejscu. Jednak nie dostrzegałam uroku mojego grodu w dolinie, dopóki się z niego nie wyprowadziłam. Teraz z przyjemnością nadkładałam drogi, by tylko przejść obok Zamku Piastowskiego, Bramy Głogowskiej, kościoła Najświętszej Marii Panny i dalej do katedry i klasztoru Franciszkanów, kończąc spacer przy Bramie Chojnowskiej. Dopiero tam wsiadałam do autobusu i jechałam na Piekary, do mojego taty, bądź do brata, Joanny i Renaty.

Dzisiaj, niestety, spacer okazał się niemożliwy. Pogoda, owszem, zachęcała, a miasto w słońcu kusilo, ale pioruńsko paliły mnie dłonie. W dodatku paliły podwójnie, bo nie dość, że dostałam uczulenia od farby, to temperatura w zakopiańskich rękawiczkach porównywalna była z tą we wnętrzu pieca hutniczego, który chwilę temu mijałam przy wjeździe do miasta. Co tam ręce! Cała zdawałam się buchać tym skwarem!

Do mieszkania Przemka, Joanny i Renaty dotarłam resztką sił, udając, że kompletnie nie dostrzegam podejrzliwych spojrzeń ze strony współpasażerów w miejskim autobusie i mijanych przechodniów, którzy z racji pogodnej niedzieli tłumnie wylegli na ulice miasta. Dopiero na klatce schodowej z ulgą pozbyłam się rękawiczek, które wzbudziły taką sensację.

— Błagam, powiedz, że masz jakiś rozpuszczalnik, bo zaraz zwariuję... — jęknęłam do Przemka, który otworzył mi drzwi.

— Rozpuszczalnik? — zdumiał się, ale wpuścił mnie do środka.

Zaprezentowałam z gracją swoje krwistoczerwone dłonie, podsuwając je bratu na wysokość oczu albo, mówiąc dokładniej, przed okulary, które miał na nosie.

— No tak — odparł ze spokojem, przyglądając się zjawisku, po czym stwierdził rzeczowo: — Sprawa wygląda poważnie. Dostałaś uczulenia. Muszę jechać natychmiast po rozpuszczalnik i do apteki.

Jeszcze nie zdążyłam opuścić rąk, a mój brat po prostu wybiegł z mieszkania. Stałam w przedpokoju mocno oszołomiona jego nagłą reakcją i niecodziennym przejęciem moją sytuacją, gdy wreszcie dotarły do mnie hałasy z wnętrza.

— Ale dlaczego go bronisz?! — krzyczała moja bratanica.

— Wcale go nie bronię! — zaprotestowała moja bratowa, by po chwili się poprawić: — Ależ tak, bronię Olusia, bo na pewno nie miał złych intencji.

— Akurat! Chciał mi zepsuć ten dzień! Zohydzić! Dobrze! Nie muszę wcale wychodzić za mąż! — podsumowała Renata. — Mogę zostać starą panną! Będę samotną kobietą, jak ciocia Paulina!

Na dźwięk swojego imienia ruszyłam w kierunku pokoju.

— Ona nie jest starą panną, tylko rozwódką — poprawiła ją Joanna.

— Teraz jestem wdową — wtrąciłam, pojawiając się w progu.

Obie spojrzały na mnie i nie da się ukryć, zrobiłam swoim wejściem piorunujące wrażenie. Dopiero po chwili zorientowałam się, że nadal trzymam wyciągnięte przed siebie zaczerwienione ręce. Natychmiast je opuściłam i jednocześnie opadłam na fotel.

— Jak to wdową?! — dopytywała Renata, która pierwsza wyszła z oszołomienia.

Joanna ocknęła się chwilę później, pukając palcem wskazującym w czoło.

— Nie możesz być wdową, gdy nie masz męża — rzuciła, przewracając po swojemu oczami.

— Nie mam, bo właśnie umarł — wyjaśniłam.

— Paulina, przypominam, że byłaś z nim rozwiedziona! — nie poddawała się Asia.

— To jestem rozwiedzioną wdową? Czy jak? Kościół nie uznaje rozwodów, więc dla nich jestem

wdową... — zastanawiałam się głośno nad własnym statusem.

— Nie brałaś ślubu kościelnego z Grzegorzem, bo przecież byłaś wtedy rozwódką! — przypomniała Aśka, wyraźnie tracąc cierpliwość. — Więc co ma do tego Kościół? Nadal jesteś rozwódką.

— No, ale Grzegorz nie żyje — powtórzyłam z naciskiem. — Właśnie się dowiedziałam, że jestem wdową.

— Grzegorz nie żyje?! — wykrzyknęła Renata, zasłaniając sobie usta dłonią. — O Boże!

— Jesteś wariatką, a nie żadną wdową — skwitowała Aśka. — Czuję, że muszę się napić, aby też nie zwariować! Która jeszcze reflektuje na nalewkę z czarnej porzeczki?

Obie z Renatą ochoczo podniosłyśmy dłonie.

— To kim ja jestem? — rzuciłam słabo dręczące mnie od kilku minut pytanie.

Obiad z nieboszczykiem w tle

Gdy już ustaliłyśmy wspólnymi siłami i po trzech kolejkach nalewki, że jednak pozostają rozwódka, w progu zjawił się Przemek z reklamówką w dłoni. Przez moment przyglądał się nam uważnie, gotowy w każdej chwili ponownie wyjść pod byle pretekstem, gdyby burza trwała nadal.

— No proszę! — przywitała go Joanna. — Nareszcie jesteś!

Najbardziej z powrotu Przemka ucieszyłam się ja. Wskoczyłam jak z procy z zajmowanego fotela, ponieważ poplamione dłonie strasznie mi dokuczały, a nalewka jako tymczasowe znieczulenie dopiero zaczynała działać. Całkiem możliwe, że skuteczna w uśmierzaniu dolegliwości okazałaby się cała butelka, ale szczęśliwie pojawił się rozpuszczalnik. Joanna pomogła mi pozbyć się farby, a potem posmarowała moje zaczerwienione dłonie maścią o kojących właściwościach.

W międzyczasie pojawił się Oluś z bukietem kwiatów i litanią przeprosin, nie do końca świadom, jaka groziła mu katastrofa, gdyby nie wpadł po drodze do kwiaciarni. Była dziewczyna taktownie odmówiła przyjścia na ślub, więc Renata wspaniałomyślnie ponownie zgodziła się oddać mu swą rękę. Skoro niebezpieczeństwo staropanieństwa zostało zażegnane, wszyscy wznieśliśmy toast a conto zbliżającego się wesela. W takich radosnych okolicznościach temat śmierci Grzegorza musiał czekać na swoją kolej.

W końcu Renata i Oluś wyszli z mieszkania, by we dwoje napawać się swoim szczęściem w wiosenne popołudnie, a Joanna podała obiad. Obszerny salon wypełnił aromat smażonych kotletów, pieczonej karkówki i tłuczonych ziemniaków z podsmażaną cebulką. Na stole pojawiły się jeszcze dwa półmiski surówek. Jakie to szczęście nie być na żadnej diecie!

— Na śmierć zapomniałam! — rzuciła Joanna, opadając ciężko na krzesło. — Przecież Grzegorz nie żyje!

— Grzegorz? — zdumiał się mój brat i na chwilę zastygł z uniesionym nad półmiskiem kotletów widelcem.

— Mój były mąż, Grzegorz Bożyk — przypomniałam i wykorzystując jego chwilowe zaskoczenie, sięgnęłam po schabowego, którego niezwykły aromat spowodował u mnie potężny ślinotok.

— Nie żyje — dodała Joanna z pełnymi surówki ustami.

— I musimy o nieboszczyku mówić przy obiedzie? — oburzył się Przemek, z lekkim obrzydzeniem spoglądając na półmisek z surówką.

— Och, a co to takiego? — zdziwiła się Joanna, przewracając oczami. — Temat przynajmniej bardziej sensacyjny niż jakieś odliczenia od podatku.

— Joasiu, to raczej niestosowne... — rzucił nieśmiało Przemek, ale pod wpływem groźnego

spojrzenia żony powstrzymał się od dalszych uwag. Pospieszenie nałożył sobie jedzenie i już bez słowa, ale z niebezpieczną zapalczywością pochłaniał zawartość talerza.

— Jak umarł? — spytała mnie Joanna, dokładając sobie surówki. — Odkąd pamiętam, to był chodzący okaz zdrowia.

— W dodatku sporo młodszy od Pauliny — zauważył Przemek, wprawiając nas ową złośliwą uwagą w zdumienie. Na szczęście dla siebie wpatrywał się w swój talerz i nie mógł dostrzec dwóch morderczych spojrzeń.

— Tylko sześć lat! — podkreśliłam z zaciśniętymi zębami i już bez złości zwróciłam się do Joanny: — Właśnie nie wiem.

— Jak to nie wiesz? Nie powiedzieli ci? To po co przyszli do ciebie? — zdziwiła się Joanna i zastygła z kawałkiem ziemniaka przed własnym nosem.

— Przyszli, bo odkryli, że jestem jego żoną — wyjaśniłam, łakomie spoglądając na karkówkę w sosie pieczeniowym. — Ale zaraz zrobiło się zamieszanie z tymi moimi rękami Lady Makbet. A jak jeszcze im powiedziałam, że z Grzegorzem jestem już trzy lata po rozwodzie, to nie wiedzieli, czy powinni w ogóle ze mną rozmawiać.

— Dlaczego? — zdumiała się Joanna.

— No, niby nie jestem już rodziną i takie tam. — Machnęłam ręką, drugą nakładając sobie jeszcze ziemniaki polane tłuszczem.

— Cóż za bałagan w tej policji — zauważył z przekąsem mój brat.

— I co? — dopytywała Joanna.

— I nic więcej nie powiedzieli — westchnęłam i ponownie zabrałam się do jedzenia. — Odesłałam ich do jedynej najbliższej krewnej Grzegorza, czyli mojej teściowej.

Przez chwilę panowało milczenie. W ciszy jedliśmy przepyszny obiad. W tle przez otwarty balkon słyhać było śpiew ptaków i daleki szum samochodów.

— Taty nie będzie na obiedzie? — spytałam, nasz ojciec bowiem często gościł u Chulaków w niedzielne popołudnia.

— Dzisiaj pojechał na majówkę z panią Teresą... — westchnął Przemek wyraźnie niezadowolony. — Pożyczył od nas samochód.

Już miałam spytać, co to za pani Teresa, gdyż rzadko bywałam na bieżąco ze znajomościami ojca, gdy odezwała się Joanna:

— Myślę, że na pewno nie zszedł z tego świata naturalnie.

— Kto?! Ojciec?! — wykrzyknął przestraszony Przemek.

Ciarki przeszły mi po plecach. Tymczasem Joanna, zmiatając z talerza resztki ziemniaków, spojrzała na nas całkowicie zdumiona.

— Ojciec? — powtórzyła i zorientowawszy się, o co chodzi, przewróciła oczami: — On akurat nas wszystkich przeżyje. O Grzegorzu mówię! Zawał odpada. Policja tak po prostu nie przychodzi

zawiadomić rodziny. Może jakiś wypadek? — snuła przypuszczenia moja bratowa. — Może był napad w tym jego banku i zastrzelili go przy sejfie?

— W sobotę? — wtrąciłam.

— Albo ktoś go zamordował — rzuciła kolejną propozycję Joanna.

Przemek uniósł wzrok znad swojego pustego talerza i przyjrzał się żonie z nieukrywanym niepokojem. Po chwili przerzucił się na mnie, ale w jego oczach zamiast troski i współczucia dostrzegłam przerażenie, jakby właśnie ujrzał bezwzględnego mordercę w osobie swojej rodzonej siostry. Nie ukrywam, że takie podejrzenie wprawilo mnie w zakłopotanie i wydusiło gwałtowny protest z głębi mego urażonego jestestwa.

— Oszalałeś?!

— Co się stało? — zapytała wystraszona Joanna, przerywając wyliczankę możliwych przyczyn nienaturalnej śmierci Grzegorza.

— Przemek myśli, że to ja zamordowałam Grzegorza! — wykrzyknęłam, kierując oskarżycielsko palec wskazujący w stronę brata.

Joanna przewróciła oczami.

— Wielkie mi mecyje! — parsknęła. — Mnie też taka myśl nierzadko przechodziła przez głowę, ale żeby zaraz... No co ty?! Zresztą Paulina się z nim rozwiodła i w dodatku wyprowadziła z Legnicy! Po co miałyby go mordować trzy lata po rozwodzie?

Przemek wzruszył ramionami, nie udzielając odpowiedzi. Zebrał puste talerze i wyszedł z pokoju, pozostawiając gęstą mgłę podejrzeń wokół mojej osoby. Dopiero teraz śmierć Grzegorza, w tajemniczych jak dotąd okolicznościach, odczułam jako złowróbną dla mnie. Wypracowany i troskliwie pielęgnowany przez ostatnie lata spokój został zachwiany. Jakby na murze oddzielającym moje poprzednie życie pojawiła się rysa, oznaka pierwszego pęknięcia. Wzdrygnęłam się mimowolnie, co dostrzegła Joanna i szturchnęła mnie w ramię. Nikt poza nią nie wiedział, co tak naprawdę działo się w moim związku z Grzegorzem. Z zewnątrz wyglądaliśmy na idealną parę, ale naprawdę nasze czteroletnie małżeństwo wzorowe nigdy nie było.

— Chyba nie przejmujesz się za bardzo? — spytała, podsuwając kieliszek z nalewką.

Odstawiłam pełny kieliszek na stół. Przeniosłam się na sofę, by wygodnie usiąść z podkurczonymi nogami. Przejęta Joanna usiadła tuż obok, objęła mnie po przyjacielsku i przytuliła.

— Paulina, tylko nie zaczynaj znowu — ostrzegła stanowczo, aczkolwiek łagodnym tonem. — Grzegorz nie żyje. Nie jesteś winna, ani jego śmierci, ani niczemu! Zwariowałaś?!

— Tak, zwariowałam — przyznałam. — W pierwszej chwili w ogóle do mnie nie docierało, że on istniał. A zatem jak może nie żyć?

Joanna spojrzała znacząco.

— Paulina! Nie rozklejaj się na mojej sofie! Trzeba się dowiedzieć, jak umarł, bo nie wytrzymam z ciekawości. Męczy mnie wizyta policjantów, bo przecież nie przychodzą, ot tak, przy każdym

nieboszczyku?

— Nie mam pojęcia — parsknęłam.

— To może zadzwoń do swojej teściowej, Hermenegildy! — zaproponowała Joanna, podsuwając mi swój telefon komórkowy.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Moja teściowa w rzeczywistości miała na imię Brygida, ale z racji paskudnego charakteru bardziej pasowała do niej Hermenegilda, jak ochrzciła ją nastoletnia wówczas Renata na moim przyjęciu weselnym. Pseudonim się przyjął i zakorzenił w naszych rozmowach. Oczywiście nigdy go nie używaliśmy przy Grzegorzu i samej zainteresowanej.

— W życiu! — zaprotestowałam. — Pomijając, że jestem najszczęśliwszą osobą pod słońcem, nie widząc tego babsztyla, to trzeba uszanować, że straciła jedyne i kochanego syna. Nie mogę zadzwonić teraz i ot tak, po wyrazach współczucia, spytać, co się stało i jak umarł Grzegorz.

Joanna okazała pełne zrozumienie.

— To trzeba się dowiedzieć innymi kanałami... Przemek!

Czy jestem mężczyznożerczynią?

O koliczności śmierci mojego byłego męża Grzegorza Bożyka przestały być dla mnie tajemnicą dopiero, albo już, nazajutrz. I to całkiem niespodziewanie, zanim mój brat, znany w Legnicy księgowy, uruchomił swoje znajomości, by zaspokoić bezbrzeżną ciekawość Joanny i co tu ukrywać — także moją.

Tymczasem noc minęła niespokojnie. We śnie pojawiały się dziwne zdarzenia, oczywiście w roli głównej występował... nieboszczyk Grzegorz. Jeżeli umarł po to, by mnie nawiedzać każdej nocy, to powinnam wezwać egzorcystę. Nawet jeśli nie będą to koszmary. Nie po to przeszłam przez piekło rozstania, aby dać się uwodzić byłemu mężowi we śnie i to po jego śmierci!

Sen to był zaiste przedziwny. Zupełna odwrotność moich złych wspomnień z rzeczywistości. Grzegorz jak na nieboszczyka okazał się całkiem żywotny. Pierwsza scena rozgrywała się nad morzem. Biegliśmy ku sobie w zwolnionym tempie przez pustą plażę, by wreszcie paść sobie w ramiona. Grzegorz uniósł mnie w górę i zakręcił. Potem jak oszalały obdarzał pocałunkami. Bez słowa ujął mnie za rękę i bezgłośnie powiedział: „Kochanie, kupiłem ci dom przy plaży”. Dom okazał się wielką kamienicą, podobną do tej, w której mieszkałam kiedyś w Legnicy. Z balkonów sąsiadki rzucały kwiaty. Otoczona męskim ramieniem, szłam ku swemu przeznaczeniu. A on — ideał: opiekuńczy, troskliwy, dobry, wrażliwy. Mimo pozytywnej odmiany Grzegorza zbudziłam się niespokojna i zdenerwowana oraz zdyszana. Może ten galop przez plażę po piasku tak mnie zmęczył? A może to „kochanie” mnie rozstroiło, bo Grzegorz nie miał w zwyczaju tak się do mnie zwracać. Zawsze „Paulino”. Nawet nie „Paulina”. „Paulinko”? — mowy nie było!

Na wszelki wypadek po przebudzeniu, które nastąpiło bladym świtem, uszczypnęłam się boleśnie w przegub ręki. Potem dodatkowo dla pewności oblewałam twarz zimną wodą. „Bładą dłonią świt otrze pot i łyzy. Koszmar minie. Znikną duszne sny” — obiecywała Urszula w starym przeboju Budki Suflera. Cóż pozostało, jak nie zaufać słowom piosenki?

Postanowiłam wykorzystać tak wczesną pobudkę zaserwowaną mi przez nieboszczyka byłego męża. Pospiesznie ubrałam się w swój strój do joggingu.

W moim przypadku, czyli kobiety trochę więcej niż po czterdziestce, bieganie pomagało nie tylko w utrzymaniu kondycji, ale przede wszystkim w pozbieraniu myśli, uporządkowaniu ich i wyciszeniu. Pokiereszowana przez życie i skalpel chirurgiczny Paulina Bożyk, choć zasapana, odzyskała wreszcie równowagę po półtoragodzinnym biegu. Sporo radości dostarczały ptaki, które wcześniej się budziły i zachwycały śpiewem, oraz wiosenna wszechobecna zieleń, zwłaszcza w parku otaczającym dawne mury

miasta. Moja ulubiona trasa w większości przebiegała przez miasteczko, ale najpiękniejsza jej część wiodła przez zieleń pod pasmem średniowiecznych murów. Biła od nich niesamowita energia. Ludzie przemijali. Rodzili się, cieszyli, smucili i mówili w różnych językach. Jak to na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych. Potem wyjeżdżali, umierali, a mury, które niegdyś chroniły przed najeźdźcami, pozostały. Miejscami górnicze miasto wrosło w solidne ściany, jakby szukało oparcia. Szczęśliwie nikt nie wpadł na pomysł, by wraz z postępowaniem cywilizacyjnym pozbyć się dobrze zachowanych resztek przeszłości, dzięki temu i ja mogłam wchłaniać energię bijącą ze średniowiecznych murów Złotoryi.

Zazwyczaj biegałam wcześnie rano, ale czasami nie miałam ochoty podnieść się wcześniej z ciepłej pościeli, więc wieczór też stał się moją ulubioną porą na zażywanie świeżego powietrza. Na swojej trasie spotykałam niewielu miłośników biegania, zdarzały się jednak pojedyncze sztuki. Czasem pozdrawialiśmy się skinieniem głowy, jakbyśmy stale się widywali w ulubionych miejscach, połączeni wspólną pasją. Częściej jednak każdy zajęty był własnymi myślami albo słuchaniem muzyki, więc mijaliśmy się, nie dostrzegając innych.

Dzisiaj szczególnie nie miałam ochoty na towarzystwo, ale do pracy pójść trzeba. Na szczęście nie zmuszałam się do codziennego kieratu, bo zajęcie, które dostarczało mi dochodów, sprawiało także wielką satysfakcję, choć nie pochłaniało całej mojej energii. W Bombkolandii, znanej na całym świecie z produkcji ozdób świątecznych, zaczęłam pracę tuż po rozwodzie, ciesząc się, że znalazłam jakąś ucieczkę od ponurych myśli. Wreszcie mogłam malować, projektować i nikt nie krzywił się z pogardą, że z takiego próżniaczego życia się nie utrzymam.

W dziale projektów i wzorów pracowałyśmy tylko ja i Justyna Laskoń, oddzielone od pozostałych pracowników grubą, dźwiękoszczelną szybą. Nasz pokój wyglądał jak niewielkie akwarium otoczone ruchliwymi liniami produkcyjnymi, nieustannie przesuwanymi się taśmami i pracownikami, dokładnie odwzorowującymi nasze projekty na kolorowych bombkach.

— Naprawiłaś te rury? — spytała Justyna, gdy tylko weszłam do pracowni i zajęłam swoje krzesło. — Rzuciłaś słuchawką tak nagle, że zastanawiałam się, czy cię tam gdzieś nie wciągnęło, na przykład do kanalizacji? Janek już chciał do ciebie jechać, ale go powstrzymałam, bo przecież nienawidzisz mężczyzn. Jeszcze byś go zdzieliła kluczem francuskim...

Spojrzałam na nią, jakby właśnie mi oznajmiła, że jest królową elfów i zaraz zaprezentuje mi swoje piękne skrzydła.

— Nienawidzę mężczyzn? — spytałam, by się upewnić, czy dobrze słyszałam, i dodałam z oburzeniem: — Poza tym nie mam klucza francuskiego!

Wzruszyła ramionami.

— Ale inne niebezpieczne narzędzia masz na pewno! Nie wiem... jakieś patelnie, noże... albo popielniczkę... Taką kryształową, rodem z PRL-u.

— Nie mam takiej popielniczki — odparłam odruchowo, choć bez przekonania, gdy Justyna kontynuowała swój monolog, że niezbadana jest zawartość mojego trzeciego pokoju. — Zresztą po co

miałabym walić Janka czymkolwiek?! Litości!

— Przecież często powtarzasz: „żadnych mężczyzn” i to z takim, no, takim morderczym błyskiem w oku! — rzuciła, sięgając po pierwszą bombkę do malowania.

— Owszem — przyznałam, mieszając kolory do swojego wzoru. — „Żadnych mężczyzn” nie oznacza jednak, że nienawidzę mężczyzn i łypię morderczym okiem na każdego faceta.

Starałam się to dokładnie wyjaśnić, wiedząc, że Justyna, którą osobiście bardzo lubię, jest stereotypową blondynką i jej tok rozumowania może być zupełnie odmienny. O ile to w ogóle był jakiś tok rozumowania. Mimo koloru włosów, który w tym przypadku przekładał się na iloraz inteligencji, Justyna była niezwykle utalentowaną projektantką, a poza tym także zdolną malarką. Najwyraźniej Pan Bóg nie chciał uchodzić za niesprawiedliwego i gdzie poskąpił rozumu, tam dołożył talentu. Chociaż naiwność dziecka nie pomagała Justynie w życiu. Malowała dużo i znakomicie, ale wykorzystywano jej brak dbałości o własne interesy. Janek, jej mąż, z zawodu górnik, na menedżera także się nie nadawał. Kompletnie nie znał się na sztuce i talencie żony, który według mnie trwonili oboje. Moje ingerencje czy propozycje przyjmowali z niechęcią, więc przestałam się wtrącać i nawet zgrzytać zębami, gdy kolejny obraz oddawali za bezcen jakiejś galerii albo dalekiej znajomej.

— A Roberta z magazynu jak potraktowałaś?! — wypomniała Justyna, wskazując brodą halę widoczną z naszej pracowni, oddzielonej jedynie pleksi od pracującej poniżej załogi.

Odruchowo podążyłam wzrokiem w tamtym kierunku, choć magazyny znajdowały się w sąsiednim budynku, którego nie sposób było zobaczyć z naszego akwarium.

— Kopnęłaś go w krocze! — przypomniała bezlitośnie.

— Justyna! — krzyknęłam. — On się do mnie przystawiał! Zresztą nie tylko do mnie!

— No, niby tak — przyznała mi rację, kreśląc pewną ręką wzór na srebrnej kuli. — Jednak żadna go w krocze nie kopała!

Odłożyłam swoją bombkę i na wszelki wypadek odsunęłam cały karton, żeby go nie roztrzaskać pięścią, bo czułam, jak wzbiera we mnie złość. Czyżby słusznie? Czy brak opanowania mogę zrzucić na zbliżającą się menopauzę?

— Może tylko ja potrafiłam stanowczo wyrazić swoje niezadowolenie?

— Dlatego bałam się o mojego Janka — westchnęła Justyna, nawet nie zaszczywiwszy mnie spojrzeniem.

— Janek chyba by się do mnie nie dobierał? — wyraziłam swoją wątpliwość.

— Zwariowałaś?! Oczywiście, że nie! — zmieszała się.

— A co do facetów, to po moich ostatnich doświadczeniach randkowo-sercowych postanowiłam być kobietą samowystarczalną — wyjaśniłam, zgrzytając zębami. — To nie znaczy, że tępię rodzaj męski i biorę odwet na wszystkich bez wyjątku, młóćąc kluczem francuskim.

Justyna parsknęła obrażona i do końca zmiany nie zamieniłyśmy słowa. Przyzwyczyłam się do takiego kończenia naszych rozmów. Wiedziałam, że jutro wszystko wróci do normalności. Bywało gorzej.

Czasem z trudem mogłam znieść swoistą logikę typowej blondynki, jaką bez wątpienia była moja koleżanka z pracy. Ręce i szczęka opadały, a stopy wyskakiwały z butów. Częściej jednak rozbawiała mnie do łez. No, może dzisiaj jakoś nie poszła w tym kierunku. Milczenie, jakie zapadło między nami, sprawiło, że ponure myśli o Grzegorzu znalazły do mnie drogę powrotną.

Korytarzowe potyczki z policją

Na szczęście zadzwoniłam do Joanny, która brakiem zrozumienia dla mych podłych nastrojów od razu postawiła mnie na nogi. Akurat po raz tysięczny odwiedzały z Renatą salon sukien ślubnych i jak można było przewidzieć, moja bratanica eksplodowała właśnie niezadowoleniem z ostatnich poprawek. Joanna, krzycząc do słuchawki prosto w moje ucho, prosiła wszystkich o ciszę, bo właśnie usiłuje porozmawiać przez telefon.

— Nie rozumiem, dlaczego Renata nie wyciągnie wniosków z twojego życia i nie da sobie spokoju z tym ślubem? — zwróciła się do mnie Joanna, dla odmiany przechodząc na konspiracyjny szept.

— Pewnie dlatego, że Oluś nie przypomina żadnego z moich byłych... — podsunęłam.

— Oczywiście! Że też od razu na to nie wpadłam! — wykrzyknęła, udając rozbawienie. — Tylko ja zwariuję! Słuchaj, a czy w ramach przyjacielsko-rodzinnej przysługi mogłabyś bardziej zaangażować się w przygotowania do ślubu swojej chrześnicy?

Swoją drogą ślub był zaplanowany na październik, a żyliśmy nim już od stycznia. Sama decyzja była dla nas zaskoczeniem. Renata oznajmiła, że nie zamierza dłużej studiować i wychodzi za mąż za Aleksandra, którego poznała na uczelni. Tyle że on akurat kończył studia i miał zamiar podjąć studia doktoranckie. Renata nie dawała się przekonać, że teraz młodzi ludzie odwołują decyzję o małżeństwie albo żyją w nieformalnych związkach.

— Wszyscy teraz idą na studia i co? Potem i tak nie pracują zgodnie z wykształceniem. Mnie to całe studiowanie nie kręci. Głupszy ode mnie potrafią skończyć byle uczelnię i co? A ja wyjdę za mąż i będę miała dzieci! Pracę przecież i tak mam u taty.

Cóż, jako że same także nie pokończyłyśmy żadnych studiów i wzoru stanowić nie mogłyśmy, pogodziłyśmy się z decyzją Renaty. Gorzej było z Przemkiem i moim tatą, którzy mieli dyplomy. Ale Renata na ich argumenty przemawiające za wyższym wykształceniem odparła, że kontynuuje rodzinną tradycję, ponieważ w naszej rodzinie kobiety nie kończyły studiów, co nie znaczy, że są głupsze od swoich mężów. No i trzeba było się skupić na ślubie.

— Wiesz, przepraszam cię, ale właśnie kończy mi się przerwa... — zaczęłam żartobliwie.

— A mnie cierpliwość! — parsknęła Joanna i niemal widziałam, jak przewraca oczami. — Trzeba ustalić jakieś rodzinne dyżury! — dodała stanowczo na koniec rozmowy.

Pozytywna energia wróciła, gdy zyskałam pewność, że nie jestem na tym świecie sama. Rodzina na pewno nie pozwoli mi na bezczynne, samolubne egzystowanie z dala od najważniejszych problemów, którymi obecnie żyje, czyli ślubu mojej bratanicy.

Ale, jak powiadają, życie jest pełne niespodzianek, a optymizm w moim przypadku szczególnie krótkotrwały. Moja pozytywna energia i spokój uciekły w szalonym galopie, gdy na klatce schodowej, tuż pod moimi drzwiami, zobaczyłam dwóch mężczyzn. Właśnie wspinałam się ociężale na swoje czwarte piętro. Mocno zdyszana, bo dźwigałam zakupy, zatrzymałam się w połowie schodów na półpiętro, by uspokoić oddech. Pokonanie ostatnich kilku stopni zdawało się wyczynem ponad siły i zaczęłam właśnie rozważać, czy usiąść na chwilę, czy wezwać karetkę pogotowia. I tak oto prezentowała się moja kondycja, pomimo w miarę regularnego joggingu. Myślę, że powinnam od dziś biegać jak w speckomandzie, na przykład z plecakiem pełnym cegieł i szklanką wody w ręce.

Z rozważań o ekstremalnych szkoleniach wyrwał mnie ostry dźwięk dzwonka. Podniosłam wzrok i właśnie wtedy ujrzałam dwóch obcych facetów. Akurat wciskali dzwonek, odwrócenie plecami i skupieni na moich drzwiach. Poczulałam ucisk w gardle ze strachu. Cholera wie, co to za jedni. A ja, samotna kobieta, obarczona siatkami, z resztką sił po wspinaczce na czwarte piętro, co powinnam zrobić w takich okolicznościach? Uciekać z wrzaskiem, by zaalarmować sąsiadów?

Intruzi chyba wyczuli czyjąś obecność albo znudziło im się wykańczanie mojego dzwonka, bo odwrócili się w moją stronę. Przyjrzałam się im dokładnie na wypadek, gdybym miała sporządzać portrety pamięciowe. Jeden z nich, starszy, ale i wyższy, wydawał się dziwnie znajomy. Ta lekko przygarbiona sylwetka, siwe, krótko obcięte włosy na amerykańskiego marine i gładko ogolone policzki naznaczone bliznami wokół ust. Już gdzieś musiałam spotkać tego faceta... Tylko gdzie?

Drugi, znacznie młodszy brunet ze śniadą cerą i urodą południowego uwodziciela, nie zainteresował mnie zupełnie. Sprawiał wrażenie, jakby dopiero co wyszedł z egzaminu maturalnego w za dużej dla niego marynarce starszego kolegi.

— Pani Paulina Bożyk? — spytał twardo młodzieniec.

Wzruszyłam ramionami, ale przeszedł mnie dziwny dreszcz niepokoju. Ostatecznie wiekowa była ze mnie niewiasta, zatem nie młodzieńczo naiwna, więc ostrożnie pozostałam w połowie schodów. Nie będę się pchała do własnych drzwi, gdy nie wiem, z kim mam do czynienia. Zresztą na pewno z kimś, dla kogo grzecznościowe „dzień dobry” jest zwrotem obcym, a kto wie, czy nie wrogim.

— To może panowie się przedstawia? — powiedziałam niepewnym głosem, gotowa w każdej chwili porzucić pełne i ciężące mi reklamówki, by wziąć nogi za pas.

— Proszę odpowiedzieć — podniósł głos chłopczyk od matury, aż się cofnęłam zaskoczona na ścianę.

— Wcale nie muszę! Do widzenia, choć nie było dzień dobry — odparłam i ruszyłam ile sił w nogach schodami w dół.

— Stać! — usłyszałam za swoimi plecami, ale nawet się nie obejrzałam. — Policja! Proszę się zatrzymać!

— Akurat! — parsknęłam, zastanawiając się, którą z reklamówek poświęcić na powstrzymanie pościgu.

Kątem oka dostrzegłam, że starszy stał oparty o moje drzwi z tajemniczym uśmiechem na twarzy. Za

mną zaś ruszył maturzysta i to on wrzeszczał, ile miał sił w tej lichej młodzieńczej piersi.

— Proszę się natychmiast zatrzymać! Policja! Słyszysz pani?!

Wybór reklamówki dokonał się poza mną. Przeciążona i poddana drganiom, pękła foliówka z pomidorami, cebulą i śledziami w śmietanie. Nawet się nie obejrzałam, co zostało na schodach, ale skutecznie spowolniło młokosa.

— Kurwa mać! — zaklął, ślizgając się na rozbitym pomidorze. Opadł z hukiem na schody, tłukąc sobie boleśnie, sądząc z pojękiwań i wielości przekleństw, kość ogonową. Odwróciłam się gwałtownie i też krzyknęłam:

— Legitymacja!

Zamiast dowodu, że mam do czynienia z policją, otrzymałam serię przekleństw. Młodzieniec wydawał z siebie jęki, trąc zawzięcie źródło bólu, więc legitymację zaprezentował mi starszy z policjantów, który po chwili do nas dołączył. Najpierw jednak ostrożnie ominął rozciapane śledzie, które pod wpływem uderzenia wypłynęły z pękniętego plastikowego pojemnika i zmieszały się z kilkoma pomidorami, równie rozciapanymi, ale stanowiącymi znakomity materiał do jazdy po schodach. Lekko, jakby pod nosem, uśmiechnął się i spojrzawszy na młodszego kolegę, pomógł mu się podnieść. Ten, gdy tylko z jękiem powstał i zobaczył swoją odzież, ponownie zaczął kląć, kierując serię niezyczliwych spojrzeń w moją stronę. Instynktownie się cofnęłam. Dopiero stanowcze położenie ręki na ramieniu przez starszego policjanta zdołało powstrzymać potop wulgaryzmów. Stał ostrożnie przede mną, wyciągnął swoją legitymację i podsunął mi przed oczy.

— Dzień dobry. Podkomisarz Bruno Niedziela. Komenda Powiatowa w Złotoryi — powiedział uprzejmym głosem, z trudem kryjąc rozbawienie. — Pani Paulina Bożyk?

— Dzień dobry — odpowiedziałam z ulgą, że to jednak nie jacyś bandyci. Chyba że podrobili legitymacje policyjne... — Podkomisarz? To, zdaje się, wysoki stopień...

— Czy to pani przeszkadza? — zapytał uprzejmie.

— Raczej niepokoi... To oznacza poważniejszą sprawę — stwierdziłam, jeszcze raz dokładnie przyglądając się ich twarzom.

— Jeżeli to panią uspokoi, to kolega jest aspirantem.

— Od razu się uspokoiłam — parsknęłam, rzucając młodzieńcowi nieprzychylnie spojrzenie. Nadal nie raczył się przedstawić. Widocznie jego legitymacji nie byłam godna oglądać.

— Miło tak się przekomarzać, ale powtórzę pytanie, aby nie tracić pani i naszego czasu — powiedział Niedziela. — Czy pani Paulina Bożyk?

— To ja — odpowiedziałam, czując ciągle wewnętrzny niepokój. — W czym mogę pomóc?

— Na początek może zimny okład dla kolegi i coś, żeby doprowadził się do porządku...

— Dla niego? — spytałam z niedowierzaniem, wskazując młodzieńca. Miał wściekły wzrok i zaczęłam się obawiać, że może wcale nie rozmasowuje sobie bolącego miejsca, tylko sięga po broń, by mnie zastrzelić. — Tylko rozpalone żelazko na gorący tyłek!

Maturzysta poczucia humoru, podobnie jak elementarnej kindersztuby, nie miał wcale. Zresztą rozumu chyba jeszcze mniej.

— Jeszcze mi pani grozi?! — odezwał się agresywnie. — Napadła pani na funkcjonariusza na służbie!

Jak nic wyciągnie broń albo w najlepszym razie kajdanki, pomyślałam. Pójdę do paki za pomidora i śledzie!

— Możemy chwilę porozmawiać? — spytał starszy, udając, że nie dostrzega urażonej dumy swego towarzysza.

— Oczywiście. Zapraszam na górę.

Nawet po śmierci można kogoś zaskoczyć

Gdy już usiedliśmy w moim mieszkaniu i podana dla ochłody woda nieco ostudziła zapalczywość młodzieńca, który sprzął ze swoich spodni moje zakupy, usłyszałam, że mój były mąż, Grzegorz Bożyk, popełnił samobójstwo. Oczywiście policji wiadomo, że jesteśmy po rozwodzie, ale zaszyły pewne okoliczności i stąd ta wizyta.

— Samobójstwo?! — wykrzyknęłam ze szczerym niedowierzaniem, słysząc taki powód śmierci Grzegorza. — To niemożliwe!

Zatęskniłam za nalewkami mojego brata, ale niestety nie miałam ani jednej w mieszkaniu.

— Samobójstwo? — zapytałam ponownie, nie dowierzając własnym słowom. — Grzegorz to ostatnia osoba, którą podejrzewałabym o targnięcie się na swoje życie.

— Znalaziono go martwego w pokoju hotelowym w Świeradowie-Zdroju, gdzie odbywała się impreza integracyjna banku — przeczytał z notatnika młodszy policjant. — Powiesił się na balustradzie balkonu. Znalaziono go przed piątą nad ranem.

— Boże! — jęknęłam i wypiłam potężny łyk wody ze swojej szklanki. Grzegorz dyndający z balkonu z wywieszonym językiem nagle pojawił się w mojej głowie i omal nie straciłam przytomności. — Z jakiego niby powodu?

— Na miejscu jest prowadzone śledztwo — wyjaśnił aspirant. — My jedynie zostaliśmy poproszeni o pomoc.

— Dlaczego pani myśli, że to nie mogło być samobójstwo? — spytał Niedziela. — Czy mąż miał jakichś wrogów?

— Z byłym mężem nie utrzymywałam kontaktu. Od trzech lat nic nie wiem o jego życiu, przyjaciółach czy wrogach — odpowiedziałam, starając się pozbyć okropnego obrazu zwłok Grzegorza. — Nie kontaktowaliśmy się od rozwodu. Pojęcia nie mam, jak żył Grzegorz i z kim miał lub nie miał na pieńku.

— Trzy lata to nie jest długi okres... — stwierdził aspirant.

— A w trakcie waszego małżeństwa, czy miał jakichś wrogów? — spytał Niedziela, ignorując komentarz młodszego kolegi.

— Czyli też nie wierzycie w samobójstwo? — podchwyciłam.

— To rutynowe pytania — wtrącił młodzieniec. — Proszę odpowiedzieć.

— Z otwartą wrogością wobec Grzegorza raczej się nie spotkałam. Ale czy dyrektor banku nie ma wrogów?

— Ktoś z pracy?

— Nie wiem — odparłam zniecierpliwiona. — Raczej nie, ale Grzegorz nie był typem faceta opowiadającego o swojej pracy, więc bardziej nie wiem, niż wiem.

— A jednak nie wierzy pani w to samobójstwo — przypomniał Niedziela, bacznie spoglądając mi w oczy.

— Bo to był człowiek mocno trzymający się życia. Hedonista, egoista przesadnie dbający o wygląd i zdrowie. Miał zamiar żyć sto lat i chwalił się, że pochodzi z długowiecznej rodziny. Żadnych depresji, ponurych myśli, braku wiary w siebie. Czy to typ samobójcy? Chyba że zmienił się przez te trzy lata...

— Kiedy widziała pani byłego męża ostatni raz?

Musiałam się chwilę zastanowić.

— Spotkałam go przypadkiem w Legnicy, jakiś miesiąc temu — odpowiedziałam i przypomniałam sobie z niestosowną radością: — O, akurat wychodził z gabinetu kosmetycznego.

— Rozmawialiście?

— Chwilę. Takie tam, co u ciebie słychać, ale broń Boże, nie rozgaduj się o swoim życiu... A potem „cześć” i pobiegł w swoją stronę. Nawet wtedy wydawał się taki jak zawsze. Poważny, ale cholernie zadowolony z siebie. Zimny, pozbawiony uczuć i emocji.

— Mąż był od pani młodszy? — wtrącił aspirant, zaglądając do notatek, czym mnie dodatkowo rozżłościł.

— Tak, ale co to ma do rzeczy? Dlatego popełnił samobójstwo?! — wybuchłam. — Przez trzy lata nie mógł tego znieść i się powiesił?!

— Proszę się nie denerwować — odezwał się spokojnie Niedziela.

— Nie rozumiem, czego ode mnie oczekujecie. Więcej o Grzegorzu opowie wam jego matka. Co ja mam z tym wspólnego?!

Aspirant ponownie zagłębił się w swoich notatkach, by po chwili zadać kolejne pytanie:

— Skoro nie utrzymywaliście kontaktów, to dlaczego napisał w pożegnalnym liście: „Paulinko, wybacz. Przepraszam”?

— Słucham?! — rzuciłam z niedowierzaniem. — Napisał do mnie list pożegnalny?!

Spojrzałam na podkomisarza Niedzielę, by znaleźć potwierdzenie, że to żart młodego. Niestety, jego twarz nie wyrażała absolutnie niczego. Poczułam się bardzo zagubiona i oszołomiona. Tymczasem obaj policjanci milczeli i czekali na wyjaśnienie. Wyjaśnienie, którego przecież nie znałam!

— Nie mam pojęcia — westchnęłam po chwili, łapiąc się za głowę, w której nadal nie mieściły się te wszystkie rewelacje z ostatniej doby. — Grzegorz i przeprosiny? Nie, to niemożliwe. Czy to na pewno on napisał?

Niedziela sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Po chwili trzymałam w dłoni zafoliowany kawałek białej, niedbale oderwanej kartki, na której przeczytałam: „Paulinko, wybacz. Przepraszam”.

— Czy rozpoznaje pani charakter pisma byłego męża? — Pytanie wyrwało mnie z całkowitego oszołomienia.

— Taaak... — odpowiedziałam, ponieważ rzeczywiście te słowa musiał napisać Grzegorz.

— Jest pani pewna?

— Tak...

— Czy były jakieś powody... Czy miał za co przepraszać? — spytał Niedziela, odbierając ode mnie zabezpieczony folią list pożegnalny Grzegorza.

— Jak to przy rozwodzie, zawsze jest mnóstwo powodów, aby przepraszać... — odparłam ogólnikowo. Nie chciałam się zagłębiać w szczegóły, które nadal sprawiały ból. — Ale samobójstwo? Nie, ja po prostu w to nie wierzę.

— A zabójstwo jest według pani bardziej prawdopodobne? — zagadnął młodszy policjant. — Dlaczego?

— Właściwie to śmierć Grzegorza w ogóle nie mieści mi się w głowie — przyznałam i dodałam, głośno myśląc: — Bardziej pasowałby wypadek, ale to raczej niemożliwe, gdy ktoś zwisa z hotelowego balkonu...

— Poczekamy na wyniki sekcji zwłok — powiedział podkomisarz, podnosząc się z fotela. — Tymczasem dziękujemy. Zostawiam numer telefonu, gdyby coś jeszcze chciała pani dodać.

Pogrążona w myślach, odprowadziłam policjantów do drzwi i ledwo dotarło do mnie pytanie rzucone w progu przez podkomisarza Niedzielę:

— Tak dla formalności, co pani robiła w sobotę? A dokładnie z soboty na niedzielę?

Całe szczęście, że nie pytał o poprzedni weekend, bo z pamięcią w tym wieku mam już spore kłopoty.

— Na nieszczęście nie prowadzę rozrywkowego trybu życia, więc siedziałam samotnie w domu, odpoczywając po tygodniu prawdziwej harówki w pracy — odrzekłam gotowa na zaciśnięcie się kajdanek na moich przegubach, ponieważ moje alibi zupełnie nie przemawiało na moją korzyść. — Jedyne sąsiadka może potwierdzić, że tłułam się do późnej nocy, bo jej wszystko przeszkadza, ale ona mnie nienawidzi, więc pewnie nie potwierdzi.

Kajdanki i ewentualny nakaz aresztowania mogły w moim przypadku poczekać, gdyż obaj policjanci oddalili się, mówiąc zwykłe „do widzenia”.

Rozdział 8

Jak to bywa z kobiecością?

Bydlę! — podsumowała Joanna po wysłuchaniu streszczenia rozmowy z policjantami. Wizyta stróżów prawa bardzo źle wpłynęła na moje samopoczucie, więc przejęta moim szlochem w słuchawkę przyjaciółka zjawiała się szybko, by osobiście podnieść mnie na duchu. Przyjechała ze wsparciem w osobie Renaty, która obejmowała mnie czule i jak na słabą kobietkę dość mocno.

— Trzy lata! Trzy lata! — wykrzykiwała Joanna, spacerując nerwowo po moim salonie. — Tyle czekał, aby cię przeprosić?! Nie mógł cię na ulicy zaczepić albo zadzwonić?! Bydlę!

— Mamo, o zmarłych nie mówi się źle — upomniała ją Renata.

— Napisał list pożegnalny, a potem się powiesił! Boże, co za bezczelność! — perorowała Joanna w uniesieniu. — Co to w ogóle miało znaczyć po trzech latach od rozvodu?!

Delikatnie wysunęłam się z objęć bratanicy, podbiegłam do otwartego okna i zamknęłam je cicho. Chciałam nadal cieszyć się dobrą opinią u pozostałych życzliwych mi sąsiadów.

— Mało mu było?! Bydlę!

— Mamo, on nie żyje — przypomniała Renata.

— Nieżyjące bydlę!

— Aśka, daj spokój nieboszczykowi — westchnęłam cicho, martwiąc się zapalczywością mojej bratowej i przyjaciółki.

— No jasne! — parsknęła niezadowolona. — O tym draniu to jeszcze hymny pochwalne będą pisać! Ale nie ja! I tobie także nie radzę! — Pogroziła mi palcem. — I przestań, na miłość boską, chlipać, bo nie można się skupić!

— Ale ja po nim wcale nie płaczę! — zaprotekowałam.

— To dlaczego ryczałaś?!

— Bo to pierwsza śmierć w najbliższej rodzinie od dłuższego czasu... — wyjaśniłam spokojnie i mało sensownie.

Rzeczywiście zbyt emocjonalnie zareagowałam na wizytę policjantów i zupełnie niepotrzebnie od razu zadzwoniłam do Joanny. Może nie o samego Grzegorza tutaj chodziło, ale o stresującą obecność podkomisarza w moim domu? Przecież nie na co dzień mam do czynienia z policją. Ponadto ostatnie rzucone od niechcienia pytanie sprawiło, że poczułam się jak podejrzana. Teraz, gdy doszłam już do siebie, czułam okropne wyrzuty sumienia, że niepotrzebnie fatygowałam rodzinę. Wszczęłam alarm nieadekwatny do stopnia rozpacz.

— Zwariowałaś?! — oburzyła się Joanna. — Wypraszam sobie taką rodzinę!

— Grzegorz był mężem cioci... — wtrąciła Renata. — Czy o Olusiu też tak powiesz?

Joanna przewróciła oczami.

— Twój Oluś to Oluś! A Grzegorz to... Niech ci ciocia opowie, co z niego za ziółko było!

— Szkoda gadać — powiedziałam i machnęłam ręką. — Zresztą już nie żyje, a o zmarłych nie wolno mówić źle.

— Właśnie! — poparła mnie Renata.

— O nim akurat nie dałoby się powiedzieć inaczej — parsknęła moja przyjaciółka, zajmując wreszcie jeden z foteli.

Podniosłam się, aby przynieść zaparzoną herbatę, o której zapomniałam, a która pewnie już zdążyła wystygnąć.

— Skoro tak, to możemy o nim milczeć — zaproponowała Renata, lekko bocząc się na matkę za Olusia. — Pamiętam go słabo, ale był, zdaje się, trochę nadęty...

— No proszę! — podchwyciła Joanna. — A określenie „nadęty” to komplement dla nieboszczyka?

Postawiłam na stoliku tacę i rozłożyłam filiżanki. Z rozlewaniem herbaty na chwilę się wstrzymałam, zapowiadała się bowiem mała sprzeczka pomiędzy matką a córką, które miały niebezpiecznie wybuchowe charakterki.

— „Nadęty” akurat do nieboszczyka nie pasuje — odparła Renata. — Wspominałam raczej Grzegorza w stanie żywym... À propos, czy nie powinnam o nim mówić „wujek”?

— Na to jest, na szczęście, za późno — rzuciła Joanna. — Zresztą pewnie nie spodobałby mu się ten zwrot. Kontakty rodzinne go brzydziły, przez co właśnie nie poznałaś dobrze swojego wujka!

— Mamo! Nie rozumiem, dlaczego jesteś na niego taka wściekła? — spytała Renata, wyręczając mnie w napełnianiu filiżanek herbatą. — Rozumiem, że ciocia mogłaby go zniechęcić, bo była jego żoną, rozwiedli się, znała go lepiej niż my, ale ty?!

Joanna spojrzała na mnie kompletnie zaskoczona. Istotnie, pomimo moich przykrych, a nawet bolesnych wspomnień związanych z Grzegorzem wykazywałam się podejrzaną powściągliwością. Pozwoliłam sobie na krótką rozpacz, chociaż to i tak za dużo powiedziane. Poleciało parę łez, ale to wszystko. Mogłam być z siebie dumna, i byłam, że zamknęłam ten rozdział swojego życia. Oczywiście nie bez bólu i cierpienia. I to jeszcze jakiego. Ale gdyby nie wsparcie Joanny, pewnie teraz nie prezentowałabym takiego spokoju na twarzy.

Inna sprawa, że w moje problemy małżeńskie i związane z rozwodem nie wtajemniczałyśmy Renaty. Przemek i tata wiedzieli, choć oczywiście nie wszystko, bo wiadomo, że faceci, nawet wyjątkowo spokojni i wrażliwi, nigdy nie zrozumieją dobrze kobiet. Natomiast Renata, dla nas od zawsze kochane dziecko, które należy chronić, nie wiedziała nic. Dlatego teraz wpatrywała się w nas bezgranicznie zdumiona i oczekiwała wyjaśnień.

No i trzeba było jednak powiedzieć o zmarłym źle. Ta wątpliwa przyjemność przypadła w udziale mnie — głównej bohaterce tej tragedycji.

Nie lubiłam wspomnień. Ani dobrych, ani złych. Moje czterdziestosześcioletnie życie nie było pasmem sukcesów, jeśli chodzi o wybory sercowe, więc co tutaj wspominać. Z Grzegorzem, jak z każdym facetem na początku, miało być inaczej. Gdy się poznaliśmy, sześćoletnia różnica wieku w ogóle nie stanowiła problemu. To on wydawał się starszy, poważniejszy i dojrzały. Miał sprecyzowane plany na przyszłość i ustabilizowane życie. Jako najmłodszy w historii banku został mianowany dyrektorem. Wiedział, czego chce, był silny, stanowczy i zakochany we mnie. Cóż więcej było mi trzeba po nieudanym pierwszym małżeństwie i dwóch równie fatalnych próbach bycia w związku? Grzegorzowi absolutnie nie przeszkadzało, że nie mogę mieć dzieci, co było powodem rozvodu z Norbertem. Może nawet ucieszyła go ta informacja? Z perspektywy czasu wiem, że tak. Wobec mnie jako żony także miał sprecyzowane plany. A ja, jak na przykładną zakochaną oślicę przystało, robiłam wszystko, by był ze mnie zadowolony. Totalne zidiocenie, jakby mi ktoś mózg wyjął i trzymał w słoiku w formalinie. Żyłam jego życiem. Prawie zerwałam kontakty ze swoją rodziną. Grzegorz przecież wypełniał cały mój świat, gdy tylko coś z zewnątrz zakłócało nasz idealny związek, natychmiast tracił humor. Nie znosił Joanny ani mojego brata, którego widział może raptem dwa razy. O ojcu także nie wyrażał się najlepiej, tłumacząc, że jego głośna rozwiązłość może zepsuć nam ważne stosunki.

Joanna nazywała to przemocą domową, ale inną niż okładanie żony pięściami, bo zupa była za słona. Całkowicie się mu poddałam i nawet przestałam pracować, jak sobie życzył. I może trwałoby to moje totalne odmóżdzenie do mojej albo jego śmierci, gdybym nie zachorowała. Wykryto u mnie raka piersi i czekała mnie operacja. Załamalam się zupełnie. Przeplakałam cały dzień, aż do powrotu Grzegorza z pracy. Pamiętam, jak siedziałam na eleganckiej i drogiej sofie w naszym stylowo urządzonym salonie, by podzielić się z nim moją rozpaczą i strachem. Wszystkie te drogie, otaczające mnie przedmioty wydawały się takie nieprzyjazne, nieprzydatne i obce. Widmo przedwczesnej śmierci krążyło nade mną, odkąd wróciłam od lekarza. Tym silniejsze, że przecież moja mama też zachorowała na raka, i to w wieku trzydziestu sześciu lat. Co prawda, to nie on ją zabił, ale pijany kierowca ciężarówki, gdy szła na kolejną wizytę lekarską.

Marzyłam, że za chwilę wtulę się w męskie ramiona Grzegorza, wykrzyczę, że to niesprawiedliwe, a on, mocno przyciskając mnie do swej piersi, zapewni, że to żadna tragedia, bo raka się leczy, lub powie coś innego, co mnie postawi na nogi. Gdy wszedł mój ukochany mąż, jak zawsze uśmiechnięty i zadowolony, jeszcze nie przeczuwałam, że oto nadchodzi kres mego szczęścia. Powiedziałam mu o diagnozie, ale nie było żadnego przytulania. Zabrakło też męskiego ramienia, o piersi nie wspominając. Jestem pewna, że to, co usłyszałam zamiast pocieszenia, zabolalo mnie bardziej niż ta cała mastektomia i chemioterapia tuż po niej.

Poczułam się wtedy jak jakiś ludzki odpad, bo na pewno nie kobieta. Podobnie było, gdy rozstałam się z Norbertem, moim pierwszym mężem, bo nie mogłam mieć dzieci, a on pragnął pełni rodzinnego szczęścia, którego bez dzieci sobie nie wyobrażał. Dlatego w trakcie naszego małżeństwa zrobił dziecko młodszego koleżance z pracy. Wtedy po raz pierwszy zwątpiłam w siebie. A drugi raz, gdy wisiał nade

mną skalpel, który za chwilę miał pozbawić mnie innego atrybutu kobiecości — piersi.

Owszem, Grzegorz nie chciał mieć dzieci, ale kobieta musi być kompletna, a nie wybrakowana. Co on teraz ma zrobić? W jakiej go stawiam sytuacji? Będzie biegał po szpitalach? Przecież wiem, jak nie znosi szpitali! Może jeszcze na terapię go zaciągnę albo, co gorsza, będzie mi musiał podawać morfinę? Jak ja sobie to teraz wyobrażam?

Tamtego dnia stał się cud. Opadły mi klapki z oczu. Odarta przez naturę, a później przez skalpel z kobiecości i odarta ze złudzeń wybiegłam z naszego eleganckiego domu. Pojechałam do taty. Na szczęście mieszkanie było puste, ponieważ ojciec rozpoczął właśnie sezon sanatoryjny.

Przeszłam operację i okazało się, że na jednej można poprzestać. W dniu rozpoczęcia chemioterapii otrzymałam pozew rozwodowy. Dopiero wtedy zadzwoniłam do Joanny. Strasznie się wściekła na mnie, że nic wcześniej nie powiedziałam, i oczywiście na Grzegorza, że okazał się takim zimnym draniem.

Dzięki mojej przyjaciółce mogłam się skupić na powrocie do zdrowia, a nie na rozpaczach z powodu złamanego serca. Dźwignęłam się z depresji dzięki Joannie. A potem razem z włosami straciłam resztki złudzeń co do Grzegorza. A gdy włosy zaczęły odrastać, postanowiłam zmienić swoje życie. Przed wszystkim nie chciałam już więcej widzieć swojego męża, ale nie zamierzałam odejść z niczym. Okazało się, że potrafię być wyjątkowo mściwa. Grzegorz musiał mi kupić mieszkanie w Złotoryi i płacić wysokie alimenty, dopóki nie będę mogła wrócić do pracy, którą porzuciłam przecież za jego namową. Przyszłam na rozprawę bez nakrycia głowy. Moja łysina wywołała u niego jedynie obrzydzenie, którego nie potrafił ukryć. Po podziale majątku na jego niekorzyść rzucił do mnie na korytarzu, tuż po wyjściu z sali sądowej:

— Wywarłaś odpowiednie wrażenie na sędzi swoim... Nie wiem, jak to określić... Wyglądem?

— Chciałam zrobić wrażenie na tobie — odpowiedziałam zgodnie ze scenariuszem, który wielokrotnie układałam sobie w głowie. — Sprawdzić, ile zostało w tobie z człowieka, którego kochałam.

— Jesteś żalosna — wycedził. — Myślałaś, że padnę przed tobą na kolana, widząc coś takiego, i będę błagał, żebyś mi wybaczyła i wróciła do mnie?

Ze wszystkich sił starałam się nie rozpłakać. Nie przewidziałam, że poczuję ból w sercu. Miał rację. Czego mogłam się spodziewać ze swoim niekobiecym wyglądem, pozbawiona włosów, piersi, płodności. Bardziej przypominałam marną atrapę zombi z horrorów klasy B.

— Dostałaś, co chciałaś, i więcej ode mnie nie oczekuj! — rzucił, zmierzając w kierunku wyjścia. — Żadnego kontaktu, żadnego błagania, żadnych przeprosin!

Kto mnie zamieszał?

Dlatego właśnie zamierzam wyjaśnić, co się przydarzyło Grzegorzowi — dodałam na zakończenie swojej opowieści. — Bo nie wierzę w samobójstwo z powodu dręczących go wyrzutów sumienia. — Sumienia to on raczej nie miał — westchnęła Renata, pozostając jeszcze pod wrażeniem mojej krótkiej historii.

— Zwariowałaś?! — wykrzyknęła natomiast Joanna.

— Uważasz, że miał? — zdumiała się Renata.

— Nie miał! Mówię do twojej ciotki-idiotki, która zamierza badać okoliczności zejścia swego szacownego byłego małżonka! Na wstąpienie do policji jest już chyba trochę za późno — zakończyła drwiącym tonem.

— Nie zamierzam mieć nic wspólnego z policją! Zresztą oni nie będą tym zainteresowani.

— A ty dlaczego jesteś? — spytała Renata, nie kryjąc zdumienia.

— Bo Grzegorz nie napisałby takiego listu! Poza tym brzydził się zdrobnieniami i formy „Paulinko” użyłby tylko pod groźbą śmierci albo tortur!

— Ale to był jego charakter pisma — przypomniała Joanna. — Przecież sama powiedziałaś.

— Tak, to prawda — przyznałam. Zagapiłam się w okno. Ale wciąż coś mi nie pasowało z tym listem. No i nagle mnie olśniło.

— Kartka! — wykrzyknęłam. — Wyrwana kartka. Coś takiego normalnie wyrzuciliby do śmieci. Grzegorz był cholernym pedantem, aż do obrzydzenia, i nie dotknąłby takiej wyrwanej byle jak kartki. I nie przeprosiłby, bo nie czuł się winny.

— On chyba w ogóle nie miał uczuć — wyraziła kolejną wątpliwość Renata.

— Powiedziałaś to policji? — spytała Joanna. — O swoich spostrzeżeniach?

Pokręciłam przecząco głową.

— Dopiero teraz na to wpadłam. Ale nie będę wszystkim opowiadała tego, co Renacie — oburzyłam się. — Przychodzi dwóch obcych facetów, a ja im o swoim wyciętym cycku będę opowiadać?!

— W policji pracują też kobiety — zauważyła Renata. — Możesz poprosić o rozmowę z kobietą.

— Jakoś mnie to nie przekonuje...

— A kto ci każe całą historię życia opowiadać? — wykrzyknęła zdenerwowana Joanna. — Powiedz o tych zdrobnieniach i kartce.

— Jeszcze poczekam.

— Na co?

— Na sekcję zwłok...

— Jezu! — jęknęła Renata. — O czym my tutaj mówimy?! Sekcja zwłok, nieboszczyk samobójca, rozwody, a ja przecież wychodzę za mąż!

Joanna przewróciła oczami, prezentując nam przez chwilę tylko swoje białka. Ruchem ręki nakazała Renacie siedzieć cicho i zwróciła się do mnie:

— A jeżeli sekcja zwłok Grzegorza wykaże, że popełnił jednak samobójstwo, to nadal będziesz się upierała przy swojej teorii?

— Samobójstwo samobójstwu nierówne — odpowiedziałam tajemniczo.

— Teraz to ja już nic nie rozumiem — westchnęła z rezygnacją Renata.

— Można kogoś popchnąć do samobójstwa... — wyjaśniłam zdawkowo.

— Cudownie! — wykrzyknęła Joanna. — Teraz mamy prywatnego detektywa! Zaproponuj Hermenegildzie układ, to może jeszcze będzie cię opłacać, bo ona pewnie tak jak ty nie wierzy w to samobójstwo. Tylko jej akurat się nie dziwię. Renata, wracamy do domu i do twojego wesela.

— I zostawisz mnie samą? — spytałam z nutą żalu i rozczarowania w głosie. — Przecież jeszcze wczoraj umierałaś z ciekawości, jak umarł Grzegorz...

Joanna opadła z powrotem na fotel. Nalała sobie filiżankę zimnej herbaty i wychyliła pospiesznie jednym haustem, jakby to był wzmacniający koniak.

— No i się dowiedziałam — odpowiedziała po chwili, bardziej opanowana. — Ta informacja całkowicie zaspokoila moją ciekawość. Nie zamierzam drążyć głębiej.

Renata stała oparta o futrynę i przyglądała się wyczekująco matce i mnie. Po chwili wyjęła telefon z torebki i zaczęła pisać SMS.

— Poproszę Olka, żeby po mnie przyjechał — wyjaśniła, patrząc w ekran. — Zajrzymy jeszcze na salę, by dopracować rozstawienie stołów.

— Świetny pomysł! — poparła ją Joanna. — Miałaś jeszcze wybrać wzory zaproszeń. Zostało naprawdę mało czasu...

— Ale ja się nie mogę zdecydować — jęknęła Renata. — Wszystkie są takie... takie nieoryginalne.

— Być może będę mogła ci pomóc — wtrąciłam, przypominając sobie o Justynie. — Poproszę koleżankę z pracy.

— Cudownie! Chociaż, szczerze mówiąc, liczyłam na twoje plastyczne zdolności.

— Niestety, brak mi ostatnio weny — przyznałam ze smutkiem.

— Ale gdybyś miała jakąś zagadkę kryminalną do wyjaśnienia, to ciocia na pewno się podejmie — rzuciła prowokująco Joanna.

— Przestań! Też cię to intryguje! — odgryzłam się, wzmacniając wypowiedź pokazaniem języka.

Renata pożegnała nas pospiesznie i wybiegła z mieszkania. Oluś, co prawda, jeszcze nie zdążył pokonać odległości Legnica — Złotoryja, zwłaszcza że nie sływał z rajdowego usposobienia, ale dziewczyna wolała przejść się trochę po miasteczku zamiast słuchać naszych przekomarzanek. W końcu

przybyła tutaj z misją pocieszenia, a skoro pocieszać nie było kogo, mogła spokojnie wrócić do swoich spraw. Najwyraźniej perspektywa prywatnego śledztwa w sprawie okoliczności śmierci nieznanego wujka Grzegorza nie była dla dwudziestolatki atrakcyjna. Na placu boju pozostałyśmy we dwie.

— Joanna — podjęłam spokojnie — nie wierzę, że ciebie nie męczy to samobójstwo. Może i nie znałaś Grzegorza najlepiej i akurat od najgorszej strony, ale...

— Dobra — powstrzymała mnie ruchem ręki. — Dlaczego chcesz się bawić w śledztwo? Po tym co przeszłaś z Grzegorzem? Potrzebne ci to rozdrapywanie ran, bo na pewno nie da się tego uniknąć. Przecież uporałaś się z depresją, rozwodem, chorobą... Nic nie jesteś mu winna! Po co? Albo dlaczego?

— Ten parszywy list mnie zdenerwował — oznajmiłam pewnym głosem. — To tak, jakby ktoś uderzył mnie w twarz, rzucił na mnie podejrzenie o tę śmierć.

— Przecież cię nie aresztowali, więc policja tak nie myśli. Zresztą to bez sensu. O co cię podejrzewać?!

— Joanna — powiedziałam poważnie — Grzegorz nie popełnił samobójstwa. Wypadek to też nie był, więc ktoś mu pomógł zejść z tego świata i to na pewno wbrew jego woli. Ale ten ktoś jeszcze mnie w to zamieszał i zamierzam wyjaśnić dlaczego.

Przez chwilę milczyłyśmy, patrząc sobie w oczy.

— Dobrze — zgodziła się Joanna, choć wyczułam jeszcze brak przekonania do tej zgody. — Ale jeśli policja będzie prowadziła śledztwo w tej sprawie, to się wycofujemy, okej?

— Okej.

Kreacja scenerii na potrzeby samobójcze

Swoją ciekawość musiałam powstrzymać do wyników sekcji zwłok. Wizytówka z telefonem do podkomisarza Niedzieli zajęła widoczne miejsce na komodzie pod oknem. Dopiero po upływie tygodnia postanowiłam do niego zadzwonić. Choć, szczerze mówiąc, liczyłam, że policja szybciej się do mnie odezwie. Okropnie trudne to czekanie, zwłaszcza że jestem przyzwyczajona do działania i nierzadko już, od razu, pod wpływem impulsu i bez zastanowienia. Cierpliwość trudno mi udowodnić, ale bywały takie okresy, że swą impulsywność trzymałam w ryzach. Nie w smak mi było jednak czekać beczynnie, więc rzucałam się na różne zajęcia dodatkowe.

Nazajutrz, skoro świt ruszyłam na swoją tradycyjną przebieżkę. Niebo nad miasteczkiem zdecydowanie nie zachęcało do wyjścia. Majowe słońce ukryło się za białoszarą kurtyną, jakby ktoś w czystej, białej farbie zanurzył na chwilę pędzel z niebieską farbą, pod wpływem czego biel przestała być czysta, ale też nie stała się błękitem. Szarość? Nie, nie była to szarość, lecz jakieś nie wiadomo co. Może zapowiedź jakiegoś kataklizmu, który spadnie na pogrążone jeszcze we śnie miasteczko?

Trudno. Podjęłam decyzję, że nie zawrócę do domu z powodu nieokreślonego koloru nieba, choć drażnią mnie nieokreślone kolory. Biegałam już w deszczu i śniegu. Z czasem się zahartowałam, więc żadne infekcje nie brały mnie w jasyr. Biegam pod wiatr i z wiatrem. Uwaga! Kurtyna w górę, bo oto wybiega żelazna dama polskiego joggingu — Paulina Bożyk!

Ledwie ruszyłam przed siebie, gdy dopadły mnie myśli o samobójstwie Grzegorza i jego spóźnionej skruse. Cholera, a jeśli naprawdę na tym wyjeździe integracyjnym postanowił targnąć się na swoje życie? Ludzie tam na dole bawią się, tańczą i piją, a on samotny w pokoju sięga po sznur. Skąd on wzięł sznur? Może przywiózł ze sobą. Zawsze lubił być perfekcyjnie przygotowany. Odruchowo spojrzałam na ulicę, by sprawdzić, czy mogę przebiec na drugą stronę. Dobrze. Zanim jednak Grzegorz zawiąże pętlę na szyi, dopadają go potężne wyrzuty sumienia. Oczyma duszy widzi moją twarz i teraz już nie ma wątpliwości, że chce się zabić! Dodałabym do tego półmrok pokoju w kontraście do jasnożółtych ścian. Nad szerokim hotelowym łóżem, pokrytym purpurową narzutą, wisi reprodukcja obrazu... To może być jak fatum. Może dzieło jakiegoś malarza samobójcy... Próbowałam sobie przypomnieć odpowiednie nazwisko. Może Witkacy?! Jakaś ponura gęba, mroczna wizja końca świata... Nie, to już lepiej powiesić tam Hieronima Boscha! Balkon jest otwarty. Lekki wietrzyk znad Gór Izerskich unosi szyfonowe firanki. Z dołu dochodzą przytłumione dźwięki muzyki, śmiechy, nawoływania. Wszyscy się bawią... Grzegorz, już ze sznurem na szyi, pisze pospiesznie pożegnalny list. I jeszcze pod wpływem impulsu!

Nie! Nie! Nie! Czy ja miałam pisać kryminał, czy prowadzić prywatne śledztwo? Ten obrazek zupełnie

nie pasuje do Grzegorza, który niczego nie robił bezinteresownie. Może wkurzało go, że bez niego mogę oddychać, jeść, spać, po prostu żyć? Chciał na mnie skierować podejrzenia. A może chciał sobie tymi przeprosinami wrota świętego Piotra otworzyć. Jeżeli tak, to niedoczekanie jego, bo ja przebaczyć mu nie mam zamiaru!

Z drugiej strony, co ja wiem o życiu Grzegorza po rozwodzie? Może zakochał się nieszczęśliwie? Nawet najbardziej zimnym i zatwardziałym facetom się to zdarza. Może to jakaś kobieta z banku i tam, na tej imprezie integracyjnej, zobaczył ją w ramionach innego? Nie, co ja tutaj wymyślam! Fantazji mi nie brakuje. Chyba zmienię profesję. Choć podobno z pisania można tak samo żyć jak z malowania.

Właśnie skończył się mur miejski, więc wzięłam ostry zakręt w prawo. Pochłonięta rozmnażaniem szczegółów w samobójczej scenerii, omal nie zderzyłam się z nadbiegającym z przeciwka postawnym mężczyzną z kapturem na głowie. Zatrzymałam się wystraszona, bo pojawił się zniecka. Minął mnie, bagatelizując zagrożenie zderzeniem. Lekko skinął głową. Twarz, a raczej fragment wystający spod kaptura, wydała mi się znajoma. Przez chwilę stałam oszołomiona. Skąd ja go znam? — zastanawiałam się, przyglądając się oddalającej się sylwetce. Wzruszyłam ramionami i ruszyłam w swoją stronę. Musieliśmy się nie raz mijać na trasie. Rozmyślania na temat Grzegorza doprowadzą mnie do obłądu albo tragicznego wypadku. Trzeba znaleźć jakiś temat zastępczy, dopóki nie dowiem się, jaki jest wynik sekcji.

W krzyżackim potrzasku z disco polo

Moja kochana rodzina jak zwykle ułatwiła mi porzucenie natrętnych myśli. Ledwie wróciłam z pracy i nawet nie zdążyłam rozpakować przyniesionych zakupów, gdy jednym telefonem zostałam wciągnięta w sprawy rodzinne. Oczywiście związane ze ślubem i przyjęciem Renaty i Olusia, ale tym razem problem miał nasz tata.

Wybrałam się do Legnicy od razu, gdy tylko zakończyłam z nim rozmowę przez telefon. Cóż, skoro tata powiedział, żebym nie przejmowała się obiadem, tylko prędko przyjeżdżała, to nie wahałam się ani chwili. Po pierwsze, tata świetnie gotuje. Po drugie, nie lubi rozmawiać przez telefon, tylko twarzą w twarz, więc aby się dowiedzieć, o co właściwie chodzi i co kryje się pod lakoniczną informacją: „Mam bardzo poważny kłopot”, muszę osobiście stawić się w domu rodzinnym.

Kłopot, jak się okazało na przystanku, miałam również ja. Przez najbliższe trzydzieści minut nie jechałam w stronę Legnicy żaden bus. Usiadłam na ławce, rozważając powrót do domu albo czekanie z książką w ręku. Mając w perspektywie prowadzenie śledztwa, zaopatrzyłam się już w fachową literaturę. *Medycyna sądowa* okropnie ciążyła mi w torebce, przyczyniając się do lekkiego skrzywienia postawy. Teraz w oczekiwaniu na busa mogłabym łyknąć nieco wiedzy specjalistycznej. Wystarczyło jednak raz zerknąć na ilustracje i poczułam, jak robi mi się słabo. Oglądać coś takiego, gdy wokół piękna wiosna, i na dodatek przed obiadem, to zbrodnia na sobie samym. Czyli samobójstwo! Boże, jakie to szczęście, że Grzegorzowi nie przyszło do głowy wieszać się na przykład przed moim blokiem. Nie, medycyna sądowa to stanowczo za dużo jak dla mnie, stwierdziłam, zamykając z hukiem książkę. Przecież nie mam zamiaru przeprowadzać oględzin miejsca zbrodni, oglądać zwłok, a potem poddawać ich sekcji. Brr! Ostatecznie *Medycyna sądowa* z racji objętości i wagi może się nadać do celów obronnych, gdy będę wracała wieczorem do domu. Aby jednak nie być zupełną amatorką, wypożyczę na początek jakiś kryminał. Podobno skandynawskie są świetnie napisane.

Akurat bez żalu chowałam opasłą księgę na temat medycyny sądowej do torebki, gdy w zatoczce autobusowej zatrzymał się gwałtownie czerwony samochód. Pisk opon i głośna muzyka wydobywająca się z wnętrza zirytowały mnie, więc przyjrzałam się dokładnie kierowcy. Byłam gotowa go zwymyślać, gdyby przedłużał swój postój na przystanku. Po chwili wysiadł i machając w moim kierunku obiema rękami, wykrzyknął radośnie:

— Paulinko, serce ty moje!

Szła ku mnie, a raczej bujała się na boki, zwalista postać z łysiną na głowie, zrekompensowaną bujnym zarostem w stylu dziadowskim na podbródku i policzkach, ze złamanym nosem i o oczach przekrwionych

do tego stopnia, że zatraciły naturalny kolor. Przynajmniej użębienie było kompletne i teraz bez kompleksów prezentowane w szerokim uśmiechu na mój widok.

Błyskawicznie zidentyfikowałam wielkiego krasnoluda jako Filipa Grzybińskiego, mojego byłego faceta sprzed Grzegorza. Miałam ochotę zniknąć, zapaść się pod ziemię albo stać się nagle niewidzialną. Tymczasem Filip raźnie zmierzał w moim kierunku, co zapowiadało gorący uścisk na tak zwanego niedźwiadka wraz z głośnymi, soczystymi całusami w usta. Cofałam się, instynktownie zasłaniając rękoma i modląc, by ziemia rozstała się między nami. Jak zwykle cuda zdarzają się wtedy, gdy o nie nie prosimy.

— Uważaj, mam grypę! — wykrzyknęłam, w ostatniej chwili powstrzymując atak.

— W maju? — zdumiał się, zatrzymując o krok ode mnie.

— To taka tropikalna odmiana... Z wewnętrznymi komplikacjami... — pospiesznie szukałam najbardziej odrażającego opisu. — Zaraźliwa przy bliskim kontakcie. Jadę właśnie do Legnicy na zakaźny...

— Serce ty moje! Miałaś zamiar zarazić wszystkich w busie? — spytał całkiem przytomnie Filip, głaskając się po długiej brodzie.

— Przecież nikogo bym nie dotykała ani nie całowała.

— Jadę właśnie do Legnicy, ale sorki, nie będę ryzykować. — Uniósł bezradnie ręce i ruszył bujającym się krokiem w stronę samochodu.

— No co ty! Przecież ciebie bym nie zaraziła! — wykrzyknęłam, żałując, że głupią wymówką strzeliłam sobie w kolano.

Filip zawisł na otwartych drzwiach swojego auta, przez co muzyka w stylu disco polo stała się głośniejsza. Przyglądał mi się przez chwilę, po czym uśmiechnął się szeroko.

— Serce ty moje! Kłamać to ty za grosz nie potrafiłaś i nie potrafisz — rzucił bez cienia urazy. — Wsiadaj, zadżumiona niewiasto!

Wskoczyłam z radością, ale nie desperacką, by rzucić się mu na szyję.

Z Filipem poznała mnie Justyna, a konkretniej Janek. Podobno to jakaś daleka rodzina, ale utrzymywali ze sobą serdeczny kontakt. Filip mieszkał w Nowej Wsi Grodziskiej, gdzie na sporym gospodarstwie rolnym po rodzicach urządził swój artystyczny świat. Zajmował się przede wszystkim rzeźbą, ale i kowalstwem. Nie stronił od zawodów dawno zapomnianych, które z powodzeniem wskrzeszał na użytek turystów odwiedzających zamek Grodziec, górujący nad wsią. W ramach swatania mnie na siłę Justyna stwierdziła, że jesteśmy sobie przeznaczeni, i nie wtajemniczając mnie w swój plan, zawiozła z Jankiem do Nowej Wsi Grodziskiej. Filip naprawdę mnie urzekł. Z pasją oprowadzał po swoich wypełnionych rzeźbami włościach, uczył dąć w miech, kuć miecz, wybijać średniowieczne monety. Później spędziłam tam wiele dni i nocy pełna zachwyty i całkowitego uwielbienia. I co najważniejsze — z wzajemnością.

Niestety, nasz krótki związek się rozpadł. Filip mimo swej wielkiej otwartości na ludzi, serdeczności, pasji i wielu innych zalet wpadał w ciągi alkoholowe, z których nie wychodził przez tydzień. Przez ten

czas nie było z nim kontaktu. Nie mył się, nie przebierał, nie jadł, tylko pił. Rozstaliśmy się i było mi przykro, że bez żalu z jego strony. Nawet nie padła mglista obietnica wyjścia z nałogu dla mnie. Nie to nie i cześć!

Spotykałam go potem nieraz w Złotoryi, ale już nie mogłam przełamać wstrętu przed jego uściskami. Wciąż miałam w pamięci ten niesamowity fetor, jaki wydzielał podczas swoich pijackich maratonów. Teraz obawiałam się, że samochód będzie w środku strasznie zaniedbany i znów zaczną się wykręcać przed wspólną podróżą, ale poza muzyką disco polo wewnątrz było do zniesienia. Filip z trudem mieścił się w fotelu kierowcy. Zauważyłam, że bardzo przytył, ale nie miałam zamiaru o to zagadywać i stracić szansę na darmową podwózkę.

— To dokąd jedziesz? — spytał Filip, gdy wyjeżdżaliśmy z zatoczki.

— Do taty.

— Jak on się miewa?

— Znakomicie.

— Wciąż taki kochliwy?

— Tak. Nadal się nie ustabilizował.

— I bardzo dobrze! Pozdrów go ode mnie koniecznie!

— Ucieszy się. Wciąż ma tego bożka płodności, którego sprezentowałaś mu na imieniny.

— To miłe...

Właśnie wyjeżdżaliśmy ze Złotoryi. Zapadła długotrwała cisza. Filip zdawał się skupiać na drodze, a ja szukałam w głowie jakiegoś tematu, bo zrobiło się jakoś tak niezręcznie. W radiu wokalista cienkim głosem wyśpiewywał o tęsknocie za swoją ukochaną. Piszczął tak żałośnie, że sama skłoniłabym ją do powrotu, byleby już tak strasznie nie cierpiał.

— A ty, jeśli to nie tajemnica, po co jedziesz do Legnicy? — spytałam, w końcu przerywając milczenie.

— Mam poważne zlecenie na zbroję Krzyżaka — odpowiedział z lekkim uśmiechem, gładząc się jedną dłonią po brodzie. — Pełna bojowa wersja stroju. Razem z mieczem i tarczą.

— Krzyżaka? — zdziwiłam się. — Nie krzyżowca?

Filip się roześmiał.

— Serce ty moje! Sam się zdziwiłem. A jednak Krzyżaka. Takiego z Zakonu Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego, który sprowadził Konrad Mazowiecki. Dzisiaj jestem umówiony na małą przymiarękę i odbieram drugą zaliczkę. Facet koniecznie chce zdążyć na rekonstrukcję bitwy pod Grunwaldem.

Skinęłam głową ze zrozumieniem. Sporo słyszałam o przedsięwzięciach rekonstrukcyjnych. Ludzie zraszają się w grupy, pieczołowicie odtwarzają realia, stroje i jeżdżą po Polsce, a nawet Europie, biorąc udział w słynnych bitwach. Według mnie to dość kosztowne hobby, zwłaszcza gdy sięga się w głąb historii, więc nie omieszkałam z ciekawości zapytać Filipa o cenę takiego stroju. Nie chciał

odpowiedzieć.

— Serce ty moje! Tajemnica handlowa. Mogę jedynie powiedzieć, że bardzo dużo. Wszystko jest oryginalne, z bielizną włącznie, zamszowe spodnie, buty, rękawice, kolczuga, bawełniany czepek pod hełm i oczywiście pawie pióra — z entuzjazmem wyliczał Filip, najwyraźniej dumny ze swojej pracy. Nastąpiła też litania nazw elementów uzbrojenia, których nie potrafiłabym powtórzyć, jak jakieś bigwanty czy co innego, więc żałowałam, że w ogóle zapytałam.

Do samej Legnicy słuchałam o powstawaniu stroju Krzyżaka i nieustannej kontroli klienta nad dokładnością wykonania. Głowa mi puchła od nadmiaru szczegółów, a wszystko to w rytmie disco polo. Poczulałam pobitewne zmęczenie i niechęć do właściciela stroju, którego nie znałam. Pewnie to jakiś bogaty miłośnik Ulricha von Jungingena albo jego bardzo daleki pociotek zdrowo pokrecony.

Filip wysadził mnie pod blokiem, gdzie mieszkał tata. Grzecznościowo zaprosiłam go w imieniu ojca, który uwielbiał Filipa, na obiad, ale szczęśliwie odmówił.

— Będę wracał po dwudziestej do siebie — rzucił przez uchyloną szybę, drapiąc się po krzywym nosie. — Mogę cię zabrać do Złotoryi.

Ostatecznie umówiliśmy się na telefon i muzyka disco polo oraz kompletny bojowy strój krzyżackiego rycerza w bagażniku zniknęli za rogiem bloku taty.

Dylematy emeryta

Mam naprawdę poważny kłopot — oznajmił już w progu mój tato. — Nie wiem, czy pójde na wesele.

Zamarłam zaskoczona. Na długotrwałe zamarcie nie miałam jednak najmniejszych szans, zostałam bowiem wciśnięta w domowe bambosze z pomponami i delikatnie poprowadzona do stołu w kuchni albo raczej do części jadalnej mieszkania. Po naszej wyprowadzce tata wprowadził kilka zmian architektonicznych, które zwiększyły przestrzeń peerelowskiego M4. Jeden pokój przeznaczył na swoją sypialnię, a pozostałe połączył z kuchnią i przedpokojem, zyskując obszerny salon z aneksem kuchennym. Oczywiście nadal zamkniętymi pomieszczeniami pozostały toaleta i łazienka. W ten sposób pozbawił mnie i Przemka własnych pokoi, gdzie jak w skansenie moglibyśmy zachować nasze plakaty, kolekcje puszek, pudełek, komiksów, by wspominać peerelowskie dzieciństwo.

— Zrobiłem kroiety z podgrzybkami i barszcz czerwony na naturalnym zakwasie — oznajmił tata, odwracając się w stronę kuchenki, na której odgrzewał obiad. — Nie wiedziałem, o której przyjedziesz, więc trzymałem dla ciebie jeszcze nieusmażone.

Musiałam powstrzymywać prawdziwe morze śliny, aby nie zaczęła się wylewać z moich ust. Zachłannie wpatrywałam się w wyprostowane plecy ojca, oczekując niecierpliwie, kiedy się odwróci z talerzem pełnym pyszności, a ja będę mogła tylko jeść, jeść i jeść. Zapachy wypełniające wnętrze zapowiadały smakowitą ucztę.

Mój tata to prawdziwy skarb, ale nie tylko ze względu na umiejętności kulinarne. W ogóle potrafił się znakomicie przystosować do zmian i urządzić po swojemu. Załamywanie rąk z bezradności, ucieczka przed odpowiedzialnością, zaniedbanie obowiązków były u ojca nie do pomyslenia.

Mama zginęła w wypadku samochodowym, gdy miałam dziesięć lat, Przemek czternaście, a tata czterdzieści trzy. To był koniec świata. Wszyscy tak odbieraliśmy stratę mamy. Jednak dzięki naszemu tacie nadal mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo. Zamiast rzucać się w bezdenną rozpacz, topić smutki w alkoholu albo, co gorsza, żyć w rozpuście, skupił się na naszym wychowaniu. Dużo pracował, codziennie skoro świt dojeżdżał do kopalni w Lubinie, ale zawsze byliśmy dopilnowani, nakarmieni, umyjni i mieliśmy odrobione lekcje. Nauczył się znakomicie gotować i żadnego z nas nie dopuszczał do garnków. Od nas oczekiwał wywiązywania się z obowiązków domowych, które nam przydzielił. Wszystkiego przecież jako samotny ojciec zrobić nie mógł.

Może i były w jego życiu jakieś kobiety, nigdy jednak żadnej nie przyprowadził do domu. Na honorowym miejscu w stołowym pokoju wisiał portret uśmiechniętej mamy, na którą często spoglądał ze

smutkiem. Całkiem możliwe, że nie chciał narażać żadnej kobiety na kontakt ze swoimi dziećmi w wieku dojrzewania. Sądząc po naszych wyczynach i zachowaniu, doprowadzilibyśmy do szaleństwa najbardziej spokojną niewiastę. Tata natomiast znosił nasze buzujące hormony ze spokojem godnym mnicha w zamkniętym klasztorze z regułą milczenia.

Dopiero gdy opuściliśmy rodzinne gniazdo, ojciec całkowicie się zmienił. Przeżywał teraz drugą młodość, wywołując u mnie i Przemka rumieńce zażenowania. Oczywiście do tej pory pozostał wdowcem, ale liczba kobiet przewijających się w jego życiu przyprawiała o zawrót głowy. W miarę upływu lat postarzał się niewiele. Wręcz przeciwnie — tryskał zdrowiem, zawsze po wojskowemu wyprostowany, ogolony, elegancki, rześki, energiczny starszy pan spędzający większą część życia w sanatorium i klubie seniora. Adorował wiele pań, ale sam był całkowicie nie do usidlenia.

W głowie się nie mieści! A był kiedyś takim nudziarzem. Pamiętam, jak mnie i Joannie tłumaczył algebrę. Obie zasnęłyśmy przy biurku.

Krokiety pojawiły się wreszcie przed moim nosem, parujący, aromatyczny barszcz stał tuż obok. Tata usiadł naprzeciwko i z uśmiechem patrzył, jak rzucam się łapczywie na jedzenie. No i w tym właśnie momencie zadzwonił beczelnie mój telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Filip? Wyciszyłam dźwięk i powróciłam do jedzenia niebiańskich krokietów. Oddzwonię, gdy skończę obiad, postanowiłam. Jednak Filip nie dał się tak łatwo zbyć i ponownie usiłował się ze mną skontaktować. Przełknęłam i niemal z wściekłością odebrałam.

— Filip! Nie mogę teraz rozmawiać!

— Serce ty moje! Dzwonię, by ci powiedzieć, że wracam już do siebie! — Odruchowo też podniósł głos, jakbym ogłuchła od naszego ostatniego spotkania. — Klient już na żadną bitwę nie pojedzie, bo wybrał kostuchę. Szlag by to, bo poniosłem straty!

Gapiąc się tęsknie w napoczętego krokietą, niecierpliwie słuchałam narzekań Filipa.

— Policja odebrała telefon, bo on kopnął w kalendarz! Popatrz, serce ty moje! A jeszcze w sobotę z nim rozmawiałem. Gdzie ja teraz znajdę nabywcę na taki drogi strój? Może sam pojedę na ten Grunwald?

Filip, najwyraźniej wstrząśnięty nieodebrany zleceniem, koniecznie chciał się wygadać, ale ja naprawdę przedkładałam konsumpcję nad koleżeńskie pocieszenie, więc postanowiłam zakończyć rozmowę.

— Filip, muszę kończyć! Pa! — rzuciłam szybko i rozłączyłam się.

— Filip? — podjął mój tata z zaciekawieniem. — Znów jesteście razem?

Pokręciłam przecząco głową, ponieważ usta miałam wypełnione niebiańskim daniem. Popiłam czystą ambrozją z buraków na naturalnym zakwasie. Tego smaku nie da się opisać!

— Chyba się do ciebie znów wprowadzę — zażartowałam po chwili, wkładając pusty talerz do zlewu.

— Sama naucz się dobrze gotować. Mnie się udało — odparł tata, wyciągając z lodówki kawałek sernika, który z pewnością także sam upiekł. Choć czułam się pełna, widok ciasta ponownie pobudził mój

apetyt.

— Tatku, do tego nie wystarczy technika, trzeba jeszcze mieć talent — wyjaśniłam, uśmiechając się do sernika przed moim nosem. — Ja mogę jedynie pięknie namalować jedzenie, ale przygotować? Tylko takie, aby nie umrzeć z głodu.

— Cała mama — westchnął, obserwując, jak pałaszuję ciasto. — Kompletnie beztalencie kulinarne. No, ale jaka była zawzięta na to gotowanie. Jeść się nie dało, ale jak ona pięknie potrafiła opisywać każdą czynność... Siedziałaś w kuchni, zasłuchana w opowieści o każdym produkcie. Warzywa, owoce, a nawet kurczaki nie tylko miały swoje imiona, ale też swoje wesołe i dramatyczne historie.

No i ja, kobieta trochę więcej niż po czterdziestce, naprawdę wzruszyłam się do łez pod wpływem tych wspomnień.

Po obiedzie rozsiedliśmy się w wygodnych fotelach w salonie, a tata przeszedł do rzeczy.

— Mam kłopot — zaczął lekko zmieszany. — Na wszelki wypadek jeszcze nikomu nie mówiłem o weselu Reni, bo nie mogę się zdecydować, z kim pójdę. Myślę, że może z Teresą zjawię się na ślubie, a z Danusią przyjdę na wesele. Sam nie wiem. Nie chciałbym żadnej urazić. Jest jeszcze jedna możliwość. Mianowicie nie pójdę wcale. Co ty na to?

Z trudem powstrzymałam się, aby nie złapać się za głowę i nie rwać włosów.

— Tatku! Do jedynej wnuczki na ślub nie przyjdiesz?

— No tak — przyznał ze smutkiem. — Renia by mi tego nie wybaczyła. Nie wspominając o Joannie. Wpadłaby tutaj i siłą wywlokła mnie z domu. Nawet gdybym się zabarykadował.

— Pewnie i ja bym jej pomogła!

— I ty, Brutusie, przeciwko mnie? — zażartował tato. — To jak mam wybrnąć z tej całej sytuacji?

Zapatrzyłam się na portret mamy wiszący nad imitacją kominka w angielskim stylu. Zdawała się uśmiechać szelmowsko, zerkając na swego męża.

— A czy Danusia i Teresa się znają? — spytałam.

— Oczywiście. To moje przyjaciółki z klubu brydżowego. Spotykamy się w każdy czwartek na partyjce. Obie są przemiłe, takie energiczne, pełne pomysłów i świeżo na emeryturze. Popatrz, takie młode i już wdowy. No, Teresa nie — przypomniał sobie nagle. — Ona akurat jest rozwiedziona. Nawet znam jej męża, bo pracował ze mną na kopalni, ale strasznie się rozpił i zdziadział...

— Tatku! — przerwałam, obawiając się, że zjemy z tematu. — To zaprosz i Teresę, i Danusię, jeżeli oczywiście one nie będą o siebie zazdrosne — dodałam, mrugając porozumiewawczo do mamy.

Tato zastygł w fotelu z otwartą buzią, najwidoczniej uderzony moim pomysłem. Po chwili zamrugał intensywnie powiekami i zamknął usta.

— Myślisz, że... że Renia i Olek nie będą mieli nic przeciwko? — wydukał, wciąż pozostając pod wrażeniem moich słów. W niebieskich oczach zobaczyłam wyraźny błysk zadowolenia.

— Tatku, to są młodzi ludzie, zupełnie inne pokolenie. Znacznie bardziej otwarte niż...

— Tak — przerwał mi na powrót zasmucony. — Joanna i Przemek się na to nie zgodzą.

Machnęłam ręką, bagatelizując jego wątpliwości.

— Biorę to na siebie — odparłam.

Wzmocniona znakomitym obiadem oraz przepyszny deserem, czułam anielskie skrzydła u swych ramion. Byłam wypełniona światłem, które zamierzałam nieść ciemnocie mojego pokolenia.

Bliskie spotkanie z męskim torse

Następnego dnia, skoro świt postanowiłam nie wspominać na razie o moim pomysle ani Renacie, ani Joannie, ani Przemkowi. Znając tatę, do października wszystko może się zmienić. Miejsce Danusi i Teresy zajmie jakaś inna przyjaciółka i niepotrzebnie się tylko rodzina zdenerwuje.

Zadowolona z podjętej decyzji wyszłam z domu pobiegać. Jak zwykle, zanim ruszyłam przed siebie, przyjrzałam się niebu. Czysty, jednolity błękit bez cienia chmury. Wciągnęłam w płuca wypełnione światłem powietrze, czując przyływ pozytywnej energii. Po drodze chłonełam wszystkie zapachy i dźwięki miasteczka budzącego się z głębokiego snu.

Mój telefon milczał już od tygodnia. Nie był to najnowocześniejszy model, więc początkowo się martwiłam, że się zepsuł. Rodzina jednak uporczywie do mnie wydzwaniała, więc nie było wątpliwości co do sprawności mojego archaicznego aparatu. Najwyraźniej tylko policja nie miała mi nic do przekazania. Pod moim domem nie stał radiowóz, grupa antyterrorystów nie forsowała moich drzwi. Zatem nie byłam już podejrzana, co przyjąłam spokojnie, prowadząc swe nudne życie uczciwej i praworządnej obywatelki.

W ogóle życie samotnej kobiety trochę więcej niż po czterdziestce, dwukrotnej rozwódki z nadbagażem miłosnych zawodów, bez perspektywy na stały związek, bez piersi i górnej szóstki, ale za to z mocnym postanowieniem „żadnych facetów” raczej nie należy do najciekawszych. Na myśl o moim dość smutnym żywocie lekko przyspieszyłam. Tyle zmarnowanego czasu na randki! Choćby spotkanie we Wrocławiu z panem Brokułem. Facet miał czuprynę niczym afro z lat siedemdziesiątych minionego wieku, co automatycznie nasunęło mi to skojarzenie. Już na pierwszej randce chciał mnie zaciągnąć do łóżka, obiecując niepowtarzalne doznania. Ślinił się obrzydliwie przy powitaniu, pijąc kawę, podając płaszcz, po prostu przy każdej okazji. Poza brokułową fryzurą miał wielkie wyłupiaste oczy, które zdawały się przenikać przez czaszkę i oglądać przebiegające myśli. Obsesja na punkcie seksu na pierwszej randce była dla mnie nie do zniesienia, biorąc pod uwagę nieatrakcyjność tego faceta.

Moje zasadnicze podejście do seksu na pierwszej randce podtrzymuje dodatkowo brak jednej piersi. Co prawda proteza jest całkiem udana, ale nie pozbyłam się lęku przed wstrętem ze strony mężczyzny.

Wyboista droga przeszła w drobną brukowaną kostkę zeszlifowaną gładko dla wygody przechodniów. Lubiłam przebiegać przez rynek. Miałam tutaj do wyboru trzy różne trasy. Wystarczyło skrócić w którąś z wąskich, starych uliczek.

Albo Niedźwiadek. Młody, misiowaty chłopak z lekką otyłością. Przesympatyczny i przystojny w południowym stylu, o wypielęgnowanych dłoniach. Z wyglądu całkiem do rzeczy. Niestety, aby spędzić

z nim szczęśliwe życie, musiałabym ogłuchnąć albo przytępić sobie słuch. Z jego karminowych, cudownie wyciętych ust wydobywało się piekło nieustannego narzekania — bez przerwy i na wszystko. Przy byle okazji, albo i bez okazji, wyrzucał z siebie niekończące się pretensje i utyskiwania. Początkowo było to nawet zabawne, ale później zorientowałam się, że zaraża mnie wyłapywaniem samych negatywów. Ciężar nieidealnego świata, pełnego nieidealnych ludzi i fatalnych zdarzeń przygniatał mnie, zmieniając w lekko przygarbioną staruszkę.

Przepełniona złością na mojego pecha do facetów z portali randkowych zaczęłam drugie okrążenie. Musiałam wypocić i wymęczyć frustrujące wspomnienia. W pędzie omijałam nielicznych przechodniów, którzy spacerowali po deptaku. Kilka razy lekko kogoś potrąciłam. Nie zatrzymując się, rzucałam za siebie „przepraszam”. Przed sobą miałam niewielkie wzniesienie kończące się Basztą Kowalską.

Pochłonięta własnymi myślami i składaniem sobie obietnicy nieanalizowania nieudanych związków, by nie popaść w przygnębienie, od którego prosta droga do depresji, okrążałam basztę od strony schodów. Nie zwalniając biegu, nie wyrobiłam zakrętu i potknęłam się. Nie upadłam, za to z impetem zderzyłam się z czymś niebywale twardym. Usłyszałam cichy jęk i klapnęłam na tyłek, boleśnie uderzając o bruk. Dotykałam pospiesznie swojej głowy, czując narastający ból, szczęśliwie jednak stanowiła całość. Rozejrzałam się niepewnie. Nie minęła nawet minuta, a wokół zdążył się zgromadzić całkiem spory tłumek ciekawskich i skorych do pomocy poszkodowanym. Niestety, druga ofiara leżała na bruku szczelnie zasłonięta przez ludzi. Pomiędzy ich nogami dojrzałam szarą bluzę z naciągniętym na twarz kapturem. Odniosłam wrażenie, że znam tego człowieka. Nie zdążyłam się przyjrzeć dokładnie, bo tłum zgęstniał, całkowicie zasłaniając mi widok.

Ktoś życzliwy pomógł mi się podnieść, ale nie mogłam ustać na nogach i znów klapnęłam na tyłek. Dopiero teraz poczułam, że podczas upadku uderzyłam się boleśnie w kość ogonową. Głowa też zaczęła coraz mocniej boleć. W co ja uderzyłam?! — zastanawiałam się w myślach. — W człowieka, ale w którą część? Tamten jeszcze się nie podniósł. Boże, żeby tylko żył!

Z wielkim trudem, sycząc i mrużąc oczy z bólu, zaczęłam się przepychać na czworakach przez tłum w kierunku mojej ofiary. A właściwie ofiary moich ponurych myśli, które towarzyszyły mi dzisiaj podczas biegania. Niepewna skutków zderzenia i z duszą na ramieniu ostrożnie zbliżałam się do szarej bluzy z kapturem, która już siedziała pochylona do przodu.

— Może wezwać karetkę? — rzucił ktoś nad siedzącym mężczyzną.

— Co tam pytać! — parsknął jakiś młodzieniec o blond czuprynie i takowych wąsach pod nosem. — Już dzwonię! Facet ledwie dycha!

— Widziałam, jak taran w niego uderzyła! — wtrąciła starsza pani z dwiema pełnymi zakupów reklamówkami z pobliskiego dyskontu. — Ale chłop silny! Mnie by zabiła, wariatka jedna!

Poczułam ciężar oskarżających spojrzeń, gdy wreszcie uklękłam obok mężczyzny w szarej bluzie. Ktoś za mną wykrzyknął:

— Przyszła go dobić!

— Dobrze się pani czuje? — usłyszałam kobiecy, troskliwy głos, wyraźnie w opozycji do reszty.

Skinęłam głową i zaraz syknęłam z bólu. Tymczasem facet opuścił kaptur i ukazał nam swą skrzywioną z bólu, poszarzałą twarz. Od razu go rozpoznałam! Te siwe, krótko obcięte włosy i policzki naznaczone bliznami wokół ust. Dlatego wydawał mi się znajomy, bo spotykaliśmy się często na trasie biegania! Niepomna bólu i jak zwykle nieadekwatnie do sytuacji wykrzyknęłam:

— I co z tą sekcją zwłok?!

Podkomisarz Niedziela, mocno sponiewierany, podniósł na mnie zdumiony wzrok.

— Pani! Po co zaraz sekcja zwłok?! — oburzył się ktoś za moimi plecami. — Człowiek żyje!

Uśmiech czy irytacja — oto jest pytanie

Podkomisarz Niedziela nie zdradzał najmniejszej ochoty do rozmowy. Najpierw przez jego twarz przemknął wyraz bezbrzeżnego zaskoczenia, a potem zwierzęcej wściekłości, więc trzymałam się w bezpiecznej odległości. W międzyczasie przyjechała karetka pogotowia i dwóch sanitariuszy rozpoczęło wstępne badanie.

— Potężny z pana gość, a taka kobitka pana powaliła — zażartował jeden z sanitariuszy, poklepując Niedzielę po ramieniu, czego ten nie przyjął z zadowoleniem. Groźne spojrzenie podkomisarza zgasiło uśmiech żartownisia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności skupili się jedynie na Niedzieli, ignorując drugą ofiarę, albo raczej sprawcę, ale także poszkodowanego. Ostatecznie tłum nie pozostał obojętny wobec mego losu i chwilę później znalazłam się w karetce razem z podkomisarzem. Jak się okazało, szczęśliwie lub nie, z racji niższego wzrostu uderzyłam go w klatkę piersiową. Uderzenie było na tyle silne, że mogłam mu złamać żebra, więc konieczne było prześwietlenie. Co do mnie, to odzyskałam władzę w nogach, choć wciąż bolała mnie głowa i kość ogonowa, ale perspektywa dowiedzenia się wreszcie, czy moja teza się potwierdzi, wyraźnie łagodziła ból.

— Już się martwiłam, że pan mi nic nie powie. Miałam dzwonić do pana w tym tygodniu, bo umierałam z niecierpliwości... — zaczęłam, pochylając się nad leżącym na noszach podkomisarzem. Tylne drzwi karetki zostały głośno zamknięte.

— Dlatego napadła pani na mnie? — spytał cicho zbolalym głosem, ale ze złością.

Machnęłam ręką.

— Zaraz tam napadła — parsknęłam. — Przepraszam, ale zamyśliłam się. To co z tą sekcją zwłok? — spytałam ponownie. — Potwierdziła samobójstwo?

— A skąd mam niby wiedzieć? — wyszeptał z oburzeniem. — Nie prowadzę tego śledztwa.

— Koledzy panu nie powiedzieli? — drążyłam.

— Nie...

— Ale może się pan dowiedzieć?

— Mogę, ale po co?

— Bo pana proszę?

— I po tym wszystkim z wdzięczności rzucę się... zaspokajać pani ciekawość?

— A czy to jakaś tajemnica? — oburzyłam się.

— Co za uparta z pani kobieta! — wtrącił sanitariusz, odsuwając mnie delikatnie od podkomisarza,

jakbym mu chciała wstrzyknąć pavulon lub inne świństwo.

— Bo ile może trwać sekcja zwłok — rzuciłam zaczepnie i z pretensją w jego stronę. — Szlag może człowieka trafić! Życ nie można spokojnie, tylko czekam na informację i myślę.

Sanitariusz z Niedzielą wymienili spojrzenia, które wyraźnie zdradzały rozbawienie. Właśnie wjechaliśmy na podjazd dla karetok złotoryjskiego szpitala, gdy zadzwonił mój telefon komórkowy. Boczne drzwi zostały otwarte i dwóch innych sanitariuszy pomogło nam wysiąść z samochodu. Odebrałam połączenie, nie zerkając, kto dzwoni.

— Ciociu, jak myślisz, czy śródziemnomorskie menu w październiku będzie na miejscu? — Renata od razu przystąpiła do rzeczy, jak zwykle nie licząc się z czasem innych. — Te kalmary i krewetki jakoś mi nie pasują. Chyba wolę polskie dania...

— Mnie jest wszystko jedno — odparłam, idąc obok Niedzieli. — Byleby było smaczne. Krewetki, ośmiorniczki, kraby — zjem wszystko, jeżeli będzie dobrze przyrządzone.

— Właśnie! Wszystkim jest wszystko jedno! A przecież coś muszę wybrać! — wykrzyknęła bliska rozpaczy. — Jestem taka beznadziejnie niezdecydowana!

— To najwyraźniej dziedziczne — stwierdziłam, starając się mówić spokojnym tonem. Co ten ślub zrobił z Renaty? — martwiłam się w duchu.

Sanitariusze wskazali nam krzesła w poczekalni, ale tylko Niedziela usiadł, ja, pomimo bólu głowy, spacerowałam ze słuchawką przy uchu, udzielając porad kulinarnych i po raz setny albo i tysięczny przekonując bratanicę, że nie powinna się tak przejmować drobiazgami. Wreszcie rozłączyłam się, obiecując, że przestudiuję proponowane menu, które Renata wyśle mi na maila.

— Coś mi się widzi — wróciłam do tematu, siadając obok Niedzieli — że pan wie, tylko nie może powiedzieć. Albo nie chce powiedzieć, bo nie wierzę, aby to była jakaś tajemnica.

Siedzieliśmy w poczekalni przed gabinetem lekarza jako jedyni oczekujący. Sanitariusze się pożegnali, więc byliśmy skazani tylko na swoje towarzystwo. Korytarz pomalowany dwoma odcieniami zieleni, uzupełniony zieloną wykładziną, sprawiał wrażenie jakiegoś przedsionka nadziei. Zapewne chcąc oswoić chłodne, surowe wnętrza, ktoś postawił na parapetach kilka kwiatów w plastikowych, białych doniczkach. Przeważnie były to kaktusy, preżące się zdrowo w górę, ale zdarzały się też kolorowo kwitnące fiołki alpejskie. Bardzo denerwował mnie widok tych kwiatów. Był taki dziwnie przykry...

Od intensywnego zapachu charakterystycznego dla szpitali zakręciło mi się w głowie. Niedziela milczał, oparł głowę o ścianę i wyprostował nogi. Co jakiś czas zerkiałam w jego stronę, by czerpać radość z tej tajemniczo uśmiechającej się twarzy z dwoma bliznami wokół ust.

— Sekcja zwłok wykluczyła udział osób trzecich — odparł po chwili namysłu. — Sprawa zostanie umorzona.

— Jak to?! — wykrzyknęłam głośno, a echo pustego korytarza spotęgowało moje słowa.

— To samobójstwo, więc sprawa zostanie umorzona — powtórzył z zamkniętymi oczami. — Tyle wiem.

— A Hermenegilda? Pozwoliła na to?

— Kto taki? — zdumiał się, odchylając głowę w moją stronę.

— Matka Grzegorza — wyjaśniłam. — Tak ją nazywałyśmy z moją bratową...

— Nie mam pojęcia, co na to jakaś tam Hermenegilda, Brunhilda czy nawet Hildegarda — wycedził złowieszczo. — Że też akurat musiała pani wpaść na mnie, by zamęczać pytaniami w poczekalni u lekarza.

Położył dłoń na klatce piersiowej, głośno wzdychając.

— Przepraszam — powiedziałam, dopiero teraz zdając sobie sprawę, że ten człowiek cierpi przeze mnie. — Zamyśliłam się i potknęłam.

Spojrzał na mnie z milczącym wyrzutem. Moje towarzystwo i gadatliwość musiały go męczyć. Nie mogłam jednak pogodzić się z tym, że Grzegorz popełnił samobójstwo. Jak zwykle zachowywałam się nieodpowiednio do sytuacji.

— Ale przecież można tak upozorować samobójstwo, aby wyglądało na prawdziwe? — zagadnęłam po chwili namysłu.

Ponownie spojrzał w moją stronę.

— Czy nie ma w pani ani odrobiny empatii? — mruknął. — Znokautowała mnie pani na ulicy, a teraz dobija na szpitalnym korytarzu głupimi pytaniami.

— A co, chciałby pan, żebym trzymała pana za rękę? — oburzyłam się.

Roześmiał się, ale od razu złapał się za klatkę piersiową i syknął z bólu. Najwyraźniej nastrój podkomisarza balansował pomiędzy irytacją a rozbawieniem, przechylając się to w jedną, to w drugą stronę.

— Nie daj Boże! — zaprotestował ze zbolałym uśmiechem. — Wystarczy, że walnie pani pięścią w te drzwi i ktoś, do cholery, wreszcie się nami zajmie.

Spacer z ukrytą intencją

Na szczęście skończyło się tylko na obtłuczeniach bez poważnych konsekwencji. Powinnam poczuć ulgę, że nie mam na sumieniu człowieka z otwartymi złamaniami bądź obrażeniami wewnętrznymi, ale nic takiego nie czułam. Okazało się, że tak jak zażartował sobie sanitariusz, podkomisarz Niedziela był twardym i niezniszczalnym facetem. To ja mogłam mieć krwaka pod czaszką po takim zderzeniu, ale nie ten facet. Choć nadal obolały, okazał się na tyle uprzejmy, by odprowadzić mnie do domu. Zaznaczył jednak z rozbijającym uśmiechem, że nie będzie już rozmawiał na tematy związane z samobójstwem mojego byłego męża. Zresztą nic nie wie, jako że nie prowadził śledztwa. Byłam bardzo zawiedziona, a nawet lekko obrażona, i zdarzało mi się niekontrolowanie wracać do tematu, ale tylko w myślach.

Szliśmy powoli, nie spiesząc się. Co prawda kilka razy odruchowo zerknęłam na zegarek, ale pracowałam na drugą zmianę, więc miałam sporo czasu w zapasie. Słońce świeciło wysoko nad nami, otaczała nas zieleń miejskich rabatek z kolorowymi plamami kwiatów pod niskimi zabudowaniami Złotoryi. Nagrzane powietrze przyjemnie otulało i rozleniwiało. Tabletki od lekarza wreszcie zaczęły działać, więc gdy tylko przestała mnie wreszcie boleć głowa, świat wydał się jeszcze piękniejszy.

— Podkomisarz to dość wysoko w policyjnej hierarchii, prawda? — spytałam. Po informacji o wyniku sekcji zwłok zastanawiałam się, jak zacząć swoje prywatne śledztwo. Spacer z Niedzielą mógł okazać się całkiem pożyteczny.

— Czyżby odmawiała mi pani inteligencji?

— Ależ skąd! — zaprotestowałam, chociaż nie miałam pojęcia o wysokości IQ podkomisarza Niedzieli.

— Wcześniej służyłem w wojsku — odpowiedział, patrząc przed siebie. — Później przeszedłem do policji. Jestem po studiach... — dodał z uśmiechem.

— Tak, to widać... — westchnęłam.

— Chyba zbyt mało przekonania w tym stwierdzeniu. Powinna się pani bardziej postarać.

Zorientowałam się, że popełniłam gafę, i zamachałam rękoma.

— O sprawność mi chodziło — sprostowałam. — Biega pan. Dopiero teraz pana rozpoznałam, choć często mijamy się na trasie. A większość policjantów...

— Aż tylu zna pani policjantów? — wtrącił z miłym uśmiechem.

— Widzę, nie jestem ślepa! — oburzyłam się, czując, że ze mnie pokpiwa. — Większość wcina tylko pączki i nie chce im się ruszyć tyłków zza biurka albo z radiowozów.

— To raczej amerykański stereotyp — odparł z wyraźnym rozbawieniem. — Osobiście nie znam

żadnego policjanta, który byłby miłośnikiem pączków.

Uniosłam ręce na znak poddania się. W milczeniu przeszliśmy przez ulicę Sienkiewicza, aż do pomnika Władysława Stanisława Reymonta.

— Podkomisarz to właściwie jaki stopień po staremu? — zainteresowałam się.

— Podporucznik.

— To nie jest wysoko... jak na pana wiek — stwierdziłam ponuro. — W wojsku też pan miał podporucznika?

Bruno Niedziela roześmiał się i klapnął w nogach Reymonta, pośród cisów i srebrnych świerków.

— Nie, majora — odpowiedział, starając się nie śmiać.

— Czyli o trzy stopnie wyżej — policzyłam pospiesznie, pamiętając lekcje z przysposobienia obronnego, na których wkuwaliśmy stopnie wojskowe wojsk lądowych i morskich. — Dlaczego tak pana zdegradowali?

— Nikt mnie nie zdegradował — rzucił z uśmiechem, który dziwnie mnie zaniepokoił. — Chciałem wrócić do Złotoryi i chciałem przejść do policji, a tylko taki etat był, powiedzmy, dostępny.

— Dlaczego przeszedł pan z wojska do policji? — spytałam, siadając obok, bo nieprzyjemnie było tak stać jak kat nad skazańcem. W dodatku wokół pomnika zaczęła biegać trójka przedszkolnych urwisów, drąc się ogłuszająco, a i bliskość ruchliwej drogi Jelenia Góra — Legnica powodowała piekielny hałas.

— Ostro się pani wzięła za przesłuchanie.

— Pytam z ciekawości, ale przepraszam, jeśli...

Uśmiech z twarzy podkomisarza Niedzieli znikł bez śladu. A mnie znów zrobiło się wstyd za siebie, że być może kolejny raz popełniłam gafę. Podniósł się i wyciągnął rękę w moją stronę, by pomóc mi wstać, ale gdy skorzystałam z jego uprzejmości, syknął z bólu.

— Przepraszam, zapomniałam, że został pan poważnie przeze mnie poturbowany.

Weszliśmy na Stare Miasto w milczeniu.

— Po prostu przeszedłem na emeryturę — odpowiedział po dłuższej chwili, gdy straciłam nadzieję, że kiedykolwiek się do mnie odezwie. — Żyłem zbyt intensywnie, stresująco i ryzykownie. Wystarczyło parę lat spędzonych na misjach, bym zaczął cenić sobie spokój i pokój.

— Nie lepiej było poszukać sobie jakiegoś naprawdę spokojnego i sympatyczniejszego zajęcia? — zdumiałam się.

— Nic innego nie potrafię robić poza, jakkolwiek zabrzmiałoby to banalnie, dbaniem o prawo, porządek i bezpieczeństwo. Jestem za stary na zmianę profesji. Poza tym lubię swoją pracę, a Złotoryja to nie Tombstone z Dzikiego Zachodu.

— Racja. Zabójstwa tutaj chyba już dawno nie było, co musi być rozczarowujące dla dobrego gliniarza.

— No proszę. — Roześmiał się. — Krótka wizyta u pani, krótki spacer, niechęć do pączków i już awansowałam na dobrego gliniarza!

— Pewnie — odparłam, zmierzając do zasadniczej kwestii. — Ale gdyby jednak się zdarzyło, że jakiś X zabił Y, to od czego zaczynacie całą kryminalną robotę?

— Od oględzin zwłok i miejsca zbrodni. Potem przeprowadzana jest sekcja — to, co panią tak interesuje.

Wzruszyłam ramionami, jakby tematu sekcji zwłok w ogóle nie było.

— Nie śnią się panu te wszystkie trupy?

— Jakie trupy?

— No te z oględzin...

— Przychodzą — powiedział ściszym głosem, pochyliwszy się w moją stronę. — Przychodzą nocą i robią: Aaaaa!

Wykrzyknął prosto w moje ucho, machając przede mną rękami jak duch. Wystraszyłam się nieludzko, a potem oboje wybuchliśmy śmiechem, zwracając na siebie uwagę licznych przechodniów.

Umówiony ze śmiercią

Co u ciebie tak śmierdzi? — powitała mnie z wyrzutem Joanna, teatralnie marszcząc nos.

Starając się dorównać jej efektywnością gestów, oparłam ręce na biodrach, wysunęłam do przodu jedną stopę i przybrałam oburzony wyraz twarzy.

— To poczęstunek dla ciebie — wyjaśniłam krótko.

Obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem.

— Planujesz mnie otruć? — spytała i dodała z udawanym dramatyzmem: — Co ja ci zrobiłam?!

— To jajka w majonezie! — wykrzyknęłam, nie rezygnując z przykładowego oburzenia.

Joanna minęła mnie w przedpokoju i ruszyła do kuchni, wiedziona zapachem.

— Kupiłaś je dwa lata temu i właśnie sobie o nich przypomniłaś? — Śmiała się uczepiona drzwiczek lodówki.

— Nie zgadłaś! — parsknęłam za jej plecami. — Trzymałam je od zakończenia przez nas podstawówki!

Joanna wyciągnęła półmisek z jajkami pod pierzynką sosu tatarskiego i dokładnie obwąchała.

— Zawsze byłaś chomikiem — stwierdziła, wzdychając. — Na talerzu tak nie śmierdzą, ale w mieszkaniu okropnie cuchnie! Może masz gdzieś trupa w szafie? Albo w tym swoim pokoju śmietniku?

Nie czekając na odpowiedź, Joanna nałożyła sobie na talerz dwie połówki jajka z półmiska i zaczęła łapczywie jeść.

Zignorowałam stałą aluzję mojej bratowej do trzeciego pokoju w moim mieszkaniu. Początkowo planowałam urządzić w nim pracownię, ale w miarę jak mój zapal gwałt, przybywało coraz to nowych i starych, potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy. Farby i sztalugi oczywiście zostały, ale w towarzystwie kartonów ze szpargałami z dzieciństwa i utraconej młodości, wyniesionymi z mojego dawnego pokoju w domu rodzinnym, które wrzuciłam z zamiarem późniejszej selekcji. No i zaczęło się. Pokój będący początkowo poczekalnią dla rzeczy do przejrzania zmienił się w przechowalnię rzeczy zapomnianych, zbędnych, ale jeszcze nie śmietnikowych. Czegóż tam nie było! Może z wyjątkiem trupa.

— Nawet dwa! — machnęłam bagatelizująco ręką. — Ale widocznie nadgniłe zwłoki w zaawansowanym stadium rozkładu nie zniechęcają cię do konsumpcji.

Joanna przełknęła ostatni kęs i dołożyła sobie kolejną porcję jajek na talerz.

— Normalne jedzenie! — wykrzyknęła, wskazując widelcem na półmisek. — Smakuje bosko i żadne nadgniłe zwłoki w twojej szafie czy łóżku mi nie przeszkadzają.

Nieśmiało nałożyłam sobie jedną połówkę, zdziwiona niecodziennym apetytem Joanny, zwłaszcza że

moja kuchnia do tej pory jej nie odpowiadała. Jako jedyna w rodzinie nie miałam talentu do gotowania. Tymczasem przy moim stole kuchennym moja bratowa i przyjaciółka w jednym pochłaniała z wyraźnym apetytem przygotowane przeze mnie jajka w majonezie, jakby to było najsmaczniejsze danie na świecie.

— Co się stało? — spytałam zaciekawiona przyczyną tak nienaturalnego stanu rzeczy.

Joanna patrzyła w swój pusty już talerz. Obawiałam się, że zaraz zacznie go wylizywać do czysta, bo taki zamiar wyczytałam w jej spojrzeniu. Na szczęście odsunęła od siebie talerz i oparła się łokciami o blat.

— Renata testuje na nas dania z owocami morza — wyznała ponuro. — Uszami wychodzą mi te wszystkie kalmary, ośmiorniczki, krewetki i inne. Blee! Od razu oznajmiłam, że to nie jest dobre menu na weselne przyjęcie, ale ona każe nam przynajmniej spróbować.

— Sama to przyrządza?

— Całe szczęście, nie! — parsknęła Joanna, przewracając oczami. — Dowożą nam z różnych restauracji. Obrzydzenie bierze! Owszem, to całe frutti di mare nie jest najgorsze, ale ileż można tego jeść? Patrzę na Przemka, patrzę na Olusia i serce się kraje, jak pochylają się nad talerzami, udając twardzieli. Wczoraj konspiracyjnie zjedliśmy z Przemkiem kabanosy. Tato też się załapał na taką „próbę”, ale uciekł przed krewetkami, oburzony, że mu jakieś robale każemy jeść. Renata martwi się teraz, że dziadek nie przyjdzie na wesele, bo nie odbiera telefonów.

— Jezuuu... — jęknęłam, łapiąc się za głowę.

— Jak tak patrzę na to szaleństwo z weselem, w jakie popadła Renata, to przez głowę mi przechodzi, że ktoś mi w szpitalu dziecko podmienił.

— No co ty! — oburzyłam się. — Przecież ona jest bardzo podobna do naszej rodziny! Wszystkie kobiety w naszej rodzinie są takie zwariowane. Renata akurat na punkcie wesela.

— Ależ tych kobiet w naszej rodzinie! Prawdziwe tłumy!

Roześmiałyśmy się głośno.

— No dobrze, ale po co miałam przyjechać do ciebie? — zmieniła temat Joanna.

Streściłam jej ostatnie wydarzenia, których bolesne skutki wciąż odczuwałam.

— To teraz zaczynamy — dodałam na koniec.

— Co zaczynamy? — zdumiała się Joanna.

— Śledztwo. Nasze śledztwo.

— Przecież sama powiedziałaś, że sprawa jest zamknięta. Grzegorz naprawdę popełnił samobójstwo, więc po co to „nasze” śledztwo?

Podniosłam się z kuchennego krzesła i nastawiłam wodę w czajniku. Z szafki wyjęłam herbatę, chwilę wahając się, czy nie zaparzyć melisy. Ponieważ nie miałam jej w wystarczającej ilości, by uspokoić zdenerwowaną Joannę, zdecydowałam się na zwykłą czarną.

— Grzegorz nie popełnił samobójstwa — powtórzyłam, wracając na miejsce. — Zamierzam to udowodnić, a ty obiecałaś, że mi w tym pomożesz.

Joanna przewróciła oczami, by zaraz dodać do tego popukanie się palcem wskazującym w czoło.

— Paulina, czy ty oszalałaś?! — wykrzyknęła. — Patolog, policja, jednym słowem fachowcy w tej dziedzinie, potwierdzają samobójstwo, a ty się z nimi nie zgadzasz, bo masz swoją teorię o niechęci byłego męża do zdrobnień i braku wyrzutów sumienia! Po co ci to w ogóle?! Rozwiodłaś się z nim, bo to był zimny drań, a teraz jest zimny trup i już! Zajmij się czymś przyjemniejszym i pożytecznym! Miałaś malować, na kolonie z dziećmi jechać, bratanicę wydać za męża!

— Aśka, a co mi szkodzi sprawdzić własną teorię? — rzuciłam, gapiąc się w płonący na kuchence gaz pod czajnikiem. — Dlaczego nie możemy przeprowadzić własnego śledztwa?

— Znajdź lepszego trupa — odparła, wyraźnie nie tryskając entuzjazmem. — To znaczy kogoś dobrego, lepszego niż ten... Grzegorz. Brr! Zapomniałaś, że nie był z niego szlachetny rycerz w lśniącej zbroi i na białym koniu?!

— Rycerz! — zerwałam się z krzesła, aż przewrócone huknęło za mną o podłogę. — Cholera, że też mnie te krokiety tak zamroczyły!

Joanna zamilkła, wpatrując się we mnie z niekłamanym zdumieniem, objawiającym się na wpół otwartymi ustami. Tymczasem ja już dzwoniłam do Filipa.

— Witaj, serce ty moje! — usłyszałam po kilku sygnałach, ale pospiesznie powstrzymałam charakterystyczną dla Filipa wylewność, zadając bez zbędnych powitań pytanie:

— Ten Krzyżak, któremu wiozłeś zbroję, pamiętasz? Jak się nazywał?

Przez chwilę nic nie słyszałam i już obawiałam się, że nas rozłączyło, ale to była tylko dłuższa chwila wahania u Filipa.

— Kazał nikomu nie mówić, ale ostatecznie nie żyje... Nawet pytałem, czy nie jesteście rodziną, ale odpowiedział, że cię nie zna.

Nogi się pode mną ugięły, a fala niespodziewanego gorąca uderzyła we mnie z nieludzką siłą. Oklapłam na przewrócone krzesło. Dość niewygodna to była podpora, ale lepsza niż żadna.

— Grzegorz Bożyk — padła w końcu odpowiedź na moje pytanie. — Całkiem młody gość...

Wzięłam kilka głębszych oddechów, by się opanować. Joanna gapiła się na mnie wyczekująco. W tle przejmująco gwizdał czajnik, dopraszając się uwagi, ale nie byłam w stanie ruszyć się z miejsca.

— I dzwonił do ciebie w sobotę, aby się umówić? — dopytywałam, machając do Joanny, by wyłączyła czajnik, który zagłuszał rozmowę. Na szczęście zrozumiała moje rozpaczliwe, aczkolwiek nieskoordynowane gesty i niemiły gwizd ucichł.

— On mnie nieustannie popędzał. Wyznaczał terminy, których nie byłam w stanie dotrzymać — przyznał się Filip. — Rozumiem, że mu zależało, ale takiego zlecenia nie robi się w ciągu jednego dnia. Wydzwaniał bez przerwy. Ostatnio w zeszłą sobotę. No i masz! Z kostuchą się umówił!

Rozdział 17

Co i jak po kolei

Słońce było dzisiaj wyjątkowo niezdecydowane. Odważnie rozświetlało świat, by po chwili chować się wstydliwie za puszystymi chmurami. Mimo to na zewnątrz panował upał zmuszający do pozbywania się kolejnych warstw odzieży. Przez chwilę, jak zwykle, stałam z zamkniętymi oczami, by chłonąć cudowne wiosenne powietrze i ciepło z grzejącego mimo poranka słońca, a potem ruszyłam swoją codzienną trasą. Dzisiaj musiałam przemyśleć wiele spraw, więc może powinnam zmienić trasę na dłuższą, zamiast robić po kilka okrążeń? Ostatecznie pozostałam w oswojonej przestrzeni, gdzie nic nie odwracało mojej uwagi.

Joanna opuściła mnie wczoraj nader niespodziewanie. Ledwie skończyłam rozmowę z Filipem, zadzwoniła Renata. Szloch mojej bratanicy słyszałam z daleka i Joanna musiała się przez niego przebijać, by wreszcie dowiedzieć się, co się stało. Z przerywanych łkaniem zdań dowiedziałyśmy się, że Oluś jest w szpitalu. Prawdopodobnie zatrzał się śmiertelnie małżami. Teraz to już koniec nie tylko ze ślubem, ale i z życiem Renaty, która dręczona wyrzutami sumienia planuje skok z mostu.

— To jakaś plaga z tymi samobójstwami — stwierdziłam, przysłuchując się rozmowie.

— Zwariowałyście?! — ryknęła Joanna. — Po pierwsze, żeby skutecznie skoczyć z mostu, musiałybyście pojechać do Głogowa albo Wrocławia. Odra jest zdecydowanie głębsza od Kaczawy! Po drugie — skierowała groźne spojrzenie w moją stronę — co za plaga?!

— Najpierw Grzegorz — wyliczałam na palcach. — Potem Oluś, który chcąc uszczęśliwić narzeczoną, naźarł się samobójczo krewetek, a teraz Renata...

— Jezu! — jęknęła głośno Renata, słysząc moje słowa. — A mówią, że nieboszczyk, który przeleżał przez niedzielę, zawsze kogoś pociągnie za sobą!

Joanna najpierw westchnęła zrezygnowana, a potem rzuciła mi mordercze spojrzenie.

— Obie jesteście siebie warte! — krzyknęła, nie kryjąc irytacji. — Przestań zadręczać się czarnymi wizjami. Zaraz tam będę.

Rozłączyła się z córką, ale ze mną najwyraźniej jeszcze nie skończyła.

— Wiesz, jaka wrażliwa jest Renata, a ty wyskakujesz jeszcze z jakąś samobójczą wyliczanką! A co do Olusia, to sam jest sobie winien! Mógł nie żreć tyle tych owoców morza. To na pewno nie jest śmiertelne zatrucie, tylko zwyczajne przejedzenie — stwierdziła, zbierając swoje rzeczy z kuchni, gdzie siedziałyśmy.

— Ale... — usiłowałam coś powiedzieć na swoją obronę.

Joanna, będąc już w przedpokoju, odwróciła się gwałtownie z uniesionym ostrzegawczo palcem

wskazującym.

— Jeszcze się zastanowię, czy dam się wciągnąć w to całe planowane przez ciebie śledztwo. Na razie mam inny problem na głowie — rzuciła i zostawiła mnie samą w małym przedpokoju, przytłoczoną wątpliwościami co do powziętych zamiarów.

Dzisiaj rano, wybiegając z klatki schodowej na złotoryjski bruk, wiedziałam, że chcę prowadzić własne śledztwo. Może i jest to najgłupsza rzecz pod wiosennym słońcem. Może sam Grzegorz nie jest wart mojej uwagi nawet po śmierci. Może... Ale dlaczego nie sprawdzić swoich teorii? Zająć dodatkowych, co prawda, mi nie brakowało, ponieważ od września wraz z Justyną na zmianę prowadziłyśmy warsztaty plastyczne w domu kultury. Na koniec roku szkolnego planowałyśmy kilka plenerów, więc niemal wszystkie popołudnia pochłaniała mi dodatkowa praca. Jednak mimo to, jako singielka trochę więcej niż po czterdziestce, dysponowałam większą ilością czasu niż obarczone rodziną kobiety. Mogłam zająć się śledztwem. Tylko od czego zacząć swoją karierę detektywistyczną?

Biegając wzdłuż muru, mimowolnie rozglądałam się za Niedzielą. Odkąd rozpoznałam go pod szarym kapturem, spodziewałam się częściej go spotykać. Wybadanie podkomisarza Niedzieli, co zakładałam w drodze powrotnej ze szpitala, zdecydowanie nie wypadło dla mnie korzystnie. Rozmowa schodziła na banalne tematy, którymi kierował policjant. Nawet się nie zorientowałam, jak zaczęłam opowiadać o sobie bez zająknięcia. Kto wie, czy nie podałam nawet numeru buta i kilku szczegółów z dzieciństwa. Jedno jest pewne: podkomisarz Niedziela z racji wykonywanego zawodu był trudnym obiektem, szkolonym do wyciągania informacji z podejrzanych bez ujawniania informacji posiadanych przez siebie.

Ponadto okazał się całkiem miłym facetem, jak na faceta. Może, a raczej na pewno, nie był typem hollywoodzkiego amanta, przystojniakiem o zniewalającym uroku, ale przyjemnie się z nim rozmawiało. Doświadczenie miał wypisane na twarzy, a ja przyłapałam się na tym, że gapię się na niego jak skończona idiotka cielęcym wzrokiem i zastanawiam, czy jest żonaty, rozwiedziony, a może wolny. Obrączki ani świeżego śladu po niej nie dostrzegłam.

Skarciłam się pospiesznie w myślach za takie karygodne odstępstwo od zasady bezfacetowości! Miałam się skupić na śledztwie. Szkoda, że zamiast czerpać wiedzę z wiarygodnych źródeł, zmuszona zostałam do zaczytywania się w kryminałach. Po *Medycynie sądowej* trudno mi było przyjść do siebie.

Od czego zacząć? Każdy śledczy, który znalazł się na miejscu zbrodni, zaczyna od oględzin zwłok. Brrr! Ten etap na szczęście mogę pominąć w moim skromnym przypadku. Zwłoki zostały już fachowo przebadane i nic nie stwierdzono. Przynajmniej, jak to ujął Niedziela, wykluczono udział osób trzecich. A co z osobami drugimi? I kim niby są pierwsze?

Potknęłam się efektownie o wystający korzeń, ale na szczęście nie upadłam. Za to głupie myśli mnie opuściły.

Kolejna czynność, którą poznałam dzięki lekturze kilku kryminałów, to oględziny miejsca zbrodni. Niewątpliwie te też zostały przeprowadzone fachowo przez ekipę policyjną, ale myślę, że powinnam zacząć od tego. Cóż, trochę czasu już minęło i realizacja tego punktu może napotkać sporo trudności. Na

pewno pokój w hotelu już dokładnie posprzątano i zameldowano w nim inną osobę, której nie da się przekonać do udostępnienia miejsca zbrodni do ponownego, tym razem amatorskiego, badania. Informacja, że właśnie w tym pokoju ktoś niedawno popełnił samobójstwo, może jedynie narobić niepotrzebnego zamieszania. A może przekonać personel? Tylko jak? Akurat szefostwu nie zależy na wspomnianiu gościa, którego tragiczne zejście może zaważyć na frekwencji w całym obiekcie. Chyba że ma to być hotel z makabrycznymi atrakcjami — horror-hotel „Pod Nieboszczykiem” albo „Pod Wisielcem”.

Niektórzy detektywi posuwają się do drobnego przekupstwa, by rozwiązać języki pokojówkom czy boyom, którzy zawsze coś widzą albo słyszą. Tylko że w życiu nikogo nie przekupywałam! Może powinnam poćwiczyć na kimś neutralnym?

Kolejne spotkanie bez upadku ponownie przestawiło moje myśli na inne tory. Tym razem na te właściwe i zostałam ocalona przed głupimi pomysłami. Może uda się uzyskać informacje w mniej przestępczy sposób?

Co dalej? Rozmowa z potencjalnymi podejrzanymi? Muszę się zastanowić, kto zyskał na śmierci Grzegorza. Pierwsi podejrzani to oczywiście najbliższa rodzina. Hermenegilda? Nie, wykluczone! Perspektywa rozmowy z nią raczej nie napawa mnie optymizmem. Bliższej rodziny mój były mąż, z tego co pamiętam, raczej nie miał. Przynajmniej nie w Legnicy, gdzie przyjechał kilkanaście lat temu z matką. Pochodził z Łomży albo z innego miasta gdzieś na tak zwanej ścianie wschodniej. Mimo że nikogo tutaj nie znali, szybko udało mu się zrobić karierę. Nie dziwota, pchał się może nie nachalnie, ale wszędzie tam, gdzie tylko mógł uzyskać dla siebie jakąś korzyść. Może w tej Łomży została jakaś rodzina? Zdaje się, że rozmowa z Hermenegildą będzie nieunikniona.

Poza tym przez te trzy lata od rozvodu nie wiedziałam nic o życiu Grzegorza. Z kim się spotykał? Bo przyjaźnił, raczej wątpię. Może ożenił się powtórnie? Może zostawił dzieci? Nie, to jakoś mi do niego nie pasowało. Dzieci — wykluczone, ale jakaś kobieta... Nie oszukujmy się, że po rozwodzie ze mną żył w celibacie. Trzeba to sprawdzić.

Z kim się jeszcze spotykał? Chodził do pracy, potem na siłownię, basen, jakieś spotkania. Ogrom pracy przede mną jako amatorskim detektywem. Jedyna pewna informacja to ta, że szykował się na Grunwald w charakterze Krzyżaka. Co już dla mnie jest kompletnie nie do pojęcia!

Zatrzymałam się zdyszana i klapnęłam na jedną z ławek. Oparłam się i odchyliłam głowę do tyłu. Niebo przybrało czysto błękitną barwę, jakby na przekór moim czarnym myślom, które nasunęły mi się w czasie biegania. Chyba powinnam wziąć urlop i skupić się na czekającej mnie harówce. Jako amator będę miała zdecydowanie trudniej niż etatowy detektyw, który dysponuje choćby legitymacją służbową. Zamknęłam oczy i starałam się wyrównać oddech. Dopiero po chwili zwróciłam uwagę, że obok mnie siedzi para emerytów, trzymających się romantycznie za ręce i zajętych spoglądaniem sobie w oczy. Wtedy mnie olśniło i aż krzyknęłam, strasząc zajętych sobą zakochanych. Już wiem, jak dokonać oględzin miejsca zbrodni. Przecież mój tatko jeździ namiętnie do sanatorium właśnie w Świeradowie-Zdroju!

Sięgnęłam do kieszeni bluzy po telefon, patrząc na oddalającą się z oburzeniem parę spłoszonych emerytów.

Naga prawda o nieboszczyku

Tatko, rzecz jasna, się zgodził i nie zniechęciła go nawet perspektywa dreptania śladem byłego zięcia nieboszczyka. O śmierci Grzegorza poinformowałam go przy ostatniej wizycie, co zignorował pochłonięty dylematem weselnym. Pokrótce wyjaśniłam, czego oczekuję, i zapewniłam na wszelki wypadek, że pokryję koszty pobytu. Oby tylko nie przedłużał się w pełnoterminowy turnus sanatoryjny! Spokojnie mogłam przystąpić do planowania dalszego śledztwa. W pojedynkę szło mi średnio, więc od razu po pracy wybrałam się do Legnicy, licząc po cichu, że u brata i bratowej załapię się na jakiś dobry obiad, przy okazji omawiania kolejnych etapów mojego dochodzenia. Na wszelki wypadek, dla przełamania lodów, wstąpiłam do osiedlowego sklepu z alkoholem. Długo się zastanawiałam nad wyborem stosownego trunku, szczególnie że nalewki mojego brata były raczej w smaku nie do przebicia. Nie wypadało jednak wpraszać się na obiad z pustymi rękami. Na szczęście sprzedawczynią okazała się całkiem zorientowana w posiadanym asortymencie młoda kobieta, która potrafiła skutecznie doradzić. Tak umiejętnie i ze znanstwem opowiadała o winach, że straciłam więcej pieniędzy, niż planowałam. Wychodząc ze sklepu, zatrzymałam się przy stojaku z darmowymi lokalnymi gazetami. Tytuł wyeksponowany tłustą czarną czcionką sprawił, że zastygłam na chwilę. „Dyrektor samobójca” mówiło samo za siebie, choć to raczej nieco spóźniona sensacja, jeśli chodziło o Grzegorza. Chyba że dopiero się dowiedzieli... Poniżej znajdowało się niezbyt wyraźne zdjęcie nieboszczyka, któremu oczy zasłonięto czarnym paskiem. Dalsze informacje obiecywano na stronie drugiej, bo dół pierwszej zajmowały kolorowe, drobne reklamy. Sięgnęłam po egzemplarz z wierzchu i schowałam do torebki z zamiarem poczytania w drodze powrotnej do Złotoryi.

Drzwi otworzył mi Przemek z dość posępną miną. W oczekiwaniu na najgorsze nogi się pode mną ugięły, lecz zanim padłam w progu zdjęta złym przeczuciem, zapytałam:

— Oluś?!

Przemek wzruszył ramionami.

— Co Oluś?! — spytał, obrzucając mnie niechętnym spojrzeniem, jakbym to właśnie ja wpychała niedoszłemu zięciowi tony krewetek i krabów.

— Żyje? — wydusiłam z siebie, wchodząc do środka pomimo braku zaproszenia ze strony rodzonego brata.

— A dlaczego ma nie żyć? — parsknął. — Zrobili mu płukanie żołądka i puścili do domu.

— Przynajmniej to menu z owocami morza mamy z głowy — wtrąciła Joanna, która pojawiła się w przedpokoju.

Podaliśmy podejrzenie nadąsanemu Przemkowi reklamówkę z winami i podreptałam do salonu za Joanną.

— Co mu się stało? — spytałam konspiracyjnym szeptem, choć Przemek w kuchni raczej nie miał szans mnie usłyszeć.

Joanna zwinęła się w rogu sofy, a ja usiadłam w fotelu, czekając na odpowiedź i nasłuchując niepokojących i stanowczo za głośnych odgłosów z kuchni. Dobrze wiedziałam, że mój spokojny, zrównoważony i racjonalny brat jest zły.

— Powiedziałałam mu o twoim śledztwie — wyznała Joanna.

— No i co? — Wzruszyłam ramionami, nic nie pojmując.

— Jest przeciwny, ale zapewne sam przedstawi ci argumenty — wyjaśniła Joanna. — Może jego posłuchasz.

W progu jak na zawołanie pojawił się Przemek, lecz zamiast spodziewanego wina i kieliszków podsunął mi talerz z parującymi gołąbkami polanymi sosem pomidorowym. Wraz z aromatem tego przepysznego dania wypełniła mnie błogość. Jakże wspaniale mieć taką cudowną rodzinę!

Przysunęłam sobie fotel do ławy, całkowicie ignorując obecność wygodniejszego do konsumpcji stołu i parząc sobie usta, przystąpiłam do jedzenia. Może i zostałam pozbawiona przez Wszechmogącego talentu do gotowania, ale został mi ten defekt wynagrodzony kulinarnymi umiejętnościami najbliższej rodziny.

Joanna z nadal posępnym Przemkiem przyglądali się w milczeniu mojej zachłannej konsumpcji, przerywanej należnymi okrzykami zachwytu nad smakiem pysznej potrawy. Gdy tylko opróżniłam talerz do czysta, ostatnie resztki sosu zlizując bez zażenowania i towarzyskiej oglądy, oparłam się nasyciona i gotowa na przyjęcie najsroźszej nagany ze strony mego brata.

— Nie podoba mi się pomysł z tym śledztwem — odezwał się poważnie Przemek. — A tym bardziej wciąganie w to Joanny...

— Dlaczego?

— To jest po prostu... po prostu głupie.

Joanna sięgnęła po mój opróżniony talerz i zniknęła w kuchni.

— Może i tak, ale co mi zależy? — rzuciłam bez troski.

Przemek zmarszczył czoło, co świadczyło o głębokiej irytacji. Przyglądałam się znajomym symptomom złości u mojego brata. Po chwili pojawiła się Joanna z otwartą butelką wina w jednej ręce i kieliszkami w drugiej.

— Jesteś nieodpowiedzialna i bez troska, jak zawsze — stwierdził jadowniczo. — Tylko pchasz się w kłopoty.

— A skąd wiesz, że z mojego pomysłu wynikną kłopoty, panie przewidujący i zdroworozsądkowy? Teraz przynajmniej wiadomo, po kim Renata ma to czarnowidztwo — odparłam uszczypliwie.

Przemek zamilkł na chwilę i spojrzał w zamyśleniu na Joannę, która z kolei zastygła z pełnym

kieliszkiem wina uniesionym do ust.

— Powiedz jej — powiedziała do męża.

Spoglądałam to na jedno, to na drugie, jak na meczu tenisa, gdy człowiek śledzi tor lotu piłki pomiędzy zawodnikami. Przemek chrząknął głośno i po chwili rzekł:

— To jakaś większa afera z tym Grzegorzem. Smród się zrobił, gdy zacząłem pytać. Wszyscy nabrali wody w usta. Jedno jest pewne, rozpaczać nikt po nim nie rozpacza, zwłaszcza że naraził się wielu osobom.

— Czym? — spytałam nagle.

— To dość skomplikowane. Prawdopodobnie prał pieniądze, dawał albo pomagał w uzyskaniu wysokich kredytów, które później nie były spłacane. Wątpię, aby rozgrzebywanie okoliczności jego śmierci przyjęto z entuzjazmem. Podobno popełnił samobójstwo szantażowany przez swoich klientów, którymi byli przestępcy. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

— Podobno — parsknęłam. — Wszystko „podobno”, ale nic na pewno.

— Na pewno nie żyje i tyle — stwierdziła Joanna, dolewając sobie wina, bo zdążyła już opróżnić swój kieliszek.

— Paulina, lepiej trzymaj się od tego jak najdalej. To nie są sympatyczni ludzie.

— Kto taki?

Przemek westchnął i obrzucił mnie pełnym politowania spojrzeniem. Joanna także westchnęła.

— Umarł w taki czy inny sposób, ale już go nie ma — stwierdziła filozoficznie moja bratowa. — Sama najlepiej go nie wspominasz...

— I ty, Brutusie, przeciwko mnie?! — rzuciłam zdumiona.

Z trudem podniosłam się z fotela. Nadmiar jedzenia sprawiał, że na moje ciało silniej działała grawitacja.

— Nie wygłupiaj się! Siadaj! — zawołała Joanna, gdy już stałam w progu.

— Nie zrobię niczego, co naraziłoby was na jakiegokolwiek niebezpieczeństwo — rzuciłam przez ramię i wyszłam, cicho zamykając za sobą drzwi.

Pospiesznie zbiegłam po schodach i na parterze zderzyłam się z Olusiem. Tym razem nieszkodliwie i niefizycznie.

— Dzień dobry! — powitał mnie z niekłamany zachwytem. Mogłam podziwiać entuzjazm na mój widok w najczystszej postaci. — Już pani wychodzi?

— Dzień dobry — odpowiedziałam, przyglądając mu się uważnie. — Już lepiej się czujesz?

Uśmiechnął się jak mały chłopiec przyłapany na podjadaniu zakazanych słodczy.

— Trochę symulowałem, ale nie wyda mnie pani przed Renią?

— Mam być niełojalna wobec własnej rodziny? — udałam oburzenie.

— A przekupiona? — zażartował z uśmiechem, któremu trudno było się oprzeć.

— To od razu inna rozmowa — odpowiedziałam żartobliwie.

— Wobec tego podrzucę panią do domu.

— A Renata? — spytałam, dopiero teraz dostrzegając, że u jego ramienia nie wisi moja bratanica.

— Ma wychodne, a dokładnie jest na spotkaniu ze swoimi... nie wiem, czy to właściwe słowo, druhnami...? Podobno mają świetne pomysły na udane wesele...

— No tak — westchnęłam.

Skoro trafiła mi się okazja, postanowiłam z niej skorzystać. W towarzystwie życzliwej osoby zdecydowanie milej odbywa się nawet krótką przejażdżkę niż w środkach publicznego transportu. Ledwie zajęłam miejsce pasażera, gdy w torebce zadzwoniła komórka. Po pierwszych dźwiękach *Du Hast Rammsteina* poznałam, że dzwoni Joanna.

— Nie odbiera pani? — zainteresował się Oluś, ruszając z parkingu.

— Nie — odpowiedziałam krótko. Telefon jednak ponownie zabrzmiał głośno i nie dało się go nijak zignorować. Zajrzałam do torebki, aby odnaleźć aparat i wyłączyć definitywnie. Niestety, pomimo wyraźnie słyszanego dźwięku znalezienie czegokolwiek w mojej torebce nie było łatwe. Wobec powyższego musiałam część rzeczy wyciągnąć na kolana. Pierwszą wyjęłam gazetę, która złożona zajmowała najwięcej miejsca. Potem szczotkę do włosów, krem do rąk, portfel, notatnik i wreszcie na koniec w moich niecierpliwych dłoniach pojawił się telefon. Spokojnie wyłączyłam aparat i zaczęłam pakowanie. Zatrzymałam się na gazecie. Oluś zajrzał mi przez ramię.

— Co to takiego?! — zadał dość głupie jak na przyszłego doktora nauk pytanie. Przecież rakiety tenisowej nie trzymałam w dłoni, tylko gazetę.

— Mój były mąż — odpowiedziałam, pukając palcem w zdjęcie i otwierając gazetę na drugiej stronie.

— Naprawdę?! — zdumiał się Oluś, jakbym właśnie oznajmiła, że moim byłym mężem był Clint Eastwood albo Brad Pitt.

— Znasz go? — spytałam od niechcienia.

— Ja? Skąd takie przypuszczenie? — zachnął się, a po chwili ostro zahamował. Gdyby nie pasy, pewnie nabiłabym sobie guza o przednią szybę. Tuż przed nami zobaczyliśmy czerwone światła stopu innego samochodu. Dopiero teraz spostrzegliśmy cały sznur stojących przed nami pojazdów.

— Pewnie jakiś wypadek — wyraziłam przypuszczenie, wyteżając wzrok, na ile to było możliwe z miejsca pasażera.

— Znow jakiś wariat nie potrafił zachować się odpowiednio na drodze — wycedził bardzo zdenerwowany Oluś.

— Całkiem możliwe — westchnęłam, nie kryjąc zaskoczenia niecodzienną reakcją Olusia. — Na tej drodze zdarza się to całkiem często.

— Na tej drodze?! — wykrzyknął gwałtownie, opluwając kurczowo trzymaną kierownicę. — W całym kraju jest ich istna plaga! Najważniejsze na egzaminie to jak zaparkować między pacholkami, a zachowania na drodze to marginalna sprawa! A potem same wypadki! Najgorsza statystyka, jeśli chodzi o wypadki śmiertelne.

— No tak — przyznałam, mimowolnie ścisząc głos.

Tymczasem spokojny dotychczas Oluś z czerwonymi wypiekami na policzkach i złowrogim błyskiem w oku uderzył dłonią w kierownicę, zgasił silnik i wysiadł z auta, pozostawiając otwarte drzwi. Ze swojego miejsca obserwowałam, jak zmierza szybkim krokiem w górę stojących przed nami samochodów, trzymając telefon przy uchu.

Oluś zniknął na horyzoncie, a ja zaczęłam czytać artykuł. Przebiegłam pospiesznie wzrokiem przez szczegóły, które dobrze znałam, i skupiłam się na spekulacjach autora artykułu. „Według niepotwierdzonych źródeł Grzegorz B. właśnie na imprezie integracyjnej dowiedział się, że zostanie zwolniony z zajmowanego stanowiska w wyniku przeprowadzonej wcześniej w banku kontroli finansowej”. A jednak, pomyślałam, przypominając sobie słowa Przemka. Poza informacją o przypuszczalnych powodach targnięcia się na własne życie u dołu strony znajdowała się krótka wzmianka o pogrzebie. Zdążyłam właśnie zamknąć gazetę, gdy wrócił Oluś.

— Drzewo zatarasowało drogę — poinformował mnie już spokojniejszym tonem, nie wsiadając do środka. — Strażacy już pracują, więc za chwilę ruszymy. Chyba że pojedziemy inną drogą.

— Możemy poczekać — westchnęłam z ulgą, że Oluś, którego najbardziej lubię, wrócił.

— Przepraszam, ale właśnie sobie przypomniałem, że muszę zadzwonić do Renaty — wyłumaczył się zakłopotany, sięgając po swój telefon. — To tylko chwila, dobrze? Powiem, że jadę panią odwiedzić, żeby się nie denerwowała. Od tego wczorajszego zatrucia wciąż widzi mnie martwego i mnoży najczarniejsze scenariusze.

Wzruszyłam ramionami. Znam przecież swoją bratanicę i jej ponurą skłonność do katastroficznych wizji. Uspokojona Renata kontynuowała spotkanie z koleżankami, a my z jej błogosławieństwem i po strażackiej interwencji mogliśmy ruszyć w dalszą drogę. Chwilę jechaliśmy w milczeniu, które pierwszy przerwał Oluś.

— Kochała go pani? — spytał, wskazując brodą gazetę, wciąż trzymaną przeze mnie na kolanach.

— Kiedyś tak.

— Jakim był człowiekiem? Dobrym? — usłyszałam pytanie, zapatrzona w mijany krajobraz złożony jedynie z pól rzepaku i nieba. Przynajmniej po mojej stronie.

— Gdyby był dobry, to pewnie nadal bylibyśmy małżeństwem — powiedziałam, wzdychając.

— Różnie bywa. Czasem wina leży po obu stronach.

Spojrzałam na niego krytycznie.

— Ty mi tu o winie w małżeństwie nie rozprawiaj, tylko patrz przed siebie — rzuciłam dziwnie podenerwowana, gdy zauważyłam, że mówiąc do mnie, odwraca w moją stronę głowę. Grzeczność grzecznością, ale przy prowadzeniu samochodu na ruchliwej drodze jest raczej niewskazana.

— Przepraszam. Po prostu zainteresowałem się, dlaczego piszą o nim w gazecie.

— Bo się powiesił na imprezie firmowej — odparłam zadowolona, widząc, że Oluś już spogląda tylko przed siebie.

— Powiesił? — zdumiał się.

— Tak, ale nie wierzę w jego samobójstwo — oznajmiłam, zastanawiając się, czy powinnam pójść na pogrzeb.

— Renata coś mi wspominała, ale nie wiedziałem, że chodzi o tego faceta z gazety. Dlaczego nie wierzy pani w to samobójstwo?

Spojrzałam na profil Olusia, który posłusznie wpatrywał się w jezdnię przed nami. Miły, sympatyczny i inteligentny młody człowiek, którego miała szczęście spotkać na swojej drodze moja bratanica. Dlaczego ja nie mam szczęścia do takich facetów? Ale przecież Grzegorz na początku również był miły, inteligentny i szarmancki. Ujął mnie męskością, która emanowała z niego wszystkimi porami. Skąd mogłam wiedzieć, że to pułapka? I dlatego, że brak mi instynktu samozachowawczego, podjęłam decyzję, że więcej nie związę się z żadnym facetem...

Odpowiedziałam obszernie Olusiowi na zadane pytanie. Nie kryłam też, że zamierzam wbrew wszystkim i zdrowemu rozsądkowi zająć się dociekaniem prawdy.

Trudna sztuka robienia zakupów

Potrzebowałam mojego joggingu, który skutecznie rozładowuje napięcie, ale postanowiłam najpierw zrobić zakupy, by przedwcześnie nie umrzeć z głodu. Śledztwo śledztwem, ale coś jeść przecież trzeba, a nie tylko żerować na kulinarnie utalentowanej rodzinie. Oluś zatrzymał się przed naszym złotoryjskim supersamem. Wciąż słyszałam jego słowa, które rzucił po wysłuchaniu całej historii i mojej decyzji o dociekaniu prawdy: „Nie wszyscy ludzie nawet po śmierci zasługują na nasze przebaczenie”. Po czym pożegnał się i odjechał. Stałam lekko zaskoczona. Czy ja Grzegorzowi przebaczyłam? A jeśli nie, to czy teraz mogę mu przebaczyć? W ogóle się nie zastanawiałam nad takimi głębokimi kwestiami filozoficznymi, a może i ocierającymi się o religię. Raczej płytka ze mnie niewiasta, pływająca po powierzchni. Nie myślałam o przebaczeniu. Skąd taki tok myślenia u Olka?

Wzruszyłam ramionami. Dzień powoli się kończył i najwyższy czas ruszyć się z miejsca, bo jeszcze ktoś weźmie mnie za pomnik i złoży u mych stóp wieniec. Drzwi automatyczne jak zwykle nie chciały się przede mną otworzyć i musiałam poczekać, aż ktoś będzie wychodził lub wchodził. To dziwne zjawisko, dotyczące tylko mojej skromnej osoby, już raz zgłaszałam kierownictwu sklepu. Wszyscy wchodzili, wychodzili i drzwi automatycznie się rozsuwały bez najmniejszych problemów. Kiedy tylko ja się do nich zbliżałam, zamierały. Kierownik sklepu, wyciągnięty kiedyś niemal na siłę zza biurka, aby naocznie przekonał się, że nie jestem zmyślającą wariatką, jedynie się z tego zaśmiewał. Rozbawiony zawołał ochroniarza i wszyscy troje na zmianę kilkakrotnie podchodziliśmy do drzwi. Przed nimi gościnnie się rozsuwały, a przede mną złośliwie trwały w bezruchu. Sytuacja była całkiem zabawna, ale nie dla mnie, bo mnie było autentycznie przykro. Ostatecznie kierownik w obliczu niewielkiej straty w postaci jednej dziwnej klientki nawet nie wysilił się, żeby przeprosić, ale zasugerował bioprądy albo elektrowstrząsy. Mijający nas ludzie, obserwujący całe zamieszanie, nie kryli potępieńczych spojrzeń, gdy blokowałam wejście. Na jakiś czas obraziłam się na sklep, ale okazało się to niekorzystne dla mego portfela. Dlatego wróciłam. Od tamtej pory ukrywam jednak swą inność i czekam na kogoś, komu drzwi sklepu nie prezentują dziwnych zwyczajów.

Tuż za progiem natknęłam się na ochroniarza, ale natychmiast skrzyżowałam ręce z regałami, aby mnie nie zidentyfikował i nie pokazywał palcami, bawiąc się moim kosztem. Zaczęłam grzebać w warzywach, stwierdzając, że świeżość mają dawno za sobą. Zdecydowanie za późno wybrałam się na zakupy. Zrezygnowałam z warzyw na rzecz mięsa. No i właśnie na tym stoisku, pośród gołych, martwych i poćwiartowanych zwierząt, dopadły mnie znów wątpliwości. Bynajmniej nie konsumpcyjnej natury. Zadumałam się nad lodówką z mięsem, trzymając w dłoni hermetycznie zapakowane podudzia indycze.

Wszyscy uznali, że to samobójstwo, a ja się zwyczajnie czepiam. Co takiego siedzi we mnie, że muszę wyjaśnić, co się stało z Grzegorzem. Zdecydowanie nie jestem normalna i nawet głupie drzwi w supersamie mnie wyczuły! Czy powinnam pójść na ten pogrzeb? Ostatecznie przez kilka lat byliśmy z Grzegorzem małżeństwem... A może jednak nie iść, nie rzucać się w oczy i nie drażnić Hermenegildy swoim widokiem?

— Zostaw to, skoro tak cię brzydzi — usłyszałam tuż obok siebie znajomy głos Justyny. Podskoczyłam zaskoczona i ciężące mi w dłoni opakowanie wypadło z powrotem do otwartej lodówki.

— Dlaczego brzydzi? — zdziwiłam się, sięgając ponownie po kawałek indyczego podudzia i niechętnie witając towarzystwo, które odciągało mnie od istotnych rozmyślań.

— Masz taką minę, jakby te podudzia zieleniały wprost na twoich oczach, a nawet wypełzało z nich glizdowate, białe robactwo — wyjaśniła Justyna, zaglądając mi przez ramię do otwartej lodówki.

— Potrafisz skutecznie obrzydzić człowiekowi jedzenie — odparłam, odkładając podudzie.

Wzruszyła ramionami i przesunęła się za mną do kolejnej lodówki, tym razem z mrożonkami.

— Ja tylko opisałam wyraz twojej twarzy. O czym tak rozmyślałaś?

Wyciągnęłam opakowanie mrożonych pyz z mięsem i rzuciłam od niechcenia:

— Czy mam iść na pogrzeb byłego męża?

— Co?! — wykrzyknęła zaskoczona Justyna i złapała mnie mocno za ramię.

— Pogrzeb byłego męża — powtórzyłam, uwalniając się z jej uścisku i przekrzykując głos w megafonie, który właśnie poinformował o wyprzedazy bielizny na stoisku z damską odzieżą.

Justyna wsłuchiwała się w zapowiedź i pomachała w moją stronę ręką, aby mnie uciszyć. Po czym popchnęła swój wózek wyraźnie zainteresowana ogłaszaną promocją.

— A nad czym tu się zastanawiać?! — parsknęła na odchodnym. — Idź! Przynajmniej kogoś poznasz!

Pełna zdumienia i wstrząśnięta niekonwencjonalną poradą koleżanki, gapiłam się, jak pospiesznie i bezceremonialnie przesuwa wózki stojące jej na drodze.

— Na pogrzebie?! — spytałam jej plecy i jasne włosy spięte w kucyk.

Odwróciła się zniecierpliwiona.

— Paulina! Porozmawiamy w pracy — oznajmiła, marszcząc złowrogo czoło. — Teraz muszę coś kupić na wieczór, no wiesz... ubiorę się dla Janka w seksowną bieliznę... Pa!

Jej zgrabna postać zniknęła pośród napierającego na stoisko damskie tłumy. Chwilę trwało, aż odtajałam z bezbrzeżnego zdumienia. Lekko odtajały także trzymane wciąż w dłoni mrożone pyzy z mięsem, więc wrzuciłam je do koszyka i ruszyłam dalej. Przy lodówkach z nabiałem doznałam olśnienia i postanowiłam pójść na ten pogrzeb. Jednak by nie rzucać się w oczy nikomu znajomemu, a przede wszystkim Hermenegildzie, muszę się przebrać. Skuteczny kamuflaż pozwoli także swobodnie obserwować pozostałych żałobników. Przecież wiadomo, że morderca wraca na miejsce zbrodni! No, może trochę mnie poniosło! Cmentarz akurat nie jest miejscem zbrodni, ale przecież morderca może się tam pojawić, aby się upewnić, że ofiara nie żyje, albo też nacieszyć oczy swym dziełem.

Teraz tylko trzeba pomyśleć nad wiarygodną charakteryzacją...

Efektom moich rozmyślań podczas zakupów było nadszarpnięcie skromnego budżetu i nabycie produktów nie do końca niezbędnych mi do przeżycia. Dopiero w domu, wypakowując pękate reklamówki, zorientowałam się, że stałam się szczęśliwą posiadaczką zestawu śrubokrętów, sekatora ogrodowego, jakiegoś trójzębnego narzędzia, zapewne także ogrodniczego, oraz zwiniętego małego węża ogrodowego. Komuś urządzającemu ogród z pewnością przydałyby się takie zakupy, ale ja nie miałam nawet kwiatów w doniczkach. W zdenerwowaniu zgarnęłam wszystko do jednej siatki i zaniiosłam do mojego trzeciego pokoju. Otworzyłam drzwi i postawiłam zestaw małego ogrodnika tuż za drzwiami. Po raz tysięczny rzuciłam okiem na wszechpanujący bałagan, obiecując sobie, także po raz tysięczny albo i milionowy, że zrobię tutaj porządek.

Nocne Polek rozmowy

Chyba nie myślałaś, że cię tak po prostu zostawię? — oburzyła się Joanna, wkraczając do mojego mieszkania późnym wieczorem.

— Zamierzasz mnie ukołysać do snu i poczytać jakąś bajkę? — zapytałam, pokazując piżamę, którą miałam już na sobie.

Dzwonek do drzwi o dwudziestej drugiej trzydziści wyrwał mnie z pościeli i omal nie doprowadził do zawału serca. Jako kobieta trochę więcej niż po czterdziestce powinnam uważać na ciśnienie, serce i poziom cukru. Wstrzymując oddech, dopadłam do drzwi. Przez wizjer ujrzałam pokazującą mi język przyjaciółkę. Cóż było czynić? Odetchnęłam z ulgą i wpuściłam Joannę do mieszkania.

— Czy ty zawsze musisz wbrew okolicznościom robić coś absolutnie durnego? — rzuciła z pretensją, pakując się do mojej sypialni.

Usiadła na brzegu łóżka i założywszy nogę na nogę, oczekiwała odpowiedzi. Daremnie, ponieważ sama byłam zainteresowana odpowiedzią, której nie znałam.

— Tak jak z tym małżeństwem z Grzegorzem — kontynuowała po przerwie. — Wszystkie znaki na niebie i ziemi, a nawet w kosmosie, wskazywały, że to się nie uda. A ty? Masz! Wychodzisz za mąż!

— Byłam zakochana — wtrąciłam, opadając na łóżko i wsuwając się w ciepłą jeszcze pościel.

— Niech ci będzie.

— Jeżeli nie chcesz w tym uczestniczyć... — zaczęłam, zmierzając do sedna.

— A ty nie rezygnujesz — bardziej stwierdziła, niż zapytała Joanna.

Pokręciłam przecząco głową.

— Przecież wiesz, że cię nie zostawię — westchnęła głośno, kładąc się na boku w moich nogach. — Bo dlaczego tylko ty masz mieć rozrywkę i dreszcz emocji?!

— Zazdrośnica!

— Do tego ciekawska jak cholera! — roześmiała się.

— I nie boisz się niebezpieczeństw, bezwzględnych aferzystów finansowych, szalonych morderców? — dopytywałam.

— Boję się, ale już podjęłam decyzję. Najwyraźniej poboimy się we dwie. Jak za starych, dobrych czasów.

Oczywiście miała na myśli nasze młodzińcze lata przypadające na początek domowego wideo przywożonego masowo zza zachodniej granicy. Rodzice Joanny przywieźli z Berlina Zachodniego odtwarzacz wideo. Zresztą przywieźli więcej niż jeden, ale pozostałe zostały z zyskiem sprzedane na tak

zwanym Manhattanie, czyli spontanicznie rozrastającym się placu handlowym w środku Legnicy. Odtwarzacz, a później magnetowid, to było coś. Kwitła wymiana i handel kasetami wideo i wielokrotnie kopiowanymi filmami. Owo raczkujące wówczas piractwo miało swój stały punkt wymiany pod WDK-
iem na ulicy Leńskiego, dziś Nowy Świat. Zaopatrzone w kilka kaset, dobre jedzenie i sangrię ukrywaną przed rodzicami urządzałyśmy u Joanny domowe maratony filmowe, najczęściej z horrorami o Freddy Kruegerze. Potem spałyśmy razem, strasząc się nawzajem i wspominając najbardziej przerażające sceny z obejrzanych filmów.

— Będziesz u mnie nocować? — upewniłam się.

— I to jeszcze w twoim łóżku, bo pokoju gościnnego z pewnością nie wysprzątałaś na mój przyjazd!

— Wybacz, ale nie spodziewałam się takiej osoby o tak późnej porze. Zresztą, szkoda, że ten pokój nie jest z gumy, bo przybywa mi rzeczy, które koniecznie muszę tam umieszczać.

— Nie zdziwiłabym się, gdybyś tam miała część uzbrojenia naszej armii — zażartowała.

— Kto wie? Kto wie? — odparłam tajemniczo i wysunęłam się z łóżka. — Idę zaparzyć herbatę, bo mamy sporo do omówienia.

Joanna zdążyła pospiesznie wziąć prysznic, a ja przyniosłam tacę z imbrykiem i dwoma filiżankami oraz małym co nieco w postaci opakowania delikcji. Nasza nocna narada wymagała także czegoś mocniejszego, więc nie zapomniałam o butelce malinowej nalewki cudem ocalałej z zeszłego roku. Zamknęłam okno w sypialni, ponieważ chłód dzisiejszej nocy stał się nieznośnie przejmujący.

Na początek opowiedziałam Joannie wszystko, czego do tej pory nie mogłam opowiedzieć z racji niesprzyjających okoliczności, niechęci mego brata oraz weselno-ślubnych sensacji Renaty. Na koniec zostawiłam pogrzeb, na który postanowiłam się wybrać w przebraniu.

— Czasu zostało niewiele — stwierdziła Joanna ze zmartwioną miną. — Jak chcesz się przebrać, aby nie rzucać się w oczy i jeszcze nie zostać rozpoznana?

— Myślałam o staruszce — odpowiedziałam z zapalem. — Pełno się ich kręci na cmentarzu, a na pogrzebach tym bardziej, bo liczą na stypę.

Joanna popukała się palcem w czoło.

— Czy ty przypadkiem nie obrażasz tych biednych kobiet?

— W żadnym wypadku. Muszę się tylko ucharakteryzować na przygarbioną staruszkę w ciemnych okularach, takich wiesz, jak fotochromy. Chustka na włosy. Wystające kosmyki się poszarzy. Może popiołem?

— A co z dłońmi i cerą? Przecież daleko ci do osiemdziesięciolatki!

— Powinnam to uznać za drogocenny komplement!

— Oczywiście, biorąc pod uwagę, że zamierzam ci się wpakować do łóżka.

Roześmiałyśmy się, wznosząc toast za odległość czasową do późnej starości.

— Znam jedną dziewczynę z naszego domu kultury z teatralnej grupy — odezwałam się po chwili. — Na pewno zgodzi się mi pomóc.

— Czyli idziesz na pogrzeb. A potem?

— Jadę na miejsce zbrodni. Od tego zaczyna porządny śledczy. Potem rozmawiam z najbliższymi, znajomymi i podejrzanymi...

— Z Hermenegildą też? — przerwała z szelmowskim uśmiechem Joanna, nalewając kolejną porcję nalewki do kieliszków.

— Nie zamierzam być aż takim dokładnym śledczym — zaprotestowałam. — Poza tym co ona może powiedzieć? To jej ukochany synek, więc też pewnie nie wierzy w samobójstwo.

— Cóż za brak profesjonalizmu! — parsknęła moja bratowa. — I co dalej?

— Jeszcze tylko muszę zobaczyć dom Grzegorza i rozwiązać zagadkę jego śmierci — zakończyłam, unosząc pełny kieliszek do toastu.

Joanna zamrugała z niedowierzaniem.

— To już będzie przestępstwo — wycodziła przez zęby. — Włamiesz się do jego domu?! Przecież to twierdza, sama mówiłaś. Więcej tam alarmów na metr sześcienny niż w pałacu prezydenckim. Ledwie pomyślisz o zbliżeniu się do jego willi, a już cię obezwładnią antyterrorysty.

— Jeszcze tego nie przemyślałam — wycofałam się, przyznając rację przyjaciółce.

Joanna uniosła ostrzegawczo palec wskazujący.

— Jeśli nie masz klucza i nie znasz kodów, to wykreśl łaskawie tę pozycję ze swojej listy powinności śledczego, bo sobie nie życzę odwiedzać cię w więzieniu! — zastrzegła stanowczo.

Przypomniałam sobie twierdzę Grzegorza, więc uniosłam w górę jedną rękę na znak poddania się sile argumentacji Joanny. W drugiej trzymałam kieliszek, który samotnie opróżniłam.

— A co z tym Niedzielą? — spytała, przyglądając mi się podejrzliwie. Najwyraźniej nie uwierzyła w odrzucenie przeze mnie planowanych przestępczych działań. — Pomoże?

— No coś ty! — parsknęłam. — Przecież go w ogóle nie znam i zdaje się, że nie będzie tak łatwo nad nim popracować! Co innego, gdybym była Angeliną Jolie albo jakąś supermodelką...

— Szkoda. Nie mam znajomych w policji. A Przemek, sama wiesz, nie chciał o niczym słyszeć. — Posmutniała, wypowiadając imię mojego brata. — Pewnie zna wielu, ale palcem nie kiwnie.

— Cóż, na razie musimy się wspierać fachową literaturą, filmami i własną, jak by nie było, kobiecą intuicją — rzekłam, zbierając naczynia, po czym dodałam pospiesznie: — Śpię od zewnętrznej! Nawet nie wiesz, ile razy kobieta w moim wieku musi wstawać w nocy do toalety.

— Co ty nie powiesz! A kobieta w moim wieku? Pojęcia nie masz! — Roześmiała się, przesuwając się do ściany.

Nawet się nie spostrzegłyśmy, jak noc zaczęła się rozjaśniać i powoli nadchodził świt. Postanowiłam wziąć dzisiaj urlop, aby moja słaba wydajność po nieprzespanej nocy nie pozbawiła mnie głównego źródła zarobku. Ziewnęłam przeciągle i wyniosłam naczynia do kuchni.

Wypadki czyhają tuż za progiem

Pelna pozytywnej energii pomimo nieprzespanej nocy zbiegałam pospiesznie ze schodów. Pozywne śniadanie przygotowane przez Joannę przyjemnie ciążyło jeszcze w żołądku. Jaka szkoda, że takie święta nie zdarzają się codziennie. Oczywiście zbudził nas telefon od Renaty, która koniecznie potrzebowała porady w kwestiach towarzyskich, ale jednak powiązanych z własnym ślubem. Otóż jedna z przyjaciółek na babskim wieczorze okropnie się spiła i narozrabiała w lokalu. Chciała tańczyć na stolikach, wulgarnie zaczepiała mężczyzn i na koniec zarzygała całą toaletę. Jednak najgorsze dla Renaty miało dopiero nadejść, a właściwie nadjechało w osobie Olusia, który w dobrej wierze przyjechał po moją bratanicę. Wówczas oprzytomniała nagle przyjaciółka rzuciła się na zaskoczonego Aleksandra zachłannie i uwiesiła na szyi. Dylemat Renaty, która z trudem hamowała płacz, polegał na tym, że owa przyjaciółka ma być świadkiem na ślubie. Moja bratanica natychmiast roztoczyła katastroficzne wizje skandalu już w kościele, gdzie w pijackim pląsie przyjaciółka rzuca się na Olusia, zdzierając zeń odzież i obdarzając pożądliwie namiętymi pocałunkami w obecności księdza i gości. Wiadomo, że w takich okolicznościach słaba płeć męska ulega i koniec małżeńskiego szczęścia gotowy! Zatem czy odwołać ślub lub zmienić termin i nie powiadamiać o tym przyjaciółki świadka, czy ją zwyczajnie zamordować?

Joanna wróciła do Legnicy, by powstrzymać kolejną próbę krwawego rozwiązania problemów, a ja postanowiłam oddać się swemu ulubionemu zajęciu, które dzisiaj miało mnie zrelaksować przed trudną misją, czyli bieganiu. Właśnie wychodziłam z klatki schodowej, stawiając pierwsze kroki na rozgrzanym przez popołudniowe słońce chodniku, gdy kątem oka dostrzegłam zbliżający się szybko jakiś duży cień. Przestraszona odskoczyłam instynktownie do tyłu, niefortunnie wykręcając sobie stopę. Zdenerwowana rosnącym bólem w kostce, podniosłam wzrok gotowa zgładzić przyczynę mego nieszczęścia. Moje mordercze spojrzenie padło na uśmiechniętego podkomisarza Niedzielę, który nie chcąc przerywać biegu, dreptał w miejscu. Głowę przed słońcem ukrył pod czerwoną czapką z daszkiem. Miał na sobie biały podkoszulek, opinający umięśnione łagodnie ramiona, i o dziwo, długie, czarne spodnie dresowe. Brakowało mi nieodłącznej szarej bluzy z kapturem, który tak długo skrywał tożsamość biegacza.

— Co to ma znaczyć?! — wykrzyknęłam, ignorując szelmowski uśmiech podkomisarza. — To teraz policja zamiast chronić obywateli, napada na nich przed ich własnym domem?!

— Przepraszam — wysapał, nie przestając się uśmiechać. — Rzeczywiście, zamyśliłem się i podbiegłem za blisko budynków. Całe szczęście, że nie dostałem drzwiami.

— Najwyraźniej spodobało się panu na izbie przyjęć, bo pcha się pan w gips... — stwierdziłam ze słabnącą złością. — I jeszcze ciągnie pan za sobą innych.

— Taaak. Zakochałem się w tym brodatym chirurgu, ale nie potrafię mu tego wyznać wprost.

— Dlatego pałęta się pan pod moim domem? — rzuciłam, masując stopę w kostce, by po chwili spróbować na niej stanąć. Próba wypadła bezboleśnie, więc od razu poprawił mi się humor.

— Jeśli chodzi o niespodziewane wypadki, to mogę na panią liczyć.

Uśmiechnęłam się, bo jak tu się nie cieszyć z uratowanej sprawności fizycznej i ciepłego, słonecznego popołudnia.

— Biega pani? — spytał.

— Omal mnie pan nie wyeliminował...

— Ale nic się nie stało? — udał zatroskanie. — Bo jeśli tak, to mogę odprowadzić na izbę przyjęć.

— Na szczęście nic się nie stało, więc tego chirurga musi pan poderwać kiedy indziej — stwierdziłam. — Swoją drogą, pielęgniarka była ładniejsza i dużo młodsza, ale skoro woli pan chirurga.

— Brr — wzdrygnął się ostentacyjnie. — Gdyby jeszcze nie był taki brodaty... To co? Może pobiegamy razem?

— Dlaczego nie? — zgodziłam się i ruszyliśmy w stronę placu Matejki.

— Nie miałyby pani ochoty zmienić trasy? — spytał, gdy zbliżaliśmy się do pomnika górnika przed budynkiem poczty.

Gdy dotarliśmy do placu, gdzie drogi rozchodziły się w różnych kierunkach, Bruno zatrzymał się, czekając na moją odpowiedź.

— Często się zamyślam i wtedy przestaję kontrolować, co się wokół mnie dzieje — wyjaśniłam. — Wolę stałą trasę, bo włączam coś na kształt automatycznego pilota i nogi mnie same prowadzą. Nie mam wtedy obawy, że nie zauważę samochodu lub pociągu.

— Zaproponuję zatem nie tylko inną trasę, ale i własne towarzystwo, aby nie włączył się autopilot — powiedział, walcząc z przyspieszonym oddechem.

— Z policją bezpieczniej? — rzuciłam z ironią. — Jakoś mnie pan nie przekonał, napadając pod klatką schodową.

— Zapomnijmy, że jestem policjantem.

— To z byłym komandosem bezpieczniej? — czepiałam się złośliwie.

— Nie byłem komandosem — sprostował z lekkim uśmiechem.

— Dobra! Ostatnia próba: z byłym wojskowym bezpieczniej!

— Skoro potrzebne pani hasło inicjujące... Może być. To jak? Biegniemy inną trasą?

— Tak od razu? W ciemno?

— Mamy wyjątkowo słoneczne popołudnie — podkreślił Niedziela z uśmiechem.

Przyjrzałam mu się krytycznie. Jeszcze nie tak dawno był szorstki i nieprzyjemny, a teraz dowcipkuje sobie z urokliwym uśmiechem, który zdecydowanie złagodził mu rysy. Ile on może mieć lat? Na pewno jest starszy ode mnie, ale w tym białym, opiętym podkoszulku prezentuje się znacznie młodziej i — co tutaj ukrywać — uśmiechając się, odejmuje sobie lat. Czy on próbuje mnie podrywać? Jeśli tak, to

powinam stanowczo obstawać przy starej trasie, w dodatku przebytej samotnie. Tylko że popołudnie istotnie było bardzo słoneczne i nie potrafiłam odmówić.

— Dobrze — odpowiedziałam. — Ale pod jednym warunkiem.

Pochylił się, kładąc dłonie na biodrach i przyjmując wyczekującą postawę. Ostentacyjne spojrzenie, jakim mnie obrzucił, wcale mi się nie spodobało i trochę zaniepokoił mnie ten krótki błysk w oku.

— Niech zgadnę — wtrącił. — Mam pani nachalnie nie rwać, nie opowiadać świńskich dowcipów i nie gapić się na pani tyłek, gdy będę z tyłu.

No, zatkało mnie zupełnie! Jakąś nadludzką siłą woli udało mi się powstrzymać opadającą z wrażenia szczękę i wypowiedzieć ledwo słyszalnie:

— Chciałam tylko zaproponować przejście na „ty”.

— Zgoda — odparł szybko. — Zatem biegniemy nad zalew.

Ruszył pierwszy w stronę ulicy Stromej.

Teatralne przygotowania do oscarowej roli

Czy bliższa znajomość z podkomisarzem Niedzielą, a dokładnie z Brunem, zaowocuje znacznymi postępami w moim śledztwie, które dzięki jego zawodowemu doświadczeniu nabierze profesjonalnego charakteru? Nie wiem, ale miałam taką nadzieję. Biegliśmy w milczeniu, jako że przyspieszone oddychanie nie sprzyjało towarzyskiej konwersacji, nie miałam zatem szans wykorzystać sprytnie wiedzy i doświadczenia biegnącego tuż obok mnie podkomisarza w opiętym białym podkoszulku à la amerykański żołnierz. Rozstaliśmy się także pośpiesznie bez obietnic na kontynuowanie wspólnego joggingu. Spieszyło się przede wszystkim mnie, miałam bowiem w planach przygotowania do przemiany w staruszkę albo hienę cmentarną.

Szczyście mi sprzyjało, jak to z głupimi często bywa, ponieważ do Kasi od warsztatów teatralnych, którą zamierzałam poprosić o pomoc, przyjechała kuzynka z samiuńskiej Łodzi, gdzie zajmowała się zawodowo charakteryzacją. Moja przemiana dokonała się bez spektakularnych gromów z jasnego nieba, wstrząsów czy fanfar, w ciasnej garderobie początkujących aktorek.

— Staruszka! — parsknęła z nieukrywaną niechęcią kuzynka Kasi, zwana Dorotą. — Co to za wyzwanie?!

W lustrze, na wprost którego mnie posadziły, ujrzałam dwie posępne twarze. Odbijał się też plakat z C.C. Catch, dla odmiany uśmiechającą się szeroko do swych fanów.

— Dlaczego upierasz się przy staruszce? — dopytywała Kasia, którą pobieżnie wtajemniczyłam w swój plan. Oczywiście powiedziałam część prawdy, nie wdając się w szczegóły. Wyszła mi całkiem zgrabna romantyczna historia, jak to w obawie przed niechęcią, a nawet nienawiścią matki ukochanego nieboszczyka muszę się ukrywać, aby móc go godnie pożegnać. Nasz związek długo trzymaliśmy w tajemnicy właśnie ze względu na zaborczą mamusię, ale nie doczekaliśmy się ślubu, bo ukochany zmarł. Kasia szczęśliwie skupiła się na zaborczej mamusce, pałając do niej natychmiastową niechęcią. Najwyraźniej miałyśmy podobne doświadczenia, bo od razu zgodziła się pomóc, by dopiec tej upiornej babie.

— Bo jako Julia Roberts rzucałabym się w oczy? — podsunęłam z nieśmiałym uśmiechem.

Dorota wykrzywiła twarz, jeszcze bardziej okazując pogardę dla mego pomysłu.

— Nie — odpowiedziała stanowczo. — Tutaj pasowałyby raczej Meryl Streep albo Glenn Close.

— Ma być staruszka — zaprotestowałam głośno. — To jest pogrzeb, a nie rozdanie Oscarów! Nie mogę się rzucać w oczy.

— Mogłabyś być na przykład staruszką... — podsunęła Kasia, grzebiąc w drewnianej szafie, gdzie

trzymała część kostiumów. Jak na zawołanie odnalazła długą, siwą brodę i skwapliwie przyłożyła mi do twarzy.

Dorota również zapaliła się do tego pomysłu, wydając okrzyk zachwytu, jakby stara i kłująca w policzki broda natychmiast dodała mi splendoru i blasku. Musiałam wylać na dziewczyny kubek zimnej wody.

— Ma być staruszka, bo nie mam czasu teraz uczyć się być facetem. No, wiecie, cały ten chód i maniery — tłumaczyłam, delikatnie odsuwając od siebie brodę. W końcu udało mi się przekonać dziewczyny do rozpoczęcia przemiany.

Gdy ta już się dokonała, nie mogłam uwierzyć, że ta pomarszczona babcinka z białymi włosami elegancko upiętymi w rzadki koczek, która gapiała się na mnie w lustrze, to ja! Poza zmarszczkami stałam się posiadaczką znacznie większego nosa.

— Jesteście absolutnie cudowne! — wykrzyknęłam w szczerym zachwycie.

— Na oko masz jakieś osiemdziesiąt sześć lat — oceniła fachowym okiem Dorota i nałożyła mi jeszcze okulary w grubych oprawkach.

— Czy nie jestem za elegancka? — zważyłam nagle.

— Idziesz na pogrzeb — przypomniała Kasia i ponownie zniknęła w swojej przepastnej szafie. — Zaraz znajdę jakiś czarny ciuch. A jak nie, to kupimy w lumpeksie.

Pełna niekłamanego podziwu przyglądałam się efektom fachowej pracy Doroty. Zadbana o każdy szczegół. Nawet zęby miałam sztuczne i jasnoniebieskie soczewki. Postanowiłam wypróbować na kimś tę moją charakteryzację. Najbliżej znajdowała się Justyna, która w sąsiedniej sali prowadziła warsztaty plastyczne. Poza tym znała mnie wystarczająco długo i wystarczająco się przez lata na mnie napatrzyła, aby mnie rozpoznać. Jeśli Justyna się nabierze, to nabiorą się inni.

Dla wzmocnienia efektu przygarbiłam się nieco i starczym suwem, lekko przesadzonym według Kasi i Doroty, ruszyłam odegrać swą pierwszą rolę. Zanim nacisnęłam kłamkę, wzięłam głębszy oddech i delikatnie zapukałam. Zapraszający do środka głos Justyny usłyszałam całkiem wyraźnie jak na prawie dziewięćdziesięciolatkę, za którą miałam uchodzić. Wsunęłam głowę, a potem powoli resztę swej przygarbionej postury. Natychmiast oblepiły mnie ciekawskie spojrzenia dzieci. Rozejrzałam się za Justyną, starając się spowalniać swoje ruchy. Okazało się, że stała obok. Podskoczyłam w nagłym przestraszu.

— Szuka pani kogoś? — spytała Justyna, podchodząc bliżej.

Cofnęłam się odruchowo, by nie ułatwiać jej rozpoznania z bliskiej odległości. Udałam zakłopotanie, lecz nie odezwałam się słowem.

— Kogo pani szuka?! — krzyknęła Justyna, najwidoczniej sądząc, że brak odpowiedzi wynika z totalnej głuchoty. — Mo-że mo-gę po-móc?! — drążyła, sylabizując.

Choć nieco boleśnie odczułam uznanie mnie za tępawą staruszkę, mogłam odejść usatysfakcjonowana. Justyna mnie nie rozpoznała. Pałała chęcią pomocy zagubionej w korytarzach domu kultury staruszce, ale

nie dostrzegła we mnie Pauliny Bożyk! Wyczytałam w jej oczach empatię dla tej kupy nieszczęścia, jaką musiałam prezentować. Nie dość, że stara, głucha, otepiała, to może jeszcze niemowa. Bezsensownie zamachałam Justynie rękoma przed oczami, nie bardzo wiedząc, co robić dalej, i wycofałam się, kłaniając w pas.

Teraz tylko wyprawa na pogrzeb, westchnęłam oparta o drzwi do pracowni plastycznej.

Nie było już czasu na dalsze eksperymenty z identyfikacją. Pogrzeb zbliżał się nieubłaganie. Zapakowałam wszystkie niezbędne akcesoria, które stereotypowo kojarzą się z bardzo starymi ludźmi. Na pamiątkę cyknęłam sobie fotkę aparatem w telefonie i wysłałam MMS-em do żeńskich członków rodziny. Nie zawiodłam się na bratanicy, która ze swoim telefonem chadzała wszędzie i prawdopodobnie nawet spała wtulona w swój aparat zamiast w męskie ramię Olusia.

— Rany! — jęknęła do słuchawki. — Czyżbyś odnalazła jakąś naszą daleką krewną, którą powinnam zaprosić na ślub? Kto to taki?

Westchnęłam ciężko.

— To ja! — rzuciłam rozbawiona.

— Tak masz zamiar przyjść na moje wesele? — zapiszczała niezadowolona. — Ciociu, rozumiem, że nie chcesz żadnych facetów, nie chcesz, aby cię ktoś włókł do tańca, ale tym razem przesadziłaś w robieniu z siebie odstraszałającej baby!

— To nie na twoje wesele się tak wyszykowałam, ale na pogrzeb — wyjaśniłam, schodząc ostrożnie, jak na staruszkę przystało, z szerokich schodów domu kultury.

— Jezu! — Renata wydała z siebie nieludzki pisk, aż przystanąłam w pół kroku. — Kto umarł?!

— Renia, czy ty w tak młodym wieku masz już sklerozę? — zagadnęłam, kierując się w stronę przystanku. — Grzegorz, mój były mąż!

— No tak! Kamień spadł mi z serca, że to jednak on, a nie ktoś z naszej rodziny.

Ledwie się rozłączyłam z bratanicą, gdy zadzwoniła Joanna.

— Cudownie! — wykrzyknęła bez zbędnych wstępów. — Teraz sobie ustawię to zdjęcie w kontaktach! Do twarzy ci z tą starością!

— Dziękuję i postaram się ze wszystkich sił nie obrazić. Muszę kończyć. Jak tylko wrócę z pogrzebu, przyjadę do was. Trzymaj kciuki!

— Może powinnam z tobą pójść? W charakterze opiekunki.

Roześmiałam się szelmowsko i rozłączyłam bez pożegnania.

Wsparta na lasce dotarłam do świąteł, z niepokojem patrząc na zegarek. Kasia nie zapomniała i o tym drobnym szczególe, że starsi ludzie zawsze mają zegarki. Zatrzymałam się przed przejściem, tuż obok objętej pary młodych ludzi. Zupełnie nie zwracali na mnie uwagi, zajęci wymianą czułości i pocałunków. Nie byłabym sobą, gdybym nie skorzystała z okazji.

— Młody człowieku — odezwałam się, odpowiednio modulując głos.

Chrząknęłam znacząco, młodzieniec bowiem nie zareagował.

— Młody człowieku! — ryknęłam i wówczas objawiła mi się pryszczata, zdumiona twarz z rozwichrzoną czupryną, której od czasów niemowlęctwa obcy był grzebień. — Czy mógłby mnie pan przeprowadzić przez ulicę?

Pojedynek na laski

Kiedyż do ciężkiego licha przyjemna wiosna zamieniła się w upalne lato? — pomyślałam ze złością, gdy wysiadając z busa, zderzyłam się z afrykańskim ukropem. W normalnych okolicznościach okazywałabym nawet przesadny entuzjazm, uwielbiam bowiem upały, ale teraz targała mną potężna obawa o makijaż. Czarny, wdowi ubiór nie ułatwiał utrzymania kamuflażu. Zanim dotrę do cmentarza, przestanę przypominać staruszkę, lecz jakieś dziwadło z rozmazaną ohydnie twarzą, zalane potem i z odłóżającym sztucznym nochalem.

Na wszelki wypadek zainwestowałam w taksówkę, na szczęście z klimatyzacją. Krótką podróż przez miasto spędziłam na dopracowywaniu planu. Jako że miałam zamiar dyskretnie przyglądać się obecnym, ewentualnie podsłuchać jakieś kularowe rozmowy, postanowiłam wystąpić w charakterze wdowy, która niedawno straciła męża i z należną pieczołowitością opiekuje się grobem swego nieodżałowanego małżonka. Kwestię wyboru grobu pozostawiłam przypadkowi. Wiadomo, że musi być blisko grobu Grzegorza. Zaopatrzona w trzy znicze, wspierając się na drewnianej lasce, szłam powoli główną aleją, rozglądając się dyskretnie. Przed kaplicą cmentarną gromadzili się już ludzie z kwiatami i drobnymi wiązkami. Większe wieńce wnoszono do wnętrza, gdzie efektownie opierano je o katafalk. Powoli, jak przystało na wiekową niewiastę, wspinałam się po schodach do kaplicy. Jeden z grabarzy, ubrany w elegancki garnitur i stojący przy elektrycznym wózku, pomógł mi życzliwie w dotarciu na szczyt.

Było to mimo wszystko straszne uczucie, aż zachwiałam się z wrażenia. Nie przewidziałam, że widok trumny, wieńców i zdjęcia Grzegorza na katafalku tak mną wstrząśnie. Całe szczęście, że wspierałam się na lasce i że w pobliżu znajdowało się krzesło. Kto by się spodziewał, że Grzegorz umrze? Nigdy, przenigdy nie myślałam o żadnym z moich facetów jako nieboszczyku. Chadzanie na pogrzeby odkładałam na daleką przyszłość, w której albo ja, albo oni przyjdziemy na pogrzeb jako starcy. Cóż, poniekąd tak się stało...

Targały mną niespodziewane uczucia, uniemożliwiające spokojne realizowanie planu obserwacji. O matko, jakże mi się chciało wyć. A widok zgarbionej Hermenegildy przyprawiał mnie o niebotyczną rozpacz! Trupio blada, pozbawiona makijażu, z napuchniętymi od płaczu oczami cicho łkała nad trumną jedyne i bezkrytycznie kochanego syna. Cokolwiek by o niej mówić, straciła dziecko! Przecież to był taki młody człowiek. Zimny, wyrachowany, ale młody. Przecież kiedyś go kochałam! Jezu! Chyba powinnam wyjść, bo nie zniosę w spokoju tej ceremonii. Wstałam i tym razem bez udawania, bo uczciwie przygnębiona, sunęłam powoli do wyjścia. Byłe tylko nie płakać, upominałam samą siebie, pamiętając o kamuflażu. Cholera, że też nie przewidziałam własnej reakcji i nie zażyłam relanium.

Opadłam na ławeczkę przed kaplicą, z widokiem na wejście. Teraz, by odpędzić smutek, żal i współczucie, skupiłam się na ludziach kręcących się wokół budynku. Od razu rozpoznałam przysadziłą sylwetkę Dominiki Dąbrowskiej, nigdy nieuśmiechającej się sekretarki Grzegorza. Jej krótko przystryżone, czerwone włosy zwracały uwagę na tle szarzyzny cmentarza. Dominika stała samotnie przy schodach, jak zawsze elegancko ubrana w dwuczęściowy czarny kostium w dobrym gatunku. Z tej odległości nie dostrzegłam, ale mogłam się założyć o duże pieniądze, że miała idealny makijaż i pomalowane na czerwono paznokcie. Pomimo upału kłocowate nogi pozbawione kostek ukryła w czarnych rajstopach. Grzegorz nazywał ją swoim psem i nawet postawił jej na biurku tabliczkę z napisem „Cave canem” — „Strzeż się psa”. Trudno powiedzieć, jak to zniosła, ponieważ na jej twarzy nie widziałam nie tylko uśmiechu, ale w ogóle żadnych emocji. Grzegorz na pewno nie przejmował się jej reakcją. Żartował, że dobrze ją wytresował, ale nie nauczył szczekania. Naprawdę zdziwił się, gdy broniłam tej kobiety, twierdząc, że na pewno ma jakieś uczucia, z którymi należy się liczyć. Więcej już nie chwalił się przede mną, jak traktował Dominikę, ale nie podejrzewam, by zmienił się w anioła.

Świecka ceremonia pogrzebowa w kaplicy dobiegła końca. Grabarze znosili wieńce, a po chwili powrócili z trumną, by ustawić ją na elektrycznym wózku. Hermenegilda, której donośny szloch szarpał moje nadwrażliwe serce, wyszła podtrzymywana za ramię przez starszego, eleganckiego mężczyznę. Być może to nowy przyjaciel mojej byłej teściowej, bo ojciec Grzegorza nie żył. Pozostali ludzie ustawiali się w kondukcje za matką. Sprawiali wrażenie zniecierpliwionych. Co chwilę zerkali na telefony komórkowe, pisali SMS-y albo odchodzili na bok, by porozmawiać. Niewielu przyszło pożegnać Grzegorza. Rozpoznałam kilku pracowników banku. Przede wszystkim Piotra Murarza — zastępcę Grzegorza, którego mój były mąż nazywał swoim asystentem pomimo awansu, z którym nie mógł się pogodzić. Szczególnie że stało się to jeden jedyny raz bez decyzji dyrektora, ale na polecenie centrali. Grzegorz się wściekał, ale z czasem przestał pogardliwie komentować każde posunięcie Piotra. Nie przestał tylko mówić o nim „mój asystent”. Piotr sprawiał dobre wrażenie, miał chłopięcą twarz z wiecznym uśmiechem równych i wybielonych zębów oraz blond grzywkę niesfornie opadającą na oczy. Wysportowana sylwetka, chłopięcy urok, sprężysty krok i muskulatura odznaczająca się pod eleganckimi koszulami wywoływały ciche westchnienia wielu kobiet, które Piotr po prostu zaliczał. Teraz również na jego męskim ramieniu zdawała się wisieć pogrążona w żałobie blond piękność w ciemnych okularach na pół twarzy.

Poczekalam, aż kondukt ruszy przy dźwiękach żałobnej pieśni. Dopiero wtedy podniosłam się z ławki i dołączyłam do ostatnich żałobników. Żałobników jedynie z nazwy, bo jak się okazało, większość miała ciekawsze zajęcia. Dwaj mężczyźni, na oko trzydziestoletni, wymieniali uwagi na temat filmików w swoich telefonach, które niewątpliwie dotyczyły płci przeciwnej. Moja obecność, a nawet nieboszczyka Grzegorza, bynajmniej im nie przeszkadzała. Do tej pory walczyłam z okropnym upałem, ze wzruszeniem, a teraz jeszcze musiałam walczyć z chęcią zdzielenia tych dwóch facetów laską przez łyby.

Gdy tylko dotarliśmy do miejsca pochówku, rzuciłam się na najbliższy grób, tak jak planowałam

wcześniej. Szczęśliwie ustawiłam się za Piotrem i jego partnerką. Wyjęłam delikatnie znicze, by postawić na grobie, i klęknęłam na ziemi.

— ...mnie przesłuchali — usłyszałam strzępek rozmowy. Trąbka i skrzypce zaczęły grać, zagłuszając ją. — Ale ja nawet nie miałam kluczy od jego domu! — jęknęła głośniej.

— Pst! — upomniał ją Piotr. — Wiem.

Zaczęłam się bujać to w przód, to w tył, mamrocząc coś pod nosem, co mogło uchodzić za wdowie utyskiwanie nad grobem dopiero co utraconego małżonka.

— Nie wiem, gdzie co trzymał... — wyszeptała blondynka.

— Rozumiem. — Piotr kiwnął głową.

Zapadło chwilowe milczenie.

— A Natasza? — spytał po chwili. — Ta sprzątaczką.

— Podawał jej kody i za każdym razem zmieniał — wyjaśniła kobieta. — Pilnował ją, miał kamery. Nic nie wie... A ta jego żona? — spytała nagle, a mnie zrobiło się jeszcze bardziej gorąco.

— Nienawidził jej jak mało kogo i nawet dziwię się, że to nie ona tutaj leży zamiast niego... — odpowiedział Piotr, a mnie ciarki przeszły po plecach. Z emocji ledwie łapałam oddech.

— Pewnie matka wszystko trzyma i znów się zacznie... — dodał po chwili.

— Kurwa mać — syknęła przez zęby blondynka i Piotr znów musiał ją stanowczo upomnieć.

Zaczynało się robić interesująco, ale podsłuchiwanie zostało brutalnie przerwane. Jakaś starsza pani mocno szarpnęła mnie za ramię, przywracając do rzeczywistości ostrym tonem:

— Kim pani jest i skąd zna mojego męża?!

— Cóż... — Zaskoczona szukałam sensownej odpowiedzi, domyślając się w lot, że mam oto do czynienia z prawdziwą wdową, a ja klęczę przy grobie jej męża, pojękując z rozpacz.

Starsza pani, zdecydowanie niepozbawiona temperamentu, nie czekała na odpowiedź. Na wdowim wyposażeniu miała drewnianą laskę i nie zawahała się jej użyć niezgodnie z przeznaczeniem. Chroniąc swą głowę oraz kamuflaż, pochwyciłam swoją laskę i nawet sprawnie odparowywałam ciosy. Nietrudno się domyślić, że moje starania, aby pozostać niewidoczną, szlag trafił, bo wszystkie oczy zwróciły się na dwie staruszki pojedynkujące się o nieboszczyka. Cóż było czynić? Oddałam punkty walkowerem i uciekłam w popłochu, chcąc uciszyć skandal.

Nowa-stara krewniaczka

Dorota zdała egzamin z charakteryzacji na szóstkę! Pomimo niesprzyjających warunków atmosferycznych, czyli trzydziestu czterech stopni Celsjusza w słońcu, mój starczy wygląd nie uległ żadnym deformacjom. Solidna, fachowa robota! Do mieszkania Joanny i Przemka dotarłam w stanie nienaruszonym, aczkolwiek musiałam mieć lekkie porażenie słoneczne i może jeszcze początki odwodnienia. Goniona do głównej bramy przez rozsierdzoną wdowę wymachującą złowrogo laską, nawet nie pomyślałam, aby skorzystać z jakiegokolwiek środka transportu. Wrzuciłam piąty bieg i na nogach pognałam przez osiedle Kopernika, później przez wiadukt i siłą rozpędu znalazłam się na Piekarach. Jak by nie było — mam w sobie moc! I niezłą przedwojenną kondycję, której zazdrościli mi mijani przechodnie w młodszym wieku! Widok cwałującej osiemdziesięciolatki w trzydziestostopniowym upale we wdowiej czerni i z laską pod pachą długo zostanie im w pamięci.

— Woodyyyy! — ryknęłam w progu do rozbawionej moim wyglądem Joanny. Niezdolna do dalszych ruchów osunęłam się zaraz przy drzwiach, opierając plecami o szafę. Teraz dopiero poczułam straszny ból nóg, a przed oczami zamigotał mi cały gwiazdozbiór.

— Wyglądasz jak moja babcia! — wykrzyknęła Joanna, podając mi upragnioną szklanekę wody. — I te ręce! — dodała, przyglądając się moim dłoniom. — Ależ z ciebie starucha!

Zajęta uzupełnianiem wody w organizmie zignorowałam ostatnią uwagę.

Zaintrygowani okrzykami w przedpokoju pojawili się Renata i Oluś. Ten z miejsca szarmancko rzucił się, by mnie podnieść z podłogi, jako jedyny przejęty moją starczą niedolą. Natychmiast zostałam zaniesiona na sofę, gdzie pod plecy podłożono mi poduszkę. Tuż obok, w zasięgu ręki pojawiła się cała butelka wody.

— Ciociu — jęknęła Renata, przyglądając mi się z bardzo bliska. — W życiu bym cię nie poznała na ulicy!

— Niesamowite! — potwierdziła Joanna, która nie kryjąc rozbawienia, oglądała mnie z fotela naprzeciwno.

— Też muszę mieć taki makijaż na ślub — oznajmiła Renata.

— Zwariowałaś?! — wykrzyknęłyśmy jednocześnie z Joanną.

Obie z przerażeniem spojrzałyśmy na Renatę. Jeszcze świeżo miałyśmy w pamięci poprzednie pomysły na niekonwencjonalny ślub. Raz miało być w stylu średniowiecznym i wspólne biesiadowanie przy glinianej misce z kaszą, a Oluś w pełnej zbroi z opuszczoną przyłbicą! Potem styl westernowy — Oluś w kowbojskim przebraniu porywa piękną damę sprzed saloonu, wystrzeliwując w powietrze

z rewolweru, i przywozi pod kościół na oklep konno. Styl tolkienowski — ślub w krainie elfów i krasnoludów. Jeszcze styl siedemnastowieczny z efektownymi perukami, pieprzykami, toną pudru i Oluś w rajtuzach, bucikach z klamerką, gnący się w dworskich ukłonach.

Tak się do tej pory w wielkim skrócie prezentowały pomysły Renaty i dlatego myśl, że wszyscy charakteryzujemy się na rezydentów domu starców, z całym szacunkiem, wywołała więcej niż popłoch w naszych umysłach.

Głośne chrząknięcie spłoszyło makabryczne wizje.

— Czy mogłabyś mnie przedstawić swojej krewnej? — odezwał się Oluś, oparty o futrynę i do tej pory cierpliwie przysłuchujący się rozmowie.

Zaskoczone pytaniem wszystkie trzy spojrzałyśmy na niego i po chwili zgodnie wybuchłyśmy śmiechem. Zakłopotany przerzucał wzrok z jednej na drugą, milcząco domagając się wyjaśnień.

— Nie poznajesz naszej starej poczciwej cioci? — zaśmiewała się Renata.

— Czy myśmy się już poznali? — zdumiał się Oluś, nie rozumiejąc ogólnego rozbawienia. — To przepraszam...

— Ależ to ciocia Paulina — wyjaśniła Renata, z trudem panując nad śmiechem.

— Tak, to ja — potwierdziłam, ściągając okulary i delikatnie odklejając pomarszczoną skórę na dłoniach.

Oluś omal nie zemdlął, ale dzielnie trzymał się futryny, przyglądając się drastycznym zabiegom zdzierania skóry. Joanna podsunęła mu szklankę wody i dodała tytułem wyjaśnień:

— To kamuflaż. Tak się teraz chadza na pogrzeby byłych mężów!

— O w mordę! — jęknął Oluś i zdecydował się przyjrzeć bliżej mojej twarzy, siadając obok mnie na sofie. Wciąż nie mógł uwierzyć, że to ja.

— Pomóżcie mi to odkleić — zwróciłam się do Joanny i Renaty. Pod makijażem miałam coś w rodzaju drugiej, ale mocno pomarszczonej skóry, którą Dorota pozwoliła mi po użyciu wyrzucić. Odklejanie przypominało odrywanie łuszczącego się naskórka po intensywnym opalaniu. Oluś pełen niedowierzania przyglądał mi się, nie kryjąc zachwyty.

— Zupełnie nie do poznania — potwierdził. — Fantastycznie!

— Szkoda, że taty nie było — westchnęła Renata, pomagając mi ściągnąć perukę. — Chciałabym zobaczyć jego minę.

— Albo tatka — podsunęła ze śmiechem Joanna. — Jeszcze by ci się oświadczył!

— Eee, niee — wtrąciła Renata. — To nie jego grupa wiekowa.

— Ty się tak nie śmiej ze starszych ludzi — upomniałam ją. — Kiedyś też będziesz miała osiemdziesiątkę!

— Zupełnie jak moja babcia... — westchnął Oluś, przyglądając się ściągniętej sztucznej skórze, która w kawałkach piętrzyła się w stosiku na ławie.

— No właśnie! — przypomniała sobie Renata. — Co z twoją babcią i siostrą? Będą na ślubie?

Zdumienie na twarzy Olusia przeszło w przerażenie i lekką panikę. Renata podniosła się z fotela i stanęła w pozycji zdradzającej, że tak łatwo nie odpuści.

— Przecież z twojej strony to jedyna rodzina! — wykrzyknęła oburzona. — Rozmawiałeś z nimi?! A może się zwyczajnie wstydzisz i nie chcesz tego ślubu?! Proszę! Proszę, powiedz mi to wprost.

Oluś zerwał się gwałtownie z sofy, wypuszczając z rąk szklankę z resztką wody.

— Ależ to nieprawda! — zaprotestował.

Joanna chrząknęła znacząco w moją stronę i efektownie przewróciła oczami. Z na wpół obdartą twarzą ruszyłam za nią do łazienki. Za naszymi plecami Renata coraz głośniej wyrażała swoje wątpliwości co do szczerości wyznań Olusia, przy jego uspokajających, ale mało skutecznych zapewnieniach o dozgonnej miłości.

Pochylona nad zlewem, poddałam się zabiegowi intensywnego szorowania twarzy.

— No i jak było na tym pogrzebie? — nie wytrzymała Joanna, przysiadając na brzegu wanny z ręcznikiem w objęciach. — Dowiedziałaś się czegoś, spotkałaś kogoś?

Parsknęłam wodą i sięgnęłam po omacku po ręcznik.

— Wiesz... — powiedziałam w zamyśleniu — miałam wrażenie, że byłam na tym pogrzebie jedyną osobą, której było szczerze smutno. Oczywiście poza Hermenegildą.

Odkrycia i spotkania w „Atlantydzie”

S koro kłótnia młodych kochanków nie zakończyła się w czasie moich łazienkowych ablucji, zdecydowałyśmy się porozmawiać w spokojniejszym i ustronnym miejscu. W duchu dziękowałam, że nie mam skłonności do nadwagi, gdy Joanna pożyczyła mi swoją elegancką, letnią sukienkę w delikatne niebieskie wzory i pantofle, choć na obcasie, ale ze wszech miar wygodne niczym kapcie. Po zdjęciu wdowich szat w stylu naszych babć i wzięciu regenerującego prysznic od razu poczułam się lepiej. Nie uwolniłam się jednak od delikatnego przygnębienia, które gdzieś opadło na dnie mojej duszy i tylko czekało, by rozwinąć skrzydła.

Joanna popędzała mnie do wyjścia, a ja walczyłam z kredką do oczu, by choć trochę nadać sobie wygląd kobiety po czterdziestce i poprawić samopoczucie po przedwczesnej starości.

Spokojny azyl znalazłyśmy na uboczu legnickiego rynku w małej knajpce o nazwie „Atlantyda”. Z zewnątrz nie prezentowała się atrakcyjnie, strasząc nagimi ceglami i sąsiadując z bramą, z której zalatywał ostry zapach moczu i stęchlizny. Skrzywiłam się, ale Joanna poklepała mnie uspokajająco po plecach, więc weszłam za nią do środka. Chłodne, stylizowane na greckie klimaty wnętrze wypełniał zapach kawy pomieszanej z dobrą kuchnią. Natychmiast otrzymałam sygnał z żołądka, że warto byłoby coś przekąsić. Joanna ze znanstwem stałej bywalczynie rozejrzała się po sali, skinęła na powitanie kelnerce, a później poprowadziła mnie za rękę w stronę wielkiej, przeszklonej, ciemnej ściany. Gdy tylko się zbliżyłyśmy, ściana się rozsunęła, ukazując niewielki ogródek wciśnięty pomiędzy gołe ściany sąsiednich kamienic, zasłonięte efektownie pnącą się zielenią, która jednocześnie chroniła kilka małych stoliczków przed męczącym słońcem. Na szczęście reszta gości wybrała chłodne klimatyzowane wnętrze, oddzielone od nas wielkim oknem-ścianą i drzwiami, więc miałyśmy ogródek tylko dla siebie.

— Pięknie tutaj, prawda? — zagadnęła Joanna, z lubością przyglądając się mojej zachwyconej twarzy.

— Jeżeli mają tutaj jeszcze dobre jedzenie...

— Nawet bardzo dobre — podchwyciła z uśmiechem, podsuwając mi menu z kolorową okładką. — Nowo otwarta i jeszcze niezepsuta powodzeniem „Atlantyda”. Porcje duże, niedrogie i smaczne.

W kwestii zamówienia zdałam się na Joannę, która musiała być tutaj częstym gościem. Zanim postawiono przed nami pełne talerze, zdążyłyśmy już wypić dwa mojito, przy których zrelacjonowałam swoją wizytę na cmentarzu.

— Nienawidził cię, a ty beczałaś na jego pogrzebie — wypomniała mi Joanna, pukając się palcem w czoło.

— Nie beczałam.

— Ale chciałaś beczeć!

— Nieważne. — Machnęłam lekceważąco dłonią. — Pogrzeb to mimo wszystko ponura i smutna uroczystość. Nawet jeśli chowają skończonego drania... Też byś beczała.

— Zależy, w której byłabym fazie cyklu. Czasem potrafię się rozplakać nawet na reklamie — przyznała z rozbawieniem Joanna, czym mnie całkowicie zaskoczyła.

Kelnerka postawiła przed nami następne orzeźwiające mojito i zgarnęła puste szklanki z naszego stolika.

— Dalej masz zamiar drażyć i prowadzić śledztwo? — spytała Joanna, podnosząc szklankę do ust i przyglądając mi się uważnie.

Wciągnęłam przez słomkę drinka, niemal do połowy opróżniając szklankę.

— Sama nie wiem — odparłam w zamyśleniu, patrząc w pnący się po ścianie bluszcz. — Męczy mnie ta dziwna rozmowa, którą podsłuchałam. Co niby miałam mieć, a co ma być może teraz Hermenegilda? I co takiego się zacznie? Kim jest ta kobieta, z którą był Piotr? I dlaczego tak się przestraszyła, że coś się znów zacznie?

— Może powinnaś porozmawiać z Hermenegildą i rozwiązać te wątpliwości — wtrąciła Joanna.

— Nienawidził mnie i co? Nagle pisze pożegnalny list? Nagle w hotelowym pokoju dokonuje się w nim przemiana niczym w celi Konrada? — Czułam się skołowana, a krążący w moich żyłach alkohol potęgował liczne obiekcje. — Przecież to się kupy nie trzyma!

— Cóż, załóżmy, że istotnie został zamordowany — zaczęła Joanna. Na środek stolika odsunęła pustą szklankę i oparła łokcie na brzegu, by znaleźć się bliżej mojej twarzy. — Jak myślisz...

Kelnerka przyniosła dwa pełne kolorów talerze, więc Joanna musiała chwilę odczekać z dokończeniem pytania.

— ...czy morderca był na pogrzebie?

— Czy ja wiem? — zastanawiałam się głośno, nabijając na widelec drobnego pomidorka. — Chyba nie było tam ani jednej osoby, która przyszła z sympatii do Grzegorza. Taka Dominika na przykład. Traktował ją jak psa i nie inaczej o niej mówił, ale z drugiej strony pracowała u niego ponad dziesięć lat. Mogła się zwolnić zamiast zabijać chamskiego szefa.

— Może coś się wydarzyło między nimi na tej imprezie? — podsunęła Joanna z buzią pełną jedzenia, tak że ledwo ją rozumiałam. — Nie wytrzymała i masz...

— Powiesiła Grzegorza wyższego od siebie o głowę i o niebo silniejszego? — wyraziłam wątpliwość.

— Zatem to ma być facet? No to Piotr, bo mówiłaś, że też go poniżał...

— Ale on mi w ogóle nie pasuje na mordercę. Nigdy się nie wściekał na Grzegorza za zaczepki.

Chwilę przeżuwałyśmy w milczeniu sałatę i własne myśli.

— Nic nie pasuje, skoro nie było interwencji osób trzecich! — W zdenerwowaniu rzuciłam widelcem.

— Zatem musiał to zrobić sam, targany wyrzutami sumienia.

— Sumienie! — parsknęłam pogardliwie. — On go nie miał. Podobnie jak uczuć i dlatego mnie męczy to jego samobójstwo: z listem do mnie, strojem krzyżackim i blondynką na pogrzebie mocno czymś przestraszona.

Resztę posiłku dokończyliśmy w milczeniu. Dopiero po zabraniu pustych talerzy przez kelnerkę i przy kolejnym mojito wróciłyśmy do tematu.

— I co dalej, pani detektyw? — podjęła pierwsza Joanna.

Właśnie miałam odpowiedzieć, gdy powstrzymał mnie okrzyk z restauracji.

— Paulina?! — jakiś męski głos zawołał moje imię. Obróciłam się, bo siedziałam bokiem do wejścia, i zamarłam. W progu machał do mnie nie kto inny jak sam Piotr Murarz. Obrzuciłam wzrokiem pełnym wyrzutu pustą szklankę po kolejnym drinku. Czyżbym miała zwidy alkoholowe?

Piotr energicznym krokiem podszedł do naszego stolika i porwał mnie z miejsca za obie ręce, uśmiechając się szeroko i serdecznie. Niczym bezwolna kukła poddałam się tanecznemu obrotowi, z zaskoczenia niezdolna do wypowiedzenia nawet „cześć”.

— Paulina, ależ ty świetnie wyglądasz! — rzucił Piotr i nie czekając na zaproszenie, przysunął sobie krzesło, by po chwili obrócić się do Joanny i grzecznie przedstawić: — Piotr Murarz, lat trzydzieści sześć, stan jeszcze wolny, bez nałogów.

— Miło mi, Joanna Chulak — odparła z uśmiechem moja przyjaciółka i spojrzała na mnie pytająco.

— Chciałoby się zapytać, czy nie hulaka? — zażartował Piotr, oślepiając nas bielą swych zębów.

— Wystarczy Chulak — zgrzytnęła Joanna.

— Co pijecie, drogie panie, i czy mogę się dosiąść?

— Ależ proszę bardzo — odpowiedziała moja przyjaciółka-bratowa ku memu bezbrzeżnemu zdumieniu. — Nawet dobrze się składa, bo martwiłam się, że zostawiam Paulinę samą.

Podniosła się z krzesła.

— Szkoda — wyznał ze smutkiem Piotr, ale w oczach nie dostrzegłam żalu. — Zatem skoczę do baru — dodał, wstając. — Trzeba uczcić takie nieoczekiwane i miłe spotkanie.

— Co ty knujesz? — rzuciłam do Joanny, gdy znów zostałyśmy same.

— Masz okazję zebrać jakieś informacje — powiedziała, wyciągając z torebki portfel. — Tylko mi nie strój żadnych min, że cię opuszczam. Takie małe sam na sam sprzyja szczeroci. Nie wiem, spij go albo co, ale dowiedz się, czego szukają...

Rzuciła w locie buziaka i znikła w wejściu, mijając się z Piotrem. Szedł z małą tacą i dwoma pomarańczowymi drinkami.

O rany, jęknęłam w duchu. Czeka mnie ciężki powrót do domu. A droga daleka...

Późne powroty do domu

Staralam się. Naprawdę się starałam nie przesadzić z alkoholem, by zachować trzeźwość umysłu i skupić się na ważnej rozmowie z Piotrem. Joanna byłaby ze mnie dumna, zwłaszcza w początkowej fazie, którą najlepiej pamiętam. Mój sukces ograniczył się jedynie do spicia rozmówcy i tak chętnego do kolejnych kieliszków, zatem żadna to moja zasługa. Sama dzielnie zachowałam fason, oszukując w dotrzymywaniu picia.

Zmarnowałam już pierwszego drinka, gdy tylko został przyniesiony, a Piotr zniknął w toalecie. Natrętne komary atakowały mnie z taką nienawiścią, jakby to była sprawa osobista. Zamachnęłam się nad szklankami, aby odgonić natarczywe owady, i potraçałam drinka Piotra. Z całkiem niezłym refleksem złapałam szklankę, ale połowa zawartości wylała się na stolik. Pospiesznie wytarłam mokre plamy serwetkami i aby nie być świnią, zamieniłam drinki, bo co facet ma być stratny. Zresztą, jak bym wytłumaczyła, że ma tylko pół drinka.

— O! Ależ tempo narzuciłaś! — wykrzyknął, wracając do stolika w szampańskim nastroju. — Zatem wypijmy za nasze spotkanie!

Uśmiechnęłam się i pociągnęłam solidnego łyka, by nie wzbudzić podejrzeń, jaka to ze mnie pijaczka. Piotr jednak nie starał mi się dorównać i gdy odstawił swoją szklankę, zauważyłam, że niewiele ubyło. Cóż, ktoś tutaj też oszukuje.

Nasze spotkanie trudno byłoby nazwać rozmową. Piotr, początkowo entuzjastycznie nastawiony z powodu ujrzenia mnie po latach, z czasem zaczął pochmurnieć i wpadł w nastrój wręcz depresyjny. Słowa stawały się coraz mniej zrozumiałe i wymagały tłumacza, jakby nie mówił po polsku, tylko w jakimś wymarłym języku. Skrawki informacji postanowiłam przeanalizować później, gdy sama odzyskam trzeźwość umysłu.

Zapadł zmierzch. Oboje z Piotrem walczyliśmy z sennością i natrętą plagą komarów, na które nie działały żadne znicze, skwapliwie donoszone przez kelnerkę. Zachowując resztki zdrowego rozsądku i czując, że zapadnę w niebyt, zaczęłam intensywnie przeglądać moje kontakty w telefonie, zdumiona, że tak mi się rozmnożyły. Joanna miała wyłączoną komórkę, co mnie niebotycznie zaskoczyło. Z ciekawości powinna czuwać ze słuchawką w ręce, a tutaj takie rozczarowanie. Omal nie zadzwoniłam do Niedzieli. Ale by się facet zdziwił. Wahałam się, czy nie poprosić o przysługę Filipa, który najlepiej ze wszystkich znajomych by mnie zrozumiał, ale ostatecznie padło na Olusia. Przecież musiałam się jakoś dostać do domu oddalonego o dwadzieścia kilometrów!

Co prawda Piotr upierał się nachalnie, że zanieś mnie na plecach do Złotoryi, ale po tej deklaracji

zasnął na krześle przy stoliku, głośno chrapiąc.

— Oluś! — jęknęłam, starając się ze wszystkich sił brzmieć trzeźwo. — Jesteś mi natychmiast potrzebny!

— Jak to?! — wykrzyczał w słuchawkę. W tle słyszałam głośną muzykę.

— Gdzie ty jesteś?! — ryknęłam.

— Byliśmy z Renią w kinie. Właśnie wychodzimy, ale niestety osobno, bo Renia się obraziła.

— To dobrze — rzuciłam odruchowo, mając na myśli swoje plany, ale po chwili się zorientowałam, że powiedziałam głupotę, i natychmiast się poprawiłam: — To znaczy dlaczego?

Po drugiej stronie odpowiedziało mi ciężkie westchnienie.

— Powiem krótko: polska komedia romantyczna...

— Dlaczego?! — rzuciłam z rozpaczą, próbując ze wszystkich sił wykrzesać z siebie jakąś energię. — Dlaczego nie kochasz mojej bratanicy?

Piotr, znajdujący się obok mnie, głośniejszym zachrapałem.

— No tak. Ma pani rację — przyznał skruszony Oluś. — Wybór filmu był katastrofalny w skutkach, aczkolwiek przewidywalny. Renia na pewno strasznie się mną rozczarowała.

— Nie było czegoś ambitniejszego?

— Cóż, uległem reklamom. Najwyraźniej spece od marketingu są lepiej opłacani niż aktorzy i scenarzyści. A to miała być taka niespodzianka na naszą rocznicę poznania...

— Za tę polską komedię romantyczną nawet w moich oczach straciłeś pięć punktów! — zażartowałam.

— Rany! — jęknął Oluś, udając rozpacz. — Aż pięć?! Proszę mi tego nie robić! To nie moja wina, że dzisiaj nie grali Almodóvara, Bergmana ani Allena.

— Trudno, ale masz szansę się zrehabilitować...

Ukołysanego w ramionach Morfeusza Piotra pozostawiłam na pastwę komarów i kelnerki, która machnęła bagatelizująco ręką na pochrapującego coraz głośniejszego klienta. Okazało się, że znają się doskonale i w zapewnianiu bezpiecznego transportu do domu koleżde o słabej głowie zdążyła nabyć wprawę. Zanim wsiadłam do samochodu Olusia, walczyłam dzielnie, używając rąk i nóg niczym łopat wiatraka, z chmurą zawziętych komarzyc, których plaga najwidoczniej opanowała Legnicę. Może dzięki tym zwariowanym ruchom nie pokąsały mnie dwie, góra trzy komarzyce zabite w locie...

Roześmiana twarz Olusia świadczyła, że dłuższy czas obserwował mnie na skwerku przed „Atlantyda”.

— Ładnie tak się śmiać z cudzego nieszczęścia? — rzuciłam gniewnie, wściekła na komarzyce, których swędzące niemiłosiernie ukłucia doprowadzały mnie do pasji.

— Przepraszam, ale żałuję, że tego nie nagrałem... — westchnął, rozbawiony do łez. — Pokazałbym Renacie.

— Już wystarczy rozrywek na dzisiaj — ucięłam, zamykając drzwi. — Jedźmy do domu. Strasznie jestem pogryziona i jeśli nie wezmę czegoś na uczulenie, to zwariuję. Dlaczego nie pryskają czymś na te

paskudy?

Oluś ruszył, nie przestając się uśmiechać pod nosem.

— To zakłóca ekosystem... — odpowiedział tonem naukowca. — Szkodzi wszystkim, a zabieg trzeba często powtarzać. Najskuteczniejsi są naturalni wrogowie.

— Czyli? — zainteresowałam się.

— Nietoperze — odparł z uśmiechem znawcy. — Potrafią zjeść trzy tysiące komarów w ciągu jednej nocy.

Wzdrygnęłam się mimowolnie i zaczęłam zastanawiać, czy bardziej nie lubię komarów czy większych od nich nietoperzy.

— Naturalni wrogowie... — powtórzyłam i mimo lekkiego zamroczenia alkoholowego zaczęłam odtwarzać w głowie rozmowę z Piotrem. A raczej niektóre, bardziej wyraziste jej fragmenty. Jak choćby informacja, że Grzegorz mnie kochał i odkąd się rozstaliśmy, chodził zgaszony, małomówny i jakby nieszczęśliwy. Żal było na niego patrzeć. Zaniedbywał obowiązki, popełniał błędy w takiej liczbie, że nie można mu było dłużej pobłażać. Do zwolnienia musiało dojść prędzej czy później. Szkoda, że centrala wybrała sobie taki moment jak impreza integracyjna... Co za bezduszny baran wymyślił coś takiego dla wieloletniego pracownika?!

Jakoś trudno mi było uwierzyć w tę miłość i załamanie. W zamyśleniu spojrzałam na Olusia prowadzącego w skupieniu samochód. Podchwyciwszy mój wzrok, zmieszał się.

— Co się stało? — zaniepokoił się, zerkając co chwila w moją stronę.

— Wiesz — zaczęłam, nie przestając w zamyśleniu patrzeć na narzeczonego Renaty. — Myślę, że choćby człowiek nie wiem jak się starał, to nie jest w stanie poznać drugiego człowieka... Patrzysz na kogoś i myślisz sobie, że jest taki a taki. A potem niespodzianka. Dowiadujesz się przez przypadek, że jest zupełnie kimś innym.

Otaczała nas ciemna noc, przecinana reflektorami na drodze. Tylko kontrolki świecące na samochodowym pulpicie słabo oświetlały wnętrze. Dostrzegłam, że Oluś wyraźnie się zdenerwował. Cień paniki wykrzywił mu twarz. Poczułam wyrzuty sumienia, że gadam od rzeczy w pijackim zamroczeniu, i po występie w charakterze staruszki chłopak spodziewa się, że w amoku rzucę się na niego, dusząc dla rozrywki.

— Do czego pani zmierza? — spytał z wyczuwalnym niepokojem.

Roześmiałam się, by rozładować napięcie.

— Oczywiście nie mam zamiaru odwieść cię od ślubu z moją bratanicą, twierdząc, że jest kimś innym niż zakochaną w tobie po uszy kobietą — wyjaśniłam rozbawiona. — Moje rozważania dotyczyły raczej mojego nieszczęsnego małżeństwa.

— Och! — wykrzyknął, łapiąc się za serce w geście ulgi. — Zatem jest Renatą Chulak, za którą się podaje?

— Jak najbardziej — potwierdziłam, odpinając pasy, bo samochód właśnie wjeżdżał w ulicę

Cmentarną. — Jak najbardziej.

Rozmyślania kobiety samotnej

Pomimo słabszej kondycji i delikatnego kaca nie zaniedbałam porannego biegania. Należało przemyśleć wszystkie zgromadzone informacje i zaplanować dalsze działania. Dzień zapowiadał się upalny, ale na szczęście zaczynał się chłodnym świtem. Zanim wybiegłam, spojrzałam w czysto błękitne niebo. Gdzieś tam nieruchomo wisiały białe baranki chmur. Największe kłębowisko otaczała Wilcza Góra, jakby osłaniała najsłynniejsze wzniesienie miasteczka przed słońcem poranka, pozwalając gorze jeszcze trochę podrzemać. Zamknęłam oczy i przez chwilę chłonełam przyjemne powietrze. Pobiegłam trochę inną trasą, planując odpoczynek na deptaku przy Miłej, w cieniu starego drzewostanu.

Słowa Piotra automatycznie pojawiły się w mojej głowie. „Kochał cię, ale takiemu terminatorowi jak on trudno było to okazać... Naprawdę nigdy się z tobą przez te trzy lata nie kontaktował?” Trudno było i mnie uwierzyć w to lekceważenie przy tak gorącym uczuciu, o którym, o ironio, zapewniał mnie Piotr. Nie, to nie jest możliwe! Grzegorz? Chociaż... Przecież początek naszej znajomości... Nie, Grzegorz nigdy nie był spontaniczny, zawsze poważny, sztywny i zimny. Uśmiechał się, ale ten uśmiech przypominał raczej nieokreślony grymas. Miłość? Nie, nie mogę być aż tak naiwna, by w to uwierzyć. To ja się w nim zakochałam jak skończona idiotka i jak idiotka skończyłam. Poznaliśmy się na wystawie obrazów Justyny. Przyszedł jako przedstawiciel sponsora fundacji, która zorganizowała wernisaż. Obserwował ludzi, stojąc zupełnie w cieniu. Bił od niego spokój, jakiś poukładany świat, powaga. No i był przystojny. Ujęło mnie, że nie mierzył kobiet jak napalony samiec, i przeszło mi przez myśl, że jest gejem. Po moich doświadczeniach z Norbertem, któremu oczy nieustannie uciekały za każdym damskim tyłkiem, nieznajomy przystojniak wydawał się ideałem.

To ja go poderwałam. Na moje nieszczęście. Po raz pierwszy tak nachalnie rwałam faceta. Potem, w trakcie długiego okresu rekonwalescencji po rozwodzie, doszłam do wniosku, że przejrzał mnie wówczas na wylot. Zobaczył plastelinę, a nie człowieka. Materiał, który może urabiać, dostosowywać do siebie, manipulując moim uczuciem. Zamknął mnie pod kloszem, odcinając dopływ powietrza. A ja głupia, zakochana...

Piotr się mylił, stwierdziłam, wbiegając po schodach na Miłą. Przynajmniej w kwestii uczuć. Opadłam na jedną z ławek na wprost Muzeum Złota, ciężko dysząc. Coś innego musiało dręczyć Grzegorza, że popadł w kłopoty. Wszystko wskazuje, że perspektywa utraty posady dyrektorskiej popchnęła go do przedwczesnego rozstania z życiem. Jednak napisał ten kretyński list! Sama nie wiem... Może powinnam się wreszcie odczepić od tego nieboszczyka byłego męża?

Od strony centrum zbliżała się para biegaczy. Jeden z nich wydał mi się znajomy, choć jeszcze nie

mogłam dostrzec wyraźnie twarzy. Miłe ukłucie w żołądku znikło nagle, pozostawiając ciężki kamień do przetrawienia, gdy rozpoznałam podkomisarza Niedzielę. U jego boku biegła młoda, piękna kobieta około trzydziestki. Jasne, długie włosy spięte w koński ogon kołysały się za plecami zgrabnej dziewczyny. Delikatnie opaloną twarz co chwilę rozświetlał szeroki rząd zdrowych, białych zębów. Nabrałam powietrza zachwycona jej młodością, gibkością i urodą. Z walącym sercem oczekiwałam, aż zrównają się ze mną i zatrzymają. Niestety, zostałam podwójnie zaskoczona. Mijając mnie, rozpromieniony Bruno pomachał w moją stronę i ramię w pobiegł dalej ramię w ramię z młodą kobietą. Zaschło mi w gardle i omal się nie udusiłam z braku tlenu, którego nagle zabrakło dla mnie na złotoryjskim deptaku. A czegoż się spodziewałam? — westchnęłam bez humoru, podnosząc się z ławki. Rzuciłam ponure spojrzenie w stronę oddalających się pleców Bruna i jego towarzyszk. Jako kobieta grubo po czterdziestce nie mogę się spodziewać, że mężczyźni w okolicach pięćdziesiątki zapalają do mnie płomiennym uczuciem. Poza tym powinnam zostać wierna zasadzie „Żadnych facetów”.

Kamień w żołądku towarzyszył mi jednak aż do klatki mojego bloku i potem w drodze do pracy, gdzie stał się jeszcze cięższy za sprawą Justyny.

Bombkolandia nie różniła się od innych zakładów pracy, gdzie od czasu do czasu pracownikami wstrząsają katastroficzne wizje, pojawiają się nowe pomysły kierownictwa przyprawiające o apopleksję, a rozrywkę zapewniają zwyczajne plotki, mniej lub bardziej szkodliwe. Oddzielone z Justyną od reszty załogi, zamknięte w akwariium i zajęte projektami, rzadko byłyśmy wtajemniczane w najnowsze wiadomości. Coś tam nieraz do nas docierało za pośrednictwem nadludzko gadatliwej pani Marzenki z produkcji, która czasami wpadała do nas na przerwie na symboliczną kawkę. Tym razem dowiedziałam się wcześniej. Już w drodze przez halę dobiegły mnie szept o braku zamówień i związanych z tym większych zwolnieniach. Przynajmniej o połowę w każdym zespole.

Gdy dotarłam do pracowni, Justyna siedziała tępo zapatrzona w paczkę świeżo zakupionej herbaty. Zapewne hiobowe wieści usłyszała już z ust pani Marzenki. Pomimo delikatnego chłodu z pracującej klimatyzacji w twarz uderzył mnie dziwny gorąc. Ominęłam posąg Justyny z herbatą w dłoni i nastawiłam czajnik.

— Kupiłam dzisiaj paczkę herbaty — odezwała się grobowym głosem. — Sto torebek — dodała z wyraźną rozpaczą i głośno westchnęła.

Zaciekawiona oderwałam się od kuchennych zajęć i spojrzałam na paczkę, ale nie zauważyłam niczego niepokojącego.

— No i? — zapytałam zniecierpliwiona, bo Justyna wydała tylko kolejne głośne westchnienie.

— Wypijam dwie dziennie... — rzuciła ponuro.

— Podali gdzieś, że herbata jest rakotwórcza? — próbowałam zgadywać, wsypując kawę do swojej filiżanki.

— Myślisz, że zdążę ją wypić? — spytała płacząco, nie przerywając swoich kontemplacji z paczką herbaty w dłoni.

— A co, umierasz? — zdumiałam się.

Czajnik pstryknął i mogłam zalać swoją kawę.

— Tfu! — ożywiła się, obrzucając mnie potępińczym spojrzeniem. — Głupia jesteś? Jeszcze nie!

Wzruszyłam ramionami. Co za dzień mi się dzisiaj szykuje! Wygrzebałam wczorajsze projekty, pragnąc oddać się całkowicie pracy i nie myśleć o niczym innym.

— To wyjaśnij mi wreszcie, o co ci chodzi z tą herbatą? — poprosiłam zniecierpliwiona.

— Czy zdążę wypić całą paczkę przed zwolnieniem z pracy? — padła odpowiedź, która na tyle wyczerpała Justynę, że oklapła na swoje krzesło z kolejnym ciężkim westchnieniem.

— Zwalniasz się z pracy?! — wykrzyknęłam zaskoczona.

— Nie! — wrzasnęła gwałtownie, odzyskując wigor. — Mnie zwolnią! Nie słyszałaś, że planują zwolnienia?!

Wzruszyłam ramionami, znieczulona na przeróżne niepotwierdzone informacje płynące z działu produkcji, które w okresach przestoju rozmnażały się w ekspresowym tempie.

— Ludzie wygadują różne głupoty — stwierdziłam, biorąc z przyjemnością łyk świeżo zaparzonej kawy. — Nie rozumiem, dlaczego mają zwolnić akurat ciebie?

— Bo mam męża! — wykrzyknęła, mierząc mnie oskarżycielsko.

Omam nie zachłysnęłam się kawą, zdrowo rąbnięta absurdalnością takiego wytłumaczenia. Odstawiłam filiżankę na parapet, z dala od papierów, i przyjrzałam się uważnie Justynie. Komunikaty, które dzisiaj z siebie wyrzucała, trudno nazwać zrozumiałymi wypowiedziami dorosłej kobiety. Przełknąwszy głośno ślinę, spytałam spokojnie:

— Czy ty oszalałaś?

Tak straszne podejrzenie wywołało gwałtowną reakcję Justyny. Zerwała się na równe nogi, przewracając z hukiem krzesło.

— A co? Może mnie nie zwolnią?!

— Z powodu posiadania męża?

Podparta pod boki, rzucała w moją stronę mordercze spojrzenia.

— A co?! Przecież wiadomo, że zawsze litują się nad samotnie wychowującymi matkami. A jak ktoś ma męża i to jeszcze pracującego i nie ma dzieci, to jakoś przeżyje bez pracy!

— Nie jestem samotną matką — wtrąciłam nieśmiało.

— Ale męża nie masz! — głos Justyny stawał się coraz bardziej piskliwy.

— Ale miałam dwóch! — wykrzyknęłam, podnosząc się z krzesła i przyjmując podobną postawę jak Justyna.

— No właśnie! Wszystkich wykończysz! A teraz przyszła kolej na mnie!

— To już nie jest w porządku — zaprotestowałam. — Kłóćmy się o niepotwierdzone informacje.

Justyna zamrugła powiekami i z głośnym westchnieniem usiadła przy swoim stole. Do końca pracy towarzyszyło nam ciężkie milczenie i obustronne obrażenie.

Po takim początku dnia nie zdziwił mnie jego dalszy ciąg. Po południu zadzwonił do mnie tatko. Akurat zasiadłam do obiadu — kobieta samotna, grubo po czterdziestce, pozbawiona talentów kulinarnych i na domiar złego bezczelnie ignorująca kalorie. W obliczu takich nieszczęść stać mnie było jedynie na przyrządzenie sałatki z pomidorów z cebulą, obficie unurzanej w śmietanie „osiemnastce” z łyżką majonezu do smaku i startym żółtym serem. A co! I właśnie gdy wzięłam pierwszą łyżkę do ust, zadzwonił mój tatko.

— No i nic — rzucił bez wstępów.

— Co się stało? — spytałam zaskoczona, nie przerywając jedzenia.

— Nikt nic nie wie i nic nie widział — westchnął tatko, a ja zaczęłam podejrzewać, że brak wyrażania się w sposób jasny i zrozumiały, chociażby dla mnie, stał się już plagą. — A już w recepcji to w ogóle nie chcą gadać.

Wraz z pomidorem przełknęłam chęć niegrzecznego wykrzyczenia memu ojcu: „Oszalałeś?!”.

— Jesteś tam, córeczko? — zawołał głośniej tatko.

— Jestem, ale możesz wyjaśnić, o co chodzi? — spytałam, niechętnie odsuwając na bok salaterkę.

— Jak to?! — oburzył się, a po chwili dodał rozbawionym tonem: — To ja mogę mieć sklerozę z racji wieku, ale ty? Przecież to ty mnie wysłałaś do Świeradowa!

Po drugiej stronie słuchawki mój tatko najwyraźniej nieźle się bawił moim brakiem pamięci. Nic dziwnego! Zupełnie zapomniałam o mojej prośbie zrobienia małego rekonesansu na miejscu samobójstwa Grzegorza. Kto inny jak nie stały bywalec sanatoryjnych kurortów na Dolnym Śląsku, mógł podjąć się misji prowadzenia tam śledztwa? Tatko zgodził się chętniej, gdy wyłożyłam pieniądze na podróż.

— No i co? — spytałam zaciekawiona.

— No i nic — powtórzył. — W tym hotelu to nikt gadać nie chce na temat samobójstwa. Trudno się im dziwić, przecież to żadna reklama. Ale Henrietta podsunęła mi myśl, że mógłbym przejrzeć zapis z monitoringu. Szkoda, że kamery są tylko na zewnątrz, ale pomyślałem, że to całkiem dobry pomysł.

— Henrietta? — zdumiałam się.

— Henrietta — odpowiedział ojciec. — Niemka, poznałem ją wczoraj przy obiedzie. Okazało się, że jest emerytowanym śledczym. Masz pojęcie?

Ze wstydem mogłam stwierdzić jedynie, że nie miałam pojęcia. W głowie mi się nie mieścił rozmach towarzyski mego rodzica.

— Przecież ty znasz tylko rosyjski — przypominałam nieśmiało, całkowicie zbita z tropu zasłyszanymi informacjami.

— Henrietta także. Była śledczym jeszcze w NRD... Zna rosyjski, a nawet trochę polski — zupełnie niewinnie tłumaczył tatko.

Złapałam się wolną dłonią za czoło, przerażona skutkami własnych pomysłów. Mimowolnie wepchnęłam ojca w ramiona funkcjonariuszki Stasi, którą niewątpliwie zechce zaprosić na wesele wnuczki. Kto wie, z iloma jeszcze agentkami pojawi się na uroczystości. Zlot byłych agentów jawił się

całkiem realnie i przekraczał granicę tolerancji naszej rodziny. Zdecydowanie powinnam zaprzestać działalności detektywistycznej, skoro nie jestem w stanie ani przewidzieć konsekwencji, ani pogodzić się z nimi.

— Tatku, błagam cię ze względów patriotycznych, zostań przy pani Danusi i Teresie... — jęknęłam w słuchawkę.

— Zwariowałaś?! — nie krył oburzenia tatko. — Okazały się takie małostkowe i bez klasy! Postawiły ultimatum, że muszę wybrać jedną z nich. To skończyłem znajomość z obiema. Henrietta będzie tutaj jeszcze w październiku... To całkiem miła, elegancka i inteligentna kobieta. Pomoże mi zdobyć te taśmy z monitoringu. Dam znać! Pa, córeczko!

Rozłączył się, a mnie przeszedł zimny dreszcz. Nadmiernie wybujała i ewidentnie chora wyobraźnia pleniąca się pod moją czaszką podsuwała ponure obrazy wymyślnych tortur, jakim zostanie poddany personel hotelu przez Henriettę z byłego NRD, która starymi metodami Stasi wydobędzie nie tylko taśmę z monitoringu, ale też wszelkie inne informacje. Głowa opadła mi na ręce oparte na stole, ale nagle zrobiła się tak ciężka, że łokcie rozjechały się na boki. Jeden z nich trafił w czekającą na zainteresowanie salaterkę z „obiadem”. Potężny huk i dźwięk tłuczonego szkła był niczym wobec rozbryzganej wokół pomidorowo-śmietanowo-serowo-cebulowej mazi, efektownie zdobiącej podłogę, dywan, fotel, a nawet nieco odległą komodę i zasłonę. Zemsta Henrietty, pomyślałam z rozpaczą, żegnając swój obiad.

Detektyw Joanna na tropie

Pewnie każdy prowadzący śledztwo miewa momenty zwątpienia. Kiedy jeszcze na niepowodzenia nakładają się kłopoty osobiste, a zwłaszcza sercowe, to o załamanie nietrudno. Może nie należałam do najlepszej dziesiątki prywatnych detektywów, ale zwątpienie coraz częściej szarpało mój nieszczęsny żywotem, karmione dodatkowo wątpliwościami osób trzecich, jak Joanna. W poszukiwaniu smacznego posiłku przydryfowałam do Legnicy, gdzie zawsze mogłam liczyć na kulinarne wsparcie. Moja bratowa-przyjaciółka albo przyjaciółka-bratowa powitała mnie szerokim uśmiechem i prawidłowo zinterpretowała wyraz mojej twarzy, podsunęła talerz żurku na aromatycznej wędzonce z białą kiełbasą i ziemniaczkami podsmażanymi na cebulce. Znakomity posiłek zaowocował stanem niebiańskiego błogostanu i moją gadatliwością.

— To śmierdzi okropnie! — podsumowała moje sprawozdanie ze spotkania z Piotrem Joanna. — A ty jesteś dupa, a nie śledczy!

Miałam pełne prawo poczuć się urażona, że moje gigantyczne wysiłki włożone w przemianę w specjalistkę dochodzeniówki zostały tak trywialnie zignorowane! Henrietta ze Stasi mogła teraz zająć moje miejsce bez konieczności mordowania mnie!

— Alkohol zaćmił ci umysł stanowczo za szybko! — kontynuowała Joanna.

— Mnie?! Nie widziałaś Piotra! — oburzyłam się. — Upił się w ekspresowym tempie.

— No i co z tego? A ty nie zauważyłaś, że coś ukrywa albo kłamie? Teraz tylko pytanie — tobie czy tej blondynie? — Joanna podniosła się z fotela i rozpoczęła spacer w stronę balkonu i z powrotem do drzwi.

— Nie rozumiem — westchnęłam przekonana, że zdolność rozumienia została mi bezpowrotnie odebrana przez brzemiennej w skutki dla mózgu nieprzyjemną podróż bussem w trzydziestostopniowym upale bez klimatyzacji i w nieprzepisowym tłoku.

Joanna usiadła, przewracając w zniecierpliwieniu oczami.

— Przecież sama podsłuchałaś na pogrzebie, jak Piotr mówił do blondyny, że Grzegorz cię nienawidził, a tobie z kolei w „Atlantydzie” wciska bezbrzeżną miłość Grzegorza i rozpacz po rozstaniu. I co? Nie śmierdzi?!

— Śmierdzi jak jasna cholera! — przyznałam, gdy dotarł do mnie wreszcie śwąd sprzeczności w zeznaniach Piotra Murarza.

— Dobra, ale nie po to chciałam się z tobą spotkać. Wczoraj nie próżnowałam i znalazłam kobietę, z którą Grzegorz, no nie wiem... — zawahała się przez chwilę, szukając odpowiednich słów. — Chodził, spał czy jak...

— Nie wdawajmy się w szczegóły. — Machnęłam dłonią, prezentując całkowitą obojętność na kwestie intymne dotyczące Grzegorza i owej kobiety. — Co dalej?

— Obrzydliwie nałgałam tej żelaznej damie z sekretariatu...

— Dominice Dąbrowskiej? Kobiecie zez Uśmiechu? — przypomniałam.

— Jak zwał, tak zwał, ale wiem, gdzie dostarczyć paczkę...

Joanna uśmiechała się do mnie bezbrzeżnie szczęśliwa, a ja zamarłam niezdolna docenić jej przebiegłości, sprytu i ostatecznie sukcesu. Przeleciało mi przez głowę, że atakuje mnie skleroza, zaćmienie i otępienie jednocześnie, co nie tylko dyskwalifikuje mnie jako śledczego, ale istotę rozumną w ogóle.

— Jaką paczkę? — zdołałam wykrztusić.

Odpowiedziało mi głośnie pacnięcie dłonią w czoło i donośny śmiech Joanny.

— Och, bo nałgałam, że Grzegorz zlecił naszej firmie kurierskiej wysłanie paczki jakiejś pani, wyznaczając termin do kontaktu w sprawie adresu właśnie na dzisiaj, i że to pewnie jakaś ważna dla niego kobieta, bo wiele razy się przypominał. Oczywiście na samym początku poprosiłam o połączenie z panem Grzegorzem Bożykiem, ale grzecznie odpowiedziała niczym automat, że to niemożliwe. Udawałam, że sprawa jest pilna i pan Grzegorz prosił o kontakt, więc muszę z nim porozmawiać, jako że jego telefon komórkowy, który był uprzejmy podać, nie odpowiada. To tak w skrócie — wyjaśniała Joanna z dumą.

— I podała ci ten adres i nazwisko?

— Ależ skąd! — parsknęła. — To twarda sztuka. Poinformowała, że pan dyrektor Grzegorz Bożyk nie żyje. Ponadto walnęła formułkę o ochronie danych, dyskrecji i takich tam, więc ja z kolei już z płaczem opowiedziałam o szefie sadyście i prawie ludożercy, że paczkę muszę dostarczyć i nieważne nazwisko, ale adres. Uległa, podając kompromisowo adres do pracy. Resztę już sama ustaliłam.

Zadowolenie z sukcesu tryskało z niej jak z fontanny Neptuna na legnickim rynku, gdy podsunęła mi różową karteczkę z własnymi zapiskami.

— Violetta Drudzka — przeczytałam.

— Prowadzi całkiem ekskluzywny i elegancki butik w rynku. Można tam kupić nie tylko oryginalną sukienkę czy kostium, ale też wszelkie dodatki. Prawdziwy raj dla kobiet ceniących sobie spokój, elegancję, oryginalność, klasę i niechęć do sieciówek. Tuż obok mieści się salon artystycznej, nietuzinkowej biżuterii, a życzliwy personel służy fachową radą i efektywną pomocą — zakończyła swój wywód Joanna. — Nie rób takiej miny. Renata wygrzebała te informacje w Internecie. Teraz tylko musisz tam iść i porozmawiać ze swoją następczynią. Może się czegoś dowiesz.

Chwilę trwało, zanim powróciłam do swej ziemskiej powłoki, całkowicie uwiedziona potokiem słów Joanny.

— Znów mam się przebierać za staruszkę? — spytałam z niechęcią.

— Nie — zaprzeczyła. — Przecież cię nie zna. Zresztą staruszka jest spalona po awanturze na

cmentarzu. Myślałam raczej, że możesz udawać bogatą klientkę albo dziennikarkę — odparła beztrzesko Joanna.

Minę musiałam mieć nietęgą, skoro sięgnęła po malinową nalewkę Przemka. Wiadomo, że absolutnie boski trunek produkcji mego brata potrafi przełamać wszelkie opory wewnętrzne. Kieliszki zostały błyskawicznie napełnione, a zawartość pochłonięta przez spragnione ambrozji usta.

— A Renata? Sama powiedziałaś, że znalazła te wszystkie informacje w Internecie. Bardziej pasuje na dziennikarkę... Właśnie, a gdzie ona jest?— przypomniałam sobie nagle o istnieniu mojej bratanicy, której skądinąd dziwna nieobecność nie została przeze mnie dotąd zauważona.

Joanna głośno odstawiała kieliszek na blat.

— W swoim pokoju — odparła spokojnie. — Wczoraj postanowiła obejrzeć wszystkie filmy o tematyce weselnej. Liczy na to, że znajdzie jeszcze parę pomysłów do wykorzystania...

— O Boże! — jęknęłam, zakrywając sobie usta dłonią.

— Tak, tak — pokiwała głową Joanna, tłumiąc śmiech. — Stąd ten spokój, cisza i stabilizacja rodzinnych nastrojów. Sądząc po obfitości filmów, w których przewija się temat wesela, stan ów może potrwać do... września?

— Oby tylko nie było to *Wesele Smarzowskiego* — podsunęłam.

— Albo *Wyspiańskiego z Chochołem i pawimi piórami* — odpowiedziała z rozbawieniem Joanna.

Po czym zgodnym chórem wyrecytowałyśmy: „Miałeś, chamie, złoty róg, ostał ci się ino sznur!”, wybuchając na koniec głośnym śmiechem.

Nawet nie zauważyłyśmy, że w progu pojawił się Przemek i wzrokiem pełnym potępienia obrzucił najpierw opróżnioną butelkę malinowej nalewki, a potem dwie kobiety w stanie niepohamowanej wesołości.

Samotna kobieta w kuchennej szufladzie

Odnalezienie butiku o wdzięcznej nazwie „Maripoza”, którego właścicielką była Violetta Drudzka, okazało się bardzo proste. W rynku zdominowanym przez gastronomiczne lokale, upstrzonym brzydkimi parasolami ogródków letnich, tylko w jednym miejscu naprawdę królowało piękno i elegancja. W wielkich wystawowych oknach kolorowe sukienki i letnie dekoracje ułożone z przeróżnych dodatków stanowiły raj dla oczu. Już sama elewacja budynku na wysokości „Maripozy”, stylizowana na dawne kamieniczki, przyciągała wzrok i dawała pojęcie o guście i pomysłowości właścicielki. Przez dłuższą chwilę stałam zachwycona metamorfozą tego miejsca, które pamiętałam jako siedzibę delikatesów spożywczych, później placówki banku, apteki, a wreszcie pustostan nieróżniący się od popękanych granitowych płyt rynku. Teraz sam rynek zyskał brukową nawierzchnię, a „Maripoza” urokliwie wpasowała się w nową, piękniejszą stylizację.

Przekroczyłam próg butiku zdecydowanym krokiem doświadczonego dziennikarza. Umówiłam się telefonicznie na wywiad z Violettą Drudzką, która planowała w najbliższym czasie zorganizować na rynku, tuż przy swoim sklepie, pokaz mody. Chwyciłam się tej informacji internetowej, słusznie mniemając, że jako organizatorce będzie jej zależało na medialnym rozgłosie. A któż robi większy rozgłos niż prasa, i to jeszcze ze stolicy Dolnego Śląska — Wrocławia?

— Dzień dobry! — powitała mnie jedna z ekspedientek, odziana w zwiewną sukienkę w żółto-zielone kwiaty. Tymczasem ja walczyłam, aby w zachwycie na widok kolorowego pomieszczenia nie trzymać otwartej głupawo gęby. Czegóż tu nie było?! Materiały, torebki, szale, plakaty z modelkami, buty, sukienki, spodnie, tuniki... Wszystko w jasnym, ciepłym wnętrzu wypełnionym kwiatowym zapachem i relaksacyjną muzyką.

— Dzień dobry — odpowiedziałam wreszcie, nieco oprzytomniawszy. — Jestem umówiona z panią Violettą Drudzką.

Po chwili z niewidocznego zaplecza wyszła wysoka, zgrabna brunetka, witając mnie szerokim uśmiechem lśniąc białych i obrzydliwie równych zębów. Zazdrość wypełniła moje całe jestestwo, gdy z bliska mogłam podziwiać nienaganny makijaż, brak zmarszczek, lśniące włosy z niebieskimi refleksami, obfity biust i zgrabne, opalone nogi. Ależ się podle poczułam! Wyglądałam przy niej jak maskaron z filmów grozy albo uosobienie antykobiecości. Na pewno żadna ze mnie konkurencja, i to jeszcze z obciętym, chociaż zrekonstruowanym cyckiem!

— Dzień dobry — odezwała się ciepłym, miłym głosem Violetta Drudzka, wyciągając do mnie rękę na powitanie.

— Dzień dobry — odpowiedziałam, ściskając jej delikatną dłoń. — Grażyna Jasińska z „Głosu Wrocławia”. Byłyśmy umówione.

— Oczywiście, zapraszam serdecznie.

Violetta Drudzka poprowadziła mnie na zaplecze, które dla odmiany stanowiła niewielka kłitka z dwiema szafami wypełnionymi segregatorami, miniaturowym biurkiem z laptopem oraz dwoma ratanowymi fotelami i ratanowym stolikiem ze szklanym blatem. Chwilę później pojawiła się jedna z ekspedientek z pytaniem, czego się napiję. Gdy już woda została rozlana do szklanek, Violetta Drudzka rozpoczęła rozmowę.

— Możemy sobie mówić po imieniu? — zaproponowała.

— Proszę bardzo... — odparłam, z zadowoleniem odnotowując ten gest otwartości.

— A zatem, Paulino, po co ten cały cyrk z dziennikarką? — spytała, wbijając we mnie swoje czarne jak nieprzenikniony mrok oczy.

Reakcja mojego organizmu na zdemaskowanie była natychmiastowa. Istny wulkan gorąca eksplodował w środku, barwiąc czerwienią całą twarz. Drżącymi dłońmi sięgnęłam po szklankę wody i w sekundę ją opróżniłam. Moje wahanie, czy nadal trzymać się uparcie wersji z dziennikarką, nie mogło trwać długo. Nie pierwszy raz zdradził mnie mój własny, całkiem dobrze karmiony organizm. Jednak słowa wydobyć nie zdołałam.

— Od razu panią poznałam. — Violetta pierwsza przerwała długą ciszę.

Opadłam zrezygnowana na oparcie fotela. Westchnęłam tak ciężko, że ratanowy stolik tylko cudem się nie przewrócił.

— Sama nie wiem — przyznałam, ale nie posunęłam się za daleko w szczerości. — Nie byłam na pogrzebie, ale mimo wszystko byłam kiedyś jego żoną. Chciałam po prostu wiedzieć, jaki był później, jak mu się wiodło. Chyba jestem mu to winna...

Starałam się brzmieć jak najbardziej smutno. Kobieta nadal bacznie mi się przyglądała, jakby rozważała, czy może mi zaufać.

— Dlaczego przysłaś do mnie? — spytała. — Skąd o mnie wiedziałaś?

Postanowiłam łągać w tej kwestii.

— Piotr mówił, że była pani... byłaś dziewczyną Grzegorza.

— Zatem Piotr cię przysłał? — podchwyciła podejrzliwie. — Gnida!

— Nie, nie — zaprzeczyłam. — Mówiłam już...

— Przepraszam, mogę zapalić? — spytała nagle. — Normalnie nie palę, ale jak się zdenerwuję, to papieros mnie uspokaja.

Wzruszyłam ramionami. W innych okolicznościach zaprotestowałabym przeciwko byciu biernym palaczem, ale na taki komfort nie mogłam sobie teraz pozwolić. Violetta gotowa się do mnie zrazić i nici z rozmowy.

— Dziewczyną, tak? — powtórzyła z sarkazmem, wydmuchując dym, którym sekundę wcześniej tak

łapczywie się zaciągnęła. — Partnerką? Konkubina? Kochanką? Nie. Nic nie pasuje do roli, w jakiej obsadził mnie Grzegorz.

— Ożenił się z tobą? — zdumiałam się.

Roześmiała się głośno.

— Nic z tych rzeczy. Po ślubie z tobą, zdaje się, miał dość.

— Dlaczego?

— Nienawidził cię — odpowiedziała z triumfującym uśmiechem i kolejny raz zaciągnęła się papierosem. — I może kochał. A może nienawidził, bo wcześniej kochał?

— Skąd to wiesz? Mówił o mnie?

— W życiu! — zaprotestowała z tym samym uśmiechem, który już zaczął mnie irytować. — Obie dobrze o tym wiemy. Znałaś go lepiej ode mnie i nie ma co udawać.

— Niczego nie udaję — wzruszyłam ramionami, ale po chwili się zreflektowałam. — Oczywiście poza tą dziennikarką. Skąd wiedziałaś, że ja to ja?

Violetta Drudzka zgasła nieelegancko papierosa na szklanym blacie i od razu sięgnęła po paczkę. Jak nic, zadymi mnie tutaj na śmierć.

— Widziałam twoje zdjęcie... — odparła, zaciągając się ponownie.

Tym razem to ja wycedziłam z triumfującym uśmiechem:

— To niemożliwe. Jeszcze przed rozwodem odesłał mi wszystkie nasze albumy.

Roześmiała się.

— Trzymał je w szufladzie w kuchni — odpowiedziała. — Tamto zdjęcie nie wyglądało na pozowane. Siedzisz przy stoliku, zamyślona, samotna, a wiatr rozwiewa ci włosy. Prawdziwa reklama smutku albo rozpaczy samotnej kobiety...

Dziwny niepokój wstrząsnął moim ciałem walczącym z zaduchem ciasnego i zadymionego pomieszczenia. Rozejrzałam się za oknem, czując, że zaraz się uduszę od dymu albo od reakcji na dziwne fakty z życia Grzegorza. Violetta odgadła moje myśli. Powoli podniosła się z fotela i wolną od papierosa ręką otworzyła niewielki lufcik nad stolikiem.

— Moje zdjęcie? — powtórzyłam niebotycznie zdumiona. — Po co?

— A skąd ja mam to niby wiedzieć? — Wzruszyła ramionami. — Może dlatego tak cię nienawidził, bo na ciebie nic nie miał? Albo właśnie dlatego kochał, że nie miałaś żadnych mrocznych tajemnic?

— Nie rozumiem.

— To po co tutaj przysłaś?! — wykrzyknęła, gasząc kolejnego papierosa na blacie stolika i porzucając niedopałek swojemu losowi. — Czego ode mnie chcesz?!

— Dowiedzieć się, czy Grzegorz rzeczywiście był taki przygnębiony, że mógł popełnić samobójstwo — wypaliłam, nie owijając w bawełnę.

— Kto go tam wie — parsknęła Violetta, obrzucając tęsknym spojrzeniem paczkę papierosów, ale szczęśliwie nie sięgnęła po nią. — Mnie się nie zwierzał. Nie ma go i już. Na pogrzeb też nie poszłam

i wspominać go także nie mam ochoty. Myślę, że możemy skończyć nasz wywiad.

Podniosła się sprężysto z fotela i wyciągnęła do mnie rękę. Kompletnie skołowana, poszłam śladem Violetty.

— Do widzenia — powiedziała, odprowadzając mnie do drzwi wejściowych butiku. — Mimo wszystko miło cię było poznać i zapraszam na pokaz.

— Do widzenia — rzuciłam, schodząc z ostatniego schodka.

Zdażyłam zrobić zaledwie parę kroków, gdy usłyszałam jeszcze za swoimi plecami:

— Nic nie jesteś mu winna! — wykrzyknęła Violetta Drudzka i głośno zamknęła za sobą drzwi butiku.

Randka z okulistą

Nazajutrz tygodniową falę afrykańskich upałów przerwał nagle ulewny deszcz. Z miejsca ogarnęło mnie sobotnie zniechęcenie, porzuciłam myśl o bieganiu i naciągnęłam kołdrę na głowę, by zminimalizować lęk przed grzmotami. Bezbronność kobiety w obliczu szalejących za oknem żywiołów wykorzystwały wyrzuty sumienia, które dopadły mnie ze zdwojoną siłą. Przede wszystkim brak wystarczającego zapachu do śledztwa, które rozpętałam, potem wykorzystanie tatka i wepchnięcie go w ramiona być może krwiożerczej byłej funkcjonariuszki Stasi, ciężka atmosfera w pracy i pełne niechęci słowa rozłoszczonego brata, które usłyszałam podczas ostatniej wizyty, gdy konspiracyjnie relacjonowałam Joannie rozmowę z Violetą Drudzką. Przypadkiem, albo i nie przypadkiem, podsłuchał część naszych dywagacji na temat Grzegorza, który trzymał moje zdjęcie w kuchennej szufladzie. Od spekulacji, co naprawdę czuł do mnie mój były mąż nieboszczyk, kręciło się w głowie. Statystycznie wychodziło, że raczej mnie nienawidził, bo byłam porażką w jego poukładanym, znormalizowanym życiu, i całkiem możliwe, że planował zabójstwo kuchennym nożem.

Przemek wszedł zupełnie niepostrzeżenie i niedosłyszalnie. Od strony przedpokoju powiało arktycznym powietrzem, choć mój braciszek symulował życzliwy uśmiech.

— Nie życzę sobie, abyś nas wplątywała w afery Grzegorza — rzucił stanowczo, gdy odwoził mnie do Złotoryi. Początkowe zadowolenie (z nutą niedowierzania) z powodu zadeklarowanej pomocy brata w powrocie do domu przeszło w rozżalenie.

Ledwie ruszyliśmy z parkingu, przestał się uśmiechać i przybił mnie do siedzenia pasażera morderczym wzrokiem znacznie skuteczniej niż pas bezpieczeństwa.

— Nie jestem ślepy i wiem, że Joanna, Renata, a nawet Olek ci pomagają — zaczął bez wstępów. — Nawet ojca w to wciągnęłaś! Rozmawiałem z nim dzisiaj. Czy ty masz pojęcie, w co się pakujesz?! Ten cały Grzegorz to nie był dobry człowiek, mówiąc delikatnie. Ściągniesz na nas kłopoty! Zawsze byłaś stuknięta, ale to amatorskie śledztwo przechodzi wszelkie granice!

— Co takiego wiesz? — spytałam, ryzykując co najwyżej wysadzenie mnie przy dworcu kolejowym, do którego właśnie się zbliżaliśmy.

— Czy to cię powstrzyma? — podchwycił, przenosząc wzrok z drogi na mnie.

Wzruszyłam ramionami. Obok mnie siedział Przemek, mój brat, w rzadkiej chwili bezbrzeżnego zdenerwowania.

— Czy to cię powstrzyma? — powtórzył.

— Nie wiem.

Sunęliśmy właśnie w górę Lasku Złotoryjskiego i dreszcz niepokoju przeszedł mi po plecach. Chyba nie chciałabym być tutaj wysadzona w środku nocy. Przemek podjął decyzję.

— Grzegorz zajmował się szantażem. Wiedział bardzo dużo o ludziach na wysokich stanowiskach i nie tylko. Skąd? Nie mam pojęcia i nie jestem w stanie dążyć i pytać, w jaki sposób uzyskiwał informacje, ale nie stronił od przestępczych metod. Wydawać by się mogło, że po jego samobójstwie... Powtórzę, abyś wreszcie zrozumiała: że po jego samobójstwie! Zatem po jego samobójstwie wiele osób powinno odetchnąć z ulgą, ale tak się nie stało. Różni ludzie czegoś szukają i nie cofną się przed użyciem siły, aby to znaleźć. Dlatego nie pchaj się tak nachalnie im przed oczy, ciągnąc przy okazji moją żonę, córkę i ojca! Grzegorz to przeszłość i tego się trzymaj. Musisz mieć choć odrobinę instynktu samozachowawczego!

— Ale...

— Żadnych „ale”, Paulina — powstrzymał mnie mój brat. — To już nie jest zabawa w babskich detektywów!

Nie śmiałam się odezwać. Tak niecodzienne zachowanie zazwyczaj spokojnego Przemka przstraszyło mnie. „Może dlatego tak cię nienawidził, bo na ciebie nic nie miał? Albo właśnie dlatego kochał, że nie miałaś żadnych mrocznych tajemnic?”, zabrzmiały w mych uszach jak memento słowa Violetty Drudzkiej. Piotr i blondyna na cmentarzu też się czymś martwili. „Zajmował się szantażem”. „Nie stronił od przestępczych metod”. Kombinował i może wykorzystywał swoje stanowisko, aby znaleźć coś na innych, aż wyszło szydło z worka i bank postanowił go zwolnić z posady, którą tak zawsze sobie cenił. Może rzeczywiście się załamał albo poczuł, że jest w ślepych zaułku, albo przstraszył „tych” ludzi?

Tuż pod moim blokiem Przemek przerwał milczenie towarzyszące nam przez większość drogi do Złotoryi.

— Zabieram Joannę i młodych na dwutygodniowe wczasy na Maderę, bo podejrzewam, że twoje szaleństwo nie minie, a ja muszę chronić najbliższych.

Ale pomylił się mój braciszek. Szaleństwo uchodziło ze mnie jak powietrze z przebitej dętki wielkości tylnego koła od traktora. Ostateczną decyzję o zaniechaniu mego prywatnego śledztwa podjęłam w wyniku nagłego wypadku, który z Grzegorzem nie miał nic wspólnego, a ostudził zdecydowanie mój śledczy zapal.

Z pościeli wyciągnął mnie natarczywie dzwoniący telefon, którego zapomniałam wyłączyć. Za piątym razem postanowiłam wreszcie sięgnąć po aparat, by zidentyfikować natręta i później go należycie zwymyślać. Na wyświetlaczu pojawił się „Bruno Niedziela”. Omal się nie udusiłam, bo mimowolnie zaparło mi dech i przestałam oddychać.

— Nie spotkałem cię na trasie. Czyżby zniechęciła cię pogoda? — zagadnął, a ja w wyobraźni widziałam, że się uśmiecha.

— Ale ciebie najwyraźniej nie zniechęciła — stwierdziłam.

— Tak... Zapowiadają ulewne deszcze przez cały tydzień... — rzekł dyżurny meteorolog Złotoryi.

— Mieszkam powyżej rzeki, więc nie muszę się jeszcze ewakuować.

— Myślałem raczej o twojej kondycji i chciałem zaproponować siłownię, a konkretnie bieżnię. Co ty na to? — spytał zdecydowanie zbyt rozbawionym tonem.

Jeden rzut oka na widok za oknem wystarczył, abym głębiej wsunęła się w ciepłą pościel. Pewnie blond piękność zrezygnowała z zaproszenia w obawie o makijaż i fryzurę, pomyślałam złośliwie.

— Mowy nie ma — rzuciłam. — Nie ruszam się z łóżka!

— Z łóżka?! — udał oburzenie. — Absolutnie niedopuszczalne. Właśnie jestem pod twoim blokiem. Zaraz wejść do środka i nie ma mowy, abyś nie poszła na siłownię...

— Ejże! Czy to nie jest nadużycie władzy?!

— To może być nawet nadużycie siły, gdybyś stawiała opór. Idę!

Dzwonek domofonu postanowiłam zignorować, choć przeczuwałam, że to niewiele pomoże. Błyskawicznie zerwałam się z pościeli i z paniką rozejrzałam po pokoju. Kiedy ja tutaj sprzątałam?! Trudno! Tradycyjnie rzeczy zbędne wylądowały w trzecim pokoju, a ja rzuciłam się do łazienki, aby nie przestraszyć Bruna swym naturalnym wyglądem. Pierwszą chwyconą pospiesznie rzeczą okazał się tusz do rzes i w tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi. Przestraszona tak szybkim obrotem zdarzeń, niechcący wbiłam sobie tusz w oko. Mój nieludzki okrzyk, w pełni uzasadniony nieludzkim bólem, musiał spłoszyć pingwiny na kole podbiegunowym. Zamrugałam gwałtownie, ale bolało jeszcze bardziej. Przemywanie zimną wodą wcale nie przyniosło ulgi, a do drzwi łomotał natrętnie podkomisarz Niedziela. Wyjść z bólu, otworzyłam wreszcie i chciałam uciec do łazienki, ale Bruno złapał mnie za ramię.

— Co się stało?! — zapytał, zaglądając mi w twarz, którą desperacko starałam się okryć włosami i dłońmi. — Dlaczego tak krzyczałaś?

— Wybiłam sobie przez ciebie oko! — wykrzyknęłam z pretensją i rozplakałam się na krótko, bo łyzy piekły, jakby ktoś sypał piaskiem pod powiekę.

— Ubieraj się — zakomenderował, podając mi kurtkę z wieszaka. — Idziemy do szpitala.

— Znowu?! — podchwyciłam pomimo przyprawiającego o utratę zmysłów bólu.

Roześmiał się, ale zaraz spytał opanowanym głosem:

— Bardziej cię boli, jak otwierasz czy jak zamykasz powiekę?

— Jak ruszam powieką — odpowiedziałam, sięgając do szafki po czarne kalosze w białe kropki. Tylko silnym bólem mogłam się usprawiedliwić, że wyszłam w pizamie w różowe krówki, na które Bruno narzucił moją kurtkę.

— To zamknij i nie ruszaj — rozkazał, popychając mnie do wyjścia. Odbierając ode mnie klucze do mieszkania, dodał: — Mam nadzieję, że nie zostawiłaś garnka z zupą na gazie?

— W dupie mam jakąś pieprzoną zupę! — wykrzyknęłam na schodach, a echo poszło aż miło. — Boliiii mnieee!

Do szpitala dotarliśmy taksówką, w której okrzykami bólu zagłuszałam utyskiwanie kierowcy na pogodę i czasy. Również w poczekalni bezwstydnie dałam popis wrzasków, co skutecznie pomogło mi

wysunąć się na początek długiej kolejki oczekujących nieszczęśników. Do gabinetu lekarskiego Bruno wpełznął się wraz ze mną. Na wstępie dostałam zastrzyk na uspokojenie o natychmiastowym działaniu albo paralizujący rozwrzeszczany aparat mowy. Teraz lekarz mógł zająć się moim okiem w ciszy i spokoju, a ja wreszcie poczułam ulgę.

— Uszkodziła sobie pani pierwszą ochronną warstwę oka — poinformował, zakładając opatrunek. — Nie jest najgorzej, ale musi pani zasłaniać to oko i się nie nadwyręzać.

— Będziesz piratką... — podsunął z uśmiechem Bruno.

— Raczej wariatką — poprawiłam go, wskazując na mój wyjątkowy strój, i dostałam ataku śmiechu, którego zupełnie nie kontrolowałam.

Lekarz wzruszył ramionami i nie kryjąc rozbawienia, powrócił do papierów na biurku. Ponownie zrobiłam hałas w poczekalni, rechocząc nieludzko. Po twarzach oczekujących przemknął strach przed wariatką w pizamie w krówki, kaloszach w kropki, z jednym okiem i śmiechem szaleńca. Bruno delikatnie popchnął mnie do wyjścia, zapewne w zawodowej trosce o społeczeństwo.

Wiadomość od nieboszczyka

Pomimo nieatrakcyjnego wyglądu i zwolnienia lekarskiego w kieszeni postanowiłam chodzić do pracy. Słusznie podejrzewałam, że odpoczywanie w domu, bez rodziny, którą mogłam w ramach terapii odwiedzić, przywoła ponownie niechciane myśli o śmierci Grzegorza, a przecież postanowiłam posłusznie z tym skończyć. Po wyjściu ze szpitala Bruno Niedziela zadeklarował pomoc, ale odebrałam to jako zwykłą grzeczność. Zapewne gorąca blondynka nie tryskałaby humorem, gdyby jej mężczyzna codziennie składał mi wielogodzinne wizyty albo chadzał ze mną na długie spacery po Złotoryi, bo o bieganiu na razie nie mogłam myśleć. Zatem grzecznie i wspaniałomyślnie odmówiłam. Jednak gdy nie ponowił propozycji, poczułam delikatne ukłucie żalu i z zaciśniętymi zębami powtórzyłam sobie w myślach: „Zadnych facetów!”.

Szarobure chmury odsłoniły wreszcie słońce, więc z przyjemnością szłam przez miasteczko, uśmiechając się do przechodniów niewątpliwie zaintrygowanych moim wyglądem i z ciekawością przyglądających się zaklejonemu oku. Choć mieszkałam w Złotoryi krótko, zdążyłam się przywiązać do tego miejsca i poznać wielu ludzi. Może nie byli to zdeklarowani znajomi, z którymi utrzymywałam bliższy kontakt, udzielając się towarzysko, ale rozpoznawałam twarze, które mijałam codziennie, w weekendy, a nawet sporadycznie. Kłanialiśmy się sobie i nierzadko zamienialiśmy kilka słów. Mimo niewielkiej społeczności naszego miasteczka nikt nie znał wszystkich, ale za to Biedroneczkę, najbardziej charakterystyczną postać złotoryjskiego rynku, znali wszyscy.

Swój pseudonim zawdzięczała ulubionemu i eksploatowanemu do przesady akcentowi w garderobie — kropeczkom. Nosiła je od stóp do głów, czyli od opaski na przerzedzonych siwych włosach, przez apaszki na cienkiej szyi, obcisłe bluzki albo niemodne bistorowe sukienki, po baleriny czy kalosze. Wszystko było w kropeczki.

Biedroneczka zrywała się bladym świtem i okrążała rynek, stawiając wielkie kroki chudymi i długimi niczym szczudła nogami. Pomagała otwierać sklepy, zamiatać ulice, odnosiła naczynia po klientach ogródków piwnych, machała przyjaźnie do każdego, zagadywała, choć częściej mówiła po prostu do siebie. Znikała wieczorem i zimą, by ponownie pojawić się z kolejnym świtem i ciepłym miesiącem.

Właśnie mijałam ją przy targowisku, gdy rzuciła w moją stronę:

— Lalunia! A kto cię tak urządził? — Nie czekając na odpowiedź, minęła mnie pospiesznie.

Komentarze na temat mojego zaklejonego oka pojawiły się, gdy tylko przekroczyłam bramę wejściową Bombkolandii. Głośno i bez skrępowania wysuwano niewiarygodne hipotezy, od napadu z gwałtem włącznie po przemoc domową. Wyobraźnia napędzana domowym kinem albo przedawkowaniem

serwisów informacyjnych zdecydowanie przerosła szarą rzeczywistość w postaci banalnego tuszu do rzęs. Zaczęłam poważnie rozważać dostarczenie zwolnienia lekarskiego do kadr. Nawet Justyna mnie nie oszczędziła i wykrzyknęła na mój widok:

— No i doigrałaś się! Dostałaś od jakiejś kobity, co jej nachalnie rwałaś męża!

Zmierzyłam ją groźnie okiem cyklopa.

— Oszalałaś? — spytałam, włączając wentylator, bo zrobiło mi się dziwnie duszno.

— To ty się biłaś o faceta? — dopytywała z niedowierzaniem, oglądając mnie dokładnie w poszukiwaniu innych śladów domniemanej bójki.

Złapałam się za głowę i całe szczęście, że zadzwonił mój telefon, bo zaczęłabym krzyczeć w przypływie szaleństwa. Zaskoczona spojrzałam na wyświetlacz: Renata.

— Ciociu, pojęcia nie masz, jak tutaj jest pięknie! — wydała z siebie okrzyk zachwytu, a po chwili dodała konspiracyjnym szeptem: — Mama nie ma szans. Ojciec ją pilnuje i nie odstępuje na krok.

Wydałam z siebie jedynie westchnienie pełne żalu i tęsknoty, wciąż pozostając pod czujną obserwacją Justyny. Tymczasem Renata ryknęła mi w ucho:

— Przyjedziemy tutaj w podróż poślubną! Jest tak przepięknie!

Omam nie straciłam słuchu, więc na wszelki wypadek odsunęłam telefon na bezpieczną odległość. Wtedy Renata ponownie zaczęła szeptać:

— Jestem z Olusiem na spacerze, więc też pod nadzorem. Mama prosiła, aby ci przekazać, że napisze maila. Sprawdzaj pocztę — zakończyła i rozłączyła się bez pożegnania.

— To ona? — spytała Justyna, pochylając się nade mną.

— Kto? — rzuciłam zaskoczona. Delikatnie ją odsunęłam, aby dostać się do swoich niedokończonych projektów.

— Ta żona, co cię tak urządziła — odpowiedziała. — A może to on, zmartwiony i skruszony?

Zatrzymałam się przy biurku, ściskając blat, by zająć czymś ręce wyrrywające się do szyi mojej koleżanki.

— Justyna, na miłość boską! — podniosłam głos, zniecierpliwiona. — Wsadziłam sobie sama w oko tusz do rzęs i nie ma w tym nic sensacyjnego!

Mogłam się spodziewać, że nasza wymiana zdań zakończy się tradycyjnym obrażeniem.

— No pewnie! — parsknęła z pretensją Justyna. — Kim ja dla ciebie jestem?! Zwykłą koleżanką z pracy!

Miałam ochotę dodać: „i prawdziwą blondynką”, ale powstrzymał mnie dźwięk przychodzącego na mój telefon SMS-a. Rzuciłam plecami Justyny mordercze spojrzenie i sięgnęłam po komórkę. „Pamiętaj, że obiecałaś fotobudki. R.” — przeczytałam.

I to byłoby na tyle w kwestii utrzymywania więzi rodzinnych i kontaktów towarzyskich. Miałam prawo poczuć się załamana, ale choć z jednym okiem, postanowiłam trzymać się dzielnie. I jeszcze fotobudki! Oczywiście kolejny pomysł na uatrakcyjnienie wesela Renaty i Olusia. Moja bratanica postanowiła, że

poza zamówionym fotografem i kamerzystą, których na marginesie zdążyła zmienić do tej pory cztery razy, zostaną postawione dwie fotobudki, w których zaproszeni goście będą mogli zrobić sobie zdjęcia dla państwa młodych na pamiątkę, w tajemnicy przed pozostałymi gośćmi. No i ja, w przypiływie jakiegoś szaleństwa, zdjęta litością dla Joanny, której od wędrówek do krawcowej i na salę bankietową zdążyły wyjść żyłki na nogach, wzięłam na siebie wypożyczenie owej atrakcji.

Wieczorem, gdy padłam bez czucia na fotel pokonana przez popołudniową bieganinę za fotobudkami, a konkretniej — za właścicielem dziko przemieszczającym się w interesach po mieście z wyłączonym telefonem komórkowym, obiecałam sobie, że nie dam się już wciągnąć w organizację żadnej imprezy. Ostatecznie człowiek od fotobudek został namierzony i zaklepany zaliczką z moich skromnych oszczędności. Przy życiu trzymał mnie wchłonięty pospiesznie hot dog, który niespokojnie wiercił się jeszcze w żołądku w postaci nieprzetrawionych resztek z wyraźną ochotą na wycieczkę w górę. Tak to jest, gdy nie jada się w zaufanych miejscach...

Nie ruszając się z fotela, sięgnęłam po laptopa, bo przypomniałam sobie resztkami przytomności, że Joanna miała przysłać maila. Niestety, w mojej skrzynce nie było żadnej wiadomości od przyjaciółki. Najwidoczniej pozostawała pod ścisłym nadzorem, bez chwili prywatności na skorzystanie z dobrodziejstw Internetu. Daremnie odświeżałam stronę. Zaczęłam ze złością kasować nieskończoną liczbę reklam, gdy nagle się zatrzymałam, czując, jak dreszcze przechodzą przez moje ciało. Nadawca „Cmentarz” przesłał mi maila zatytułowanego: „Zapal świeczkę Grzegorzowi B.”. Początkowo nie dowierzałam mojemu jednemu oku, ale później omal nie dostałam zawału serca. Niepomna ostrzeżeń informatyków, by nie otwierać wiadomości od nieznanych nadawców, kliknęłam. W mailu podany był jedynie link, na który również w rozpędzie kliknęłam. Od razu zostałam przeniesiona na stronę wirtualnego cmentarza do nagrobka Grzegorza. Nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Przed okiem miałam nagrobek z datami narodzin i śmierci i zdjęciem nieboszczyka — mojego byłego męża. Cóż za czarny humor! Co to za strona? Kto mi to przysłał?! Potwór jakiś, co chce mnie życia pozbawić?!

Ochłonawszy, zaczęłam czytać wiadomości o tego rodzaju serwisach, a tymczasem pod zdjęciem nagrobka jaskrawo migotał napis: „Zapal mu świeczkę, niech spoczywa w pokoju”. Wzruszyłam ramionami, bo co będę Grzegorzowi wirtualnej świeczki żałowała. Zwłaszcza że nie paliła się żadna, podczas gdy przy innych nieboszczykach świeczki odliczane były niczym lajki na Facebooku, w setkach, a nawet w tysiącach. Ledwie kliknęłam, a zaraz dostałam wiadomość na skrzynkę. Ucieszona, że wreszcie Joanna wyrwała się z nadopiekuńczych ramion mojego brata, powróciłam do swojej poczty. Jeżeli przy poprzedniej informacji mogłam dostać zawału, to przy kolejnej z tego serwisu mogłam dołączyć do pozostałych nieboszczyków na portalu internetowym „Cmentarz”.

„Grzegorz przesyła ci wiadomość” — przeczytałam w temacie, mniemając, że to bardzo kiepski żart, a moderatorowi serwisu „Cmentarz” nie brakuje poczucia czarnego humoru. Oczywiście otworzyłam, by przekonać się, czy autorem istotnie jest nieboszczyk Grzegorz Bożyk. Jeśli był nim naprawdę, to posiadał poczucie humoru, o które go nigdy nie podejrzewałam. Wiadomość brzmiała: „Idź z plecakiem do

Komnaty Joannitów, by w niedzielę wysłuchać hejnału. Grzegorz”.

Rozterki jednookiej amazonki

Świtało. Ptaki już od godziny załatwiały swoje sprawy, głośno i przyjemnie świergocząc. Za ścianą sąsiadka tłukła się w kuchni, przyrządzając licznej rodzinie śniadanie. Przyglądałam się rozjaśnionemu niebu z łóżka, w którym spędziłam bezsenłą noc. Kolejną samotną noc, ale bez narzekania i niespodzianek. Najwidoczniej w moim przypadku wielką niespodzianką może być jedynie widok nieba o poranku, które zawsze mnie zaskakiwało swoim pięknem. No i ostatnio kontakt z nieboszczykiem, przez którego kotłowałam się z myślami kosztem regenerującego snu.

Jak mi brakowało Joanny! Wytrzymam jeszcze ten tydzień izolacji, ale później zejdziemy do podziemia, ukrywając się przed moim bratem. Przecież wbrew moim szczerym chęciom porzucenia tematu nieboszczyka byłego męża, nadal jestem wciągana w jego pośmiertne sprawy. Nawet gdybym się zakopała pod ziemią, on by mnie i tam złośliwie dopadł.

Brakuje mi też biegania, podczas którego łatwiej mi zebrać myśli! Brakuje mi jednego oka! Brakuje mi jednej piersi! Wszystkiego mi brakuje! Jestem opuszczoną przez rodzinę, jednooką amazonką trochę więcej niż po czterdziestce. Na szczęście przynajmniej dwóm brakom uda się na razie zaradzić. W piątek, po kontroli lekarskiej, odzyskam pełną widoczność i od razu mam zamiar oddać się wysiłkowi fizycznemu. No i zaraz jest niedziela zaplanowana przez nieboszczyka.

Iść czy nie iść — oto jest pytanie! Z tego co wiem, Komnata Joannitów znajduje się na jednym z poziomów w udostępnianej turystom wschodniej wieży przy najstarszym i najcenniejszym kościele w Złotoryi pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Zawsze gdy tamtędy przechodzę, zachwyca mnie wąska, krótka i urokliwa uliczka Joannitów, która okala świątynię. Targały mną jednak złe przeczucia. Czy to Grzegorz mnie tam wysłał? Czy może jego wrogowie w przeświadczeniu, że posiadam to, czego tak zawzięcie szukają? Wleżę tam i mnie zabiją, a potem wrzucą do lochu głodowego, gdzie ktoś znajdzie mnie po dłuższym czasie. W samo południe! Z plecakiem! Czy ja w ogóle dysponuję czymś takim jak plecak? Jedyne, jaki być może posiadałam, spoczywał przez lata w szafie mojego pokoju w rodzinnym domu i pochodził z czasów, gdy spędzałam wakacje na obozach wędrownych. Po likwidacji naszych dziecięcych kątów przez tatka, dopiero gdy się wprowadziłam na Cmentarną, wygrzebałam wszystkie niewyrzucone na śmietnik rzeczy i oczywiście wepchnęłam do trzeciego pokoju. Mgliście kojarzyłam nawet moment, gdy zniszczony plecak w kolorze wojskowej zieleni upychałam do komody, którą tam na początku trzymałam na szpargały. Tylko że mebel już dawno został zastawiony i zagracony, więc dostanie się do niego mogło się okazać tytanicznym wysiłkiem. Trudno.

Dwie grubaśne muchy zawzięcie kłóciły się o kawałek okruszka na parapecie. Ze wstrętem

przyglądałam się awanturze. W końcu musiałam dzwignąć się z pościeli, otworzyć okno na oścież i wyprosić hałaśliwe towarzystwo na zewnątrz. Do łóżka nie pozwolił mi wrócić przepiękny pęcherz i dzwoniący telefon.

— Dzień dobry! — usłyszałam naładowany energią głos Niedzieli.

— Tego jeszcze nie jestem pewna, ale życzę sobie takiego dnia — mruknęłam.

— A jak się czujesz? — spytał ze słyszalną troską, która niczym lawa sączyła mi się przyjemnie do ucha.

Przytrzymując ramieniem słuchawkę, podreptałam do łazienki. Oby tylko nie usłyszał, że teraz sikam, ale naprawdę już nie mogłam wytrzymać. Starłam się nie robić hałasu, a wodę mogę przecież spuścić później.

— Nie boli mnie, to najważniejsze — mówiłam podniesionym głosem. — Chodzę do pracy w aurze tajemniczości, wzbudzając podejrzenia, i przynajmniej do piątku będę bohaterką licznych plotek i spekulacji na temat mojego życia. Cudownie!

Umyłam ręce i przeszłam do kuchni. Jedną pilną potrzebę odfajkowałam, ale teraz mój żołądek domagał się natychmiastowego zaspokojenia, wydając złowrogie pomruki.

— Przykro mi, że nie możesz biegać, więc może w ramach rekompensaty dasz się zaprosić po pracy na obiad? Może na pstrąga w migdałach do „Smażalni u Mateusza”? Mogę z czystym sumieniem polecić — zaproponował, a mnie zaschło w gardle i zrobiło się tak gorąco, jakbym nie stała w swoim pokoju, lecz na środku Sahary w samo południe w roztopiającym powietrzu upale.

— Nie musisz mi niczego rekompensować — odparłam, pospiesznie ochłoniawszy za sprawą przywołanego w myślach obrazu biegnącego Bruna z uroczą, młodą blondynką. — To nie twoja wina.

— Bezpośrednio nie, ale pośrednio... Popędzałem cię.

Dobra! Nie będę się tutaj roztopiać przed śniadaniem w słodkich przekomarzeniach. Żadnych facetów i żadnej litości dla dwulicowców! Postanowiłam zagrać *va banque*:

— I twoja żona nie ma nic przeciwko, że ty z obcą babą pstrągi będziesz jadał poza domem?

Odpowiedziała mi cisza, świadcząca, że uderzyłam z zaskoczenia i celnie.

— Myślisz, że dwanaście lat po rozwodzie powinienem ją spytać? — rzucił z rozbawieniem.

Tym razem to ja zaniemówiłam.

— Żeby rozwiać wszelkie wątpliwości — zaczął — nie mam też dziewczyny, narzeczonej, konkubiny, partnerki, nawet matki, bo zmarła dwa lata temu. Mam dorosłą córkę, która mnie niedawno odwiedziła, bo na stałe mieszka w Brukseli, i też jest policjantką i z którą mnie już widziałas. Stąd, jak podejrzewam, twoje podchwytliwe pytanie.

Przełknęłam ślinę i przyłożyłam czoło do zimnej lodówki, by zminimalizować działanie płomieni wstydu.

— Rozgryłeś mnie — przyznałam uczciwie. — Zapomniałam, że jesteś policjantem.

— Zatem o szesnastej przed Basztą Kowalską — rzucił na koniec, jak podejrzewam z uśmiechem,

pozostawiając mnie na pastwę rozłączonego połączenia i własnego zawstydzenia.

— Wiedziałaś — zagadnęłam w pracy Justynę — że są takie strony internetowe, gdzie można komuś postawić nagrobek i zapalić znicze?

— A co? Chcesz mnie już pogrzebać? — parsknęła, nie odrywając wzroku od stołu kreślarskiego.

— Jak to pogrzebać? Po co? — Nie nadążałam za tokiem myślenia mojej koleżanki.

— Zamiast czekać na zwolnienie...

— Justyna! — wykrzyknęłam oburzona i uderzyłam pięścią w stół, omal nie rozlewając wody na swoje projekty.

Moje przekonanie, że nowe zamówienia wzorów bombek na holenderski dwór królewski oddaliły na dobre widmo zwolnień, okazało się jednak błędne. Najwyraźniej Justyna nie dowierzała specjalistom od marketingu, którzy jeszcze tydzień temu w gorących słowach zapewniali całą załogę, że teraz ruszamy z marazmu i jak nasze bombki trafią na salony, to trzeba będzie jeszcze zatrudniać, a nie zwalniać.

Justyna odwróciła się z szelmowskim uśmiechem.

— Dobra, dobra. Żartowałam — odparła. — Już to przerobiłam z Jankiem, że nie jesteś dla mnie zagrożeniem.

Odetchnęłam z ulgą, że Janek ma więcej zdrowego rozsądku niż jego utalentowana artystycznie żona. Otrzymał dodatkowe dziesięć punktów w kategorii „Nie mój facet roku”.

— To co z tymi grobowymi stronami? — powróciłam do tematu.

— Wiedziałaś — odpowiedziała, wzruszając ramionami, jakby codziennie korzystała z takich serwisów. — Możesz nawet sama sobie taki nagrobek postawić.

— Sobie?! — Wzdrygnęłam się mimowolnie.

— Oczywiście — przytaknęła, przyglądając mi się z uśmiechem. — A kto ci zabroni? Możesz zrobić to za życia, jak jesteś samotna i zamartwiasz się, że nie będzie ci miał kto znicza zapalić na Święto Zmarłych.

Spojrzałam na nią groźnie jednym okiem.

— No co? Mówię hipotetycznie — poprawiła się i powróciła do projektowania, uważając temat za wyczerpany.

Wpatrzona w kwiecisty wzór sukienki Justyny, podjęłam męską decyzję. Jeżeli znajdę swój stary harcerski plecak, to pójdę w niedzielę na tajemnicze spotkanie.

Niedziela w środku tygodnia

„Smażalnia u Mateusza”, choć nazwa restauracji brzmiała trywialnie i raczej nieelegancko, wystrojem wnętrza oraz menu obalała stereotypowe wyobrażenia na temat takiego miejsca. W środku mimo słonecznego dnia panował półmrok, rozjaśniany eleganckimi kinkietami i białą obrusów na kilku okrągłych, kameralnych stolikach zastawionych obowiązkową zastawą. Pachniało wiosną i kwiatami z bukietów dekorujących wnętrze. Ledwie zajęliśmy jeden ze stolików, a już obok pojawił się kelner z propozycjami szefa kuchni. Skupiłam się na rozglądaniu po wnętrzu, wybór dania pozostawiając Brunowi.

Pstrąg w migdałach rzeczywiście zasługiwał na najwyższą rekomendację. Rozpływałam się w zachwytach, obiecując sobie, że będę częstszym gościem „Smażalni u Mateusza”, nawet jeśli mój portfel w zastraszającym tempie się uszczupli.

— Cieszę się, że ci smakuje — oznajmił uśmiechnięty Bruno, gdy nie omieszkałam głośno wyrazić swych zachwytów.

Potem już poszło gładko, bo idąc w tym kierunku, opowiadałam o swojej kulinarnie utalentowanej rodzinie, nie szczędząc przymiotników oraz „achów” i „ochów”. Nawet nie zauważyłam, jak zdominowałam rozmowę, ale Bruno słuchał z zainteresowaniem. Sprawiał wrażenie swobodnego, wyluzowanego, z miłym uśmiechem na twarzy. Miałam wreszcie okazję przyjrzeć mu się z bliska i w spokojniejszych okolicznościach i to, co zobaczyłam, bardzo mi się spodobało.

— Zdaje się, że bardzo tęsknisz za swoją rodziną — podsumował, gdy wreszcie zamilkłam. Omal się nie rozpląkałam, w tak czuły punkt uderzył.

— I to jak — westchnęłam. — Zupełnie nie mam z kim porozmawiać, a tyle się dzieje...

— To może porozmawiasz ze mną? — zaproponował.

— Ale ty jesteś policjantem — przypomniałam i po chwili dodałam z większym entuzjazmem: — No właśnie! Czy naprawdę umorzyli śledztwo w sprawie mojego byłego męża?

Spodziewałam się wybuchu złości, ale na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Bruno omal się nie zakrztusił kawą, którą akurat pił. Zauważyłam jedynie cień ostrzegawczego spojrzenia.

— To ja zapraszam cię na randkę, a ty chcesz rozmawiać o byłym mężu i to w dodatku nieboszczyku? — skarcił mnie z uśmiechem, wciąż lekko pokaszłując.

— Można to potraktować jako wstęp do lepszego poznania się...

— To może zaczniemy od dzieciństwa? — zaproponował.

— Możemy zrobić duży skok do przodu.

— Też muszę opowiadać o swojej byłej żonie? — skrzywił się.

Odsunęłam od siebie naczynia, by oprzeć wygodnie, aczkolwiek nieelegancko, łokcie na stole.

Natychmiast bezszelestnie zjawił się kelner i błyskawicznie sprzątnął stół.

— Nie, możemy skupić się na moim byłym mężu Grzegorzu.

— Nie wiem, co gorsze.

— Wiesz, że nie wierzę w samobójstwo — zagrałam w otwarte karty. — Dlaczego prokurator umorzył śledztwo?

— To do niczego nie prowadzi — odparł z powagą, wciąż walcząc z kaszlem.

— Co ci szkodzi odpowiedzieć — oburzyłam się, zupełnie nie rozumiejąc jego buntu.

Bruno nie przestawał kaszleć, więc podałam mu szklankę wody. Zanim wziął ją ode mnie, spojrzał, jakbym podsuwała mu cykutę.

— Przecież nie ma żadnego śledztwa — przypomniałam. — Nie zdradzasz tajemnic, nie sprzeniewierzasz się czy co tam jeszcze. Ja sobie tylko głośno myślę, a ty możesz przecież powstrzymać moje dywagacje, jeśli zmierzają w ciemny zaułek.

Trzymając oburącz szklankę z nienadpitą wodą, przyglądał mi się z uwagą.

— Przypominam, że miałeś zamiar i tak iść na emeryturę, więc...

— Nie mam ochoty na tę rozmowę — odpowiedział twardo, prześwietlając mnie wzrokiem.

Uśmiechnięta, przyjazna twarz zniknęła, co powinno być dla mnie ostrzeżeniem, ale pozbawiona instynktu samozachowawczego ciągnęłam z uporem swój temat.

— Przecież mówiłam wam, że to niemożliwe, żeby popełnił samobójstwo! Znałam go na tyle!

— Uważasz, że prokuratura i policja się pomyliły? — syknął nieprzyjemnie. — Że tam pracują leniwe barany albo sami kretyni, którzy nie znają się na niczym?

— Nie trzeba być baranem czy kretynem, żeby się pomylić — wtrąciłam. — Każdy się myli. Instytucje czy urzędy także.

— Czyli jednak.

— Oj! — jęknęłam przyciśnięta do muru. — Co mi szkodzi sprawdzić? Przecież nie zamkniecie mnie z tego powodu.

— Żałuję, że nie ma na to odpowiedniego paragrafu.

— Dobrze, bo chcę cię wykorzystać — przyznałam.

Odchylił się na oparcie krzesła z szelmowskim uśmiechem i klepnął się w udo.

— Zaczyna mi się to podobać.

— Nie ciebie w sensie ciebie — poprawiłam. — Twój mózg, twoje doświadczenie, wiedzę operacyjną...

— Zdaje się, że bardzo straciłem na atrakcyjności.

— Jaki się dowcipny zrobiłeś. Jeszcze niedawno z połkniętym kijem biegałeś, a teraz? Nie poznaję podkomisarza Niedzieli — udałam oburzenie.

— Chcę znać prawdziwy powód. Dlaczego zajmujesz się samobójczą śmiercią byłego męża, który załaził ci za skórę i z którym rozwiodłaś się trzy lata temu? Kochasz go jeszcze czy jak?

— Z nudów. Prowadzę strasznie nudne życie samotnej kobiety po czterdziestce, a to znakomita okazja, aby oderwać się od szarej codzienności. Poza tym Grzegorz nie popełnił samobójstwa, a ktoś mnie niejako obarczył odpowiedzialnością za jego śmierć.

Bruno pokręcił głową z niedowierzaniem.

— To absurd. Nie wskazał ciebie jako winną.

— Nikt poza moją rodziną nie wiedział, jak było między mną a Grzegorzem. On nie miał wyrzutów sumienia! Nie powiedziałby też nikomu, za co niby miał mnie przepraszać.

Bruno podniósł się z miejsca, delikatnie odsuwając krzesło.

— Skoro nie miał wyrzutów sumienia wobec ciebie, to ty nie miej wyrzutów wobec niego. Zostaw sprawy profesjonalistom — powiedział chłodno. — Odprowadzę cię do domu.

Pilotem w obronie własnej

Może wobec Grzegorza nie miałam wyrzutów sumienia, ale za to tuż za progiem własnego mieszkania dopadły mnie gigantyczne wyrzuty z powodu Bruna. Kolejny raz okazałam się kompletną idiotką, która robi coś odwrotnego, niż chciała. Nie da się ukryć. Zraziłam do siebie sympatycznego faceta zupełnie bezsensowną gadką! Jeszcze na koniec, gdy przyszedł kelner z rachunkiem, rozpętałam prawdziwą burzę, uporczywie chcąc zapłacić przynajmniej za siebie. Na żadną emancypację w kwestii rachunku Bruno nie chciał się zgodzić. Wciskaliśmy i wyjmowaliśmy na zmianę pieniądze zdezorientowanemu kelnerowi. Ostatecznie Bruno delikatnie, ale stanowczo złapał mnie w pól i wyniósł z restauracji jak paczkę. Gdy postawił mnie na ziemi, dyszałam z gniewu, a on ze zmęczenia.

— Jesteś nieznośna — syknął i chwycił mnie za dłoń, ale natychmiast się wyrwałam.

Cała droga z restauracji minęła nam w posępnym milczeniu, a temperatura wokół spadła bardzo znacznie poniżej zera, pomimo przyjemnego wiosennego wieczoru. Jedynie nas dwoje otaczał mróz, od którego zdawały się trzeszczeć mijane kamienice i pękać chodniki pod stopami.

Tuż przy mojej klatce schodowej dotarł do mnie bezsens całej kłótni. Z zaskoczeniem odkryłam, że nie chcę kończyć znajomości z Brunem w tak bezsensowny sposób, i już miałam powiedzieć „przepraszam”, ale wyprzedził mnie lodowatym „dobranoc” i odszedł. Zatrzymałam się z ręką na kłance. Przyglądałam się ze smutkiem, jak szybkim krokiem zmierza w stronę placu Matejki, by zniknąć w mrocznym cieniu kamienic.

Musiałam porozmawiać z Joanną, zanim rozkleję się na dobre. Niestety, telefon mojej przyjaciółki-bratowej milczał. Podobnie jak bratanicy. Do Przemka nie zdecydowałam się zadzwonić, więc gnębiona okropnymi uczuciami, rzuciłam się na łóżko, licząc, że jutrzejsze zdjęcie opatrunku z oka pomoże mi lepiej i wyraźniej spojrzeć na sytuację, by znaleźć dobre rozwiązanie.

Bładym świtem, jeszcze przed uruchomieniem się zaprogramowanego budzika, zadzwonił telefon.

— Paulinko, właśnie jedziemy do Legnicy — usłyszałam rozemocjonowany głos taty. — Po drodze chcieliśmy ci podrzucić te dyski. No i poznasz Henriette.

— Tatku, ale to nie jest dobry pomysł. — Z miejsca oprzytomniałam, zrywając się z pościeli niemal na baczność. — Nawet jeszcze nie wstałam i zaraz pędzę do pracy. Przyjadę do ciebie po południu, dobrze?

W odpowiedzi usłyszałam jakieś szumy i trzaski, a po chwili znów wesoły głos tatka.

— Dobrze, Henrietta zgodziła się u mnie zatrzymać. Do zobaczenia.

Dopiero gdy się rozłączył, przypomniałam sobie o wizycie u okulisty, ale już nie oddzwaniałam. Miejmy nadzieję, że zdążę.

Powrót i perspektywa spotkania choć części mojej rodziny zdecydowanie poprawiły mi humor. Co prawda na słonecznym poranku kładł się cieniem wczorajszy wieczór, ale przyływ nadziei, że zdołam to odkręcić, dodawał energii.

Zaraz po pracy przybiegłam do domu i pełna entuzjazmu zadzwoniłam do Bruna. Nie odbierał, ale nie poddałam się i ignorując wewnętrzne ostrzeżenie, że nie powinnam tak nachalnie wydzwaniać do faceta, powtórzyłam próbę połączenia jeszcze siedem razy. Przy ósmym wysłuchaniu ciągłego sygnału zastanowiłam się wreszcie i uderzyło mnie, że znajomość się skończyła, a ja robię z siebie jeszcze większą idiotkę. Natrętną idiotkę!

Niestety, nie miałam już czasu na pogłębianie rozważań nad kruchością relacji damsko-męskich, strasznie bowiem chciało mi się do toalety, więc odłożyłam telefon. Wybiegłam z mieszkania, nerwowo pakując torebkę, i ledwie zdążyłam do okulisty. Tak jak przypuszczałam, zdjęcie opatrunku przywróciło szerszą perspektywę widzenia.

Na przystanku w oczekiwaniu na busa do Legnicy, przepełniona pozytywnymi uczuciami, postanowiłam jeszcze raz spróbować skontaktować się z Brunem. Może nie mógł odebrać? Przecież jest policjantem, tłumaczyłam sobie, szukając w torebce telefonu, może uczestniczy w jakiejś akcji? Może dzwonił już do mnie?

Po przekopaniu swojej przepastnej torebki zamiast telefonu ku własnemu zdumieniu wyciągnęłam... pilota od telewizora. Pośpiech zdecydowanie mi nie służy, a wzrok jednak się pogorszył. Pakując rzeczy ze stolika, zgarnęłam przypadkowo pilota zamiast telefon. Nie przestając zastanawiać się nad konsekwencjami braku kontaktu ze światem, weszłam do busa z pilotem w wyciągniętej przed siebie dłoni i podałam nią wyliczone pieniądze za bilet. Kierowca rozpoznał mnie natychmiast i wydając cichy jęk, drżącą ręką podał mi paragon. I znów przyglądał mi się z niepokojem przez całą drogę do Legnicy, choć pilota już schowałam do torebki i starałam się ze wszystkich sił nie przypominać wariatki.

Moje wyjście kierowca przyjął z ostentacyjną radością, którą natychmiast zgasiałam, krzycząc:
— Do jutra!

Autobus zdecydowanie zbyt gwałtownie ruszył z przystanku. A ja postanowiłam po drodze kupić w osiedlowym sklepie jakąś bombonierkę nowej wybrance tatka, szczególnie zasłużonej w moim prywatnym i nielegalnym przedsięwzięciu dochodzeniowym. Gdy wychodziłam ze sklepu ze słodkim podziękowaniem pod pachą, tuż przy drzwiach poraził mnie tytuł lokalnej darmowej gazety: „Najpierw dyrektor banku, a teraz jego sprzątaczką! Kto następny?”. Omal nie upadłam, gdy na zdjęciu dołączonym do artykułu rozpoznałam, pomimo czarnego paska na oczach, naszą sprzątaczkę Nataszę.

Wcisnęłam się nachalnie pomiędzy okupujących najbliższą ławkę młodych ludzi stylizujących się na czarnoskórych raperów, by spokojnie przeczytać artykuł.

„Wczoraj w godzinach porannych na zachodniej obwodnicy Legnicy, na odcinku pomiędzy Jaworzyńską a Złotoryjską, doszło do tragicznego wypadku. Kierująca oplem astrą trzydziestoletnia Natasza K. z niewiadomych przyczyn zjechała z pasa ruchu i zderzyła się z TIR-em jadącym

z naprzeciwka. Pomimo błyskawicznej akcji reanimacyjnej nie udało się uratować życia kobiety. Kierowca ciężarówki został przewieziony w stanie ciężkim do szpitala. Policja ustala przyczyny wypadku. Nie wyklucza się samobójstwa.

Natasza K. pracowała wiele lat jako pomoc domowa u dyrektora banku Grzegorza B., który popełnił samobójstwo w hotelu w Świeradowie-Zdroju. Czy to początek tajemniczej serii samobójstw? O postępach prowadzonego śledztwa będziemy informować naszych czytelników na bieżąco”.

Natasza! Taka młoda kobieta! Nazywałam ją duchem, bo zawsze sprzątała u nas, gdy nikogo nie było w domu. Parę razy wpadłyśmy na siebie, więc siłą rzeczy zamieniłyśmy kilka słów, z których wywnioskowałam, że to bardzo sympatyczna dziewczyna, pełna planów i radości. Zdaje się, że na Białorusi zostawiła dwójkę dzieci, które zamierzała ściągnąć do siebie i potem wspólnie wyjechać do Anglii, gdzie czekała dalsza rodzina. Nawet sprząając, wciąż ze słuchawkami w uszach, intensywnie uczyła się angielskiego. Mój Boże! Co jej mogło strzelić do głowy? To samobójstwo jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne niż Grzegorza.

Raperzy złośliwie pogłośnili muzykę w przenośnym odtwarzaczu, by mnie wypłoszyć ze swojego towarzystwa. Bez urazy zwolniłam miejsce i pochłonięta myślami o nieżyjącej sprzątacze dotarłam do naszego bloku.

U tatka czekała mnie prawdziwa uczta kulinarna oraz zapakowana w różową kopertę płyta DVD. Otoczona przez najpiękniejsze na świecie aromaty z kuchni mego rodziciela, porzuciłam bez żalu ponure wizje. Potężne burczenie w trzewiach ostatecznie wyparło wszelkie myśli, by zamienić mnie w wygłodniałego zwierzątko.

Niestety, Henrietta nie mogła zostać i pojechała w dalszą drogę do Drezna, ku wielkiemu rozczarowaniu mego taty. Wyczułam uczuciowe perturbacje, ale i smutek, więc zaraz po pochłonięciu zrazików w sosie chrzanowym z ziemniaczkami purée i surówką z porów zapytałam wprost:

— Co się stało?

Tatko wiercił się w fotelu, spoglądając na zmianę na portret mamy, na pusty stół, a potem w okno. Przeleciało mi przez głowę, że chyba wpadł po uszy...

— Pokłóciliśmy się — wyznał ponuro i boleśnie. — Zupełna bzdura, ale ona nie odbiera teraz moich telefonów.

— Na pewno prowadzi samochód i nie może rozmawiać na autostradzie — wytłumaczyłam rzeczowo.

— Ma zestaw głośnomówiący — dorzucił z rozpaczą tatko.

I aparaturę podsłuchową w całym samochodzie oraz miniaturowe kamery, które zdążyła zainstalować w mieszkaniu ojca, by móc obserwować z sadystyczną satysfakcją jego cierpienia po rozstaniu, pomyślałam nieco paranoidalnie, a głośno wysunęłam odmienne przypuszczenie:

— To też nie jest bezpieczne, bo rozprasza. Daj jej czas na uspokojenie się, a zobaczysz, że sama do ciebie zadzwoni.

Nie mogłam uwierzyć, że udzielam tego rodzaju rad mojemu tatkowi, a sama tkwię w podobnym

galimatiasie, i to jeszcze z pilotem od telewizora w torebce.

— To naprawdę wyjątkowa kobieta — westchnął, wpatrując się tęsknie w okno. — Zupełnie inna, i myślałem...

— O co się pokłóciliście? — spytałam, czując, jak udziela mi się jego smutek.

— O głupotę — wyznał. — Spytałem o jej męża, a potem jak głupi zacząłem opowiadać o Marysi. Nieboszczyków zachciało mi się wspominać...

Mogłam sobie pogratulować pewności, że jestem genetycznie związana z moim ojcem.

Wracałam ostatnim busem, wypełniając puste wnętrze bezbrzeżnym smutkiem. Pomimo późnej pory rozważałam pomysł nocnego joggingu, który zadziałałby terapeutycznie i pomógł poukładać chaos w głowie. Jednak gdy tylko postawiłam stopę na złotoryjskim chodniku, pochwycił mnie silny wiatr, powodując lekkie zachwianie równowagi. Prawdziwy huragan szarpał drzewami, toczył ulicami papiery, woreczki foliowe i inne śmieci, a nielicznych przechodniów popychał bezlitośnie w jednym kierunku. Chcąc dotrzeć na Cmentarną, musiałam pochylić się nieco do przodu i taranem zmierzać pod wiatr, przeklinając anomalie pogodowe, które muszą mnie zaskakiwać akurat na ulicy.

Mijając smutny pomnik górnika, który przypominał mi o Brunie, odruchowo sięgnęłam po telefon, by sprawdzić liczbę nieodebranych połączeń, ale dopiero, gdy wyciągnęłam pilota, przypominałam sobie o fatalnej pomyłce dzisiejszego popołudnia. To mnie jeszcze bardziej przygnębiło.

— Cześć! — usłyszałam nagle za plecami i aż podskoczyłam z przestraszu.

— Piotr? — zdziwiłam się, gdy odwróciwszy się gwałtownie, zobaczyłam Piotra Murarza. — Co ty tutaj robisz?

Gdy podszedł bliżej, owionął mnie zapach alkoholu. A raczej zdmuchnął siłą szalejącego wiatru.

— Czekam na ciebie.

— Na mnie?

— Nie, na Grzegorza — odpowiedział i roześmiał się głośno.

Złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie. Od intensywności alkoholowych wyziewów zrobiło mi się niedobrze.

— Oczywiście, że na ciebie — wysyczał w moje ucho, a potem wsadził w nie język. Szarpnęłam się, ale trzymał mnie mocno.

— Zostaw mnie, bo będę krzyczeć — protestowałam, drżąc na całym ciele.

— Krzycz sobie, ile chcesz, ale najpierw oddaj teczkę Grzegorza! Wiem, że ci ją dał!

— Zwariowałaś?! Nie mam żadnej teczki!

Już samo imię byłego męża, o którym starałam się zapomnieć i przez którego zepsułam sobie wczorajszy wieczór, sprawiło, że strach ustąpił nieokiełznanej złości. Wciąż trzymanym w dłoni pilotem od telewizora uderzyłam Piotra precyzyjnie w jabłko Adama. Kiedy zaczął się krztusić, chwytając oburącz za gardło, z całej siły, jaką potęgowała moja wściekłość, kopnęłam go kolaniem w krocze. Już nie czekałam na satysfakcjonujący widok zwijającego się z bólu Piotra, lecz galopem, walcząc tym razem

z wiatrem, dotarłam do mieszkania. Natychmiast zaryglowałam drzwi i oparłam się o nie, ciężko dysząc. W dłoni nadal ściszałam pilota, uśmiechnęłam się do niego i z głośnym cmoknięciem pocałowałam.

Chwilę później wybuchnęłam płaczem — z nerwów, ze strachu i żalu z powodu braku połączeń przychodzących w moim telefonie. Bruno, gdzie jesteś? — pomyślałam z rozpaczą.

Pal licho z zakazami

Tak jak podejrzewałam, mój organizm zareagował nieadekwatnie do poziomu stresu i niebezpieczeństwa. Zamiast przykładowo trząść się ze strachu, wzmocnić ryglowanie drzwi, przysuwając szafę, czy wzywać antyterrorystów opanowała mnie wściekłość. Przede wszystkim na Przemka. Zdecydowałam wreszcie, że w dupie mam ostrzeżenia i zakazy mojego braciszka. Dłużej nie będę się boksować z kłopotami sama! Dosyć! Zagrozę mu czymś, ale muszę porozmawiać z Joanną! Niestety, nie odbierała, choć starałam się być wystarczająco nachalna, by zaniepokoiła się liczbą połączeń. Daremnie. Po dwudziestej piątej nieskutecznej próbie przerzuciłam się na telefon Przemka, gotowa odeprzeć jego słowne ataki, gdy tylko raczy odebrać. Na wszelki wypadek nabrałam powietrza, by zwymyślać go głośno i z przytupem.

— Paulina? — W słuchawce usłyszałam głos Joanny i wypuściłam powietrze niczym głośne pierdnięcie.

— Joanna! — jęknęłam z radości. — Żyjesz!

— A co? Miałam tutaj zemrzeć? — oburzyła się moja bratowa. — Nic i tak po mnie nie dziedziczysz.

— Nie odbierałaś telefonu — poskarżyłam się.

— Przecież odebrałam!

— Swojego telefonu! A ja tutaj grzęznę w rozpacz, odrzuceniu i niebezpieczeństwie!

— A ja grzęznę w nudzie — odwzajemniła się Joanna. — Poza tym nie mam telefonu! Przemek już pierwszego dnia wyrzucił go do morza i pilnował mnie jak cerber, abym przypadkiem nie skorzystała z telefonu Renaty.

— Niesamowite! — wykrzyknęłam, zaskoczona całkowicie niezwykłością reakcji Przemka.

— Ale Renia i Oluś wczoraj wylecieli, więc nieco poluzował mi łańcuch i poszedł akurat na spacer.

Do głowy mu nie przyszło, że możesz zadzwonić do niego.

Roześmiała się, a ja jej głośno zawtórowałam.

— Dobra, ale co się dzieje?

Starając się streszczać, by przedwczesny powrót Przemka ze spaceru nie przerwał nam konspiracyjnej rozmowy, zrelacjonowałam Joannie ostatnie wydarzenia. Wątek z Brunem pominęłam, gdyż mógł nadmiernie rozbudować fabułę, a miało być krótko. Wydając z siebie stosowne do wydarzeń okrzyki: „niesamowite” czy „niemożliwe”, moja przyjaciółka dotarła ze mną aż do ostatniego punktu dzisiejszego wieczoru, czyli napadu Piotra Murarza. Po kropce w ostatnim wypowiedzianym zdaniu zamilkłam. Joanna także milczała, a ja coraz bardziej obawiałam się wcześniejszego powrotu brata.

— Idź na policję i powiedz, że cię napadł! — wykrzyknęła Joanna.

— Z policją jestem obrażona — westchnęłam.

— Jak to jesteś obrażona? — zdumiała się. — Nie rozumiem.

Sama nie rozumiałam. Co to za stan? Obrażenia? Zerwania znajomości? I jeszcze jakieś klucie w środku na samo wspomnienie.

— Za dużo do opowiadania — odparłam. — Przemek zaraz wróci i zrobi nam kocioł.

— Po tym, co usłyszałam, mowy nie ma, aby mnie oderwał od słuchawki! Wypchnę go z pokoju i zarygluję drzwi, więc opowiadaj.

Więc opowiedziałam z wypiekami na twarzy jak nastolatka. Kiedy skończyłam, poczułam ulgę.

— Paulina! — wykrzyknęła Joanna, udając oburzenie. — Ciebie nie można zostawić samej! „Żadnych facetów”!

— Przestań się naśmiewać! — poprosiłam.

— Dobrze. Trzeba to wszystko podsumować. Ale i tak jestem zdania, że powinnaś iść na policję. To już nie jest zabawa w detektywów. Ten cały Piotr na ciebie leci i zdaje się, że wciąż szukają tego, co miał Grzegorz. Myślę, że tym spotkaniem w „Atlantydzie” i z Drudzką ściągnęłaś na siebie uwagę. Może jakoś dowiedzieli się o mailu od nieboszczyka? No i po jaką cholere Grzegorz każe ci leżać do kościoła z plecakiem? — głośno się zastanawiała. — Może chce ci coś dać?

— Jak? Z zaświatów?

— A może to Natasza miała ci coś dać, ale zginęła? Jak już chcesz koniecznie iść, to weź Olusia.

— W życiu! Jeszcze sprzątną Renacie narzeczonego! A potem ona by mnie zabiła! Tyle przygotowań!

— A ile jeszcze przed nami... Nie masz pojęcia! — wykrzyknęła teatralnie Joanna i szeptem dodała:

— Może lepiej z nim idź!

— Będzie inny — ostrzegłam.

Znów zapadła cisza, wskazująca na intensywne myślenie mojej bratowej. Przemek chyba się zgubił na spacerze albo omyłkowo piechotą zmierza w stronę Legnicy, albo go ktoś napadł i nie daj Boże...

— Przemek nie powinien już wracać? — zaniepokoiłam się.

— Nadal uważam, że powinnaś powiedzieć wszystko policji — westchnęła, ignorując moje pytanie, a po chwili dodała ze złością: — Ten Grzegorz to podła kanalia! Oby mnie kara jakaś nie spotkała za to, że źle mówię o nieboszczyku, ale nie sposób inaczej i przemilczeć także nie można! Cały czas tobą sterował i jeszcze z za grobu próbuje! Zaczynam podejrzewać, że zaplanował to wszystko i jednak popełnił samobójstwo — tobie na złość!

Chyba wywołałam myślami mojego brata, bo w tle usłyszałam jego głos.

— Dlaczego tak krzyczysz? — spytał żonę.

— Bo rozmawiam z Pauliną! — odrzekła buńczucznie. — I nie waż mi się podchodzić, wrywać telefonu, rozkazywać, zabraniać i w ogóle mówić cokolwiek, bo zostawię cię z weselem twojej córki samego!

— To także twoja córka — usłyszałam w odpowiedzi i gorączkowo rozważałam przerwanie połączenia, zanim rozpęta się awantura, choć w wypadku Przemka byłoby to dość trudne.

— Owszem, ale to twoja siostra i nie można jej tak zostawiać na pastwę nachalnych nieboszczyków! Co z ciebie za brat?! Zamiast pomóc, uciekłeś i jeszcze mnie zmanipulowałeś! Koniec! Jutro wracamy!

— Nic z tego — odparł spokojnie mój brat. — Renata przez pomyłkę zabrała nasze paszporty. Zdąży je odesłać do końca naszego pobytu, ale na jutro na pewno nie.

— Co?! — ryknęła Joanna, ogłuszając mnie na jedno ucho.

— Przykro mi, ale musimy tutaj zostać. — Przemek westchnął tak głośno, jakby stał obok mnie, a nie tysiące kilometrów stąd.

— Ale twoja siostra jest w niebezpieczeństwie! — broniła się dzielnie moja przyjaciółka.

— Ostrzegąłem ją, ale masz rację. To niestety moja siostra.

Przełknęłam owo „niestety”, rejestrując sobie, by w stosownym momencie wypomnieć braciszкови.

— Skoro my nie możemy polecieć do niej, to może ona... schowa się w lesie do naszego powrotu — zaproponował spokojnie Przemek, na pewno napawając się naszą dezaprobatą. — Niech wyjedzie. Mój znajomy ma domek w lasach przemkowskich. Może to nie Bieszczady, gdzie łatwiej się ukryć, ale na przeczekanie przez parę dni wydaje się znakomite.

— Paulino, muszę chyba uściskać swojego męża. Niepotrzebnie brałam go za zimnego drania! Zadzwoń później. Pa!

Właśnie miałam wtrącić, że nie wybiorę się na zalesione odludzie, by łatwiej było mnie napastować bez świadków, ale usłyszałam przerywany sygnał zakończonej rozmowy. Cóż, trzeba przyznać, że niegorszy spryciarz z mojego braciszka. Paszporty?! A jutro dziwnym zbiegiem okoliczności zepsuje się jego komórka...

Podniesiona na duchu po rozmowie z Joanną czułam, że gdyby przyszło tysiąc Piotrów Murarzy sforsować moje drzwi, to poradziłabym sobie z nimi koncertowo. Z tą myślą zasnęłam w ubraniu na fotelu.

Krzyżacy w Złotoryi

Przyzwyczaiałam się już, że własne odbicie w lustrze nie wywołuje u mnie okrzyków zachwytu, ale to, co ujrzałam w niedzielny poranek, nastawiło mnie bardzo sceptycznie do stwierdzenia, że jestem zdrowa na umyśle. Zestawienie zielonego harcerskiego plecaka, obficie obszytego odznakami i miejscami nadgryzionego zębiskami czasu, i letniej zwiewnej sukienki w czerwone maki mogło przyprawić przyzwoitego stylistę o apopleksję. Mnie lekko zniesmaczyło, ale nie miałam już harcerskiego mundurka z pomarańczową chustą, beretem i grubymi podkolanówkami, które niewątpliwie zgrzytałyby modowo znacznie mniej. Nic dziwnego, że mijani przechodnie spoglądali na mnie, nie kryjąc zdumienia i wesołości, a zdarzały się też kretyńskie uśmiechy i wytykanie palcami. Trudno. Żadnego innego plecaka nie miałam na podorędziu, a ten cudem wyrwałam z bałaganiarskiej czeluści trzeciego pokoju. Ze zwiewnej sukienki od Joanny, idealnej na dzisiejszy upał, oraz czerwonych sandałów na delikatnym obcasie także nie miałam zamiaru rezygnować. Żadna ze mnie celebrytka, by obawiać się kompromitacji w mediach czy bezlitosnych ocen znanych stylistów.

Wchodząc z placu Matejki w ulicę Piłsudskiego, poczułam lekki niepokój. Ludzie oglądali się za mną jakoś zbyt natrętnie. Czyżby złotoryjanie byli aż tak przewrażliwieni na punkcie doboru dodatków do garderoby? Nadmiar spojrzeń zmusił mnie do rozważenia ukrycia starego plecaka w reklamówce. Machnęłam jednak ręką, do wieży nie miałam bowiem daleko. Mieszanka niepokoju i ciekawości ciążyła mi bardziej niż natrętne gapiostwo.

Spokojnym spacerkiem dotarłam do rynku. Ruchliwy tłum, pomimo upalnego południa, wypełniał brukowany plac. Jedynie gołębie dreptały leniwie, czujnie obracając szare łebki i rozglądając się daremnie za kałużami. Tutaj tradycyjnie wpadłam na Biedroneczkę, krzątającą się wokół ogródka piwnego. Pomachałam jej przyjaźnie. Obrzuciła mnie spojrzeniem i po chwili podbiegła do mnie.

— Lalunia — zwróciła się do mnie — opuść tę kieckę, bo tyłeczek już nie dwudziestki.

Poszłam wzrokiem za jej spojrzeniem na tył sukienki, który zamiast powiewać swobodnie, został uwieczony w majtkach, eksponując koncertowo połowie miasteczka mój trochę więcej niż czterdziestoletni odwłok. Spiekłam raka to mało powiedziane! Ja się spaliłam na popiół i mogłam jedynie w postaci popiołu zgarnąć się do swojego kretyńskiego plecaka i razem z nim zapaść pod ziemię! Właśnie objawiła mi się przyczyna wesołości mijanych przechodniów. Natrętne spojrzenia dotyczyły mojego ekshibicjonizmu, a nie braku gustu w doborze dodatków. Poczulałam złość, że nikt wcześniej nie zwrócił mi uwagi. Poza tym, co jak co, ale jak na kobietę trochę więcej niż po czterdziestce właśnie tyłka i nóg nie muszę się wstydzić!

— Dzięki — wykrztusiłam, po czym jednym szarpnięciem uwolniłam materiał sukienki z majtek i przyglądałam na biodrach.

— Nie ma sprawy, lalunia — rzuciła Biedroneczka i powróciła do ogródka piwnego, machając wesoło do kelnerek.

Nie rozglądając się już na boki, trochę dotknięta niesprawiedliwym osądem mego ciała, biegiem dotarłam do wieży, zapłaciłam za wstęp i rozpoczęłam wędrówkę po schodach. Pierwszy raz wspinałam się tutaj jeszcze przed przeprowadzką do Złotoryi, chcąc poznać lepiej miejsce, w którym rozpocznę nowe życie. Z samego szczytu był widok na wszystkie strony świata, nawet na odległą Śnieżkę, wygasły wulkan Ostrzyca i zamek Grodziec. Najbardziej urzekły mnie niektóre nazwy zielonych wzgórz, otaczających Złotoryję, takie jak Trupień, Diablak czy Wilkołak znany bardziej jako Wilcza Góra. Pasowały do Pauliny z ulicy Cmentarnej. Przyglądając się z góry miasteczku otulonemu zielonymi wzgórzami, wiedziałam, że po ukochanej Legnicy będzie mi tutaj równie dobrze.

Do pogrążonej w półmroku Komnaty Joannitów dotarłam bez zadyszki. Wnętrze oświetlone jedynie od wejścia sprawiało wrażenie pustego. Akurat zegar zakończył wybijanie dwunastej godziny i rozpoczął się hejnał. Oczy przyzwyczyły się już do ciemności, więc rozejrzałam się niepewnie. W każdym kącie stał manekin rycerza w uzbrojeniu, w kolczudze i zbroi ukrytej pod białym płaszczem z czerwonym krzyżem. Podeszłam bliżej, bo w półmroku wydawało mi się, że jeden z nich ma czarny krzyż. Szpitalnicy, czyli zakon joannitów, którym ten kościół zawdzięcza rozbudowę, o ile dobrze pamiętam, nosili na płaszczach i zbrojach czerwony krzyż, więc skąd... Hejnał przestał grać, a z dwóch kątów, chrzęszcząc blachą, wyszli dwaj Krzyżacy.

— Dzień dobry — odezwał się jeden z nich łamaną polszczyzną.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć. Pomyślałam jedynie: Jezu, co mnie jeszcze spotka?, i po raz pierwszy w życiu straciłam przytomność.

Gdy się ocknęłam, nade mną pochylali się dwaj brodaci obcy mężczyźni, więc wrzasnęłam głośno. Pojmując, że to ich widok budzi mój strach, cofnęli się z chrzęstem do narożników. Powoli wracałam do rzeczywistości.

— Proszę się nie obawiać — odezwał się jeden z Krzyżaków. — Przyszyła nas...

— ...wielki mistrz Ulrich von Jungingen — dokończyłam znaną frazę.

Mężczyzna uśmiechnął się, przecząc ruchem głowy.

— Brat Grzegorz — odparł, a ja miałam wrażenie, że echo demonicznie niesie to słowo po całej wieży.

Podnosząc się powoli do pozycji siedzącej, starałam się też rozpaczliwie i pospiesznie podnieść intelektualnie, gdyż nijak nie rozumiałam, co do mnie mówią dwaj najwyraźniej przeniesieni w czasie rycerze. Brat Grzegorz? Zamrugałam oczami, ale nie osiągnęłam efektu natychmiastowej błyskotliwości.

Na szczęście Krzyżacy okazali się bardziej domyślni ode mnie.

— Grzegorz Bożyk — wyjaśnił ten z polską wymową i nawet uśmiechnął się do mnie pobłaźliwie.

— Prosił, aby pani to przekazać — wtrącił drugi rycerz łamaną polszczyzną, po czym wyciągnął spod płaszcza wielką księgę oprawioną w ciemnozieloną skórę, zabezpieczoną przed otwarciem dwoma skórzanymi paskami. Pomimo półmroku od razu ją poznałam. Nie zdążyłam się na dobre zdenerwować, bo księga szybko wylądowała w moim plecaku, a Krzyżacy, rzucając „Do widzenia”, wyszli z komnaty. Echo ich kroków ucichło po chwili, a ja stałam w półmroku komnaty, targana niebotyczną wściekłością na tego drania, mojego byłego męża.

Jak żywa stanęła mi przed oczami scena, gdy Grzegorz pochylony nad tą księgą coś do niej wklejał i wpisywał w zaciszu swojego gabinetu. Zaskoczyłam go wówczas, wchodząc z pytaniem, czy będzie jadł kolację. Nie zabił mnie tuż za progiem, ponieważ to był jeszcze sielankowy okres naszego małżeństwa, gdy nie zamykał się przede mną na klucz. Mruknął, że nie jest głodny, a ja spytałam, co robi. Odpowiedział, że tworzy drzewo genealogiczne swojej rodziny, i zapytał, czy mam pojęcie, że to sami dranie. „Pasuje mi nazwa »Księga drani«, ale to »Księga przodków«” — powiedział wtedy, zamknął księgę i wyszliśmy z gabinetu.

Kanalia! I co on sobie myślał? Że nie marzę o niczym innym, tylko o pamiętce po nim, by wspominać ukochanego Grzegorza, analizując drzewo genealogiczne jego paskudnej rodzinki? Co za podłość! Dlaczego swojej mamusi zwyczajnie tego nie podrzucił, tylko mnie straszy krzyżackim najazdem! Musiał mnie jednak bardzo nienawidzić, a ja mu świeczkę zapaliłam jako jedyna! Idiotka!

Wybiegłam z wieży. Na plecach w starym plecaku ciążyła mi i paliła przez skórę kretyńska księga. W przyspieszonym tempie dotarłam do swojego mieszkania, po drodze potrącając niewinnych przechodniów. Całe szczęście, że nikt nie odważył się zapytać mnie o godzinę, bo z pewnością zakończyłby dzień na intensywnej terapii. Ogarnęła mnie niszczycielska furia, jakiej nigdy dotąd nie czułam. Miałam ochotę siać pożogę, ciąć mieczem na lewo i prawo i wziąć odwet na wszystkim, co nawinie się pod rękę, by pomścić okrutną kpinę. Ledwie przestąpiwszy próg mieszkania, brutalnie wyszarpałam księgę z plecaka i z rozmachem oraz nadludzką złością cisnęłam w sam środek trzeciego pokoju.

Tak sobie ze mnie zadrwił?! Bydlak! Dlaczego spadku mi nie zostawił? Góry pieniędzy, których mu nigdy nie brakowało, a które przeznaczyłabym na potrzebujących, by po śmierci chociaż dobrze się przysłużył? „Paulinko, wybacz. Przepraszam” — napisał bydlak! Niech cię diabli wezmą! Cholera! Pewnie pochłoneły cię czeluście piekielne, ale nawet siedząc w gotującym się na piekielnym ogniu kotle, śmiejesz się ze mnie, draniu!

W niebotycznym zdenerwowaniu wpadłam do trzeciego pokoju, by siać zniszczenie i apokalipsę. Nie żałowałam krzepkich kopniaków ani potężnych rzutów przedmiotom, które tylko nawinęły mi się pod nogę czy rękę. Jeżeli wcześniej ktoś śmiał twierdzić, że mam tutaj potworny bałagan, to co by powiedział godzinę po przejściu tajfunu mojej wściekłości?! Na koniec efektownie trzasnęłam drzwiami, pospiesznie się przebrałam i wybiegłam pozbierać myśli.

Spotkanie nad zalewem

Po raz pierwszy odeszłam od rutyny codziennego joggingu i zdecydowałam się na zmianę trasy. Moja wściekłość na pewno należała do kategorii długodystansowych. Dlatego wybrałam trasę nad zalew. A potem gdzie oczy poniosą i ile płuca wytrzymają! Może i dobiegnę w tej złości do Lwówka Śląskiego albo dalej — do Gryfowa? Może wtedy mi przejdzie ta cała niepohamowana wściekłość, złość, nieludzka furia! Co za straszliwa, pośmiertna bezczelność! A ja chciałam wyjaśnić zagadkę jego śmierci! Jakże ten drań ma cholerne szczęście, że popełnił samobójstwo, inaczej zamordowałabym go gołymi rękami!

Słoneczny dzień i urokliwa trasa wzdłuż brzegu Kaczawy umknęły mi niezauważalnie wraz z silnym wzburzeniem, które jeszcze niedawno szarpało moim jestestwem. Gdy dotarłam do zatłoczonego brzegu Zalewu Złotoryjskiego, zatrzymałam się wyciszona, rozzalona i potwornie samotna. Spacerowym krokiem, zbyt ciężko dysząc jak na zaprawioną w bojach biegaczkę, doszłam do stoiska z napojami. Wokół panował wesoły gwar, zdominowany przez głośną dyskotekową muzykę, grzmącą z wystawionych przed przenośnym barem głośników. Choć do oficjalnego otwarcia letniego sezonu pozostał jeszcze tydzień, miłośnicy wodnych i słonecznych kąpiei tłumnie zalegli na piaszczystej plaży nad zalewem. Popijając wodę z butelki, smutno rozglądałam się wokół. I omal się nie zakrztusiłam, gdy mój wzrok zatrzymał się na końcu drewnianego pomostu, gdzie w pomarańczowej koszulce z napisem „RATOWNIK” siedział Bruno Niedziela, wpatrując się czujnie w kąpiących się nieopodal trzech młodzieńców i grupkę rozwrzeszczanych dzieciaków.

Dopiłam resztki wody i bez wahania, bez planu oraz prawdopodobnie bez zdrowego rozsądku ruszyłam w tamtym kierunku.

— No proszę — odezwałam się, siadając obok Bruna. — Nieznane oblicze podkomisarza Bruna Niedzieli!

— Czy my się znamy? — spytał, nie zaszczyciwszy mnie spojrzeniem.

— Raczej nie, ale może...

— Przepraszam, ale jestem w pracy — przerwał mi łagodnie, wciąż gapiąc się na szalejące w wodzie towarzystwo.

Brak szalonego zainteresowania moją osobą mogłam zrozumieć wobec obecnych nad zalewem dużo atrakcyjniejszych i młodszych obiektów płci prawdziwie pięknej, ale nie zamierzałam tak łatwo dać się spławić.

— Policja zawsze czuwa — westchnęłam ciężko, wpatrując się w las po drugiej stronie.

— Nie występuję tutaj w charakterze stróża prawa.

— Nie jestem ślepa — odpowiedziałam, dla potwierdzenia dotycząc wielkiego napisu na jego koszulce. — Ale gdybym nagle wyrwała torebkę jednej z tych półnagich niewiast, to mogę liczyć na spektakularną pogoń i skucie kajdankami?

Uśmiechnął się na chwilę, ale nadal nie spojrzał w moim kierunku.

— Przykro mi, ale nie mam przy sobie kajdanek — odparł z udawanym żalem.

Gdybym mogła się na chwilę rozdziwić i ta druga Paulina spojrzałaby na mnie tu i teraz, to myślę, że sama bym siebie nie poznała. Dlaczego tutaj siedzę, żebrząc o uwagę faceta, który ostentacyjnie mnie unika? Jakie лихо przyciąga mnie do niego i nie odpuszcza za nic w świecie? I jeszcze te zdumiewające reakcje własnego organizmu, gdy jesteśmy w takiej bliskości! Serce mi wali, jakbym wbiegała na Śnieżkę, i to w afrykańskim skwarze, sądząc po fali gorąca, która mnie właśnie oblewa. Zdecydowanie potrzebuję terapii albo kubła lodowatej wody.

— Jak głęboko jest tutaj? — spytałam, spoglądając na wodę pod moimi nogami i odpinając swój pas z telefonem i pieniędzmi.

— Nie dość głęboko...

— Wiesz, że nie umiem pływać? — zagadnęłam, ostrożnie odkładając za siebie swój pas z rzeczami.

— I co ja mam z tym zrobić? — zdumiał się, nie odwracając głowy w moją stronę.

— Ratować mnie! — krzyknęłam i zsunęłam się z pomostu prosto w zielonkawą toń.

— Czy ktoś ci już mówił, że masz nie po kolei w głowie? — spytał, gdy przemoczeni ponownie siedzieliśmy na pomoście. Oczywiście ja w przemoczonym ubraniu i butach, z których właśnie zaczęłam efektownie wylewać wodę.

— Trudno to odebrać jako komplement, ale dzisiaj już sporo przyjęłam na klatę, więc nie wywołasz u mnie oczekiwanej skruchy, przeprosin czy rumieńca zawstydzienia — odpowiedziałam, wykręcając spód koszulki. Panował wystarczający upał, żebym nie martwiła się o suszenie, więc porzuciłam zainteresowanie przemoczoną garderobą i skupiłam się na siedzącym obok mnie facecie. I nagle wbrew własnej woli, z potężnym rykiem wybuchnęłam niepohamowanym szlochom ku zdziwieniu nie tylko Bruna, ale i wszystkich wokół spragnionych słońca i wody złotoryjan.

Ogarnięcie mnie męskim ramieniem przyjęłam z zadowoleniem, co jednak nie powstrzymało fali łez, tłumionych zbyt długo jak na słabą kobietę trochę więcej niż po czterdziestce. Wtuliłam zapłakaną twarz w mokrą koszulkę Bruna i długo nie mogłam zahamować powodzi stresu ostatnich dni.

— Przepraszam, ale nie mogę zostawić tutaj wszystkiego i odprowadzić cię do domu — powiedział po chwili łagodnym głosem, gdy mój szloch już ucichł, pozostawiając bezbrzeżny smutek. — Mój zmiennik przyjdzie za pół godziny. Tutaj niedaleko, po drugiej stronie rzeki, mieszkają moi znajomi. Czerwony dom z białymi okiennicami. Idź tam i powołując się na mnie, poproś o suche ubranie. Gdy tylko skończę pracę, przyjdę po ciebie.

Westchnęłam ciężko i pokręciłam przecząco głową. Wygnanie mnie z bezpiecznych ramion odczułam

jako nieludzkie okrucieństwo i wyraźny sygnał totalnej obojętności. Ze wszystkich sił starałam się wziąć w garść, by godnie odejść z podniesioną głową kobiety odrzuconej, ale nie zrozpaczonej z tego powodu. Daremnie.

Nagle Bruno brutalnie odepchnął mnie od siebie i ponownie skoczył do wody. Serce mi pękło, ale sekundę później błyskawicznie się posklejało, gdy dotarły do mnie nieludzkie krzyki młodej kobiety, stojącej na brzegu i wpatrującej się w wody zalewu pełne kąpiących się ludzi. Wśród tłumu dostrzegłam Bruna szybko brnącego w stronę brzegu z pokaszlującym dzieckiem na ręku. Chwilę później, walcząc delikatnie z przerażoną matką, posadził chłopca na piasku i lekko oklepywał, nie przestając łagodnym głosem uspokajać obojga. Gdy tłum gapiów zasłonił mi widok, uderzyła mnie jak obuchem świadomość, jaka skończona ze mnie idiotka! Przecież Bruno był tutaj ratownikiem i zajmując jego uwagę, omal nie zabiłam niewinnego dziecka. Domagałam się spojrzeń, gestów i nie wiedzieć czego jeszcze, a tutaj tymczasem...

Podniosłam się energicznie i przygnieciona ciężarem wyrzutów sumienia kosmicznych rozmiarów ruszyłam biegiem w stronę Lwówka Śląskiego. Może szczęśliwie potrąci mnie jakiś pirat drogowy i zakończy mój głupawy, bezsensowny żywot, w którym mnożyłam jedynie idiotyczne pomysły, fatalne wybory, nieudane związki i niechciane uczucia.

Rodzinne powroty nie w porę

Biegłam i biegłam. Po drodze mijaly mnie samochody, niekiedy trąbiąc ostrzegawczo albo zaczepnie. Przestałam zwracać uwagę na świat zewnętrzny. Nawet niesłabnący z końcem dnia upał zupełnie mi nie przeszkadzał. Gdzieś w piersiach pulsował znajomy ból, który powoli rozchodził się po całym cielesnym prąd. Nie mam pojęcia, jak długo trwała moja ucieczka od życia, bo dopiero, gdy ból nóg mnie zatrzymał, zorientowałam się, że pas z telefonem i pieniędzmi zostawiłam na pomoście. Dobrze, że przytomnie założyłam buty. Dysząc ciężko, rozglądałam się wokół. Dotarłam na koniec jakiejś wioski, rozłożonej u stóp wzniesienia z szumiącą Kaczawą płynącą za ostatnimi budynkami. Z radością namierzyłam ławkę, do której brakowało mi może z dziesięć metrów. To było najdłuższe i najboleśniej sze dziesięć metrów w moim życiu. Gdy brakowało mi zaledwie paru kroków, gwałtownie i z efektownym piskiem opon zahamował przede mną samochód, wzniecając chmurę kurzu. Pokaszlując i machając intensywnie rękoma, próbowałam przywrócić sobie widoczność, aby dotrzeć wreszcie do ławki, którą straciłam nagle z oczu.

— Bierzesz udział w biegu dookoła świata? — usłyszałam znajomy głos i po chwili Bruno Niedziela jeszcze w stroju ratownika pochwycił mnie delikatnie za ramię, by poprowadzić do ławki.

Opadłam na nią z głośnym syknięciem.

— Przepraszam — odpowiedziałam, wciąż mając przed oczami obraz pokaszlującego chłopca i rozpaczającą matkę na brzegu zalewu.

— Za co? — spytał, siadając obok mnie.

— Narzucam ci się, odrywam od pracy. Boże, to dziecko omal nie utonęło! — jęknęłam.

Schowałam twarz w dłoniach, ze wstydu nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

— No co ty! Nie spuszczałem oka z tego dzieciaka. Poza tym, że trochę napił się wody, najadł strachu i odbije mu się to solidną awanturą w domu, nic się nie stało — tłumaczył spokojnie.

— Ale mogło się stać, bo ci się narzucałam jak jakaś... — szukałam adekwatnego do swojego zachowania określenia, nie mogąc zdławić okropnego uczucia wstydu. — Wydzwaniam po nocach jak kretynka i skaczę do wody jak desperatka...

— Bardzo mi się to podoba — odparł entuzjastycznie. — Zapomniałaś dodać jeszcze, że uciekasz jak szalona, żebym cię gonił.

— Chyba dobił — poprawiłam z leniwie powracającym dobrym humorem.

— Mogłaś zostawić chociaż jeden but, żebym mógł cię teraz poprosić o rękę — powiedział z udawanym żalem i zrobił zabawną minę, na której widok nie mogłam się nie roześmiać.

— Zostawiłam pas z telefonem — przypomniałam sobie. — Ale nie musisz czuć się zobowiązany do kontynuowania tej znajomości.

— Przykro mi będzie, bo moje życie stanie się na powrót nudne, przewidywalne i szare.

— Akurat! — wykrzyknęłam oburzona jego żartami i syknęłam z bólu, bo moje nogi, wymordowane długim dystansem, dały o sobie dotkliwie znać.

Bruno spojrział litościwie, a mnie przeleciała przez głowę straszna myśl, że moje życie bez niego też stałoby się nudne, przewidywalne i szare. Pospiesznie ją jednak odegnałam w strachu przed kolejnym rozczarowaniem.

Tymczasem Bruno ukląkł przede mną i ostrożnie zdjął mi buty. Delikatnie dotykał obolałych stóp. Syknęłam, gdy pod jego ostrożnym uciskiem zaboląło mnie mocniej. Nie wycofał się, lecz pokręcił głową z wyraźną dezaprobatą. Usadowiłam się wygodniej, podczas gdy Bruno, nadal klęcząc, oparł moje stopy o swoje uda i delikatnie rozmasowywał łydki. Spod przymrużonych powiek przyglądałam się jego skupionej i zatroskanej twarzy. Wielkie wzruszenie rozlało się po moim ciele, wywołując drzenie. Kaczawa za jego plecami szemrała cicho, pieniać się na wystających kamieniach, wiatr delikatnie poruszał gibkimi gałęziami płaczących wierzb. Ogarnęły mnie senność i błogość pomimo uporczywego bólu nóg, więc zamknęłam oczy. Nie poczułam, kiedy Bruno przestał mnie masować, ale poczułam jego ciepłe usta na swoich spierzchniętych wargach. Nie tylko dotychczasowy dokuczliwy ból poszedł w zapomnienie, ale również zmęczenie, senność i przede wszystkim cały świat.

Cóż, świat zbyt długo nie pozwalał się ignorować i postanowił bezczelnie o sobie przypomnieć uporczywym dźwiękiem mojej komórki. Po melodii rozpoznałam, że to moja bratanica ośmiela się zakłócać tak niesamowite chwile. Błądzące po moim ciele dłonie nie przerwały wędrówki, ale ja nie potrafiłam się skupić przez ten dzwoniący telefon.

— Odbierz — powiedział, niechętnie odsuwając się na bezpieczną odległość. A mnie się chciało wycić!

— Ciociu! Gdzie ty się podziewasz?! Mama wysłała nas z misją pocieszania cię samotnie rozpaczającej w domu, a tymczasem ciebie nie ma! — trajkotała Renata, choć ledwie docierały do mnie jej słowa, jakby dzwoniła z odległej galaktyki. A może to ja byłam nadal w innej galaktyce? — Ciociu!? Halo! Jesteś tam?! — ryczała do słuchawki, przez co wreszcie wróciłam na ziemię. — Stało się coś?!

— Nie, nie — odparłam. — Tylko biegałam i...

— Boże, że też w taki upał ci się chce — westchnęła Renata. — Wracaj do domu. Czekamy tutaj na ciebie z Olusiem. Będę u ciebie nocowała.

— To nie będzie konieczne — jęknęłam, patrząc, jak Bruno wsiada do samochodu, pozostawiając otwarte drzwi od strony pasażera. Podniosłam się z ławki i ruszyłam powoli jego śladem.

— Wykluczone! — wykrzyknęła. — Nawet nie zaprzeczaj, że musiałaś się czuć strasznie opuszczona, i nawet sobie nie wyobrażam, żebym z tobą dzisiaj nie przegadała całej nocy! — mówiła stanowczo i po chwili spytała: — A może Oluś ma po ciebie gdzieś podjechać?

— Nie, nie. Zaraz będę — odpowiedziałam i zajęłam miejsce obok Bruna.

Intensywne leczenie samotności

Na początek nie mogłam otworzyć własnych drzwi. Kręciłam kluczem najpierw łagodnie i cierpliwie, wciąż wspominając chwile z Brunem, a potem już nerwowo i agresywnie, lecz zamek stawiał zdecydowany opór. Zrezygnowana i wściekła już miałam nacisnąć na dzwonek, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i z szerokim uśmiechem powitała mnie moja bardzo opalona bratanica.

— No właśnie! — wykrzyknęła zamiast tradycyjnego „dzień dobry”. — Oluś musiał zmienić zamki w drzwiach. Ten dolny się zaciął i ani rusz! Chyba że jak tylko wyjechaliśmy, zmieniłaś zamki, wyklełaś nas, czemu wcale się nie dziwię, i raz na zawsze zatrzasnęłaś za sobą drzwi przed rodziną.

Wyjęła mi z dłoni pęk kluczy i wcisnęła inny.

— Niemożliwe — zdołałam wydusić z siebie, przyglądając się raz kluczom, raz drzwiom.

Renata uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Ale co „niemożliwe”?

— Że zamki... — wyjąkałam, podejrzliwie spoglądając na drzwi.

— Czasem tak się zdarza. Przedmioty mają ograniczoną trwałość — wytłumaczyła, wzruszając ramionami, i zostawiła mnie w przedpokoju.

— To jak weszliście? Wzywałaś ślusarza? — spytałam, drepcząc za nią do pokoju, jeszcze pełna niedowierzania.

— Ależ skąd! — parsknęła, jakbym ją śmiertelnie obraziła. — Okazało się, że Oluś posiada umiejętności, których nikt się nie spodziewa po pracowniku naukowym...

— Przenika przez drzwi? — rzuciłam złośliwie.

Wreszcie opadłam z ulgą na fotel i w takiej pozycji byłam gotowa wysłuchać nawet najbardziej absurdalnych historii z Olusiem w roli głównej. Szczególnie że dostrzegłam bogato zastawiony stół, co dodatkowo nastawiło mnie pozytywnie do całego świata.

— No co ty, ciociu! — oburzyła się Renata. — Wytrychem otworzył drzwi, a potem wymienił ci oba zamki.

— To oba się zepsuły? — zdumiałam się, sięgając po kanapki z łososiem i jajkiem, jednocześnie nakładając sobie na przygotowany talerz cudownie i egzotycznie pachnącej sałatki.

— Jeden, ale drugi był lekko zardzewiały, więc kazałam mu wymienić oba — westchnęła ciężko moja bratanica-chrześnica, przyglądając mi się jak matka, która przyłapała dziecko na łakomstwie.

Wszelkie pozory i wmawianie sobie, że kulturalna ze mnie kobitka, porzuciłam na rzecz owej sałatki, do której zapałam zachłanną, zaborczą miłością, jedząc, a w zasadzie pochłaniając ją wprost

z salaterki.

— Przepraszam — wtrąciłam z pełnymi ustami, wstrząsana dreszczami rozkoszy. — Przepraszam, ale nie mogę się z tobą podzielić!

Renata zaplotła ręce na piersi i przyglądała mi się z udawanym potępieniem.

— Czy my na pewno mamy te same geny? — spytała, parszkając śmiechem.

— Przepraszam cię, ale jestem taka nieodporna na smaczne potrawy — wyznałam ze skruchą, niemal wylizując pustą już salaterkę.

Tak przyjemnie zapowiadający się wieczór niestety nie zakończył się w ten sposób. Renata co prawda twierdziła, że jest bardzo zmęczona, ale nie przestawała opowiadać. I nie były to wrażenia z pobytu na Maderze, lecz temat eksploatowany od wielu miesięcy.

— Szkoda, że nie stać nas na ślub na plaży! — westchnęła, gdy nieświadoma ściąganego na siebie nieszczęścia spytałam, jak wyglądają plaże na wyspie. — Mogłabym nawet przesunąć termin, aby zebrać fundusze, ale to nie takie proste od strony urzędowej. Chociaż...

Zastygłam z ręką wyciągniętą w kierunku szklanki z sokiem, podczas gdy Renata zamilkła, zapatrzyła się w delikatnie powiewającą w oknie firankę i intensywnie myślała. Porzuć tę myśl, modliłam się w duchu, porzuć tę myśl. Nikt w rodzinie nie wytrzyma kolejnych miesięcy nękania! Co powinnam uczynić jako matka chrzestna?

— Poza tym wątpię, by dziadek dał się namówić na podróż samolotem — odezwała się zmartwionym głosem, jakby dziadek miał stanąć jej na drodze do szczęścia.

— Taaak — podchwyciłam gorliwie. — Na pewno powiedziałałyby, że po jego trupie.

Na wszelki wypadek ziewnęłam ostentacyjnie, dając do zrozumienia, że powinnyśmy już iść spać.

— Właśnie — prychnęła niechętnie Renata. — Już pytałam i od razu powiedział, że po jego trupie...

Pokiwałam głową z fałszywym smutkiem i aż się przestraszyłam, że Renata dostrzegła moją obłudę, gdyż dobrą chwilę milczała, zastygając jak jaszczurka ze wzrokiem na mojej twarzy. Po upływie kolejnych sekund ogarnęły mnie wątpliwości, czy przypadkiem nie posiadam zdolności legendarnego bazyliuszka i nie zamieniłam mojej bratanicy w posąg. Zza otwartego okna dochodziły pobrzękiwania butelek i głośne przekleństwa kłócących się o śmietnikowe zdobycze pijaków, dla których cisza nocna stanowiła pojęcie obce. Gdzieś w bloku, jakby na specjalne zamówienie, Janusz Panasewicz wydierał się: „Mniej niż zerooooo”. Chrząknęłam znacząco i hałaśliwie, skutecznie wyprowadzając Renatę ze stanu odrętwienia.

— Przepraszam... — odezwała się po chwili. — To przez tego trupa...

— Jakiego trupa?! — Przerazona niemal zerwałam się na równe nogi.

— Tego twojego Grzegorza.

— A co on ma do twojego wesela?

— No bo nie masz z kim przyjść, a wszyscy będą w parach — tłumaczyła z wyraźnym zakłopotaniem i smutkiem.

— Z trupem miałam przyjść?! — wykrzyknęłam, czując, że popadam w lekki obłąd i od tego Grzegorza nieboszczyka już się nie uwolnię. Trzy lata względnego spokoju, a jak odszedł w zaświaty, to wytchnienia nie mam.

— Nie z trupem, ale z facetem! Tylko taki tok rozumowania miałam: twój były mąż — Grzegorz — trup — ty samotna, bez pary...

Gdybym nie dostrzegła autentycznego smutku w załamanych oczach mojej bratanicy, na pewno obraziłabym się na dłuższy czas za to ponure stwierdzenie. Chciałam być dumna ze swojej zasady bezfacetowości i wytrwać w postanowieniu, a tymczasem z perspektywy młodej przyszłej mężatki musiałam się prezentować dość żałośnie. To nie wygląda dla niej jak świadomy wybór wyemancypowanej i doświadczonej boleśnie kobiety, a raczej oznacza brak innych możliwości, brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej starszą panią po czterdziestce z jedną piersią prawdziwą i drugą sztuczną na dodatek.

Znów, jakby na potwierdzenie mojej niewesołej sytuacji, zza okna dotarły odpowiednie słowa piosenki „Mniej niż zeroooo...”. Wzdrygnęłam się i „począł we mnie bunt kiełkować”. Przecież nie jest ze mną tak źle! Nie czuję się samotna!

— Przepraszam — powiedziała ze skrucą Renata, przytulając mnie mocno. — Sama już nie wiem, co wygaduję przez ten przedweselny stres.

Trudno było mi coś odpowiedzieć, bo w ciągu ostatnich tygodni zupełnie straciłam rozeznanie w swojej sytuacji. Skupiwszy się na dość fatalnym pomysle prywatnego śledztwa, wplątałam się w afery cmentarne, z Krzyżakami, Murarzem, nieboszczykiem, a raczej dwoma, wliczając Nataszę, do tego jeszcze nieokreśloność sytuacji z Brunem, za którym podejrzanie tęskniłam i o którym myślałam w przerwach między kryminalnymi historiami. Co miałam odpowiedzieć Renacie, skoro nawet sobie nie potrafiłam odpowiedzieć. Na szczęście moja bratanica szybko się otrząsnęła i podskoczyła na równe nogi z kolejnym pomysłem.

— Wiem, jak mogłybyśmy sobie poprawić nastrój! — wykrzyknęła, klaskając w dłonie jak mała dziewczynka, której ignorująca ją do tej pory koleżanka zaproponowała wspólną grę w klasy albo w gumę.

Nie skłamię, że umierałam z ciekawości, ale grzecznościowo spytałam:

— Jak?

Renata już grzebała w swojej podróźnej torbie, której niepokojąco duże rozmiary rodziły moje obawy, że zamierza u mnie spędzić co najmniej dwa miesiące. Po chwili wyjęła z radosną miną kilka płyt DVD.

— Zrobimy sobie kinową noc — oznajmiła i nie czekając na moją odpowiedź, już uruchamiała odtwarzacz. — Kiedyś wspominałyście z mamą, jak to w epoce początków kaset wideo organizowałyście sobie takie nocki filmowe.

— To były przeważnie horrory, a my byłyśmy młode — wtrąciłam nieśmiało, nie mając sumienia gasić jej entuzjazmu.

— Ależ ciociu, nie zamierzam cię straszyć — oburzyła się Renata.

— Poza tym jutro idę do pracy — broniłam się jeszcze, przywołując ostateczny argument i dla potwierdzenia wskazując zegar na ścianie ze wskazówkami na dziesiątej czterdzieści pięć.

— No dobrze — odparła ugodowo Renata. — Tylko jeden film i obie pójdziemy grzecznie spać. To będzie romantyczna komedia, ale z bardzo interesującym wątkiem wesel, choć nie do końca głównym. No i ta obsada: Jennifer Lopez przede wszystkim! Wiesz, tak sobie ostatnio pomyślałam, że skoro tyle musiałam się dowiedzieć o organizacji uroczystości weselnych i sama przez to przechodzę, to może też powinnam założyć podobną firmę?

Nie odpowiedziałam, obawiając się, że bardziej niż komedii romantycznej nie zniosę rozmowy o weselu.

— Gdzie masz pilota od telewizora? — spytała Renata, rozglądając się po pokoju.

Wzruszyłam ramionami.

— Jak to gdzie? W torebce — odpowiedziałam beztrąsko.

Renata zamarła z gazetą w rękę, którą uniosła w poszukiwaniu pilota na stoliku, i obrzuciła mnie spojrzeniem, którego nie odczułam jako sympatyczne.

— Czy mogę wiedzieć, po co nosisz pilota w torebce? — spytała po dłuższej chwili, po czym opadła bezwładnie na fotel, oparła łokcie na oparciach i zaplotła dłonie tuż przed twarzą.

Poczułam się jak na kozetce u psychoanalityka.

— W celach obronnych — wyznałam szczerze.

— Może lepszy byłby paralizator albo gaz pieprzowy — zasugerowała z zatroskaną miną.

— Pilot już się sprawdził i od tamtej pory ma stałe i honorowe miejsce w mojej torebce — odpowiedziałam i udałam się po torebkę, by po chwili wręczyć pilota zdumionej bratanicy.

— Czy u ciebie wszystko musi być jakieś takie na przekór? Rzeczy, zachowanie...

— Nie rozumiem.

— No na przykład ten pilot albo twój trzeci pokój — istny koszmar!

— Odczep się od mojego pokoju! — oburzyłam się, zawsze gotowa bronić swojego wyrazu buntu przeciwko uporządkowanej przestrzeni. — Gdy tam będzie porządek, to nastąpi koniec świata!

Renata machnęła ręką, porzucając kontynuowanie dialogu z kimś, kto wbrew przeznaczeniu czy zdrowemu rozsądkowi nosi pilota od telewizora w torebce, i włączyła film.

— Ona jest tutaj tak gładko uczesana — odezwała się moja bratanica po pierwszych scenach z Jennifer Lopez. — Planowałam, że będę miała tylko lekko upięte włosy, skręcone w loki, ale może tak klasycznie i gładko powinnam się uczesać?

Nadludzkim wysiłkiem powstrzymałam się od przewrócenia oczami i ciężkiego westchnienia tylko dlatego, że zatrzymała film i patrzyła mi w oczy, oczekując odpowiedzi.

— Czy nie lepiej pokazać się fryzjerce w sukni i zdać na jej profesjonalizm? — rzuciłam.

Prychnęła niezadowolona i włączyła film, nie zadając już żadnych kłopotliwych dla mnie pytań

związanych z weselem. Ostatecznie nie niepokojona, zasnąłam na kanapie.

Dzień zaraźliwego zdumienia

To z pewnością nie jest normalne, żeby cały Dolny Śląsk dopadły takie upały, zanim jeszcze zaczęło się lato! Fala gorącego, afrykańskiego powietrza nie ominęła także Złotoryi. Ruch na ulicach prawie zamarł. Kto mógł sobie pozwolić na południową sjęstę, ukrywał się przed palącym słońcem w domu albo w cieniu rozłożystych dębów przy fontannach miejskich. Tłumnie oblegano też piaszczyste brzegi zalewu, a nawet Kaczawy, byle tylko ochłodzić ciało w jakiegokolwiek cieczy.

Niestety, w naszym akwarium, jak zresztą w całej Bombkolandii, nikt nie zainstalował klimatyzacji, więc byliśmy z Justyną skazane na służbowe i przyniesione przez Janka z domu wysłużone wentylatory, pamiętające niejedno peerelowskie lato, które młóciły zawzięcie rozgrzane powietrze, wydając przeróżne dźwięki, od dziwnych zgrzytów po złowrogie warknięcia. Jednak wyłączenie choćby jednego groziło utratą przytomności. Justyna zapobiegawczo zdjęła ze ściany termometr, by rosnący słupek rtęci nie pogarszał dodatkowo naszego i tak nie najlepszego samopoczucia, i wmuszała we mnie kolejne litry służbowej wody. Po nocy spędzonej w dość niekomfortowych warunkach czułam się, jakbym dźwigała na ramionach wielki ciężar, i postanowiłam, że dzisiaj będę bardziej asertywna, choć osobiście do Jennifer nic nie miałam.

Może moją stanowczą niechęć do tematów ślubno-weselnych złagodziło obfite śniadanie ze świeżymi bułeczkami, jajecznicą na boczku i pomidorami? Mogłam sobie pogratulować utalentowanej kulinarnie bratanicy. Potem dopiero nasza mnie smutna refleksja, że z całej rodziny tylko ja jestem antytalencie, co zasiało we mnie wątpliwość, czy aby na pewno nie jestem adoptowana.

— Nie sądziłam, że kiedykolwiek to powiem... — Justyna ciężkim westchnieniem zza swojego stołu wyrwała mnie z zamyślenia — ...ale chciałabym zmarznąć!

Ociężałam podniosłam głowę, by możliwie najdokładniej przyjrzeć się koleżance z pracy, która już po raz tysięczny sięgała po butelkę z wodą mineralną. Istotnie, jak na ciepłolubną Justynę, która notorycznie dogrzewała naszą pracownię, nosiła coraz grubsze swetry i deklarowała niepokohamowaną nienawiść do zimnego klimatu, takie wyznanie było niespotykane.

— W dodatku w kwestii wzorów — kontynuowała posepnie — do głowy przychodzą mi jedynie pustynne bezkresy, prażące zabójczo słońce, jakieś porzucone zwłoki na piasku i krążące nad nimi sępy.

— Może to dobry kierunek — odezwałam się niechętnie, w tym upale bowiem wydobyć z siebie głosu było nadludzkim wysiłkiem. — Szczególnie w perspektywie zamówień do Arabii Saudyjskiej...

— Ciebie to dopiero pogrzało. — Justyna westchnęła współczująco. — To kontrakt z Wielkiej Brytanii ma nas uratować, a nie islamscy szejkwowie. Po jakiego grzyba im nasze bombki?

— Sama nie wiem — poddałam się, bo już nie byłam pewna trzeźwości swojego umysłu.

Nagle drzwi naszego akwarium otworzyły się na oścież, wpuszczając kilometry szczęśliwego hutniczego gorąca. W drgającym od wysokiej temperatury powietrzu zamajaczyła w progu drobna sylwetka naszej sekretarki Marceliny Pikli.

— Jezu! — wykrzyknęła z niespotykaną energią. — Jaki wy tutaj macie hałas! Zupełnie jak na lotnisku przy startującym samolocie! Niezłą wystawę staroci tutaj zrobiliście!

Weszła do środka, by krytycznie przyglądać się naszym wentylatorom, co przyjęliśmy zgodnie poirytowane.

— Nie każdy ma klimatyzację — rzuciła pierwsza Justyna z urażoną miną i oskarżycielskim spojrzeniem. Wiadomo, że klimatyzację słusznie miał szef, a przy nim korzystała sekretarka.

Marcelina z natury niezdolna do awantur machnęła lekceważąco ręką i oparłszy się o moje biurko, oznajmiła z uśmiechem:

— Za to wy jesteście już zwolnione, a ja zostaję.

Justyna zerwała się na równe nogi z zaskakującą energią.

— Jak?! Jak... jak to?! — jąkała się w zdenerwowaniu, że oto przecucia i podejrzenia, które wcześniej żywiła, a które odsunęła bezpiecznie kontraktem na bombki z Wielkiej Brytanii, niespodziewanie stały się faktem.

Przyglądałam się obu: Justynie i Marcelinie, prezentującym niebosiężne zdumienie, niezdolna do solidarnościowego buntu.

— Jak to „jak”? — powtórzyła Marcelina i wzruszyła ramionami. — Normalnie. Szef prosił, żebym to przekazała załodze.

— Całą załogę zwolnił?! — ryknęła Justyna, coraz bardziej purpurowa na twarzy. — A kontrakt?!

Marcelina cofnęła się w stronę drzwi, jakby w oddali ujrzała stado szarżujących żubrów.

— No pewnie się zrobi... Spokojnie. Myślałam, że się ucieszycie, bo nawet odrabiać nie trzeba będzie.

— Ucieszymy?! — wrzasnęła Justyna i pozbawiona sił opadła na krzesło. — Co za tupet! Po tylu latach pracy ten stary cap nawet się nie pofatyguje osobiście, tylko wysyła sekretarkę, by zwolnić pracowników!

Pomimo ciężkiego od upału powietrza, hałasu pracujących na pełnych obrotach wysłużonych wentylatorów i sprzecznych komunikatów kotłujących się w mojej głowie zdołałam zablysnąć myślą, że sprawy chyba mają się odmiennie, niż to pospiesznie oceniła moja koleżanka. Marcelina już opanowała szok, ale wciąż stała z szeroko otwartymi oczyma i dłonią zaciśniętą na ustach, jakby to jej nieopatrznie wymknęły się słowa „stary cap”. Tymczasem rozsierdzona Justyna właśnie szykowała się do dalszego monologu.

— Jak tak można?! Co to za szef?! Zaraz pójdę i powiem mu to prosto w twarz! — ryczała coraz głośniej w stronę otwartych za Marceliną drzwi.

— Justyna, chodzi o wcześniejsze wyjście z pracy z powodu upału — wtrąciłam ciszej, wreszcie pojmując intencje szefa i posłannictwo Marceliny.

Justyna, zapowietrzając się, spojrzała na mnie zaskoczona.

— Co takiego chciała mi pani powiedzieć prosto w twarz, pani Justyno? — padło pytanie i zza pleców zszokowanej Marceliny wyłonił się nasz szef we własnej osobie. Stękając głośno i ocierając chusteczką spocone czoło, przyglądał się nam z uśmiechem spod sumiastych sarmackich wąsów.

— Ja... ja... — znów zaczęła się jąkać Justyna i trudno było się jej dziwić, znajdowała się bowiem w stanie podobnego szoku, w jaki wpędziła niewinną Marcelinę.

— Ależ wy tutaj macie piekło! — zauważył szef, wyłączając jeden wentylator po drugim. — No już, uciekajcie do domów, dziewczyny! Tam się chociaż wymoczycie w wannie...

W ekspresowym tempie jak na upalną ocieężałość ciał zebrałyśmy nasze skromne manatki i ruszyłyśmy w stronę wyjścia. Justyna obróciła się jeszcze w progu i już odważniej wyznała:

— Chciałam tylko powiedzieć, że przydałby się nam jakiś wentylator.

Szef zamarł porażony wypowiedzią i zupełnie zaskoczony rozejrzał się niepewnie po wnętrzu, nie dowierzając swym oczom. Pozostawiłyśmy go w pełnym zdumieniu z dłonią opartą na jednym z naszych wentylatorów, które zaczął uczynnie wyłączać.

— Po jaką cholere ci jeszcze jeden wentylator?! — spytałam Justynę, gdy przechodziłyśmy przez pustą już halę. — Nie mamy już miejsca!

— Jaki wentylator? — zdumiała się, przystając.

— Przecież właśnie poprosiłaś szefa o wentylator! — przypomniałam jej.

— Jezu! — jęknęła. — Przez te nerwy się pomyliłam! Chodziło mi o klimatyzator! Zaraz wrócę i sprostuję!

Szarpnęłam ją gwałtownie za ramię, zawracając z drogi.

— Wiesz co, może ty już lepiej nic nie prostuj i nie mów — poprosiłam grzecznie, delikatnie popychając Justynę w stronę bramy wyjściowej. Na szczęście nie stawiała oporu.

Nadzieja z prastarej budki telefonicznej

Całe popołudnie spędziłam w zaciemnionym mieszkaniu, co piętnaście minut korzystając z chłodnego prysznica. Gdy nie polewałam się wodą, to siedziałam w fotelu, mocząc stopy w zimnej wodzie i z paniką obserwując podnoszący się słupek rtęci na termometrze. Takie to są uroki czwartego piętra w betonowej klatce. Widoki z okna mogą być zachwycające, ale gdy przychodzi taki dzień jak dzisiaj, mam ochotę wyprawić się natychmiast na Spitsbergen i sprawdzić na własne oczy, jak to jest naprawdę z topniejącymi lodowcami.

Renata z Aleksandrem, zostawiwszy mi obiad w postaci wyprodukowanej w wojskowych ilościach sałatki egzotycznej, pojechali do kina do Legnicy, by pobyć w klimatyzowanym pomieszczeniu i przy okazji obejrzeć najnowszy film Woody'ego Allena. Oczywiście w trosce o ciotkę porzuconą na pastwę upału w swoim mieszkaniu zaproponowali wspaniałomyślnie, bym im towarzyszyła, ale gdy tylko usłyszałam, że przedtem Renata ma zamiar odwiedzić jedną z firm dekoratorskich, wymówiłam się klasycznym bólem głowy. Nie! Upał wystarczy! Poza tym znów zapowiada się nocleg w towarzystwie i na pewno dzisiejsza wizyta u dekoratorów zostanie omówiona ze szczegółami, a w tle kolejna gwiazda Hollywood na ekranie będzie wychodzić spektakularnie za mąż w kolejnej komedii romantycznej!

Korzystając z chwili samotności, postanowiłam zadzwonić do Joanny, a raczej do Przemka, ale telefon nie odpowiadał. Nawet się specjalnie nie zdziwiłam i zamiast gniewu pojawił się u mnie szelmowski uśmiezek. Może i jest sprytny ten mój braciszek i na pewno coś skutecznego wymyślił, żebyśmy nie mogły się kontaktować, ale nie jest na tyle bogaty, by przebywać za granicą w nieskończoność. Uśmiechnęłam się do siebie triumfująco.

Oczywiście zadzwoniłam też do tatka.

— Przepraszam cię, ale akurat się pakuję — rozpoczął rozmowę.

— Wyjeżdżasz?

— A po co mogę się pakować? — zdumiał się brakiem domyślności u swej córki, którą bądź co bądź uważał za inteligentną, choć nie skończyła studiów.

— No tak, ale gdzie? — poprawiłam się i zdyscyplinowałam, jeśli chodzi o sensowne zadawanie pytań czy formułowanie wypowiedzi.

W tle usłyszałam dziwne hałasy, jakby ktoś tłukł garnkami, a potem walił młotkiem w ścianę.

— Do Drezna — odpowiedział beztróska mój rodziciel. — Henrietta zaproponowała mi pobyt u siebie na czas remontu.

A podobno tylko ja potrafię zaskakiwać w tej rodzinie! Tymczasem tatko w tajemnicy opuszcza kraj

z zniechęca rozpoczyna remont, a agentka Stasi zdecydowanie wymiotła polską konkurencję i umacnia swoją pozycję. Pobyt na czas remontu! Toż to może trwać pół roku! Czy on zamierza emigrować?!

— Jakiego remontu? — zapytałam nieśmiało, siląc się na opanowanie i spokój.

— Remontu kuchni! — krzyknął, hałas młotka nabrał bowiem intensywności. — Panowie! — ryknął, nie zasłoniwszy słuchawki. — Chwilunia, bo nic nie słyszę!

Moje bębnyki omal nie doznały poważnego uszczerbku, ale w tle przynajmniej już nie waliło sto młotków.

— Właśnie chciałem cię prosić, żebyś u mnie jakiś czas pomieszkała, bo tobie akurat kuchnia nie jest potrzebna.

— To, że nie gotuję tak znakomicie jak wszyscy, nie znaczy, że nie korzystam z kuchni, w której jest na przykład lodówka, a w niej mogą być parówki — odparłam zjadliwie.

— Możesz żywić się u Asi i Przemka, a na dojazdy do pracy zostawię ci pieniądze.

— Ale...

— No dobrze — roześmiał się nagle tatko. — Żartowałem. Poprosiłem już panią Henię, sąsiadkę, aby zaglądała, ale przydałoby się, żeby ktoś przenocował.

Od razu wpadłam na wspaniałą myśl, który przywróci mi moją ceną, spokojną i cichą samotność.

— Poproś Renatę — podsunęłam sprytnie. — Na pewno chętnie przenocuje.

Odłożyłam słuchawkę pełna mieszanych uczuć, ale nie miałam szans na dłuższą refleksję, bo zabręczał telefon. Zaskoczona przyglądałam się obcemu ciągowi cyfr i dopiero po czterech dzwonek odebrałam.

— Jeszcze cztery dni i wracamy! — usłyszałam radosny okrzyk mojej bratowej.

— Aśka?! Skąd ty dzwonicz?

— Z restauracji — odpowiedziała ze śmiechem. — Nie uwierzysz, ale myślałam, że budki telefoniczne już nie istnieją. A tutaj wchodzimy do restauracji i przy toaletach stoi jedna. Podejrzywałam, że została z dawnych czasów i nie działa. Na wszelki wypadek wymknęłam się pod pretekstem sikania i masz!

Działa!

— Cudownie, ale nie możesz sikać w nieskończoność, a ja chciałam pogadać dłużej — westchnęłam.

— Jeszcze cztery dni.

— Chyba że Przemek znajdzie sposób, by nadal cię izolować.

— Spokojna twoja głowa! W perspektywie ma wesele córki, to raz. Po drugie notorycznie odbiera telefony ze swojej kancelarii i coś tam nie jest za fajnie. Jak by nie patrzeć, dwie osoby mniej do roboty. Po trzecie, zamierzam się zbuntować i uciec, nawet bez dokumentów. W ostateczności zagrozę rozwodem!

— No co ty?! — wykrzyknęłam z przestraszeniem. — Tego bym nie chciała!

— Ja też, ale co mi szkodzi pogrozić? A co u ciebie? Nikt już cię nie zaczepiał? Renata nocuje u ciebie?

Pokrótkie odpowiedziałam na pytania, zapewniając, że wszystko jest w porządku, i wyraziłam nadzieję, że kolejne atrakcje ze strony nieboszczyka już mnie ominą, przynajmniej do przyjazdu Joanny, a Piotr Murarz zmęczony jak wszyscy upałem nie wychodzi z domu.

— Moje sikanie trwa już zbyt długo. Uważaj na siebie — rzuciła na pożegnanie Asia i rozłączyła się.

Ledwie zakończyłam rozmowę, gdy rozgrzany telefon znów zadzwonił. Tym razem na wyświetlaczu pojawił się znajomy kontakt, a moje ciśnienie jakby lekko podskoczyło...

— Czy nie masz ochoty wyjść ze swojego mieszkania? — spytał przyjemny głos.

— Owszem, ale bieganie odpada — odpowiedziałam, kładąc się na łóżku. — Mam za sobą cztery piąte dnia pracy bez klimatyzacji i pobyt w piekle betonowej klatki. Bieganie jawi się jako ekstremalny i szkodliwy wysiłek.

— Szkoda. Byłaby to niezła zaprawa przed Biegiem Szlakiem Wygasłych Wulkanów...

— Nic z tego! — zaprotestowałam, doskonale zorientowana, jaki charakter ma tradycyjna złotoryjska impreza. — Żadnego błota, krzaków i nie wiadomo czego jeszcze! Myślę, że chętnych jak co roku nie zabraknie, a mnie wystarczy rola kibica.

— Zatem proponuję romantyczny spacer na zamek w Grodźcu.

Jezuuu, jęknęłam w myślach, czy on chce mnie zabić?

— Dojdziemy tam o zmroku — zauważyłam.

Roześmiał się, a mnie ogarnęła błogość, gdy wyobraziłam sobie jego twarz z owym uśmiechem.

— Podjedziemy samochodem. Zostawimy go na parkingu i na piechotę wejdziemy na górę — wyjaśnił spokojnie. — Do zmroku mamy naprawdę sporo czasu, więc co ty na to?

Co ja na to?! Już stałam przed szafą, pospiesznie analizując, w co powinnam się ubrać.

— Jeszcze jest gorąco... — westchnęłam, przesuwając nerwowo wieszaki z sukienkami.

— To załóż tylko strój kąpielowy i wielki kapelusz — roześmiał się, a ja się wzdrygnęłam, jakby mnie właśnie podglądał. — Będę pod twoim blokiem za dziesięć minut.

Zdobycie zamku Grodziec

Pomimo późnego popołudnia słońce nie odpuszczało mieszkańcom. Najwyraźniej zaparło się, by w jeden dzień rozgrzać miasto po zbyt długiej zimie, jeśli nie spalić. Wszyscy starali się nie wychodzić z domów albo ukryć w ocienionych miejscach, uzupełniając wodę w organizmie w zależności od preferencji. Jedni opróżniali kolejne butelki wody mineralnej, inni wychylali kufle zimnego piwa. Najwięcej radości miały dzieci, które hałaśliwie oblegały dwie fontanny przy rynku, jakby upał wydał administracyjne zezwolenie na kąpiel, a zadowoleni z towarzystwa delfin i górnik przyglądali się wesołym zabawom dzieciarni.

Punktualnie dziesięć minut od zakończenia rozmowy, bijąc rekord w ubieraniu się na czas przez kobietę, czekałam gotowa do wyjścia, gdy usłyszałam dzwonek domofonu. Pospiesznie chwyciłam torebkę. Moje lustro bezlitośnie poinformowało mnie, że ukrycie fałd na brzuchu wymaga założenia zgrzebnego worka na ziemniaki, a nie letniej białej sukienki. Po rozważeniu, czy nie posiadam takowego w trzecim pokoju, wyszłam z mieszkania.

— Ładnie wyglądasz. — Bruno powitał mnie komplementem i uśmiechem, od których poczułam rumieniec na twarzy.

— Dziękuję — odpowiedziałam grzecznie i zajęłam miejsce dla pasażera.

Przyjemny chłód wypełniał wnętrze i od razu poczułam przyływ energii, której spadek od rana był u mnie wprost proporcjonalny do wskazań słupka rtęci. Oparłam się wygodnie w fotelu i przymknęłam oczy.

— Jeżeli tak się smażymy wiosną, to jakie będzie lato? — rzuciłam, zaczynając rozmowę od tematów pogodowych.

Usłyszałam ciche pomrukiwanie silnika, a po chwili odpowiedź:

— Afryka to jeszcze nie jest, więc da się wytrzymać.

Ruszyliśmy z Cmentarnej, a ja otworzyłam oczy, by z klimatyzowanego samochodu okrutnie przyglądać się cierpiącym w upale.

— Byłeś w Afryce? — spytałam.

— Owszem. Całe pół roku. Na szczęście na misji stabilizacyjnej.

Droga pod zamek minęła nam na interesującej pogawędce o misjach, konfliktach zbrojnych i wplątanych w wojnę niewinnych ludziach. Tematy w sam raz na początek uroczej wycieczki! Cóż, kiedy ku memu zdumieniu Bruno nie przestawał opowiadać, a ja z prawdziwym zainteresowaniem chłonełam każde słowo. Mknąc drogą do Grodzca, przenosiłam się do zakurzonych zaułków nieznanymi

bliskowschodnich miasteczek, do gościnnych domostw mieszkańców, pełnych uśmiechniętych, hałaśliwych, smagłych dzieci. Prawdziwa sielanka, gdyby nie huk wystrzałów w oddali i grożące nieustannie niebezpieczeństwo. Bruno zajął mnie opowieścią do tego stopnia, że nie zorientowałam się od razu, że stoimy na polanie już od dłuższej chwili.

— A tyle się słyszy, że ludzie wychodzą z takich misji pokaleczeni i mają ten syndrom...

— ...stresu pourazowego — dokończył, wysiadając z auta.

— No właśnie. — Poszłam za jego przykładem, delikatnie zatrzasnąłam drzwi.

— Owszem — przyznał z poważną miną. — Zdarza się, ale ja nie byłem na takich misjach. To było dawno, jakieś dziesięć lat temu, i nie czułem się zagrożony. To co? Idziemy?

Chwilę później stanęliśmy przed szlabanem na początku drogi na zamek. Rozłożyste, stare wiązy sprezentowały tutaj całkiem przyjemny cień. W górę szlaku mieszały się już z bukami, akacjami i innymi gatunkami, solidarnie nie przepuszczając ani jednego promienia słońca na asfaltową nawierzchnię. Zamilkliśmy, by posłuchać zachwycającego ptasiego radia, które nadawało ze wszystkich stron.

Droga pod górę wcale nas nie zmęczyła, choć szliśmy dość szybkim marszem. Upał przestał być tutaj odczuwalny może z racji osłony z gałęzi i liści drzew, a może zwyczajnie pod koniec dnia ustąpił, znudzony męczeniem mieszkańców Dolnego Śląska. Przez pierwszą majestatyczną bramę wkroczyliśmy na podzamcze z parkingiem dla bardziej wygodnych amatorów zwiedzania. Przypomniałam sobie, jak za kadencji Filipa w moim życiu byłam częstym gościem na zamku wypełnionym bracią rycerską i towarzyszącymi im nadobnymi niewiastami. Niestety, nie połknęłam bakcyła, by przebierać się w stylizowane na średniowieczne szaty i czynnie uczestniczyć w spotkaniach, choć bardzo podobało mi się zżycie ludzi tak różnych, a połączonych wspólną pasją. Poza tym mój związek z Filipem nie przetrwał i od tamtej pory nie odwiedzałam zamkowych murów i dziedzińców, choć nie przestawały przychodzić zaproszenia na spotkania i imprezy rycerskie.

Dzisiaj późnym popołudniem zamek zdawał się opuszczony i tajemniczo milczący. Przez drewniany most i otwartą bramę weszliśmy na pusty dziedziniec, na który cień rzucała zamkowa wieża. Cisza i brak ludzkiej obecności skłaniały do myśli o końcu świata, który najwidoczniej przegapiliśmy, idąc pod górę. Bruno ujął mnie za dłoń i delikatnie pociągnął w stronę otwartych na oścież drzwi wejściowych na szczycie schodów. Fala ciepła rozchodziła się od jego palców po całym moim ciele. Nawet chłód pustej, wielkiej sali, do której wreszcie dotarliśmy, nie zgasił rozpalonego wewnętrznego ogniska. Nieoczekiwany pocałunek, który nastąpił tuż za progiem, był jak kanister z benzyną rzucony na ten płonący stos i groził potężną eksplozją!

Żadne słowa nie opiszą, co się ze mną stało! Ani co jeszcze mogło się stać, gdyby głośnie chrząknięcie nie oderwało nas od siebie.

— Kogóż my tu mamy! — wykrzyknął ucieszony kasztelan, gdy tylko odwróciliśmy do niego rozpalone lica. — Paulina? Podkomisarz Niedziela?

— Wy się znacie?! — Oboje z Brunem jednocześnie zadaliśmy to pytanie i wszyscy troje wybuchliśmy

śmiechem, który echem niósł się po komnacie. A potem gwałtownie poczerwieniałam, uświadamiając sobie, na jakim uczynku zostałam złapana przez znajomego kasztelana.

— Pan podkomisarz kiedyś bywał u nas częściej w związku z niszczeniem osady średniowiecznej na podzamczu — wyjaśnił kasztelan, podkreślając niczym Zagłoba sumiastego węża. Nawet w opustoszałym zamku nosił średniowieczne szaty, nienagannie czyste jak na tamtą epokę. Przysiedliśmy na jednej z drewnianych ław ze szklankami przyniesionej przez gospodarza wody mineralnej.

— I co, złapał wandali? — spytałam, starając się nie patrzeć na siedzącego na wprost Bruna, by nie cierpieć bardziej z powodu oderwania się od jego ramion. W ogóle miałam straszliwe problemy z koncentracją.

— Owszem! — wykrzyknął z dumą kasztelan, jakby to on osobiście ujął przestępców, i po chwili zwrócił się do Bruna: — A Paulinę poznałem...

Zamarłam w obawie, że zaraz nastąpi opowieść z Filipem w roli głównej, co bynajmniej nie byłoby wskazane w tych okolicznościach.

— ...jak tutaj radośnie płąsała na turnieju!

— Płasałam?! — wykrzyknęłam zdumiona, a Bruno jak echo powtórzył za mną, nie powstrzymując radości:

— Płasałaś, naprawdę?

— Tańcowała jak się patrzy! — potwierdził kasztelan, mrugając do mnie znacząco.

Od nadmiaru zawstydzenia powinnam już się spalić i spopielić, ale na szczęście dzwonek mojego telefonu uratował mnie od tak strasznej śmierci. Wystawiłam dzwoniącego na próbę cierpliwości, gdy przeszukiwałam chaotycznie torebkę. Na szczęście się nie zniechęcił i gdy tylko odebrałam, usłyszałam głośny szloch mojej bratanicy, który poderwał mnie na równe nogi.

— Co się stało?! — ryknęłam, ściągając uwagę Bruna i kasztelana.

— Muszę odwołać ślub... z powodu wiszącego... nade mną nieszczęścia! — wyryczała do słuchawki Renata. — On mi to zrobił specjalnie!

Odeszłam od stołu, machając uspokajająco dłonią, by Bruno i kasztelan przestali w skupieniu patrzeć na mnie, żądni wyjaśnień. Potem udało mi się sprawnie uspokoić Renatę i uzyskać odpowiedź na swoje pytanie. Otóż podczas domowego, samotnego przymierzania sukni ślubnej, która została właśnie konspiracyjnie odebrana i przywieziona taksówką, wpadł Aleksander i ujrzał swą ukochaną już ubraną. Z zachwytu oniemiał, a potem porwał w swe ramiona, tyle że ramiona ukochanej poczęły go tłuc bez miłosierdzia przy akompaniamencie przeraźliwego wrzasku z ukochanych ust. Gdy ogłuszony i obity postawił Renatę z powrotem na podłodze, nie otrzymał żadnych wyjaśnień, gdyż narzeczona, trzaskając drzwiami, opuściła biegiem mieszkanie. Pojęcia nie mam, jak tak niedomyślny człowiek mógł się bez problemu dostać na studia doktoranckie przy braku wiedzy o licznych przesądach, w które zachłannie wierzyła jego ukochana?! Można w nie nie wierzyć, ale dla przyzwoitości należy je znać. Czy on nie ma instynktu samozachowawczego? Przecież wszem wobec wiadomo, że ujrzenie panny młodej w sukni

przed ślubem i to przez przyszłego pana młodego przynosi pecha!

Dlatego Renata, porzuciwszy narzeczonego, wybiegła tak jak stała z domu i teraz, siedząc na skwerku, postanowiła zadzwonić do mnie, bo na rodziców liczyć nie można!

— On nie chce tego ślubu! — wysyczała Renata, dla odmiany zamiast szlochać, pałała nienawiścią. — Specjalnie to zrobił!

— Przestań! Nie wierz w żadne przesady! — uspokajałam ją, starając się możliwie najskuteczniej odegnąć czarne chmury znad głowy Olusia. Chłopak, co prawda, niedomyślny, ale szczerze zakochany. — Przecież on cię kocha jak wariat! Świata poza tobą nie widzi!

— Ale widocznie ślubu nie chce! Bo przecież teraz wiadomo, że to bez sensu i nam się nie uda.

— Nie histeryzuj! To w ogóle nie ma znaczenia! — wykrzyknęłam w zdenerwowaniu. — Mnie żaden mój mąż nie oglądał przed ślubem i co?! A może jakby oglądał, to teraz miałabym z kim iść na twoje wesele. Może właśnie ma być na odwrót niż w tych kretyńskich, staroświeckich przesadach!

Zapadła cisza. Zarówno po drugiej stronie słuchawki, jak i w komnacie. Co prawda nie mogłam zobaczyć twarzy Renaty, ale za to Bruna i kasztelana bardzo rozbawiła podsłuchana rozmowa.

— Wracaj do domu, bo zniszczysz sukienkę, i przyjeżdżaj z Olusiem do mnie — zakończyłam rozmowę i powróciłam do rozbawionego towarzystwa dwóch mężczyzn, którzy w związku z moim powrotem i nadąsaną miną starali się nieudolnie powstrzymać od śmiechu.

Nieśmiało kiełkujące podejrzenia

Nadszedł kolejny dzień upałów, choć z nadzieją na ochłodzenie, daną przez pogodynkę, która nie szczędząc uśmiechów, wskazywała na mapę Polski z widoczną deszczową chmurą na Dolnym Śląsku. Mimo obiecujących prognoz w naszym akwarium zainstalowano klimatyzację, a na hali zmodernizowano nadmuchy. Wysłuzone wentylatory Justyny i Janka mogły odejść na zasłużoną emeryturę. Dzień pracy minął w lodowatej atmosferze nie tylko z powodu pracującej klimatyzacji, ale też fatalnego humoru mojej koleżanki, która pokłóciła się z mężem i przemyśliwała po raz tysięczny, jak rozwieść się z przytupem, żeby Janek cierpiał do końca życia. Z doświadczenia wiedziałam, że najdalej jutro sielanka małżeńska powróci, gdy zniknie napięcie przedmiesiączkowe, i z tego też powodu wolałam nie narażać się na atak.

Sił do mediacji wystarczyło mi jedynie do wczoraj — by pogodzić narzeczonych. Zanim zabrali z mojego mieszkania rzeczy Renaty, Oluś znów musiał wymienić mi jeden z zamków w drzwiach. Nieprawidłowe zamontowanie wczoraj nowego zrzucił na karb stresu przedślubnego oraz nerwowych pomrukiwań zniecierpliwionej Renaty za jego plecami. Mogłam to zrozumieć, bo i przy tej wymianie ręce mu się trzęsły pod wpływem naszych ponagląjących spojrzeń. Wreszcie zamek został wymieniony, Renata zabrała swoje rzeczy, ale zapowiedziała, że do przyjazdu rodziców nadal zamierza się mną opiekować. Na szczęście udało mi się przekonać moją bratanicę, by sprawowała tę opiekę przez telefon.

Dopiero wieczór przyniósł wytchnienie w postaci delikatnego ochłodzenia i nieśmiałego zefirka. Otworzyłam wszystkie okna i na przekór ostrzeżeniom, by unikać wysiłku fizycznego, wybiegłam, by pozbierać myśli. Daleko nie zaleciałam, piętro niżej bowiem dopadła mnie moja „ulubiona” sąsiadka, która akurat wychodziła na zakupy. Stała mi na drodze i uporczywie milczała, łypiąc na mnie złym okiem. Siłą rzeczy również stanęłam i odwzajemniłam spojrzenie, ale wyrażając nim bezbrzeżne zaskoczenie. Nie spodziewałam się „dzień dobry”, gdyż nigdy tych słów od niej nie usłyszałam, ale ponieważ nic jej w swoim pojęciu nie zrobiłam, poza wprowadzeniem się do mieszkania powyżej, stwierdziłam, że takiego zwrotu zwyczajnie nie zna od dzieciństwa, i zignorowałam ów fakt, nie posiadając w sobie zapędów pedagogicznych. Do tej pory jednak schodziła mi z drogi i z obrzydzeniem unikała patrzenia na mnie, rzucając tylko w przestrzeń uwagi typu: „ciszej się wchodzi” albo „błocka nanieś”, więc zagrodzenie mi drogi swoją cherlawą postacią i uporczywe milczenie musiało mnie niebywale zaskoczyć.

— To porządna klatka była! — ryknęła, aż się cofnęłam. — Gachów tyłu nikt nie sprowadzał! Biegają po schodach, tłuką się na klatce! Co to ma być?!

Od razu pomyślałam, że chodzi jej o incydent z policjantami, ale długo musiała w sobie to trawić.

— Policja — odparłam, wzruszając ramionami. — Policja mnie nachodzi, bo po Złotoryi krąży jakaś seryjna morderczyni, a ja jestem do niej łudząco podobna!

— Jezus Maria! — wykrzyknęła, zasłaniając dłonią usta.

Skwapliwie skorzystałam z tego, że uwolniła poręcz, i precyzyjnie przycisnęłam się obok. Z uśmiechem satysfakcji, że udało mi się nabrać jędrę, wybiegłam na ulicę. Śmiałam się jeszcze dobry kawałek drogi, wyobrażając sobie, jak moja sąsiadka rygluje drzwi przede mną, uprzednio powiadomiwszy wszystkich lokatorów, że na czwartym piętrze mieszka seryjna morderczyni, którą lada dzień bladym świtem zabierze grupa antyterrorystów z Wrocławia. Z tego nieokiełznanego rozbawienia potknęłam się dwa razy na prostej drodze, efektownie machając rękoma w powietrzu, i jeszcze bardziej się śmiałam. W efekcie na Skwerze Siedmiu Mieszczan dostałam zadyszki i zmuszona odpocząć, opadłam na ławkę. W tym miejscu nie wypadało ryczeć ze śmiechu, lecz oddać się refleksji. Zawsze ciarki mnie przechodziły, gdy pomyślałam sobie o tych siedmiu mieszkańcach szesnastowiecznej Złotoryi, jedynych ocalałych z epidemii dżumy, która zabiła pozostałe dwa i pół tysiąca osób. To dopiero seryjna morderczyni! A oni zapewne musieli tych wszystkich zmarłych ludzi pochować, a może spalić? Jaka musiała panować potworna cisza, gdy przyszli na rynek w noc wigilijną, by wspólnie zaśpiewać kolędy. O ile dobrze pamiętam, tradycja ta została niedawno wznowiona, lecz ani razu nie udało mi się uczestniczyć we wspólnym śpiewaniu kolęd, gdyż tradycyjnie święta spędzałam z rodziną w Legnicy, z wyłączeniem lat małżeństwa z Grzegorzem, który nienawidził świąt. W tym czasie, aż do Nowego Roku, wyjeżdżaliśmy do Egiptu albo Tunezji. Nie mogłam narzekać, bo dzięki Grzegorzowi zobaczyłam spory kawałek świata. Wyjeżdżaliśmy niemal w każdy weekend. Często zostawaliśmy dłużej, jakby i Grzegorz nie pracował.

Pacnęłam się otwartą dłonią w czoło. Nie mogę o sobie myśleć jak o osobie inteligentnej w tamtym okresie totalnej ciemnoty i zidiocenia, bo nie pojawił się żaden najmniejszy niepokój, że coś tutaj nie gra! Przecież nie pracowałam na jego życzenie, udzielając się z lenistwa w jakichś wskazanych przez Grzegorza fundacjach dla dobrze rokujących młodych artystów, a właściwie spędzając czas na nudnych plotkach z nieciekawymi ludźmi. Mieliśmy duży dom z monitoringiem i alarmem, naszpikowany kamerami, które śledziły każdy najmniejszy ruch, gdy nie byliśmy na miejscu. Szczególnie obserwowały pracującą jak duch Nataszę. Ile nerwów mi zjadło to całe ustrojstwo, którego nie potrafiłam obsługiwać, to ludzkie pojęcie przechodzi. Przecież taka nowoczesna elektronika musiała kosztować duże pieniądze! Do tego nasze liczne wyjazdy, pobyty w drogich hotelach. Skąd on u licha miał na to pieniądze?! Nie oszukujmy się, że dyrektor jakiegoś oddziału banku zarabia tyle, by sobie na wszystko pozwalać. To, na miłość boską, nie prezes! Mój brat ma rację, Grzegorz musiał być zaplątany w podejrzone afery. Szantażował kogoś? A może podkradał pieniądze z banku? Albo brał łapówki? W końcu go zwolnili, stracił główne i dodatkowe źródła dochodu, załamał się, może upił, napisał kretyński list pożegnalny, a potem powiesił. Nie, nie i jeszcze raz nie! Grzegorz nie podciąłby gałęzi, na której siedział, czyli dodatkowych pieniędzy nie czerpał z banku ani z łapówek! Straciłby swój nienaganny wizerunek. Został

szantaż, bo w napady na samotne, bogate staruszki albo w wyłudzenie metodą „na wnuczka” za nic nie uwierzę.

No tak! Ta blondyna z cmentarza i Piotr Murarz czegoś szukają. Pewnie ich też szantażował. Tylko czym można kogoś szantażować? Nie mam zielonego pojęcia, gdyż nie posiadam żadnego doświadczenia w nieuczciwych zagrywkach i moja wyobraźnia też nie pracuje w celach przestępczych. Nic nie rozumiem! Straszna ze mnie tępota! Czy oni nie myślą przypadkiem, że ja to mam? Może sądzą, że Natasza, skoro tak długo sprzątała w domu Grzegorza, zna każdy zakamarek i... Jezu! Może to wcale nie był wypadek? Jeśli zamordowali ją z powodu tych podejrzeń, to może i mnie zamordują!

Mój brat to jednak mądry facet! Co umysł ścisły, to umysł ścisły, a ja tępota humanistyczna! Tylko że ja nic nie wiem i tak samo nie mogła wiedzieć Natasza. Czy nie mogli włamać się do willi Grzegorza i spokojnie sobie to zabrać, nie mordując nikogo? A może mój były mąż okazał się sprytniejszy i gdzieś wszystko schował... Tylko że w trakcie naszego małżeństwa nie wtajemniczał mnie w swoje interesy. Pewnie nie z troski o moją uczciwość, lecz z obawy i chytrych, abym nie przejęła doskonałych źródeł finansowania. Skąd u niego taka zawziętość po śmierci, by mnie w to wszystko wplątać?! I właściwie w co dokładnie?

Wszystko musiałam sobie koniecznie starannie poukładać, więc podniosłam się z ławki, wdzięczna Siedmiu Mieszczanom, że skierowali moje myśli na właściwe tory. W przeciwnym wypadku zagłębiałabym się we wspomnieniach oraz rozmyślaniach o Brunie, emocjach, pocałunku, jego dłoniach i... całości owej niepokojącej sytuacji.

Opatrzność, albo jak kto woli — Los, ma okrutną skłonność do kpienia sobie z naszych planów, zaśmiewania się z naszego zaskoczenia i powstałych komplikacji. Cóż za niesamowity przypadek, że Bruno również wpadł na pomysł wieczornego biegania i wpadliśmy na siebie zdyszani przy zalewie. Ile mnie wysiłku kosztowało, by nie rzucić mu się na szyję jak zakochana idiotka i poczuć przyjemny pocałunek mocno osadzony w mej pamięci, to tylko wie moja podświadomość, no i może jeszcze owa Opatrzność z poczuciem humoru.

— Dzwoniłem do ciebie — oznajmił, przyglądając mi się uważnie.

— Niemożliwe — odpowiedziałam, sięgając do paska, ale ku swojemu i Bruna zdumieniu wyjęłam pilota do telewizora.

Mnie ogarnął smutek, a Bruno wybuchnął śmiechem.

— Czas iść do okulisty — zawyrokowałam posepnie, uświadamiając sobie, że wiek trochę więcej niż po czterdzieście daje o sobie znać.

Kolejne przeszkody

Przestałam się czuć bezpiecznie w swoim mieszkaniu — wyznałam Brunowi znieca, gdy siedzieliśmy na pomoście nad zalewem, chłonać przyjemny, ciepły wieczór. Dłoń, którą trzymałam w swojej, promieniowała rozkosznie i rozklejała niebiańsko.

— Nie rozumiem — powiedział, przyglądając mi się uważnie i z widocznym niepokojem.

— Och, nic takiego! — Machnęłam wolną ręką, starając się zbagatelizować wcześniejszą wypowiedź.

— Przynajmniej nic takiego, z czym nie dałabym sobie rady, ale to takie głupie.

— Możesz powiedzieć, o co chodzi? — zniecierpliwił się.

— Nie mogę, bo zaraz się obrazisz.

— Ja się nie obrazam, więc możesz być ze mną szczerą. — Oczy Bruna przybijały mnie do desek pomostu.

— Nie mogę z tobą o tym rozmawiać, bo to ma związek z tą kanalią, moim byłym mężem — wyjaśniłam możliwie zwięźle.

— Prowadzisz swoje śledztwo, tak?

— Już nie, ale wciąż coś się do mnie przyczepia, a ostatnio to ktoś — westchnęłam, niepewna, czy powinnam mówić o Piotrze Murarzu.

— Paulina, zostaw to — powiedział niezadowolony.

— Przecież mówię, że mnie to już absolutnie nie interesuje! — wykrzyknęłam.

— To dlaczego przestałaś się czuć bezpiecznie we własnym mieszkaniu? — drążył niezmordowanie.

Rozważałam pospiesznie, czy nie przyznać się Brunowi do swoich wniosków wysnutych na Skwerze Siedmiu Mieszczan, ale w obawie, że znów nie będzie odpowiadał na moje telefony i obrazi się za detektywistyczne zapędy, podjęłam decyzję powiedzenia części prawdy.

— Bo notorycznie nachodzi mnie moja bratanica z przyszłym narzeczoną. Zamęcza mnie historiami związanymi z własnym ślubem i wydaje się jej, że umieram z samotności! No i drzwi mi w końcu zniszczą, jak nic! Dodatkowo moja sąsiadka dzisiaj nabrała przekonania, że jestem seryjną morderczynią — wyrzuciłam z siebie.

Bruno nie sprawiał wrażenia, że mi uwierzył, ale uśmiechnął się wreszcie, co przyjąłam z ulgą. I nagle zaproponował kąć u siebie, czym mnie ogromnie zaskoczył.

— Ledwo się poznaliśmy, a ty już mi proponujesz wspólne mieszkanie? — zdumiałam się.

— W naszym wieku chyba nie należy tracić czasu — odpowiedział z beztroską.

— Jak to w naszym wieku? Jestem w innym wieku niż ty! — udałam oburzenie.

Siedzieliśmy na pomoście nad zalewem i przez chwilę przeleciało mi przez głowę, by go zwyczajnie zepchnąć do wody. Podniósł ręce na znak poddania się.

— W porządku — przyznał. — W moim wieku.

— Potrzebujesz kogoś do prania, gotowania i sprzątanania? — rzuciłam zaczepnie.

— Tak! — wykrzyknął. — Zgadłaś. Wreszcie ktoś sprzątnie tę hałdę brudnych naczyń, ubrań i kurzu po dwunastu latach od rozvodu!

— Chcesz mi wmówić, że byłeś sam od rozvodu?

Uśmiechnął się.

— Tego nie powiedziałem. Mieszkałem sam, co nie znaczy, że byłem sam — podkreślił. — To jak? Zgadzasz się? Bo już nie mam jak się ruszyć w domu.

Westchnęłam ciężko. Kusząca propozycja, ale czy ja byłam na to gotowa? Jak będzie wyglądać nasze wspólne życie? Przecież w ogóle nie znam tego człowieka. I jak to się ma do zasady „żadnych facetów”? Chyba nijak, bo również moje ciało mnie okrutnie zdradzało. Obecność mężczyzny w takiej bliskości i to nie całkiem obojętnego przegoniła owe, jak się okazało, nietrwałe zasady.

— Jestem bezużyteczna. Nie gotuję, owszem piorę, ale żadna ze mnie idealna pani domu.

— Taaak. — Pokiwał smutno głową. — Widziałem twój trzeci pokój...

Pacnęłam go lekko w ramię, dając do zrozumienia, że nie uznaję takiego żartu. Przez chwilę oboje przyglądaliśmy się hałaśliwej dzieciarni, która wbrew protestom anorektycznej matki wbiegła do wody. Kobieta stała na brzegu, wydając z siebie głośne wrzaski, których poziom decybeli przeczył jej kruchej budowie. Trójka dzieci, najwyraźniej przyzwyczajona do krzykliwej mamuski, ignorowała stojącą na brzegu i dokazywała, ochlapując się nawzajem wodą. Chyba wszyscy nad zalewem i w promieniu pięciu kilometrów poznali imiona trzech urwisów oraz wachlarz kar, jakie czekają ich za nieposłuszeństwo. Damian, Adam i Hubert, zajęci zabawą, niewiele sobie robili z gróźb rodzicielki. Matka darła się nadal na brzegu, zagłuszając muzykę z głośników.

— Dobrze, dobrze. Wiem, o co chodzi — odezwał się po chwili Bruno, nie odrywając wzroku od wesołych urwisów. — Mogę obiecać, że nie rzucę się na ciebie tuż za progiem.

— Teraz jestem rozczarowana! Na to właśnie liczyłam! — udałam oburzenie.

— Naprawdę?! — Ucieszył się, porzucając widok z urwisami w roli głównej na rzecz mych oczu. — To na co my jeszcze czekamy?!

Podniósł się i wyciągnął rękę w moją stronę.

— Biegnijmy po twoje rzeczy — oznajmił.

Po drodze zatrzymaliśmy się jeszcze, by w budce z hamburgerami wcisnąć w siebie w pośpiechu niezdrową żywność. A potem nie spiesząc się, przespacerowaliśmy miastem, docierając na Cmentarną dopiero o zmierzchu.

Nigdy nie podejrzewałam siebie, że tak bezwolnie poddam się požądaniu, które zachłannie mną zawładnęło, gdy Bruno delikatnie pocałował mnie pod blokiem. Sekundę później zachowywaliśmy się

jak para nastolatków, a nie ludzie trochę więcej niż po czterdziestce, wbiegając w zawrotnym tempie po schodach, aż na czwarte piętro, z licznymi przystankami po drodze, by oddać się namiętym pocałunkom i uściskom. Wreszcie dysząc ciężko, oparłam się plecami o własne drzwi i zdobywając się na najbardziej uwodzicielski uśmiech, przyciągnęłam Bruna do siebie. Jedną rękę oparłam na jego ramieniu, a drugą potrząsałam głośno kluczami. Niechętnie oderwał się od mojej szyi, którą rozgrzewał pocałunkami, i wyjął mi z ręki klucze, aby po chwili wbić się w moje usta. Cała stanęłam w płomieniach i poczułam nieprzemogłą ochotę skonsumowania go całego tutaj i teraz, zanim wścibscy sąsiedzi nie zaczęli interweniować w służbach porządkowych. Poczułam, jak Bruno, nie przerywając pocałunku, delikatnie odsuwa mnie na bok, by dostać się do zamka. Chwilę później z trudem odnotowałam odgłos przekręcanego klucza. Drzwi delikatnie zostały otwarte.

— Mam cię przenieść przez próg czy wejdiesz o własnych siłach? — wyszeptał mi w ucho, parząc je gorącym oddechem.

— Kusząca propozycja — odparłam, delikatnie uwalniając się z jego ramion. — Wejdę sama, a potem możesz mnie nosić, gdzie chcesz...

Niechętnie odwróciłam się do Bruna plecami i otworzywszy przed samym progiem własnego mieszkania dotąd przymknięte powieki, ręką wymacałam włącznik światła. Widok, który ukazał się w świetle lampy w przedpokoju, najpierw wprowadził mnie w osłupienie, a potem wycisnął pisk przerażenia.

Tajemnica zielonej księgi

Czy masz coś, co należało do twojego byłego męża? — spytał poważnie Bruno, podając mi szklanekę wody, gdy już oklapłam na jeden z foteli, z którego najpierw zrzuciłam na podłogę swoją czystą bieliznę, brutalnie eksmitowaną z komody.

Bruno zdążył już zadzwonić do kolegów z policji z informacją o włamaniu, podał adres i rzucił na koniec: „Czekam na miejscu”. Obserwując go, wydawało mi się, jakby mówił o kimś innym. Zupełnie science fiction! Siedziałam na brzegu fotela, wciąż pozostając w szoku i ze zdumieniem przyglądając się otaczającemu mnie pobjowisku. Całe mieszkanie wyglądało tak, jakby bałagan z trzeciego pokoju wypełził do pozostałych, dokonując straszliwej zemsty za ignorowanie go przez lata. Moje myśli podążały w jednym kierunku: jak i kiedy zdołam to wszystko posprzątać?! Wszystkie rzeczy z szafek kuchennych zostały wywalone, potłuczone i obficie obsypane mąką, kaszą i ryżem, o których istnieniu zupełnie zapomniałam. Nie oszczędzono przedpokoju, sypialni i salonu, a nawet łazienki, gdzie ujrzałam swoje oblicze w pajęczynie potłuczonego lustra. Tylko trzeci pokój wyglądał jak przedtem.

— To znaczy co? — zdumiałam się, ocknąwszy z zamyślenia, i nawet wzdrygnęłam się w pierwszej chwili, myśląc, nie wiadomo z jakich powodów, o gaciach Grzegorza.

— Coś, czego mogą szukać włamywacze — odpowiedział Bruno i usiadł na wprost mnie.

— Włamywacze? — zdziwiłam się. — Przecież drzwi były zamknięte. Sam otwierałeś kluczem...

— Cóż, chyba nie do końca pamiętam... — zmieszał się. — Raczej udało mi się jedynie wsadzić klucz, ale nie przekręcałem.

— Mnie z kolei wydaje się, że słyszałam, jak przekręcałeś, ale już niczego nie jestem pewna. — Wzruszyłam ramionami i upiłam łyk wody.

— Zaraz przyjedzie ekipa, sprawdzi zamek i wszystko ustali. Jak się czujesz?

— Zamek! — wykrzyknęłam i podskoczyłam na kanapie. — Musiał się znowu zepsuć.

— Jak to znowu?

Opowiedziałam zainteresowanemu tą kwestią Brunowi o problemach mojej bratanicy z dostaniem się do mojego mieszkania i dwukrotnej wymianie zamka przez Olusia. I już w trakcie opowiadania przypomniałam sobie o kielkujących podejrzeniach. Przyszła kolej na mnie! Czegoś u mnie szukano i na pewno nie znaleziono, więc będę miała taki wypadek jak Natasza! Przerazona spojrzałam na Bruna.

— Nie mogę tutaj zostać! — wykrzyknęłam.

— Spokojnie — powiedział, klękając przede mną i obejmując z czułością. — Na pewno tutaj nie zostaniesz, ale sprawdź najpierw, czy nic nie zginęło, dobrze?

Rozejrzałam się zdezorientowana po pobojowisku w moim mieszkaniu. Od razu poczułam potworną odrazę do grzebania w tym chaosie. Włamywacz w swoim dziele dewastacji ewidentnie zainspirował się wyglądem mojego trzeciego pokoju, ale szukanie cennych rzeczy wydawało mi się zbędne. Przecież takowych w ogóle nie miałam. Lodówka, pralka i telewizor wciąż stały na swoich miejscach.

— Raczej nic... — westchnęłam ciężko, przytłoczona czekającym mnie sprzątaniami i skromnym stanem posiadania.

— Powiedz wreszcie prawdę, bo na mój wojskowo-policyjny nos coś ukrywasz.

— Teraz to chyba już nic — odparłam, spoglądając wymownie na bieliznę na szczycie stosiku ubrań na podłodze.

— Paulina, ja mówię poważnie...

Rozczulona jego uściskiem i przerażona perspektywą tragicznej śmierci bez powodu, opowiedziałam wszystko, nie wyłączając gazetowych sensacji i własnych podejrzeń. Nawet nie zauważyłam, kiedy usiadł obok, wyjął notes i sporządzał notatki. W międzyczasie pojawiło się kilku ubranych po cywilnemu policjantów i jeden mundurowy. Bruno przerwał mi na chwilę, by wydać dyspozycje. Mężczyźni rozproszyli się po mieszkaniu, a mundurowego Bruno wysłał, by mimo późnej pory popytał sąsiadów. Wtrąciłam, że jeśli chodzi o sąsiednie mieszkania, to nawet nie ma sensu dzwonić, gdyż młodzi ludzie z prawej wyjechali do Niemiec na stałe, płacąc na odległość kredyt i czynsz, a po śmierci staruszka z lewej strony rodzina kłóci się w sądzie o spadek po nim, choć wcześniej nikt się krewnym nie interesował.

— Dlaczego wcześniej nie powiedziałaś mi o tym Murarzu?! — rzucił z pretensją Bruno.

— Bo nie odbierałaś telefonów, choć wykonałam trzydzieści połączeń! — odwzajemniłam pretensje na tyle głośno, że zajmujący się oględzinami mojego mieszkania policjanci odwrócili z zainteresowaniem głowy, uśmiechając się pod nosem.

— Przypomnij sobie, czy masz może coś, co należało do twojego byłego męża? — Bruno zmienił temat, wysyłając kolegom mordercze spojrzenie, skutkujące pospiesznym powrotem do zajęć służbowych.

— Wątpię, aby włamywaczowi zależało na drzewie genealogicznym rodziny Bożyków — parsknęłam.

— Nie rozumiem.

Wzruszyłam ramionami i poszłam do trzeciego pokoju. Mimo panującego tutaj bałaganu bez trudu odnalazłam „Księgę drani”, wyciągając ją spod sterty bezużytecznych ogrodniczych rupieci. Położyłam ją na kolanach zdezorientowanego Bruna.

— Dostałam to od nieboszczyka za pośrednictwem dwóch krzyżackich heroldów — powiedziałam beztrąsko, po czym opadłam z powrotem na fotel i streściłam pokrótce okoliczności otrzymania księgi i moje wspomnienia z nią związane.

Zaskoczenie na twarzy Bruna spotęgowało się, gdy otworzył księgę. Zaglądając mu przez ramię, także się zdziwiłam. Podobnie zareagowali pozostali policjanci, a jednemu wyrwało się głośno przekleństwo. Nie było tam drzewa genealogicznego rodu Bożyków, ale mnóstwo przyklejonych do kartek kopert

z niemłą zawartością w postaci zdjęć i notatek. Po raz pierwszy w życiu poczułam na własnej skórze, co to znaczy, że włos się jeży na głowie, a oczy wychodzą z orbit. Wycofałam się kilka kroków, by oprzeć się o ścianę, ale widziane obrazy nie chciały zniknąć. Brakowało mi powietrza, choć okno w pokoju było otwarte na oścież.

— Prawdziwa księga drani — wypowiedział głośno Bruno, pochłonięty przeglądaniem powierzonego mi parszywego spadku po parszywym nieboszczyku mężu.

Nad nim pochylali się pozostali policjanci, a ja nagle zobaczyłam pod ich nogami żółtą kopertę z czarnym napisem: „DOMINIKA D...”. Reszta liter wsunęła się lekko pod fotel, ale domyśliłam się nazwiska. W jednej chwili poczułam falę gorąca i chłodu jednocześnie. Musiała wypaść z księgi, ale nikt jej jeszcze nie zauważył i nie usłyszał, jak upadła, bo spoczęła na mojej bluzie, wyrzuconej przez włamywacza wraz z innymi rzeczami z szafy.

— Tak o niej mówił, ale myślałam, że chodziło o jego rodzinę — rzuciłam, resztką sił odpychając się od ściany i podchodząc do pochłoniętych znaleździem policjantów. W pierwszej chwili miałam zamiar podnieść kopertę i oddać, ale jak zwykle coś mnie podkusiło wbrew zdrowemu rozsądkowi. „DOMINIKA D...”. Delikatnie i niezauważalnie kopnęłam kopertę głębiej pod fotel, by była całkiem niewidoczna.

Noc u mężczyzny spędzona z wyrzutami sumienia i nieboszczykiem

Jako że nikt z mojej ukochanej rodziny nie pozostawał w zasięgu telefonicznym, Bruno poprosił mnie o spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy, informując, że nie może mnie tutaj zostawić. Policjanci już dawno wyszli, zabierając ze sobą „Księgę drani”. Zajęta pakowaniem słyszałam jedynie strzępki rozmów o tym, że nieopodal została napadnięta inna dziewczyna i jakiś „stary”, prawdopodobnie szef, dostał szau. W moim zdemolowanym mieszkaniu zostaliśmy: ja z torbą podróżną w dłoni, Bruno nerwowo spoglądający na zegarek, bałagan i żółta koperta pod fotelem.

— Możesz się pospieszyć? — spytał, obserwując, jak kręcę się wokół fotela i bez składu i ładu wpycham rzeczy w mroczne czeluści torby.

— Staram się, ale w tym bałaganie... Sam widzisz... — Wzruszyłam ramionami, a po chwili przypomniałam sobie: — Czy ja nie powinnam złożyć jakichś zeznań?

— Wszystko w swoim czasie. Dzisiaj przenocujesz u mnie na Podwalu — powiedział z szelmowskim uśmiechem i dodał poważnie: — A jutro coś wymyślimy.

— Mam klucze do mieszkania tatka — przypomniałam sobie, intensywnie myśląc, jak odwrócić jego uwagę.

— Wolę cię mieć na oku. Blisko.

— Ale... — Zaczerwieniłam się niczym młoda, niewinna dziewczyna.

— ...ale muszę iść do pracy — dokończył z rozczarowaniem w głosie i czarującym uśmiechem.

Schyliłam się po zrzuconą z fotela bieliznę, przenosząc się bardzo blisko koperty. Przysunęłam torbę, ale Bruno zapatrzył się na mnie i z trudem łapałam powietrze.

— Możesz tak nade mną nie stać, bo zupełnie nie mogę się skupić na tym, co mam zabrać — poprosiłam i z ulgą stwierdziłam, że poszedł do kuchni, a ja natychmiast właściwie wykorzystałam jego nieobecność. I tak wśród niezbędnych mi do życia na wygnaniu rzeczy znalazła się żółta koperta, którą schowałam na dnie torby podróżnej i która teraz paliła mnie jak żelazo wprost z hutniczego pieca.

Całe szczęście, że Bruno musiał od razu wracać na komisariat, gdyż inaczej pod wpływem czułych tortur, dociekliwych pytań czy romantycznie intensywnych spojrzeń przyznałabym się do wszystkiego. Wystarczyło, że mnie objął i pocałował na pożegnanie, a na mojej obrzydliwie uczciwej twarzy odmalowało się coś podejrzanego.

— Coś jeszcze sobie przypominasz, o czym zapomniałaś mi powiedzieć? — spytał z ręką na kłamce

drzwi wyjściowych, przyglądając mi się uważnie.

Omiał nie padłam trupem. Czy ja, do cholery, nie mogę być choć raz nieuczciwa? Czy mam na czole napis: „UKRADŁAM POLICJI ŻÓŁTĄ KOPERTĘ”?

— Jak sobie coś przypomnę, to dam znać — odparłam, marszcząc czoło, by sprawić wrażenie intensywnej pracy własnej pamięci.

Pożegnałam go najpiękniejszym i najniewinniejszym uśmiechem, na jaki potrafiłam się zdobyć, i zostałam sama w dwupokojowym mieszkaniu z widokiem na pogrążony we śnie sąsiedni blok. Zachłannie podziwiałam porządek i skromny wystrój wewnątrz, ale w porę zaprzestałam zwiedzania z rozdziawioną gębą, bo lada chwila Bruno mógł wrócić, a ja musiałam się zastanowić, co dalej. Pomimo późnej pory nie czułam się senna, więc postanowiłam działać. Z dna torby wygrzebałam żółtą i dość solidnie wypchaną kopertę. Paliła mnie w dłonie, a mózg wysyłał wiadomość, że skończona ze mnie idiotka! No i dopadło mnie przygnębienie, zmęczenie i zwątpienie.

O otwarciu koperty nawet nie myślałam, nie byłam ciekawa zawartości. Nie po to ją ukryłam. Zresztą mogłam się domyślić, sądząc po innych materiałach z „Księgi drani” oglądanych policjantom przez ramię, że na swoją sekretarkę Dominikę Dąbrowską Grzegorz też miał niezłego haka. Koperta formatu B5 była solidnie wypchana i zawierała, sądząc po delikatnych zewnętrznych oględzinach, także płytę CD. Wzdrygnęłam się. Co za drań?! Jak to się stało, że zakochałam się w potworze, szantażyście i bezwzględnym przestępcy? Na dodatek przez niego sama staję się przestępczynią! I jak tu nie mówić źle o nieboszczykach?! Za życia mnie nie zdeprawował, to po śmierci mu się udało! Pocieszenia nie przyniosła mi nawet myśl, że schowałam kopertę, by oddać ją Dominice Dąbrowskiej jak najszybciej i do rąk własnych, oszczędzając jej strachu i wstydu. Dobrymi chęciami... Nie muszę kończyć.

Wyrzuty sumienia postanowiłam zagłuszyć. Na początek próbowałam zasnąć na sofie, otulona przyjemnie miękkim kocem, ale przewracałam się dobrą godzinę z boku na bok i nie przestawałam zadrećczać myślami. W końcu usiadłam i zdecydowałam się ogłupić telewizją. Bezskutecznie. Żaden program nigdy mnie nie wciągnął na tyle, bym czekała z utęsknieniem na kolejne odcinki, więc w natłoku myśli tym bardziej nic mnie nie interesowało. Bezmyślnie przerzucałam kanały. Polityczne dyskusje plątały się z programami przyrodniczymi, motoryzacyjnymi, kreskówkami dla dzieci i dokumentalnymi prezentacjami w wersji czarno-białej. Trudno to znieść na trzeźwo, więc ruszyłam do lodówki w nadziei, że czeka tam na mnie jakiś „usypiacz wyrzutów sumienia”. Znalazłam jedynie puszkę piwa, na którą spojrzałam z obrzydzeniem, ale w końcu w desperacji zaopiekowałam się nią w należyty sposób, czyli wychylając duszkiem.

Za oknem świtało, a ja zapadałam się coraz głębiej w mrok ponurych myśli. Na szczęście powieki mi się wreszcie zamknęły. Zmęczony i zamulony mózg wyłączył zasilanie.

Z trudem dźwigałam olbrzymi wieniec z ostrych iglastych gałęzi. Biało-czerwone wstęgi wplecione w wieniec łopotały na wietrze i biły mnie po twarzy, a ja szłam w kierunku cmentarnej bramy, gdzie panował nadzwyczajny tłok i hałas. Gdy podeszłam bliżej, zorientowałam się, że stoją tam ludzie

z żółtymi kopertami na głowach, całkowicie zasłaniającymi twarze. Na wysokości oczu mieli napisane czarnymi, drukowanymi literami różne nazwiska. Przeciskając się z trudem między nimi, czytałam: Ryszard Brzuchonos, Danuta Niecierpka, Grażyna Chrupstaw, Ewaryst Gramotny. Wciąż przedzierałam się przez coraz bardziej zacieśniający się tłum i nie mogłam przestać czytać. Kiedy zaczęli cicho pomrukiwać, usłyszałam głos Grzegorza: „Paulinko, wybacz. Przepraszam”. Wtedy wszyscy się rozbiegli z okropnym wrzaskiem, a ja zobaczyłam jego, jak stoi na tle kaplicy cmentarnej z uśmiechem lekceważenia i mówi coraz ciszej: „Paulinko, wybacz. Przepraszam”.

Potem podbiega nagle i usiłuje mi wyrwać wieniec z rąk. Szarpiemy się pośród nagrobków i choć igły wbijają mi się boleśnie w palce, nie puszczam. Gdy odchodzi pokonany w głąb cmentarza, szepcząc „Paulinko, wybacz. Przepraszam”, a ja mogę się napawać zwycięstwem, dzwoni telefon!

Zrywam się na baczność z mocno bijącym w piersi sercem. Przez moment rozglądam się niepewnie, powoli przypominam sobie, gdzie jestem i dlaczego. Wreszcie przytomna i z wyraźną ulgą sięgam po swój natrętnie dzwoniący telefon, przewracając pustą puszkę piwa.

— Ciociu?! — ryknęła Renata, wydając z siebie rozdzierający szloch. — Ty żyjesz?!

— No, tak jakby... — odparłam, ziewając bezgłośnie.

Rzuciłam okiem na ścienny zegar, wskazujący prawie dziewiątą rano, i ponownie ziewnęłam w jego kierunku.

— Jak... żyjesz?! — wydukała, pociągając nosem, i po chwili w tle usłyszałam odgłos smarkania w chusteczkę.

— Nadal samotnie... Dlaczego tak ryczysz? Coś się stało? — spytałam, choć nie miałam ochoty na kolejne problemy przedślubne.

— To ja się pytam, co się stało?! Twoje mieszkanie jest zaklejone policyjną taśmą!

Odruchowo pacnęłam się w czoło. Niestety, zamiast otwartą dłonią zamachnęłam się na siebie ręką uzbrojoną w pilota, którego musiałam ścisnąć całą noc i we śnie. Od razu boleśnie się przekonałam, że powinnam panować nad emocjonalnymi reakcjami. No tak! Policyjna taśma.

— Włamanie miałam do mieszkania. To psucie zamków było jedynie wstępem i masz! — wyjaśniłam spokojnie, masując obolałe czoło. — A ty tak wcześniej do mnie przyjechałaś?

— Zostawiłam u ciebie buty do tańca, to znaczy te ślubne. Trochę chciałam je rozchodzić — pochwyciła natychmiast Renata i moje nieszczęścia odeszły na plan dalszy. — Nie wiem, może jak będziemy tańczyć, to zmienię na wygodniejsze? W południe mamy próbę pierwszego tańca. Jak myślisz?

— Jaką próbę? — spytałam nieopatrnie.

— Oj, pierwszego tańca. — Renata westchnęła zniecierpliwiona, jakbym właśnie spytała, czy Ziemia na pewno krąży wokół Słońca, a nie odwrotnie, a ona musiała potwierdzić oczywistość. — Przecież nie będziemy tańczyli dwa na jeden zupełnie bez sensu! I jeszcze do tych oklepanych melodii! Ma być efektownie, czyli... tango!

Zakryłam sobie usta dłonią, aby nie krzyknąć i nie sprowokować żadnego dalszego ciągu. Czy Oluś nie

zniechęci się przed ślubem tymi morderczymi przygotowaniem? Czy on w ogóle może pracować w takich warunkach? A my? Oby tylko nie wpadła na pomysł, że mamy zacząć polonezem albo dla odmiany kujawiakiem... Dreszcze mi przeszły po plecach.

— Gdzie jesteś?! — spytała Renata. — Zaraz po ciebie przyjedziemy, odwołam tylko próbę pierwszego tańca, bo tych taśm chyba nie wolno zrywać i do butów się nie dostanę...

Zawahałam się. Z jednej strony chętnie wyrwałabym się spod czujnego oka Bruna i załatwiła wreszcie sprawę z kopertą. Z drugiej w jego mieszkaniu, przy jego boku czułam się naprawdę bezpieczna.

Umówiłam się z Renatą, że przyjadą po mnie po próbie, na którą jednak powinni pójść. Przyjemna i bezpieczna przystań u Bruna stanowiła zbyt wielką pokusę. Nie mogłam zatrzymać się tutaj na dłużej. Na takie rozwiązanie, nawet dla takiej kobiety jak ja, czyli działającej nierzadko wbrew rozsądkowi, jest dużo za wcześnie.

Powrót zdrowego rozsądku

P oprosiłem kolegę, aby miał cię na oku — oznajmił Bruno, powróciwszy do swego mieszkania w towarzystwie milczącego starszego mężczyzny z białymi włosami na głowie i wojskowo wyprostowaną sylwetką. Na tle niewyspanego i wyraźnie zmęczonego Bruna wyglądał na rześkiego mężczyznę w średnim wieku, choć musiał być starszy.

— Ryszard — rzucił w moją stronę, nawet na chwilę nie przybierając żadnego wyrazu twarzy.

Automatycznie skojarzył mi się z moim snem i bez zastanowienia palnęłam:

— Brzuchonos?!

Obaj obdarzyli mnie mocno zdumionymi spojrzeniami. To znaczy jedynie spojrzenie Bruna wyrażało zdumienie, bo Ryszard zachował kamienną twarz.

— Brzozowski — odpowiedział spokojnie, a ja przełknęłam z trudem ślinę, przeklinając swój krnąbrny język szybszy niż leniwy mózg.

— Niestety, nie mogę się wyrwać z pracy — odezwał się zmęczonym głosem Bruno. — W nocy doszło do... jeszcze innych incydentów i... Nieważne. Rysiek będzie czuwał nad tobą. Na wszelki wypadek zostań w Złotoryi. Trzeba spisać zeznania i...

Odchylił głowę na oparcie i zamknął na chwilę oczy. Rysiek stał przy oknie i zza firanki obserwował okna w bloku naprzeciwko. Wykorzystałam chwilowy bezruch, by przynieść zaparzonej w dzbanku kawy i kanapki, przygotowane, gdy tylko wysłał SMS, że wraca do domu. Starając się zachowywać jak najciszej, rozłożyłam wszystko na stole, ale Bruno zasnął na dobre, więc pomachałam zachęcająco do Ryśka. Wzruszył ramionami i podszedł do stołu, po drodze budząc Bruna delikatnym kopnięciem w nogę. Moje mordercze spojrzenie wytrzymał bez padnięcia trupem i bez zmiany wyrazu twarzy.

— Cudownie! — wykrzyknął Bruno, przecierając dłońmi twarz i sięgając po kawę. — Cudownie mieć w domu kobietę.

— Nie przeceniaj moich możliwości kulinarnych. Od czasów szkolnych nie rozwinęłam się w tym kierunku. Kanapki to jedyne, co potrafię robić — wyjaśniłam, sceptycznie przyglądając się jego zachwyconej minie. Musiał być bardzo głodny. Podobnie jak Rysiek, który pochłaniał kanapkę na dwa gryzy i sięgał po następną, zmuszając mnie do dodatkowej pracy w kuchni.

Ciszę konsumpcji przerwał telefon Bruna. Odebrał natychmiast i po kilku „tak, rozumiem” zakończył rozmowę.

— Muszę wracać. — Niechętnie podniósł się z fotela i razem przeszliśmy do przedpokoju.

Gdy tylko straciliśmy Ryśka z oczu, Bruno przyciągnął mnie do siebie, aż dech mi zapało, i pocałował

tak, że omal nie straciłam przytomności. Nie zamierzałam stawiać żadnego oporu wobec zacieklego ataku namiętności i odwzajemniłam się z nawiązką.

— Przykro mi, ale muszę iść — wyszeptał mi w ucho, przerywając pocałunek. — Jeszcze nadrobimy ten czas. Czekaj na mnie...

Wzięłam głębszy oddech i zatrzymałam go jeszcze za rękę.

— Nie myśl, że miałabym coś przeciw — zaczęłam nieśmiało — ale bratanica zabierze mnie do Legnicy. Poza tym jutro muszę iść do pracy. Dzisiaj mam urlop na żądanie... A tutaj ten Rysiek tak niespodziewanie... Niczego nie rozumiem.

— Nie mam teraz czasu wszystkiego wyjaśniać — szepnął, patrząc na mnie z czułością.

— Ale skoro poszukiwany i upragniony przez przestępcę przedmiot w postaci „Księgi drani” jest już w rękach policji, to chyba jestem bezpieczna — przypomniałam, niepewnie spoglądając w stronę pokoju, gdzie zostawiliśmy Ryśka.

— Jedź z nim — odparł. — Przynajmniej dzisiaj wytrzymaj jakoś tę ochronę. Naprawdę tylko tyle mogę na razie zrobić.

— Ale...

Bruno odpowiedział ciężkim westchnieniem i pocałował mnie w czoło na pożegnanie, wrócił do pracy. Dopadły mnie ogromne wyrzuty, że facet stara się mnie chronić, pomóc, a ja kradnę sprzed nosa dowód w sprawie. A jak straci przeze mnie pracę, jak to się wyda?! Muszę jak najszybciej pozbyć się koperty. Dlatego Ryśkowi włączyłam telewizor, a sama zamknęłam się w łazience, puściłam wodę pod prysznicem i zadzwoniłam do sekretariatu banku.

— Dzień dobry, Hener Bank, Dorota Ptaszyńska. W czym mogę pomóc?

Zapowietrzyłam się, bo nie spodziewałam się, że ktoś inny odbierze telefon.

— Halo?

— Dzień dobry — odezwałam się wreszcie. — Chciałam rozmawiać z Dominiką Dąbrowską.

— Przykro mi, ale będzie jutro — odpowiedziała szczebiotliwym głosem. — Czy jeszcze mogę pani w czymś pomóc?

— Nie. Dziękuję — odparłam i rozłączyłam się.

Już miałam sięgać do prysznica, by powstrzymać to nieekonomiczne zużywanie wody, gdy zadzwonił telefon. Wyświetlił się numer zupełnie mi nieznanym, ale odebrałam od razu.

— Wróciłam! — wykrzyknęła Joanna. — Zapisz sobie mój nowy numer. Mam nową komórkę! Męża tego samego, niestety! Gdzie jesteś? W pracy? Możemy rozmawiać? Czy przyjeżdżasz?

— Aśka! — odpowiedziałam radosnym okrzykiem. Tyle jej miałam do opowiedzenia, że nie potrafiłam zdecydować, czy zrobić to natychmiast, narażając Bruna na wysoki rachunek za wodę, czy jednak później — oko w oko. Wybrałam drugą opcję, wpadając na kretyński pomysł pozbycia się Ryśka, którego nie wyobrażałam sobie w salonie u Chulaków podczas moich pogaduszek z Joanną.

Doświadczenia w gubieniu ochrony nie miałam w swoim CV w rubryce „dodatkowe umiejętności”,

więc zdałam się na swoją wyobraźnię, która skierowała mnie z Ryśkiem do Galerii Piastów w Legnicy. Logiczne jest przecież, że w tłumie zgubić się najprościej. Oczywiście pod warunkiem że ten występuje w nieograniczonej ilości, czego niestety nie można było powiedzieć o dzisiejszym popołudniu w galerii. Pustki. I nawet klimatyzowane wnętrza, wypełnione po brzegi towarem z życzliwą obsługą, nie przyciągały zgnębionych długotrwałym upałem klientów.

W galerii handlowej z premedytacją weszłam do sklepu z bielizną, aby wreszcie zgubić swojego opiekuna. Może gdy zacznę przymierzać nieskończoną liczbę majtek i staników, chociaż odwróci się zniechęcony, zniesmaczony albo skrępowany, a wtedy ja chyłkiem ucieknę na spotkanie z Joanną. Niestety wlaź za mną do sklepu i stojąc przy ladzie, cierpliwie czekał. Wściekła na brak pomysłowości w kwestiach spektakularnych ucieczek, nabrałam do przymierzania tyle towaru, że ekspedientka grzecznie zaprotestowała. Z dużą podejrzliwością spoglądała też na moją wypchaną torbę podróżną, której z wiadomych względów nie pozwoliłam sobie odebrać nawet Ryśkowi. W końcu zaproponowała kompromisowe rozwiązanie, że Rysiek, wzięty za mojego męża, będzie donosił kolejne rzeczy, odbierając przymierzone.

— Mój mąż niczego nie będzie donosił — powiedziałam kategorycznie. — Jesteśmy pokłóceni i nie dla niego takie widoki! Ma słabe serce!

Sprzedawczyni uśmiechnęła się pobłażliwie, najwyraźniej przyzwyczajona do dziwnych klientów, i wzruszając ramionami, wróciła za ladę. Rysiek przyjął moją uwagę z kamienną twarzą, choć nie wyglądał na faceta bliskiego zawału. Ostatecznie kobieta zgodziła się na wzięcie większej liczby rzeczy do przymierzalni, ale przedtem skrupulatnie je policzyła.

Skoro już tutaj się znalazłam, postanowiłam kupić sobie coś seksownego. Zresztą czy do końca tylko sobie? Zaskoczona własnymi dość frywolnymi myślami przymierzyłam koronkową bieliznę, z satysfakcją odnotowując, że prezentuję się całkiem nieźle jak na kobietę trochę więcej niż po czterdziestce.

— Jesteś kopnięta w mózg i całkowicie pozbawiona rozumu — podsumowała moją opowieść Joanna, gdy wreszcie do niej dotarłam z moim cerberem, torbą z kopertą zawiniętą w seksowne czarne wdzianko i milionem wątpliwości.

Rysiek został zakwaterowany w salonie i nie tylko nikomu nie przeszkadzał, ale okazał się całkiem przydatny w mocowaniu rolet w oknach, podczas gdy ja i Joanna zamknęłyśmy się w kuchni, by w spokoju oddać się konspiracji.

— To się w głowie nie mieści! — wykrzyknęła moja bratowa wyjątkowo zdenerwowana.

— Ciszej — syknęłam, wskazując wzrokiem drzwi.

— Jak mogłaś zrobić taką głupotę i świństwo? — spytała ciszej, ale rozpoczynając nerwowy spacer po kuchni. — Ukraść dowód policji? Po co? Po jaką cholerę? I jeszcze go tutaj wiesz, ciemna maso? W reklamówce z majtkami?!

— Chciałam oddać Dominice — tłumaczyłam się. — Na pewno chciałybyś odzyskać kompromitujące cię materiały i zniszczyć od razu, by nie oglądali ich obcy ludzie. Pomyśl, że ona wciąż żyje

w niepewności, może nawet w strasznym strachu, czy to wszystko nie trafi do kolejnego szantażysty...

— Paulina! To może ty wreszcie pomyśl! — usłyszałam wprost do ucha, bo Joanna zatrzymała się przy mnie i nachyliła. — Skąd wiesz, co zawiera ta koperta? Może materiały kompromitujące kogoś innego? Co ty o niej w ogóle wiesz? Skąd masz pewność, że Dominika nie pomagała Grzegorzowi? Albo Murarzowi? A co, gdy powie komuś, że masz jeszcze jakieś materiały, skoro to u ciebie „Księgę drani” znalazła policja? A co, jeśli ci nie uwierzy, że tego wcześniej nie skopiowałaś? Pomijając fakt, że narobisz kłopotów Brunowi, to jeszcze ściągniesz sobie na głowę kolejnych „klientów” Grzegorza i nawet tysiąc Ryśków cię nie ustrzeże! Tego właśnie chciałaś?

Wreszcie do mnie dotarło i świadomość, że totalna ze mnie idiotka, bardzo dotkliwie mnie zabolęła. To jednak prawda, że Opatrzność nad głupim czuwa, bo na szczęście nie skontaktowałam się z Dominiką. Okropne wyrzuty i wstyd ścisnęły mnie za gardło, uniemożliwiając oddychanie.

— To jak to teraz odkręcić? — wydusiłam z siebie.

Joanna rozpoczęła szybki marsz po swojej mikroskopijnej kuchni, intensywnie rozmyślając.

— Pojęcia nie mam, jak teraz to wszystko odkręcić, żeby nie było z tego kłopotów i żeby Bruno się śmiertelnie nie obraził.

Na szczęście, albo i nieszczęście, Bruno jak wyciągnięty myślami z kapelusza czarodzieja pojawił się w progu i nieświadomy naszych potężniejących rozterek, rzucił z uśmiechem:

— Dlaczego mam się obrazić?

Joanna w totalnym zdenerwowaniu, dodatkowo zaskoczona nieoczekiwaną obecnością Bruna w jej mieszkaniu, chwyciła reklamówkę i wciskając ją policjantowi w ręce, wykrzyknęła:

— O to!

Złapałam się za głowę, zbita z tropu zmianą strategii Joanny i marząc, aby zapaść się jak najszybciej aż po jądro Ziemi. Tymczasem Bruno, nie spuszczać z nas wzroku, sięgnął do wnętrza i wyciągnął... moje seksowne wdzianko. Aby lepiej się przyjrzeć, odstawił reklamówkę na podłogę i cmoknął z uznaniem.

— W życiu bym się za coś takiego nie obraził — wyznał z ręką na sercu, a ja płonęłam żywym ogniem.

Tylko Joanna zachowała zimną krew i wyrwała mu bieliznę z takim zapalem, że usłyszeliśmy trzask materiału, po czym ponownie wcisnęła odstawioną reklamówkę z nie mniej wstydliwą zawartością. No i tutaj, jakby powiedział znany polski polityk, żarty się skończyły.

— Czy to jest...? Z tamtej książki? Skąd to masz? — Po fali gorąca pozostało mgliste wspomnienie, bo nadeszła właśnie epoka lodowcowa.

Przełknęłam ślinę, jakby to była grudka lodu.

— Znalazła w swoich rzeczach, jak się pakowała w pośpiechu. Musiała wypaść z książki — odpowiedziała za mnie Joanna, dzielnie znosząc lodowate spojrzenia Bruna. — Właśnie ją znalazłyśmy i zastanawialiśmy się...

— Dostyc — przerwał jej stanowczo, wciąż patrząc raz na mnie, raz na kopertę w swojej dłoni. — Stajesz się sama dla siebie niebezpieczna. Trzeba cię wyizolować aż do rozwiązania tej sprawy, inaczej

dnia nie przeżyjesz bez zrobienia jakiejś głupoty, a to się może zakończyć naprawdę źle. Narazasz nie tylko siebie, ale wszystkich.

— Ale... — zaczęłam, czując, że powinnam się bronić chociaż trochę, bo przecież nie miałam złych intencji.

— Dam znać wieczorem, co dalej — zakończył i z kopertą opuścił mieszkanie Chulaków.

Posępne rozważania azylantki

Trzeba połknąć tę żabę — westchnęłam smutno do siebie. — Albo wypić nawarzone piwo.

Siedziałam na tarasie drewnianego domu, wsłuchując się w śpiew ptaków i kontemplując niezmiennie piękny las smukłych sosen. Ten krajobraz ciągnął się kilometrami we wszystkie strony, skrywając w cieniu gęsto osadzonych drzew asfaltowe drogi prowadzące do opuszczonych poradzieckich baz. Nad skrywającym niejedną tajemnicę lasem rozpościerało się wyjątkowo przepiękne dzisiaj błękitne niebo ze śnieżnobiałymi niewielkimi chmurkami, których nieznaczny ruch był zupełnie niewidoczny dla ludzkiego oka. Dopiero gdy zastygłam wpatrzona z zachwytem w ten sielankowy widok, dostrzegłam, że chmury leniwie zmieniają swoje położenie i nie jest to mistrzowsko podretuszowane megazdjęcie zawieszane nad tarasem, by poprawić mój wisielczy nastrój.

Przez ostatni tydzień, który tutaj spędziłam, wiele rozmyślałam i stwierdziłam ponuro, że można uciec przed niebezpieczeństwem, człowiekiem, odpowiedzialnością, ale przed myśleniem uciec nie sposób. Chyba że za pomocą farmakologii, na co raczej się nie zdecyduję.

Od momentu przekazania „Księgi drani” policji wypadki potoczyły się niezwykle szybko, choć już bez mojego udziału. Okazało się, że niektóre z brudnych tajemnic kolekcjonowanych i wykorzystywanych przez Grzegorza nie uległy przedawnieniu, więc nastąpiły przesłuchania i aresztowania. Jak to bywa w przypadku prominentnych osób zamieszanych w afery, nielicznym udało się uciec, a pozostałym po cichu przedstawiono zarzuty. Poza tym w „Księdze drani” znajdowały się raczej wstydlive sekrety, małe świństwka, zdrady czy oszustwa o charakterze obyczajowym, które ukrywano przed bliskimi, a w szczególności przed małżonkami. Nic, co mogłoby zainteresować organy ścigania, ale wiele, by wyciągać pieniądze za trzymanie ich w tajemnicy.

Bruno od oddania mu żółtej koperty zwracał się do mnie jedynie oficjalnie i służbowo. Na temat dalszych losów ukradzionego przeze mnie dowodu rzeczowego milczał, wpędzając mnie w otchłań wyrzutów sumienia i rozpaczy po stracie dobrze zapowiadającego się związku. A czego się spodziewałam?! Powinnam być zadowolona, że mnie nie zastrzelił ze służbowej broni. Zapewnił mi bezpieczny azyl, godząc się na pomysł Przemka, by ukryć mnie w przemkowskich lasach. Szef udzielił mi urlopu, jakimś cudem bowiem dotarło do niego, że jestem świadkiem koronnym w wielkiej aferze kryminalnej na miarę tej z 4 lipca 1948 roku, pamiętanej ciągle przez wielu złotoryjan. Podejrzywałam, że autorką przesadzonych opowieści była Justyna, ale nie miałam o to do niej pretensji. Na ojczyzny łono powrócił także tatko, ale razem z Henriettą, którą wreszcie wszyscy poznaliśmy jako oficjalną narzeczoną, ku uldze nieznanających niemieckiego, dobrze mówiącą po polsku.

— Mam nadzieję, że nie planujecie wesela? — spytałam tatka w imieniu całej ogarniętej złymi przeczuciami rodziny, gdy znaleźliśmy się na osobności. — Nie żebyśmy byli przeciwni twojej wybrance, ale kolejnego zamieszania nie jesteśmy w stanie znieść. Chyba wiesz, co mam na myśli?

Tatko obdarzył mnie swoim najsympatyczniejszym uśmiechem i odpowiedział, poklepując po dłoni:

— Rozumiem, rozumiem. Już wszystko zaplanowałem. Weźmiemy skromny ślub cywilny na moście na Odrze.

Powstrzymałam się od komentarza, tylko dlatego, że zastygłam z zaskoczenia. Na wszelki wypadek nie powtórzyłam tej rewelacji Joannie, mając nadzieję, że wszystko, jak to bywało dotychczas u mojego tatka, całkowicie się odmieni i niepotrzebnie zdenerwuję rodzinę wizją organizacji następnego ślubnego przedsięwzięcia.

Moje stereotypowe wyobrażenia o funkcjonariuszce Stasi uciekły gdzie pieprz rośnie, gdy tylko spędziłyśmy ze sobą kilka dni na zupełnym odludziu w tych lasach. Nie tylko znakomicie mówiła po polsku, ale też potrafiła barwnie opowiadać. Jak się okazało, pisze kryminały, niestety po niemiecku, odkąd po obaleniu muru berlińskiego wyrzucono ją z pracy jako była milicjantkę. Ze Stasi owszem kontakty mieć musiała, ale jako kobieta mogła tam pełnić jedynie funkcje administracyjne, czyli między innymi być czyjąś sekretarką, czym nie była zainteresowana.

Oboje z ojcem zamieszkali tutaj ze mną i z Ryśkiem cerberem, oczywiście dla mojego bezpieczeństwa. Kolega Bruna słowem się nie odzywał, a jeśli już został o coś zapytany, odpowiadał niezycziwym burknięciem. Ostatecznie przestaliśmy próbować nawiązać z nim kontakt, gdyż nie dla kulturalnych konwersacji tutaj się znajdował i oby spełnił swoją funkcję. Skoro Bruno ma do niego zaufanie i tylko w ten sposób mógł mi zapewnić bezpieczeństwo, a o trosce wymiaru sprawiedliwości nie ma co marzyć, bo cóż ze mnie za ważna persona, pozostaje mi znosić milczące towarzystwo Ryszarda.

To zrozumiałe, że Joanna i Przemek musieli się zająć swoimi sprawami po dłuższej nieobecności w firmie. Poza tym zgodnie z zarządzeniem Bruna przez jakiś czas nie mieli utrzymywać ze mną kontaktu, by nie naprowadzić na mój ślad potencjalnych zainteresowanych księgą. Szczególnie że Piotr Murarz, mój główny podejrzany, zniknął z dnia na dzień i pozostawał nieuchwytny, a Bruno przypuszczał, że „Księga drani” składa się z dwóch tomów, i wskazówek, gdzie znajduje się druga część, trzeba szukać w pierwszej. Mnie do głowy nie przychodziło żadne możliwe miejsce ukrycia poza willą Grzegorza, ale okazało się, że to niewłaściwy trop. Mimo dokładnego przeszukania za zgodą Hermenegildy, nic nie odnaleziono. Nawet najmniejszej wskazówki. Przy okazji dowiedziałam się od Bruna, że matka Grzegorza także nie uwierzyła w samobójstwo syna i wynajęła prywatnego detektywa, by dowiedzieć się prawdy. Czy zostanie wznowione śledztwo — trudno powiedzieć. Przynajmniej wreszcie zostałam z uwagą wysłuchana przez Bruna i dałam upust swym podejrzaniom.

Z odwzajemnionym żalem ponownie rozstałam się z moją przyjaciółką-bratową, której od razu po powrocie spadło na głowę zbliżające się wesele córki. Renacie natomiast troski o mnie starczyło na dwadzieścia cztery godziny, czemu bynajmniej się nie dziwiłam, i oderwawszy Olusia od pisania

naukowej rozprawy, przemierzała okolice w poszukiwaniu klimatycznego pleneru na sesję fotograficzną, zrzucając resztę spraw i pomysłów na matkę. Przemek powstrzymał się od uwagi: „A nie mówiłem!”, z niekłamaną ulgą rzucił się w wir pracy i z radością przyjął tymczasowy zakaz kontaktowania się ze mną.

Od czasu do czasu na telefon mojego niesympatycznego cerbera dzwonił Bruno, ale nie mogłam się przekonać o niegasnącym zainteresowaniu moją, trochę więcej niż po czterdziestce, osobą, bo ze mną nie chciał rozmawiać. Sama przed sobą muszę przyznać, że podejrzanie za nim tęskniłam.

Mój sielankowy nastrój, nurzanie się w rozmyślaniach i słodkiej beczynności na tle urokliwego krajobrazu i w dość interesującym towarzystwie przerwał telefon od Justyny. Zupełnie nieoczekiwanie zadzwoniła do... cerbera!

— Justyna?! — wykrzyknęłam w osłupieniu, gdy Rychu podał mi swój telefon. Ptaki mieszkające w pobliskich zaroślach płochliwie zerwały się do lotu.

— Nie krzycz tak, bo ogłuchnę! — odkrzyknęła, by po chwili kontynuować spokojniejszym tonem. — I tak stracę zdrowie od tej konspiracji i gimnastyki. Jesteś szpiegiem czy najgroźniejszym świadkiem koronnym? Masz pojęcie, co zrobiłam, aby cię ratować?! Dostałam raka! RAKA!

Osunęłam się na drewniany podest i opierając się plecami o belkę, starałam się złapać powietrze w płuca. Wokół mnie nie było nikogo poza rozszalałą zielenią natury. Ptaki już wypłoszyłam. Może gdzieś kręciły się pająki i żuki, ale cisza potęgowała przerażenie, jakie ogarnęło mnie po słowach Justyny. Raka?! Niemożliwe!

— Hej, jesteś tam? — odezwała się Justyna. — Halooo! Paulina?! No zobacz, Janek, coś z twoim telefonem... Albo zasięg straciła... Cholera wie, gdzie ją ukrywają. Na Madagaskarze? Czy tam jest jakaś cywilizacja, Janek?

W tle słabo słyszałam Janka, jak mówi, że wszystko w porządku z jego aparatem, bo przed chwilą rozmawiał z kumplem, a o Madagaskarze trzeba wygoogłować, bo on nic nie wie.

— W porządku — powtórzyłam, ciężko oddychając. — Jestem, ale... Kiedy... Jak to się stało?

— Co takiego? — zdumiała się Justyna.

— No ten rak...

— Paulina, czyś ty oszalała?! Cięża, a nie jakiś rak! W ciąży jestem — oburzyła się. — Wariatka, słyszysz, Janek? Mówiłam, że źle mi życzy...

— Justyna, na miłość boską! — przerwałam jej, by nie dostać całkowitej kołowacizny. — Przecież sama wyskoczyłaś z tym rakiem, to po pierwsze. Po drugie, nigdy ci źle nie życzyłam, a po trzecie, bardzo, bardzo się cieszę z twojej ciąży!

— Z naszej ciąży — poprawiła z naciskiem.

— Z naszej — przytaknęłam, ale natychmiast się poprawiłam: — Z waszej, znaczy.

Westchnęłam ciężko. Czy uda nam się wreszcie dogadać? Znów zapomniałam, że prawa logiki u Justyny nie znajdują zastosowania i dla swojego zdrowia psychicznego należy pozwolić jej mówić

i z tegoż potoku wyłowić jakiś sens. Toteż zamilkłam w oczekiwaniu na wypowiedź.

— W ogóle nie wiesz, co się u nas dzieje! Musisz koniecznie wracać, bo do naszego akwariarium przyjęli młodego artystę plastyka! Świętopełk, Światowid... Jakoś tak się nazywa. Masz pojęcie? Jeszcze twoje krzesło nie ostygło! Zresztą w takim upale... nic nie stygnie. Co tam! Kanalia jakaś podejrzana, żadna naszej krwi! No i masz! Żeby cię ostrzec, nałgałam o raku, że umieram, konam niemal. Akurat na początku ciąży źle wyglądam, bo rzygam, gdzie się da, niemal nic nie jem, więc nawet żadnej charakteryzacji nie musiałam robić. No i zaczęłam teraz tyle malować, że miejsca na łóżeczko nie będzie. Niesamowite uczucie... Wybłagałam, wyżebrałam ten numer od twojej Joasi, aby się z tobą pożegnać, bo niewiele mi życia zostało... Popatrz, jak oscarowo zagrałam! No i zadzwoniłam, żeby cię ostrzec.

Chwilę trwało, zanim mój mózg przetworzył otrzymane dane.

— Dzięki — odparłam. — Bardzo mi ulżyło, że nie masz raka. Tak się nie żartuje.

— Ja nie żartowałam, tylko kłamałam dla ciebie, a ty jeszcze niezadowolona! — parsknęła Justyna. — Nie wiem, czy masz z czego żyć na tym Madagaskarze, ale chyba zależało ci na pracy w naszej Bombkolandii?

— Jeszcze jak — potwierdziłam, odpuszczając sobie tłumaczenie, że nie przebywam na Madagaskarze. — Ale czy szef to jakoś uzasadnił?

— Intensywnym rozwojem, ale przecież wiadomo, że to bzdura. Wisiało nad nami widmo zwolnień, więc jak nic ten Bożydar wchodzi na twoje miejsce... Zaraz, zaraz... A może na moje? Janek, czy kobietę w ciąży można wyrzucić z pracy? Sprawdź w Internecie!

Akurat pojawił się przy mnie cerber i delikatnie odbierając ode mnie telefon, rzucił do Justyny:

— Rozmowa musi być zakończona. Do widzenia — powiedział, przerywając połączenie.

Ze złości wydałam z siebie dziki okrzyk, płosząc tym razem wszystkie ptaki i zwierzęta w promieniu kilometra. Rysiek wzruszył ramionami i ruszył do wnętrza domu, mijając się w progu z nadbiegającymi Henriettą i tatkiem.

— Co się stało?! — ryknęli jednocześnie.

— Mam tego dość! — wykrzyknęłam ze łzami w oczach. — Idę do lasu!

— Ale nie można, przecież jest zakaz ze względu na niebezpieczeństwo pożaru — upomniała mnie zasadnicza Niemka.

— A dżungla na Madagaskarze jest?! — rzuciłam, buńczucznie biorąc się pod boki. — To pójdę do dżungli! Albo w dżunglę.

— Zwariowałaś? — dopytywał tatko, zaglądając mi z niepokojem w oczy i kładąc dłoń na czole. — Gorączki nie masz, ale w takim upale...

— Nie mam — odpowiedziałam zła. — Nic już nie mam! Męża, chociaż miałam dwóch! Nie mam dzieci, domu nie mam i pracy też nie mam! Tylko do lasu iść...

— Do lasu? — powtórzył jak echo tatko, marszcząc czoło ze zmartwienia. — Tak się mówiło w czasie wojny chyba...

— Uspokój się. — Henrietta wzięła mnie za rękę i poprowadziła na ścieżkę przed domem. — Wszystko wróci do normalności, ale nie od razu — dodała z uśmiechem.

Po czym, gdy już oddaliśmy się od domu, gdzie pozostał w formie rzeźby „Niebotyczne zdumienie” mój tato, Henrietta, rozglądając się na boki, wyciągnęła z kieszeni swój telefon i niewielki kartonik.

— Zadzwoń do swojego Bruna. — Wcisnęła aparat i znajomą wizytówkę w moją dłoń. — Może choć na chwilę przestaną szaleć twoje hormony. I pamiętaj, aby wybierać przez plus czterdzieści osiem — rzuciła na koniec i pomachawszy przyjaźnie do tatka, wróciła żwawo do domu.

Przez chwilę przyglądałam się telefonowi, ale nic w nim ani interesującego, ani skomplikowanego nie dostrzegłam. Wahałam się. Czy mam prawo narzekać? Zwłaszcza Brunowi? Jednak na samo wspomnienie jego twarzy, ciała, zapachu czy głosu przechodziły mnie rozkoszne dreszcze. Nie do wiary — ja naprawdę za nim paskudnie tęskniłam i... No bez przesady! — skarciłam się w myślach i wpisałam numer z wizytówki.

Zaskakujące odkrycie na wygnaniu

Serce biło mi jak szalone, a temperatura ciała znacząco przekraczała dopuszczalną u człowieka wysokość. Cud, że białko się jeszcze nie ścięło.

— Niedziela, słucham — usłyszałam wreszcie po długim oczekiwaniu i zamarłam, a on cierpliwie czekał po drugiej stronie.

— To ja — wychrypiałam wreszcie obcym głosem.

— O! Coś się stało? — spytał radosnym tonem.

— Sądząc po twoim dobrym humorze, nie bardzo by cię to zmartwiło...

— Tak spytałem, aby cię ośmielić, zbyt długo się nie odzywałaś. Poza tym gdyby coś się stało, dzwoniłby Rysiek, a nie Henrietta — odparł.

— A jeśli coś by się stało Ryśkowi? — podsunęłam, czując, że złość mi już przeszła. Zresztą rozmawiając, weszłam ścieżką pomiędzy sosny i świerki, których intensywny zapach z rozkoszą wciągałam w płuca i który łagodził wewnętrzną irytację z powodu niesprzyjających dla mnie wypadków ostatnich tygodni.

— Ryśkowi? — Roześmiał się. — On jest niezniszczalny! Widziałem go nie raz i nie dwa w akcji. Dokonywał rzeczy z pozoru niemożliwych do wykonania, trudnych technicznie, ale i z ludzkiego punktu widzenia.

— Co takiego? — zaciekawiłam się.

— Tajemnica wojskowa. Przynajmniej na razie... Powiem tylko, że na plecach ma bliznę po oparzeniu. Wynosił dziewczynkę z płonącego po bombardowaniu domu. Nigdy nie zapomnę tego widoku, jak wychodzi pośród wybuchów. Za nim wali się cały budynek, a on wyprostowany kroczy spokojnie. Ubranie mu się pali jak ogniste skrzydła, a on w rękach jak torby niesie krzyczącą pięcioletnią dziewczynkę, a w drugiej popiskującego szczeniaka. Nawet nie czuł, że się pali. Scena jak z *Terminatora* tylko Arnold nieco mniej potężny.

Wyobraziłam sobie tę scenę, patrząc na pokojowo rosnący, spokojny las, i milczący Rysiek zyskał sympatyczniejsze rysy.

— Nie doceniamy pokoju, w jakim żyjemy... — westchnęłam. — I bohaterów, którzy nas otaczają.

— Rozmyśliłem się — wtrącił Bruno. — Nie chcę, żebyś oglądała plecy Ryśka ani żadnych innych męskich pleców na tym odludziu.

— Szkoda — szepnęłam, udając wielkie rozczarowanie. — Właśnie zawróciłam pośpiesznie do domu, aby zerwać z niego koszulę... A później, kto wie? Może to syndrom sztokholmski?

— Jesteś zdolna do zerwania koszuli z mężczyzny? — przekomarzał się Bruno.

— W sytuacji, w jakiej mnie postawiono na tym odludziu, jestem zdolna do wszystkiego!

— Hej! Protestuję! Nie chcę, żebyś była zdolna do wszystkiego, gdy mnie przy tobie nie ma.

— Twoja strata.

— Przykro mi, że tak wyszło — powiedział już poważnym tonem. — Sprawy się skomplikowały.

Z powodu jednego bandziora od kilku dni nie śpią wszyscy policjanci w okolicy. Niestety, z przyczyn formalnych nie mogę się angażować w sprawę Bożyka. Tam jesteś bezpieczna.

— Ale stracę pracę — jęknęłam płacziwie.

— Przecież i tak miałaś się do mnie przeprowadzić — rzucił wesoło. — Będę cię utrzymywał przez jakiś czas, ale... bez przesady.

— Przepraszam — wtrąciłam, wracając do sprawy, która nad nami wisiała, choć ku mej radości Bruno nie zdradzał morderczych planów wobec mnie. — Naprawdę strasznie cię przepraszam.

— Powtarzałaś to przez całą drogę — przypomniał, choć ja niewiele z tej podróży pamiętam z racji „znieczulenia” wyrzutów sumienia nalewką wiśniową Przemka. Ledwie zamknęły się drzwi za Brunem i parszywą kopertą, stanowczo zażądałam nalewki w obfitszych niż normalne ilościach. — Niczym nie udało się cię zagłuszyć.

— Naprawdę nie wiem... Nic mnie nie tłumaczy...

— W porządku. Wszystko jest już w porządku. Drugi raz tak się nie dam przez ciebie zaskoczyć — odparł.

Nasza urocza pogawędka została przerwana przez sprawy służbowe Bruna. Zawróciłam na ścieżce. Niebo ponad drzewami zrobiło się niebiesko-pomarańczowe, delikatnie sugerując koniec dnia zachodem słońca. Mimo wszystko wracałam z lekkością, bez złości. Dotarło do mnie, że Bruno zawsze stara się mnie rozbawić, rozluźnić, abym tylko zapomniała o kłopotach i częściej się uśmiechała. Pomyśleć, że na początku naszej znajomości miałam go za mruka pozbawionego nie tylko poczucia humoru, ale i zdolności do wykrzywienia twarzy w uśmiechu. Rozmarzona dotarłam do domu i postanowiłam godnie znieść swoje położenie oraz zobaczyć blizny Ryśka.

Nazajutrz bladym świtem, gdy niebo jeszcze nieśmiało się przeciągało, czubek słońca wychylił się na horyzoncie, a ptaki już podśpiewywały wesoło, postanowiłam pobiegać. Nie spodziewałam się, że Rysiek będzie mi towarzyszył. Sądziłam, że jeszcze śpi, jak Henrietta i tatko. Gdy po kilku metrach mnie dogonił, omal nie wleciałam do rowu melioracyjnego, tak się przestraszyłam. Jakoś zniosłam jego milczące towarzystwo, ale jego obecność mnie rozpraszała i nie mogłam poukładać sobie myśli w głowie. Dlatego po prysznicu usiadłam na tarasie i zmuszałam mózg do myślenia w niedogodnych warunkach.

— O czym tak rozmyślasz? — spytała Henrietta, stawiając przede mną na stole talerzyk z aromatycznym murzynkiem własnej produkcji i kubkiem soku jabłkowego.

Przerwałam poranną kontemplację leśnego krajobrazu, bo nie potrafiłam poskładać myśli w bezruchu

i spojrzałam na nią.

— Że nie mam bladego pojęcia, gdzie może się znajdować druga część książki — wyznałam, sięgając po kawałek jeszcze ciepłego ciasta, i dodałam ponuro: — Pewnie się okaże, że w moim mieszkaniu, tylko zupełnie wyleciało mi to z głowy.

— Prędzej czy później policja trafi na jej ślad, skoro mówili o wskazówkach. — Henrietta wzruszyła ramionami.

— Nie rozumiem, po co Grzegorz w tak spektakularny sposób przekazał mi ową książkę? Gryzę się tym nieustannie: czy chciał mnie narazić na niebezpieczeństwo, czy celowo oddał ją mnie, bo wiedział, że jako uczciwa osoba zwrócę ją policji, by niektóre sprawy znalazły swój sprawiedliwy finał w sądzie i za kratkami?

— Ładnie powiedziane: „by niektóre sprawy znalazły swój sprawiedliwy finał w sądzie i za kratkami” — powtórzyła w zamyśleniu Henrietta i po chwili sięgnęła po leżący na stole notatnik. — Mogę to sobie zapisać?

Skinęłam głową, choć nawet nie czekała na moją zgodę i już bazgroliła po niemiecku. Zdaje się, że dopadła ją za moją sprawą wena twórcza, wyłączyła się bowiem z rozmowy na długą chwilę, nie przestając zapełniać białych kartek swoim niewyraźnym pismem. Może właśnie awansowałam na bohaterkę jednej z kolejnych powieści Henrietty Klein? Bynajmniej nie poczułam się lepiej, rozważając taką ewentualność. Wystarczy, że w realnym świecie zostałam wplątana przez byłego męża w kryminalne historie. Jak to naprawdę z nim było? Nienawidził mnie czy nadal kochał? Czy szczerze napisał ten dziwny list pożegnalny? Po jaką cholere trzymał moje zdjęcie zrobione z ukrycia w kuchennej szufladzie? Czy kiedykolwiek uzyskam odpowiedzi? Chyba oszaleję na tym odludziu albo szlag mnie jasny trafi i będę pierwszą śmiertelną ofiarą przypadłości ludzkiej zwanej myśleniem!

— Przydały ci się nagrania, które zostawiłam Edwardowi? — spytała zniecierpliwiona Henrietta, ponownie wyrywając mnie z zamyślenia.

Zupełnie nie miałam pojęcia, o czym ona do mnie mówi.

— Jakie nagrania?

— Z hotelu, gdzie powiesił się twój nieboszczyk mąż.

— Nieboszczyk były mąż — poprawiłam i w tym samym momencie przypomniałam sobie, o czym mówi. Bez słowa pobiegłam po swoją torebkę, by po chwili z triumfującą miną powrócić z różową kopertą. Henrietta zdążyła w międzyczasie przynieść i uruchomić swojego laptopa, dotąd bezużytecznego jako forma kontaktu ze światem zewnętrznym, gdyż na naszym odludziu nie było Internetu. Płyta z cichym pomrukiem uruchamiała się leniwie. Wreszcie wyświetliła się zawartość.

— To kilka plików z różnych źródeł — wyjaśniła Henrietta i kliknęła w pierwszy.

Po chwili ukazał się nieostry obraz, na którym rozbawione towarzystwo usiłowało zatańczyć kankana w rytm ryczącej w tle orkiestry i głośnego śmiechu osoby kręcącej ów film. W tle przy stolikach siedziało kilka osób, ale nie dostrzegłam wśród nich Grzegorza. Kankan się skończył i nagranie również.

Spojrzałam na Henriette, ale ona ze wzruszeniem ramion uruchamiała już następny filmik.

— To amatorskie nagrania — wtrąciła. — Nie spodziewajmy się cudów. Monitoring w tym hotelu okazał się nie mniejszą fikcją od moich powieści.

— Atrapy? — podsunęłam właściwe słowo, ze wzrokiem wlepionym w monitor.

— Atrapy! Podoba mi się brzmienie tego słowa! — wykrzyknęła, sięgając po swój notatnik, ale okazałam się szybsza i mniej entuzjastycznie nastawiona do języka, więc odłożyłam notes na krzesło.

— Nie mamy na to czasu — usprawiedliwiłam swoją niegrzeczność i wskazałam brodą laptopa.

Na kolejnych nagraniach znów mogłyśmy prześledzić mniej lub bardziej udane próby do „Tańca z gwiazdami” lub „Mam talent” w amatorskim wykonaniu. Zgodnie stwierdziłyśmy, że towarzysząca przez całą imprezę orkiestra rzępoliła tak okropnie, iż to prawdziwy cud, że tylko jeden z uczestników się tego wieczoru powiesił. Na żadnym z obejrzanych do tej pory filmików nie rozpoznałam Grzegorza i gdy już uznałam nasz czas za stracony, ukazała mi się scena balkonowa. Ktoś nakręcił namiętnie całującą się parę, którą w tle minął mój były mąż. Zatrzymał się jeszcze na chwilę, obejrzał za siebie i ruszył dalej. Serce waliło mi tak mocno, że omal nie dostałam zawału. Oto zobaczyłam go jeszcze żywego, być może na chwilę przed śmiercią, i było to tak emocjonujące, że reakcja też musiała być emocjonująca.

Henrietta puściła jeszcze raz filmik i obie dostrzegłyśmy jeszcze kogoś. Gdy tylko Grzegorz zniknął z kadru, ruszając dalej po obejrzeniu się za siebie, za parą zakochanych pojawił się... Oluś.

Intryga z guzem i figą z makiem

N agranie obejrzałyśmy dobre kilkadziesiąt razy, także w towarzystwie tatka, ale niestety, Oluś nie okazał się zbiorową halucynacją. Milczenie, jakie zapadło, gdy Henrietta wreszcie zamknęła swojego laptopa, kładąc kres naszej obsesji oglądania tej samej sceny, zdawało się nas przygniatać. Co oznaczała obecność Olusia tamtego dnia w Świeradowie-Zdroju, w hotelu, gdzie zaraz popełni samobójstwo Grzegorz Bożyk? Czy wystąpił tutaj w charakterze przypadkowego gościa, czy też mógł być zaproszony na firmową imprezę integracyjną? Wreszcie zdołałam wyjść z szoku i podzieliłam się głośno swoimi wątpliwościami.

— Z tego jak patrzył na przechodzącego Grzegorza, to nie wygląda na przypadkowe spotkanie dwóch nieznajomych — stwierdziła posępnie Henrietta. — Jak myślisz, Edward?

— Dokładnie tak samo, chociaż... Mógł wiedzieć, że to twój były mąż, i z ciekawości chcieć mu się przyjrzeć.

— Oluś nie wiedział, jak wygląda mój były mąż, dopóki nie zobaczył zdjęcia w gazecie i mu tego nie powiedziałam! — jęknęłam. — Poza tym co on tam robił?

— Pewnie Renata posłała go, by zobaczył plenery w Świeradowie — wysunął przypuszczenie mój tatko.

— W nocy?! — zdumiałyśmy się obie na tyle głośno, że na tarasie zjawił się nasz cerber, ale rozejrzawszy się wokół, uspokoił się i ponownie skrył we wnętrzu domu.

— Oj, no to może miał podejrzenie menu na takich przyjęciach? A bo to wiadomo, co tej mojej wnuczce w związku ze ślubem mogło jeszcze wpaść do głowy?! Wszyscyśmy już od tego powariowali! — zdenerwował się mój rodziciel i demonstracyjnie opuścił taras w ślad za naszym ochroniarzem.

Trudno było nie zgodzić się z tym argumentem, ale mnie i byłej milicjantki nie satysfakcjonował. Przyglądałyśmy się sobie w zamyśleniu.

— Nie pozostaje nic innego, jak fachowo go przesłuchać — stwierdziła Henrietta, przerywając przydługie milczenie. — Ale na pewno nie przez telefon...

— Dzwonić do Bruna? — spytałam, ale Henrietta uśmiechnęła się tajemniczo, a mnie wpadł do głowy naprawdę szalony pomysł. — Pewnie ma mnóstwo na głowie, więc może we dwie pojedziemy do Olusia i ty go fachowo przesłuchasz? W końcu byłaś milicjantką, no i kryminały piszesz...

— Coś mi mówi, że to nie jest dobry pomysł — broniła się, ale w jej oczach dostrzegłam ciekawość, która i mnie dorwała w swoje szpony i nie popuści, dopóki nie dowiem się od Olusia, co tam robił i czy znał Grzegorza. Mam już dosyć tej bezczynności i myślenia poza nawiasem toczącego się gdzieś życia!

— Zróbmy coś, bo inaczej staniemy się jak te poradzieckie bunkry w okolicznych lasach: tylko nieliczni jeszcze o nich pamiętają — wyrzekłam proroczo.

Może to był jeden z najgłupszych, jak się później okazało, pomysłów mojego autorstwa, ale nie mogłam nagle postępować zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, którego daremnie u siebie szukałam od niepamiętnych czasów. Henrietta spisała się koncertowo. Wyobraźnia pisarska ruszyła wartko i lawinowo, przybierając kształt znakomitej intrygi, bo ani się obejrzałam, jak siedziałam z nią w samochodzie cerbera, mknąc z zawrotną prędkością w stronę Legnicy. W tym czasie tatko z na razie nic niepodjejrzanym towarzyszem oglądał celowo dobrany wojenny film radzieckiej produkcji z wyjątkowo głośnymi i efektownymi eksplozjami, wspieranymi krzykliwymi komentarzami przejętego rolą odciągacza uwagi.

Przede wszystkim musiałyśmy ustalić, gdzie teraz przebywa nasz podejrzany Aleksander. Wiadomo, że w związku ze ślubnym szaleństwem Renaty może być absolutnie wszędzie, ale przecież musi też pracować, a pracuje na uczelni, choć nieco chaotycznie, więc tam też skierowałyśmy swoje kroki. Okazało się, że owszem, był dzisiaj, ale już wyszedł. Pojechałyśmy zatem na Piekary, by od razu pod klatką wypatrzeć jego samochód. Niestety bez kierowcy.

Przez dłuższą chwilę cierpliwie i w milczeniu kontemplowałyśmy betonowe otoczenie i obserwowałyśmy nielicznych przechodniów spieszących w różnych kierunkach. Jednak gdy Henrietta zaczęła podśpiewywać coś po niemiecku, doszłam do kresu mojej cierpliwości.

— Może zadzwonimy i poprosimy, by wyszedł? — zaproponowałam, wpatrzona z nadzieją w Henriettę. — Jeżeli jest teraz z Renatą, to nie możemy liczyć, że złapiemy go samego.

— Gdzie on mieszka? — spytała rzeczowo Henrietta. — Tam na niego poczekamy. Chyba że mieszka tutaj?

Zastygłam. Gdyby mnie zapytano, jaka jest odległość Ziemi do Księżyca albo do Słońca, to zapewne po elektrowstrząsach odpowiedziałabym z zegarmistrzowską dokładnością, ale na pytanie byłej niemieckiej milicjantki nie potrafiłam odpowiedzieć ani po elektrowstrząsach, ani po wymyślnych torturach, którym mogłaby mnie poddać. Strasznie głupio to brzmiało, ale zupełnie nie miałam pojęcia, gdzie mieszka narzeczony mojej bratanicy. Zapewne taką wiedzę dysponowali Joanna i Przemek, no i sama Renata, ale ja niestety nie. Ostatecznie nie ja za niego wychodziłam za mąż.

— Musimy we wszystko wtajemniczyć Aśkę. Inaczej się nie da — rzuciłam zamiast oczekiwanej ode mnie odpowiedzi i spojrzałam na zegarek na desce rozdzielczej samochodu. — Teraz oboje są w pracy.

— To może tymczasem pójdziemy gdzieś do toalety? — spytała Henrietta. — Niestety, pęcherz już nie ten...

Westchnęłam, doskonale ją rozumiejąc. Zdecydowałyśmy się na pobliski hipermarket, widoczny z samochodu, do którego miałyśmy zaledwie parę kroków. Ostatecznie co może się wydarzyć przez te parę minut, pomyślałam, jak się okazało w złą godzinę.

Otóż może, i to wiele. Przede wszystkim wzbudziłam niebotyczną sensację, zanim przekroczyłam próg

hipermarketu. Pchana rosnącym ciśnieniem na pęcherz, wysunęłam się nieopatrznie przed Henriette i z całym impetem zderzyłam z rozsuwanymi, ale zamkniętymi drzwiami. Potężne uderzenie głową w oszkloną, ale solidną powierzchnię odrzuciło mnie do tyłu z rosnącym na czole w oszałamiającym tempie imponującym i bolącym guzem. Oczywiście wpadłam na Henriette i obie runęłyśmy na chodnik, przewracając się jak domino. Jak na złość, cholerne drzwi się rozsunęły, gdy pojawili się wychodzący, ale nie czułam się na siłach choćby obrzucić ich mściwym spojrzeniem. Drzwi, rzecz jasna.

— Jak pani to zrobiła?! — dopytywał młody, wysoki chudzielec, pomagając mi się podnieść do pionu.

Pozostali świadkowie tego niefortunnego aktu złośliwości rozsuwanych drzwi pomogli podnieść się Henriecie, która bredziła coś po niemiecku. Wokół nas momentalnie zebrał się tłum, w którym przekazywano sobie z ust do ust wzbogaconą o coraz bardziej sensacyjne szczegóły wersję wydarzeń. Otrzepawszy się z ulicznego kurzu, szarpnęłam za ramię Henriette, wypychając ją przed siebie, i wreszcie mogłam bez przeszkód wejść, by po chwili dotrzeć do toalety.

Na moim czole rósł gigantyczny krwistosiny róg. Intensywnie moczyłam chusteczki w zimnej wodzie i przykładając sobie do czoła, marząc o wsadzeniu całej głowy do sklepowego zamrażalnika, i tylko wizja wywołania skandalu powstrzymywała mnie od ataku na stojące w zasięgu kilku metrów zamrażarki. Czując, jak beznadziejne są moje wysiłki, aby powstrzymać rozrost na moim czole, podjęłam kontrowersyjną decyzję, że zbadam się na istnienie jakichś wewnętrznych prądów w mojej skromnej osobie, które wyłączają sklepowe fotokomórki! Bo że nie jest to normalne zjawisko, tłumaczyć nie trzeba!

— Koniec z wersalem i konspiracją! — postanowiłam, wściekła na swój potwornie nieatrakcyjny wygląd, kierując gniewne spojrzenie w lustrze w stronę dochodzącej powoli do siebie Henrietty. — Zaraz do niego zadzwonię i ściągnę tutaj pod byle pretekstem! Może jeszcze zdążymy wrócić przed zmrokiem do Wilkocina!

— Ale jak ty...? Co się właściwie stało? — próbowała dociekać Henrietta, ochlapując się zimną wodą po twarzy, dekolcie i sukience. — Jak ty się uderzyłaś? O co? Czy nie powinnaś pojechać do szpitala?

Wyjaśnienie mojej dziwacznej przypadłości, i to jeszcze Niemce, zajęłoby zbyt wiele czasu, więc skwitowałam całą sytuację efektownym wzruszeniem ramion. Zdążyłam jeszcze rzucić gniewne, a może i mordercze spojrzenie dwóm blond laluniom, które niefortunnie napatoczyły się w toalecie i z ostentacyjną ciekawością przyglądały się mojej twarzy. Mordercze oko zrobiło swoje, skutecznie płosząc ciekawskie blondynki. Następnie wyrzuciłam bezużyteczne chusteczki do śmietnika i włączyłam swój telefon. Mam gdzieś konspirację! Atakują mnie drzwi i blondynki! No i umysł zaczął mi chyba szwankować, bo odruchowo wybrałam numer Joanny.

— Całe szczęście, że dzwonisz! — wykrzyknęła radośnie, nie dopuszczając mnie do głosu, by po chwili zmienić ton na złowieszczy. — Prawdopodobnie zwariuję i jutro albo jeszcze dziś wyląduję w szpitalu w Złotoryi! Będę bliżej ciebie, więc może będzie jakaś korzyść z mego szaleństwa!

— Co się stało? — zaciekawiałam się, porzucając z ulgą zadumę nad własnym nieszczęsnym wyglądem i tajemniczym defektem, który mnie do niego doprowadził.

— Renata oddała suknię ślubną! Rozumiesz coś z tego?! — ryknęła, aż przechodząca obok sprzątaczką obejrzała się za siebie, przekonana, że ktoś ją woła. Henrietta uśmiechnęła się do niej przepaszająco, więc głośno tarabaniąc swoimi akcesoriami do sprzątania, wyszła z toalety.

— Nie wiem...

— Nagle chce inną sukienkę! A Olusia postanowiła nie oglądać na oczy przez trzy miesiące! Nie wiem, czy w kwestii wyboru męża też się nie rozmyśliła. Ja oszaleję! — jęknęła płacząco Joanna.

— Wypij nalewkę — poradziłam, nie mogąc służyć swoją osobą i doskonale znając skuteczność terapeutyczną produkowanej przez Przemka i tatka nalewki. — A gdzie Oluś?

— Pojęcia nie mam. Przed chwilą wyszedł strasznie obrażony i przygnębiony. Ja nie wytrzymuję, a co dopiero on! Pewnie rzuci wszystko w diabły i tyle!

Nieoczekiwana zmiana ról

Darowałam sobie i Henriecie zbędne wyjaśnienia, nie wyłączając Aśki, z którą rozłączyłam się nagle i bez pożegnania. Oczywiście zapomniałam spytać Joannę o miejsce zamieszkania przyszłego albo niedoszłego zięcia, co wobec pojawienia się na horyzoncie poszukiwanego obiektu wydało mi się już niepotrzebne. Dość brutalnie ciągnąc zdumioną Niemkę za rękę, wybiegłam z toalety. W przebłytku zdrowego rozsądku zdołałam wypchnąć ją przed siebie, gdy zbliżyliśmy się do rozsuwanych drzwi, by po chwili szczęśliwie dostać się do toyoty cerbera w momencie, gdy Oluś wsiadał do swojego fiata. Mogłam sobie pogratulować, że Henrietta okazała się domyślna i nie stawiała oporu podczas tej osobliwej szarpaniny i bieganiny, które jej bez miłosierdzia zafundowałam. Poza tym zbędne wydawały się wyjaśnienia, gdyż Joanna pod wpływem zbliżającego się szaleństwa wyrzucała z siebie słowa w takich decybelach, że słyszał ją każdy w promieniu pięciu metrów. Stojąca obok mnie Henrietta zorientowała się w sytuacji na tyle, by bez zbędnych pytań wziąć udział w galopie przez sklep, zajmując miejsce kierowcy, gotowa w każdej chwili ruszyć z kopyta.

Niestety, obserwowany przez wsteczne lusterko samochód Olusia nadal stał na swoim miejscu z właścicielem w środku. Zatem i my stałyśmy cierpliwie i w milczeniu, czekając.

— Moje życie wydawało się całkiem nudne, zanim nie spotkałam Edwarda i nie poznałam jego rodziny — odezwała się Henrietta, nie przerywając obserwacji. — No i cholernie boli mnie kość ogonowa i wciąż chce mi się do toalety.

— Czy ty nie za bardzo narzekasz jak na byłą milicjantkę? — zdumiałam się, nawet na nią nie patrząc, gdyż z obróconą do tyłu głową i ze wzrokiem pomiędzy zagłówkiem a oparciem obserwowałam fiata Olusia.

— Nie wiem, co u mnie przeważa w tej chwili: ciekawość czy niepokój, ból pleców czy lęk przed puszczeniem zwieraczy.

— Cicho! — skarciłam ją. — Ja też nie zdążyłam skorzystać z toalety, więc nie wywołuj wilka z lasu.

— Nie potrafię myśleć, gdy fizjologia...

— Może zasłabł? — wyraziłam przypuszczenie, przerywając ten dość dziwny dialog, ale i zaniepokojona przedłużającym się brakiem ruchu Olusia. — Ostatecznie spadł na niego nie lada cios...

— Siedzi chyba jakoś tak przytomnie — odparła, mrużąc oczy. — Może czeka na kogoś. Może rozmawia przez zestaw głośnomówiący, bo nie widzę, by trzymał telefon przy głowie.

— Przy uchu — poprawiłam.

Henrietta zapaliła silnik.

— Bez sensu tak stać przed nim i psuć sobie wzrok w tym lusterku — rzekła, ruszając z parkingu. — Objadę tutaj kawałek i ustawimy się za nim. Łatwiej nam będzie za nim pojechać.

Właśnie uświadomiłam sobie bezsens tego manewru, jako że pierwotnie miałyśmy zamiar go dopaść, gdy będzie sam, i przesłuchać, czemu jego nieruchomość w samochodzie sprzyjała, a nie śledzić, jak przed chwilą postanowiła Henrietta. W momencie, gdy tylko wyjechała z parkingu, zadzwonił mój telefon. Zdążyłam spojrzeć na wyświetlacz, by fala gorąca uderzyła mnie jak kafarem, i usłyszeć jęk Niemki:

— On ruszył!

Spojrzałam we wsteczne lusterko. Fiat Olusia rzeczywiście ruszył z miejsca i jechał za nami. Tymczasem Bruno nie poddawał się i dźwięk natrętnie dzwoniącego telefonu towarzyszył nam w charakterze irytującego ła.

— I co teraz?! — ryknęłam, nie mogąc z powodu szarpiących mną emocji wyłączyć ani ściszyć własnego telefonu.

— Nic — westchnęła z rękoma na kierownicy, spoglądając na zmianę w trzy lusterka. — Pojadę przed siebie. Powoli. Na pewno nas wyprzedzi i wtedy pojedziemy za nim.

Jak postanowiła, tak też zrobiła, ale fiat Olusia złośliwie nas nie wyprzedzał. Gdyby nie gwałtowne emocje, komplementowałabym swobodę, z jaką Henrietta poruszała się po nieznanym sobie mieście. Tymczasem w okropnym zdenerwowaniu ścisiskałam mocno ponownie odzywający się głośnym dzwonieniem telefon.

Na rondzie Henrietta zjechała w główną ulicę Piłsudskiego, zwalniając do czterdziestki i trzymając się prawego pasa. Tuż za nami włókł się Oluś, nie mając najwyraźniej zamiaru wyprzedzić naszej toyoty. Owszem, był ostrożnym kierowcą i nigdy nie zdradzał zapędów rajdowych, ale to spowolnienie sugerowało mocny wstrząs po decyzji Renaty. Na wiadukt wjeżdżałyśmy przy akompaniamencie rżężącego silnika, na dodatek tak wolno, że zaczęłam się obawiać, że szybciej stoczymy się do tyłu, ale i takie tempo nie zmobilizowało Olusia do wyprzedzania. Tymczasem inni kierowcy nie żalowali nam klaksonów, co w ogóle nie rozpraszało skupionej na jeździe Henrietty.

— Może odbierz ten telefon! — syknęła, gdy w żółtym tempie staczałyśmy się z wiaduktu pomiędzy osiedla Kopernik I i Kopernik II, a moja komórka nie przestawała dzwonić.

— To Bruno tak wydzwania — poinformowałam ją i wreszcie udało mi się wyłączyć telefon, by natychmiast, już milczący, wyładował w przepastnym mroku mojej torebki.

— Czyli wie — stwierdziła rzeczowo.

— Na pewno — zgodziłam się. — Myślisz, że szuka nas już policja?

— Bez przesady. Nie jesteśmy poszukiwane listem gończym.

— Tak! — parsknęłam, oglądając się za siebie. — Tylko ukradłyśmy samochód policjantowi!

— Jak ty mnie zdeprawowałaś! — Henrietta się roześmiała i musiałam jej przyznać rację, biorąc pod uwagę powszechną opinię o praworządności Niemców.

— Dlaczego on się tak wlecze za nami? Może jest załamany i zamierza popełnić samobójstwo? — Przestraszyłam się nie na żarty, że nieboszczyk Grzegorz pociąga za sobą kolejne ofiary z bliskiego mi otoczenia.

Henrietta zatrzymała się na czerwonym świetle przy skrzyżowaniu z ulicą Moniuszki i aleją Rzeczypospolitej. Wciąż pozostawałyśmy na jednej z głównych ulic Legnicy, więc Oluś siedzący nam na ogonie nie wzbudzał podejrzeń.

— Zatrzymaj się na przystanku — poprosiłam, gdy światła zmieniły się na zielone, otwierając nam drogę wprost na ulicę II Armii Wojska Polskiego. — Zobaczmy, co zrobi.

Niestety, na przystanku stały dwa autobusy w oczekiwaniu na włączenie się do ruchu. Z ostatniego niemrawo wysiadała jakaś starsza kobieta przy pomocy uczynnej pary uczniów. Nie mogliśmy tamować ruchu, czekając, aż miejsce na przystanku się zwolni, więc Henrietta dodała gazu i w ten nieoczekiwany sposób zostałyśmy oddzielone od fiata Olusia przez wyjeżdżający z zatoki autobus, który wcisnął się ordynarnie pomiędzy nas. Straciliśmy z oczu nasz obiekt, ale jedynie na chwilę, bo z nagłym ożywieniem wyskoczył zza autobusu na lewy pas.

— Co teraz? — spytała Henrietta, gdy zatrzymałyśmy się na czerwonym świetle tuż przed mostem na Kaczawie. Przed nami przechodziła młoda matka, prowadząc dwoje dzieci za rękę, które z szerokimi i urokliwymi uśmiechami dziarsko machały do wszystkich kierowców.

Oluś znajdował się jeden samochód za nami, ale na sąsiednim pasie.

— Nie wiem. Następny przystanek jest dopiero za zakrętem albo w lewo, albo w prawo. Ale jedno jest pewne, nie uda mu się tak bezkarnie wlec, gdy jest na lewym pasie.

— Nie rozumiem.

— W tym mieście co bardziej tępych kierowcom wydaje się, że jak są dwa pasy, to już autostrada i lewy jest dla tych, co szybciej jadą — wyjaśniłam trudną do pojęcia nie tylko dla Niemki, ale i dla tej douczonej mniejszości kierowców miejscową zasadę. — Obłąd prawdziwy! Zaraz zobaczysz.

— Ale przecież tutaj zaraz jest skręt w lewo. To nie można jechać lewą stroną w waszym mieście?

— Można i owszem, bo przepisy są takie same w całym kraju, ale tutaj niektórzy baranieją... — machnęłam ręką, chcąc uniknąć dalszych wyjaśnień i skupić się na obserwowaniu Olusia.

Światło zmieniło się na zielone i Henrietta ku rozpaczycy spieszących się zawsze kierowców leniwie ruszyła do przodu.

— Jak dojedziemy do drugich świateł, a on nas nie wyprzedzi, to ustaw się na środkowym pasie. Będziemy skręcać w lewo — wydałam dyspozycje, a Henrietta skinęła głową. — Cholera, ależ on się wlecze. Tamujemy ruch na obu pasach jak muły bagienne!

— Co to są m u ł y b a g i e n n e? — zaciekała się, jadąc według moich wskazówek. — Możesz mi to zapisać w notesie? Jest w torebce.

Przewróciłam oczami niczym moja bratowa. Dlaczego nie uciekłam z Wilkocina z przygodnie poznanym mieszkańcem o polskim pochodzeniu?! Mowy nie ma, żebym robiła notatki w czasie tej

dziwnej jazdy!

Właśnie między nami a Olusiem powstała luka i z piskiem opon zaczęły nas mijać kolejne samochody. Klaksonów nam nie żałowano, ale same sobie byłyśmy winne, pchając się z tym pseudośledzeniem w godzinach szczytu. Tymczasem intensywnie obserwowany przez nas fiat zjechał na nasz pas, lecz sprytnie schował się za terenowym dziwadłem. W ten sposób kolejny raz straciłam z oczu nasz obiekt. Dojechawszy do skrzyżowania na placu Wilsona, Henrietta przykładnie zatrzymała samochód na środkowym pasie i czekała w rzędzie aut na zielone światło. Terenowe „coś” za nami, które śmiało mogło nie czekać, ale bez szwanku na swoim lakierze przejechać po nas wszystkich, idealnie zasłaniało fiata Olusia i całą tylną szybę.

— Teraz możemy go stracić albo wreszcie znaleźć się za nim — rzekłam mocno zdenerwowana, łypiąc złym okiem na sygnalizatory. Zielone światło wreszcie się włączyło, auta przed nami rażno ruszyły, lecz Henrietta zamiast skrócić w lewo, pojechała dalej prosto Wrocławską. Aż się zapowietrzyłam.

— Mein Gott! — wykrzyknęła z rozpaczą po niemiecku, czerwieniejąc na twarzy. — Zapomniałam, że miałam skrócić! Chyba się posikam! Co teraz?! Jedzie za nami?!

Mój kark sztywniał i coś w nim niepokojąco strzelało od tego ciągłego obracania się za siebie, ale zrobiłam to po raz tysiąc ósmy.

— Nie mam pojęcia, bo to terenowe monstrum jedzie za nami i zasłania cały widok — zrelacjonowałam, gdy śmignęły mi bokiem ceglane boki kościoła NMP, a w tylnej szybie niczego więcej nie widziałam poza błyszczącym srebrzyście grillem. — Teraz to już chyba bez znaczenia. Tutaj nie ma gdzie się zatrzymać, chyba że pod zamkiem.

— Jest tam toaleta?! — rzuciła z desperacją i po chwili, gdy weszłyśmy w zakręt przy galerii handlowej, wykrzyknęła radośnie, patrząc w lusterko: — Jest! Jest! Jedzie za nami! To co robimy?!

— Wytrzymasz jeszcze z tym sikaniem? — spytałam, choć wiedziałam, że zarówno od niej, jak i od siebie żądałam zbyt wiele. — Pojedziemy z powrotem na Piekary, bo coś mi się wydaje, że to on nas śledzi, a nie my jego. Tylko się skup i skręcaj w prawo. Cały czas w prawo, aż powiem inaczej, dobrze?

Skinęła głową, ale bez przekonania. Doskonale ją rozumiałam, bo też odczuwałam już bolesne parcie na pęcherz. Tuż przed zamkiem terenówka skręciła w lewo, a my w prawo i potem zaraz też w prawo, wprost na parking z tyłu hotelu Qubus.

— Jezusie! — ryknęłam. — Gdzie ty jedziesz?!

— Kazałaś cały czas w prawo — odpowiedziała, ze spokojem parkując na wolnym miejscu tuż przy żywopłocie. — Skupiłam się, ale już mam dosyć. Biegnę się wysikać, zanim będzie za późno.

Nie wyłączając silnika, wysiadła, by zaskakująco energicznym truchtem jak na emerytkę dobiec do drzwi garażowych hotelu, zgrabnie omijając zaparkowane samochody. Jako że bądź co bądź posiadam młodszy pęcherz, podjęłam natychmiastową decyzję kontynuowania pościgu bez Henrietty. Nie bez wysiłku przesiadłam się na miejsce kierowcy. Rozejrzałam się wokół, ale dopiero, gdy wyjeżdżałam z parkingu, spostrzegłam, że fiat na skrzyżowaniu przy Wieży Głogowskiej pojechał prosto. Po chamsku

wcisnęłam się przed białe bmw i z piskiem opon, wyciskając z toyoty całą moc, przejechałam na czerwonym świetle przez skrzyżowanie, kierując się w stronę Lubina. W dali widziałam fiata, jak skręca w lewo w Ścinawską, ale gdy tam dotarłam, śladu już po nim nie było, choć gazu nie żałowałam.

Czarna dziura na ulicy Masarskiej

Nie pozostało mi nic innego, jak wjechać w głąb Ścinawskiej i zaufać polskim przysłowiom i powiedzonkom: „szczęście głupim sprzyja”, „cuda się zdarzają” czy wreszcie „dla chcącego nic trudnego”. Minęłam stary budynek gazowni, potem po lewej postraszył mnie ponury, pusty plac po zburzonych zakładach mięsnych i zatrzymałam się przed stacją Legnica-Północ, zastanawiając się, gdzie ten Oluś mógł pojechać. Może do hotelu? Skręciłam w lewo i rozglądając się bardzo czujnie, spenetrowałam Gliwicką do ślepego zaułka zarośniętego obficie zielskiem pamiętającym pewnie panowanie Piastów w Legnicy. Niestety, z nędznym rezultatem. Na parkingu hotelowym stał jedynie mercedes z angielską rejestracją i właśnie wyjeżdżało czarne audi prowadzone przez postawną blondynę. Omal się nie zderzyłyśmy, bo z takim impetem wyskoczyła zza ogrodzenia, że w ostatniej chwili zahamowałam, ratując toyotę cerbera przed dewastacją. Pogroziła mi pięścią i jeszcze mocniej docisnęła gaz, odjeżdżając z piskiem opon. Nagle pojawiło się u mnie jakieś słabe przecucie, ale znikło, równie ekspresowo. Zresztą nie miałam głowy do analizowania swoich odczuć, bo już mnie denerwowało to bezskuteczne jeżdżenie i szarpały wyrzuty z powodu porzucenia Henrietty. Zwłaszcza że żadnego fiata nie zauważyłam też na Wałbrzyskiej i Kobylińskiej.

Na koniec podjechałam pod Wały Rzeczne, gdzie wysiadłam na moment, by w burym nurcie Kaczawy znaleźć inspirację do dalszych poszukiwań. Może Oluś gdzieś tutaj mieszka? Właśnie! Gdzie on mieszka?! Skandal! Podstawowe braki w wiedzy z zakresu pracy operacyjnej dyskwalifikują mnie jako śledczego! I jeszcze Bruno pewnie szaleje, nie mając pojęcia, co się ze mną dzieje. Kretynka trochę więcej niż po czterdziestce! Jestem mu winna choćby zwykły SMS: „Przepraszam, nic mi nie jest, ale musiałam wyjechać”.

Niech to drzwi rozsuwane trzasną! Zdecydowanie powinnam wrócić po Henriettę, zadzwonić do Aśki, dowiedzieć się, jaki jest adres przyszłego albo niedosłego zięcia, i razem z towarzyszką dzisiejszego zwariowanego dnia pojechać tam i wreszcie dowiedzieć się, co robił w Świeradowie-Zdroju, w hotelu, gdzie raczył zejść mój były mąż! Niech to się wreszcie wyjaśni, bo oszaleję! Brakowało mi biegania, by uporządkować rozbiegane myśli, i w głowie zakiełkował kuszący pomysł, by przebiec się wzdłuż Kaczawy do parku i z powrotem. Niestety Henrietta porzucona pod hotelem, ciężąca na moim sumieniu niczym głaz, uniemożliwiała oddanie się przyjemnościom.

Wracając Ścinawską, po prawej dostrzegłam jeszcze jedną ulicę za hurtownią budowlaną. Niewiele myśląc, zawróciłam i wjechałam w Sierocińską, której z niewytłumaczalnych przyczyn nie dostrzegłam wcześniej. Po kilku metrach zwątpiłam jednak w sens mojej impulsywnej decyzji. Wzdłuż ulicy

imponujące, zazielenione efektownie krzaki przysłaniały jakieś niskie budynki. Nagle zielony mur się skończył, a ja z wrażenia ostro przyhamowałam, wzniecając tumany kurzu. Stałam na włączonym silniku jak wryta na wprost ulicy Masarskiej.

Do tej pory sądziłam, że Legnica, po wielu latach mojego zamieszkiwania tutaj, ale i zainteresowania, nie ma dla mnie tajemnic. Nawet po przeprowadzce do Złotoryi, gdy tylko przyjeżdżałam z krótkimi wizytami, dostrzegałam pozytywne zmiany w mieście. Pojawiły się nowe deweloperskie budynki, czasem wciśnięte pomiędzy starą zabudowę, rozrosły się nieco Piekary B, zbudowano place zabaw i siłownie pod chmurką. Ale istnienie ulicy Masarskiej na mapie miasta zaskoczyło mnie zupełnie. Wsiadłam, by przyjrzeć się okolicy.

Widok z pewnością nie należał do oszałamiających niczym zachwycający zachód słońca czy bajkowo ośnieżone górskie szczyty w słońcu poranka, czy też równiutkie odrestaurowane kamieniczki rodem ze średniowiecza, ale wbił mnie skutecznie w brukowaną ulicę, całkowicie paraliżując. Może to było porażenie brzydota, a może zaskoczenie istnieniem takiego miejsca?

Ulica wyglądała tak, jakby jakiś dowcipniś wyrwał fragment kamienicznej zabudowy Tarninowa i rzucił za rogatki wraz z brukowaną ulicą i chodnikiem. Same budynki straciły swój blask wraz z upływem czasu, ale uważne oko potrafiło jeszcze domyślić się pozostałości tynku pięknej elewacji z ozdobnymi płaskorzeźbami. Pozostałe kamienice obite do gołej cegły dawały pole jedynie dla bogatej wyobraźni.

Mieszkańcy też sprawiali wrażenie zapomnianych, wisieli w oknach lub stali w bramach, jakby czekali, aż miasto sobie o nich przypomni. Po kilkunastu metrach spaceru bruk nagle się urwał i tutaj zaczynał się prawdziwy architektoniczno-przyrodniczy szal, w który prowadziło ubite klepisko zakończone korytem Czarnej Wody. Zatrzymałam się przed pordzewiałą bramą opuszczonej hurtowni i zastanawiałam, jak to się stało, że powstała taka przepaść pomiędzy Masarską a resztą miasta?

Zamiast odpowiedzi, której i tak nie mogłam się spodziewać, usłyszałam delikatny pisk hamulca. Tuż przed moimi stopami zatrzymało się czarne audi. Przekonana, że ktoś chce wjechać na swoją posesję, odsunęłam się na bok. Tymczasem z samochodu od strony pasażera wysiadł Piotr Murarz. Ile jest prawdy w powiedzeniu: „nogi się pode mną ugięły”, przekonałam się właśnie w tej chwili, nie mogąc nawet ruszyć się z miejsca. Drogę ucieczki i tak blokował mi stojący samochód. Oczywiście mogłam uciekać do tyłu w krzaki, a potem desperacko przeprawić się przez Czarną Wodę, ale kończyny dolne odmówiły mi posłuszeństwa.

— Paulinko! Znów się spotykamy! — wycedził Piotr z jadowitym uśmiechem. — Jak miło!

— Chciałabym móc powiedzieć to samo — wydusiłam przez ściśnięte gardło. — Ale policja na pewno się ucieszy...

Parsknął śmiechem.

— Z czego niby? Z tych nędznych ochłapów, które im rzuciłaś? — zdumiał się sarkastycznie. — Oboje dobrze wiemy, że to, co najważniejsze, nadal masz ty.

— Zwariowałaś?! — oburzyłam się, intensywnie rozglądając za ratunkiem. Mogłam go walnąć torebką i uciec w krzaki, ale wiedziałam, że w samochodzie wciąż ktoś siedzi na miejscu kierowcy. Coś mi mówiło, że skądś znam tę postawną blondynę.

— Wypierałaś się już poprzednio, a potem nagle przekazujesz księgę policji... Nieładnie tak oszukiwać przyjaciół swego męża...

— To był mój były mąż — czułam się w obowiązku sprostować. — Nie miałam pojęcia, że coś mi zostawił.

Piotr szarpnął mnie mocno za ramię.

— Dostyc już tych przekomarzanek! — krzyknął. — Żadna z ciebie piękność, żebym się skusił na twoje wdzięki! Powiesz, gdzie jest właściwa księga, gdy dojedziemy na miejsce!

— Nie mam pojęcia, gdzie jest druga księga — odparłam urażona niesprawiedliwą oceną mojej osoby.

Piotr pociągnął mnie za ramię w stronę samochodu.

— Już mnie nie nabierzesz!

Stawiałam słaby opór, a dokładnie moje sztywne dzisiaj nogi. Piotr nieudolnie ciągnął mnie na siłę i wreszcie dotarliśmy do bagażnika. Dwa razy uderzył w klapę na znak, by blondyna otworzyła bagażnik, i po chwili klapa się otworzyła. Piotr jednym szarpnięciem wyrwał mi torebkę i rzucił do pustego wnętrza. Instynktownie sięgnęłam w tamtą stronę. Nie zdołałam się jednak zorientować w sytuacji, gdy poczułam, że ktoś chwycił mnie w pasie kobiecą ręką i przystawił do twarzy śmierdzącą szmatę. Chciałam krzyknąć, ale na ulicy Masarskiej zapadła ciemność.

Niespodziewany wybawca

Oprzytomniałam w całkowitej ciemności, hałasie pracującego silnika, z mętlikiem w głowie i ze skrępowanym ciałem. Oczywiście wbrew niesprzyjającym okolicznościom i, łagodnie mówiąc, niefortunnemu położeniu, w którym się akurat znajdowałam, zaczęła mnie swędzieć stopa. Jak u licha mam się zastanawiać nad swoją rozpacziwą sytuacją i skutecznym wyjściem z niej, gdy uciążliwe swędzenie, nasilające się z każdą sekundą i niemożliwe do powstrzymania, zajmuje mój mózg?! Jak się podrapać ze związanymi rękami i nogami, gdy ruchy dodatkowo ogranicza ciasna przestrzeń bagażnika? Szlag mnie jasny zaraz trafi! Oszaleć można! Przekleństwa cisnęły mi się na zakneblowane usta i nie mogąc znaleźć ujścia, wracały do wnętrza, nijak nie poprawiając mojej sytuacji w kwestii uporczywego swędzenia stopy.

Nagle kłapa bagażnika jakby nie wytrzymała ciśnienia przekleństw i otworzyła się, oślepiając mnie na parę sekund wpuszczonym do środka światłem słonecznym. Czyjeś ręce zerwały mi taśmę z ust i krępujące ręce i nogi więzy. Wskoczyłam z bagażnika, nawet nie spojrzawszy na wybawcę, zrzuciłam but i oddałam się błogiemu drapaniu stopy.

— Dobrze się pani czuje? — dotarło do mnie pytanie. — Martwiłem się, że nie dogonię tego samochodu...

Dopiero teraz dostrzegłam ciemną postać na tle zachodzącego słońca.

— Oluś? — spytałam, mrużąc oczy.

— A kto?! — syknął dziwnie i szarpnął mnie za ramię.

Zachwiałam się, jakbym poczuła właśnie obrót Ziemi, i oparłam rękę na kłapie bagażnika, czekając, aż świat przestanie wirować.

— Musimy uciekać — syknął raz jeszcze Oluś.

I nie czekając na odpowiedź, bez oglądania się za siebie, ruszył pospiesznie w stronę lasu. Zmuszając zdrętwiałe kończyny do wysiłku, ruszyłam za nim i po chwili otoczyły nas drzewa i zarośla, przez które zaczęliśmy się przedzierać w szalonym tempie.

— Musimy się spieszyć — wyjaśnił, ciężko dysząc.

Zaskoczona nie byłam w stanie wydobyć z siebie słowa, aż do momentu, gdy zatrzymaliśmy się na sporej polanie, a Oluś zaczął się rozpaczliwie rozglądać.

— Gdzie masz samochód? — spytałam, odzyskując wreszcie dar mowy.

— Jaki samochód? — zdumiał się, a po chwili machnął ręką z beztróskim uśmiechem. — Dostyc daleko. Przyjechałem tutaj rowerem.

— Jakim rowerem?! — rzuciłam zaskoczona.

— A tym — odparł nadal bez troski Oluś, wskazując z ulgą oparty o jedno z drzew rower.

— Goniłeś samochód rowerem? — zdumiałam się niebotycznie.

— Nie, samochodem — odparł, podchodząc do roweru i poklepując go przyjaźnie.

— To co robi tutaj ten rower?! Przemieniasz go w samochód i odwrotnie?! — ryknęłam, czując, że szaleństwo za chwilę odbierze mi resztki rozumu.

Oluś zamilkł na dłuższą chwilę, spoglądając w zaskoczeniu to na mnie, to na swój rower.

— Musieli panią zdrowo walnąć w głowę — stwierdził i po chwili przesyłabizował: — TO JEST ROWER!

— Wiem! Ale mówiłeś, że samochód! — wrzasnęłam z rozpaczą.

— Ja?

— A kto? Ja? — Czułam, że kręci mi się w głowie, i już naprawdę niczego nie byłam pewna. Nawet tego, że Ziemia jest okrągła i obraca się wokół Słońca. — Przecież mówiłeś, że goniłeś...

Oluś klepnął się efektownie i głośno otwartą dłońią w czoło.

— Ach! Źle mnie pani zrozumiała! Goniłem samochód samochodem, ale gdy tylko skręcili w boczną drogę, to przesiadłem się na rower, który zawsze wożę w bagażniku. Nie chciałem robić hałasu silnikiem, a poza tym wiedziałem, że droga, w którą wjechaliście, nie ma innego wyjazdu. Przyjechałem na skróty do tego miejsca i zdążyłem dojść na skraj lasu, gdy samochód wjechał na podwórze. Kiedy oboje wysiedli i zniknęli w domu, zablokowałem na wszelki wypadek drzwi i pobiegłem do bagażnika. Resztę już pani zna. Dziwne, że pies nie szczekał — zastanowił się przez chwilę Oluś.

Odzyskałam już przytomność umysłu na tyle, by przypomnieć sobie o wciąż istniejącym zagrożeniu i potencjalnej pogoni.

— Myślę, że powinniśmy dotrzeć do twojego samochodu — rzuciłam pospiesznie. — I to jak najprędzej!

Oluś natychmiast podsunął mi rower, ale czując, że adrenalina wciąż sprawuje kontrolę nad moim ciałem, zdecydowałam się biec. Liczyłam, że mózg siłą przyzwyczajenia zacznie w tym momencie intensywną pracę. A przecież musiałam wszystko przemyśleć, bo nie codziennie przemierzam się wbrew swojej woli i to w samochodowym bagażniku! Niestety, centrum myśli milczało. Milczeliśmy także z Olusiem, gnając ile sił w nogach leśną ścieżką, by po kilku minutach dotrzeć do samochodu. Został do pokonania jedynie przydrożny rów gęsto porośnięty krzakami, gdy mój mózg wydał słaby sygnał.

— Nie! Poczekaj! — Zatrzymałam Olusia za ramię, ostro hamując na igliwiu. — Nie mogę tak po prostu uciekać! Trzeba tam wrócić!

— Wrócić?! — zdumiał się Oluś, intensywnie mrugając wlepionymi we mnie oczami. — Jak to wrócić?! Przecież uciekamy!

— Wiem, że uciekamy, ale nie możemy uciekać — odpowiedziałam zniecierpliwiona i odwróciwszy

się na pięcie, ruszyłam z powrotem, nie czekając na mojego wybawcę.

— Przecież to przestępcy! Po co tam wracać? Trzeba zawiadomić policję! — tłumaczył lekko spanikowany, doganiając mnie na ścieżce.

— Od razu muszę wrócić! — ryknęłam. — Po torebkę! Bo jak mam bez niej uciekać?!

Zdumiony Oluś zatrzymał się gwałtownie, tarasując mi drogę. Zmuszona do ominięcia go, skręciłam w lewo, jednocześnie postanawiając nieco okrążyć zabudowania i zejść babsztyla i Piotra od innej strony. Najpierw muszę się zorientować, gdzie są. A jeśli odjechali?

Oluś pochwycił mnie za rękę i delikatnie, aczkolwiek stanowczo szarpnął w przeciwną stronę.

— Muszę stwierdzić, że jest pani pozbawiona instynktu samozachowawczego — powiedział z bezbrzeżnym smutkiem. — Może to efekt szoku, ale na pewno nie jest to rozsądne.

— Nie ruszę się bez torebki — upierałam się, próbując wyswobodzić rękę z uścisku. Przecież tam został na pastwę bandytów cały mój majątek! I znowu mam zmieniać klucze?! Za nowym dowodem i prawem jazdy wystawać w urzędach, nie wspominając o kłopotach z powodu utraty kart?! Mam nie wrócić po pilota od telewizora, któremu tak wiele zawdzięczam?! O, nie! — Ja muszę tam wrócić — przekonywałam.

— A ja nie mogę na to pozwolić! — Oluś, nie oglądając się na moje protesty, pociągnął mnie w stronę samochodu. Próbowałam się chwycić drzewa, ale nie miałam szans, bo bieg, ale i pobyt w dość niekomfortowych warunkach, nieco mnie wyczerpał.

Wróciliśmy do miejsca zaparkowania samochodu. Ze zdumiewającą szybkością Oluś schował swój rower do bagażnika i niemal siłą wepchnął mnie na miejsce pasażera.

— Czy zawsze robi pani coś przeciwnego, niż nakazuje zdrowy rozsądek, logika czy choćby instynkt? — spytał, gdy usiadł na miejscu kierowcy.

— W sumie, analizując pośpiesznie ze względu na okoliczności moje życie, muszę stwierdzić, że chyba taki mój urok... — oznajmiłam szczerze i dodałam po chwili, dostrzegając jego zagubioną minę: — I jeśli chcesz mi teraz powiedzieć, że nie ożenisz się z Renatą w obawie, że to dziedziczne, to ostrzegam, że pomijając kwestię wdzięczności, dam ci w pysk!

Oluś pokręcił głową i rzucił mi na kolana swój telefon komórkowy.

— Właśnie, à propos Reni... Gdy tylko będzie zasięg, proszę do niej zadzwonić — westchnął ciężko, uruchamiając silnik i z piskiem opon ruszając z miejsca.

— Do Reni?! — wykrzyknęłam w kosmicznym zdumieniu. — Chyba na policję?!

Patrząc na drogę, pokręcił gwałtownie i stanowczo głową.

— Umówiłem się z nią już godzinę temu... — powiedział i nie musiał dodawać nic więcej.

Podróż z bólem i podejrzanym osobnikiem

Renata nie odbierała telefonu, prawdopodobnie śmiertelnie obrażona, że narzeczony wystawił ją do wiatru. Rozglądałam się niepewnie wokół, ale zupełnie nie rozpoznawałam krajobrazu za oknem. Jak szybko minęła mi podróż w bagażniku? Przez śmierdzącą szmatę i swędzącą stopę straciłam rachubę. Mogła trwać godzinę albo nawet i sto, tak mnie pochłonał dyskomfort podróży. Przez jakiś czas jechaliśmy z Olusiem w milczeniu, mijając najpierw gęsty las, potem kilka wiejskich zabudowań, a gdy zaczęły się zazielenione bezkresne pola, pomyślałam, że chyba nie wracamy do Legnicy.

— Dokąd jedziemy? — spytałam niepewnie, oddając mu telefon.

— Na razie przed siebie... — westchnął i uśmiechnął się tajemniczo. — Nie chce pani zadzwonić do kogoś jeszcze?

Ponownie wzięłam telefon. Bezsilnie i bezmyślnie patrzyłam na wyświetlacz z klawiaturą. Przecież nie znałam na pamięć numeru do Bruna, a to właśnie do niego powinnam wykonać połączenie. Ludzkie pojęcie przechodzi, jak bardzo za nim w tym momencie zatęskniłam i jak podle się poczułam, wspominając swoje dzisiejsze zachowanie. Wszelkie środki ostrożności i bezpieczeństwa, jakie w ramach swoich prywatnych możliwości mi zapewnił, obrzydliwie zignorowałam. No i się doigrałam! Chyba się już do mnie nie odezwie i nawet gdy będziemy się mijali w Złotoryi, ma prawo udawać, że takiej skończonej idiotki nie zna.

— Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? — spytałam Olusia, wciąż trzymając telefon.

— Widziałem, jak panią porwano...

— Ale gdzie ty się wtedy schowałeś?! — dopytywałam, drapiąc się w ponownie swędzącą stopę.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

— Widziała pani tę okolicę — odparł. — Czy tak trudno się tam ukryć?

— To fakt! — potwierdziłam, wzdrygając się na wspomnienie tych krzaczorów.

— A gdzie ta pani koleżanka? — spytał, delikatnie się uśmiechając.

Aż podskoczyłam z wrażenia i gdyby nie pasy, przebiłabym głową dach.

— O! Henrietta! — wykrzyknęłam, przypominając sobie o porzuconej przyjaciółce mojego tatka. — Koniecznie musimy po nią wrócić...! No i po samochód cerbera! Oluś! Zawracaj! Musimy wrócić do Legnicy!

Ze stoickim spokojem Oluś posłusznie zawrócił samochód.

— Żebyśmy się tylko na nich nie natknęli! — wykrzyknęłam i przypomniawszy sobie, że powinniśmy zawiadomić policję, pacnęłam się trzymanym w dłoni telefonem w czoło wprost w swojego guza.

Oczywiście przeraźliwie jęknęłam i omal nie straciłam przytomności z bólu, a telefon wyleciał mi z ręki, roztrzaskując się efektownie u mych stóp.

— Cholera jasna! — ryknęłam i sięgając po aparat, uderzyłam się boleśnie po raz drugi w kokpit, aż mi się w głowie zakręciło.

Oluś zatrzymał samochód na poboczu, sięgnął po swój telefon, a raczej jego luźne elementy, i spokojnie dopasowywał do siebie.

— Dobrze się pani czuje? — spytał z niepokojem, nie patrząc nawet w moją stronę, pochłonięty składaniem swojego aparatu telefonicznego.

— Nie! — ryknęłam. — Fatalnie się czuję! Jak mam się czuć?! Oszustwo, ucieczka, porzucenie, porwanie i ucieczka z podejrzanym typem!

Oluś przerwał swoje zajęcie i spojrzał na mnie bezbrzeżnie zdumiony.

— Ten typ to ja? Dlaczego?

— A kto był w Świeradowie-Zdroju w dniu śmierci mojego męża?! — wykrzyczałam szalenie zdenerwowana. — Kto mnie, znaczy nas, śledził i kto tak cudownie mnie wyratował?!

— Skąd pani to wie? Jak... jak... — zaczął się jąkać i nagle po prostu wysiadł. Obserwowałam, jak zapala papierosa i opiera się o maskę samochodu, wypuszczając pospiesznie dym. Niebo zrobiło się szare, jakby Oluś ściągał na nas ciemne moce. Koniec upałów, westchnęłam.

Głowa mi pękała z bólu i nie byłam w stanie wyprodukować jakiegokolwiek sensowej myśli. Strzelałam na oślep bezsilna i zdenerwowana. Na zewnątrz zaczęło zmierzchać i brak kontaktu z Brunem, rodziną i Henriettą potęgował mój paskudny niepokój. Gdzieś czaili się też Piotr Murarz z postawną blondyną, których żadna siła nie przekona, że nie jestem szczęśliwą, czy raczej nieszczęśliwą, posiadaczką drugiego tomu „Księgi drani”. No i jeszcze Oluś! Jaki ma udział w tym całym zamieszaniu?

— Muszę najpierw porozmawiać z Renatą — oznajmił poważnie Oluś, gdy już wrócił do samochodu uspokojony i przesiąknięty papierosowym dymem.

— Nie rozumiem...

Zapalił silnik i podał mi złożony w całość telefon.

— Wszystko pani opowiem — odparł, kiedy ruszyliśmy. — Wiedziałem, że to się wyda, gdy tylko zobaczyłem to zdjęcie w gazecie...

— Znałeś mojego byłego męża? — spytałam zupełnie zbита z tropu.

— Już powiedziałem. Wszystko muszę najpierw powiedzieć Renacie albo przy niej — oznajmił.

Przyglądałam się jego profilowi i musiałam przyznać, że nie wiedziałam, co myśleć. Niby to ten sam Oluś, ale...

Ocknęłam się z zadumy, przerywanej falami bólu głowy. Wreszcie przeniosłam wzrok na trzymany w dłoni telefon. Jedyne numer, jaki znałam na pamięć, to stacjonarny telefon do tatka. W tych okolicznościach zupełnie nieprzydatny, jako że nieświadomy straty matrymonialnej rodziciel tkwił w przemkowskich lasach.

— Masz tutaj telefon do Joanny albo Przemka? — spytałam, intensywnie myśląc, co powinnam zrobić, by odnaleźć Henriette niewątpliwie błąkającą się nocą po mieście i odchodzącą od zmysłów, gdy natrętne telefony do mnie nie odpowiadają. Nie wspominając Bruna, do którego powinnam zadzwonić w pierwszej kolejności.

— Tak, jako „teść” i „teściowa” — odparł.

Znalazłam „teściową” i od razu się połączyłam. Zdążyłam rzucić tylko „cześć”, gdy usłyszałam potężny ryk:

— Gdzie ty się podziewasz?!!! — Joanna uszczęśliwiła mnie potężną dawką bezlitosnych dla mego ucha decybeli. — Zwariowałaś?!!!

Z okrzykiem bólu odsunęłam od siebie telefon.

— Proszę cię — jęknęłam płacząco — nie krzycz. Rozwaliłam sobie głowę, porzuciłam Henriette, oszukałam Bruna, ukradłam samochód i jeszcze zostałam porwana... Jestem winna, ścigana, obolała i... okropnie zmęczona.

Rozpłakałam się niespodziewanie i głośno. Oluś odebrał ode mnie telefon i włączył głośnik.

— Boże! Odchodziłam od zmysłów! — wykrzyknęła Joanna.

— Gdzie jesteście?! — usłyszałam zaniepokojony głos Bruna.

— Jedziemy już do Legnicy — odpowiedział Oluś. — Co z Henriettą?

— Jestem! Jestem! — wykrzyknęła Niemka. — Aleś mnie zostawiła! Omal się w majtki nie posikałam.

— No właśnie! — wtrącił z cmoknięciem niezadowolenia tato.

— Przepraszam — wyszlochałam. — Przepraszam was wszystkich!

— Daj spokój — westchnęła Joanna. — Przyjeżdżajcie do nas. Jesteśmy w komplecie.

Zanim się rozłączyliśmy, Oluś przekazał Brunowi informację o gospodarstwie, gdzie nadal powinni się znajdować Piotr Murarz i jego towarzyszka.

Układanie w głowie

Z każdym kilometrem przybliżającym nas do Legnicy robiło się coraz ciemniej, a mnie z kolei coraz gorzej na duszy. Wyobrażałam sobie, jak wszyscy tłoczą się w salonie Chulaków i zamieniwszy niepokój na wściekłość, wyczekują, by mnie osobiście udusić.

Dla spotęgowania mego podłego nastroju zaczął padać deszcz. Coraz głośniej bębnił o dach samochodu i nie dawał wytchnienia intensywnie pracującym wycieraczkom, których miarowe skrzypienie doprowadzało mnie do szału. W oddali błyskało i grzmiało, ale w znacznej odległości od nas. Włączone przez Olusia radio nadawało same sentymentalne piosenki, zatem i muzyka stała się żałośnie smutnym tłem naszej podróży.

— Czy ciebie też szantażował? — odezwałam się, gdy wyjechaliśmy z Jawora i minęliśmy tablicę z informacją, że do Legnicy pozostało czternaście kilometrów.

Oluś milczał przez chwilę, a potem odpowiedział spokojnym tonem:

— To nie był dobry człowiek. Sama pani to wie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to pani mąż.

— Były mąż — wtrąciłam ze zgrzytnięciem zębów.

— Taaak, przepraszam, ale... Jak ogień i woda. Albo raczej piekło i niebo — kontynuował przerwany wątek, by po chwili zmienić temat. — Zniszczył mi życie, ale nie, nie szantażował mnie...

Już otworzyłam usta, aby zadać kolejne pytanie, ale Oluś mnie wyprzedził:

— Trzymajmy się tego, co powiedziałem. Najpierw Renata...

— Ale musiałeś wiedzieć, że to mój były mąż, do cholery! — wykrzyknęłam. — Przecież po rozwodzie nie zmieniłam nazwiska, to co? Uznałeś, że to zbieg okoliczności?

— Wszystko pani potem wytłumaczę. Na razie powiem tylko tyle, że ja nie znałem go pod nazwiskiem Bożyk — wyznał, spokojnie patrząc na chwilowo pustą drogę oświetloną światłami jego fiata. — Nie wiedziała pani, że wcześniej nazywał się Sebastian Matkiewicz?

— Co?! — zdołałam wykrztusić.

— Dopiero gdy zobaczyłem to zdjęcie w gazecie, którą pani trzymała, skojarzyłem wszystko. Pamięta pani?

— Do kogo wtedy dzwoniłeś? — Przypomniałam sobie tamtą scenę. — Bo na pewno nie do Renaty.

— Nie, ale dowiedziałem się, że zmienił imię i nazwisko dawno temu, razem z matką, gdy tylko się rozwiodła. Do Legnicy przeprowadzili się już jako Bożyk. Myślę, że to znaczące. Chciał być bogiem. To na razie wszystko, co mogę powiedzieć.

— Oszaleć można! — wykrzyknęłam. — Kim ty jesteś, do cholery?!

Uśmiechnął się rozbijając w świetle reflektorów samochodu jadącego z przeciwka.

— Proszę się mnie nie bać...

Po wjeździe do miasta nagle przestało padać. Po prostu wyjechaliśmy z deszczu, bo legnickie ulice były zupełnie suche.

— Posłuchaj — powiedziałam nagle, czując, że w mojej głowie panuje większa burza niż ta, której uniknęliśmy. — Wiem, że to głupio zabrzmiało, ale zatrzymaj się. Muszę sobie to wszystko poukładać.

— To znaczy? — spytał, spokojnie zjeżdżając w stronę Legnickiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej.

— Muszę pobiegać — wyjaśniłam. — Ty będziesz jechał, a ja będę biegła obok. Nie wytrzymam tego chaosu myśli.

— Na Piekary chce pani tak biec? W tym stroju? — zdziwił się, krytycznie przyglądając się moim sandałkom, kwiecistej spódnicy i bluzce na ramiączkach.

— Dam radę aż na Piekary.

— I nie ucieknie mi pani?

— I to mówi facet zamieszany w samobójstwo mojego byłego męża? To raczej ty masz powody, aby uciec. Tak przypuszczam...

— Raczej odwrotnie. Nie ufa mi pani i obawia się, że i w pani samobójstwo będę zamieszany?

— Cóż, uratowałaś mnie, aby mieć pewność, że zjedę z tego świata?

— Dość dziwna ta nasza rozmowa.

— Dlatego muszę się przebiec, inaczej zwariuję — oznajmiłam z naciskiem i otworzyłam drzwi.

Fala rześkiego wieczornego powietrza przyjemnie uderzyła mnie w twarz.

— Ale czekają na nas — wysuwał kolejne argumenty Oluś.

Wzruszyłam ramionami.

— To poczekają parę minut dłużej. Nic im się nie stanie, a ja nie mogę wrócić bez poukładania sobie wszystkiego w głowie.

Ruszyłam, zupełnie nie czując dyskomfortu z powodu niewłaściwego stroju. Grunt pod stopami, delikatny podmuch powietrza, równomierny oddech — tego właśnie potrzebowałam. Oluś minął mnie bardzo powoli, gdy zbliżałam się do ronda, i zatrzymał na najbliższym przystanku. Trzy lata spokoju, stabilizacji, samodzielności, bezpieczeństwa rozsypały się przez... No właśnie! Kogo? Sebastian Matkiewicz! Zupełnie obcy człowiek, tak jak i Grzegorz Bożyk. Co teraz będzie z Renatą i Olusiem? Okazuje się, że kompletnie nic nie wiedziałam o facecie, z którym się związałam, mieszkałam, żyłam! A Renata? Kim tak naprawdę jest Oluś? Czy to aby nie jakieś fatum zawisło nad naszą rodziną?! A może to los powtórzony? Nie, Renata musi poznać prawdę i niech już będzie, że my wszyscy po niej. Ale niech Oluś w końcu wszystko wytłumaczy, bo inaczej nie pomoże mi przebiegnięcie nawet całej kuli ziemskiej.

Akurat dobiegłam do fiata zaparkowanego w autobusowej zatoczce. Oluś palił papierosa, wydmuchując dym przez otwarte okno. Zdyszana opadłam na fotel pasażera, dziwnie spokojna.

— Lepiej? — spytał.

— Lepiej? — powtórzyłam, wymownie wskazując brodą papierosa.

Wzruszył ramionami.

— Myślę, że cały wagon nie przyniósłby ani spokoju ducha, ani równowagi, ani gotowych rozwiązań.

— No tak — stwierdziłam ponuro i zamykając drzwi od strony pasażera, rzuciłam: — Jedźmy. Trzeba połknąć tę żabę.

— Żabę?! — Zakrztusił się i chwilę kaszłał.

— Żabę, żabę — powtórzyłam, zapinając pas i przyglądając się jego zaskoczonej twarzy. — To znaczy po prostu ponieść konsekwencje wywołanego przez siebie zamieszania, albo i przez innych...

Wyrzucił niedopałek i zamknął okno. Po chwili uruchomiony silnik odpowiedział cichym buczeniem.

Noc poza moim zasięgiem

Pomimo wrodzonej niecierpliwości postanowiłam powstrzymać się od zadania miliona pytań cisnących się na usta. Zobojętniałym wzrokiem przyglądałam się uśpionej Legnicy. Spokojna jazda Olka powoli i mnie by uśpiła, gdyby nie dziury na drodze, które od czasu do czasu podrzuciły samochodem na alei Rzeczypospolitej.

Osiedla również pogrążyły się we śnie, sądząc po czarnych kwadratach okien w blokach i wieżowcach. Nic dziwnego. Gdy dotarliśmy do celu, a ja z trudem wygramoliłam się z samochodu, zegar na wyświetlaczu pokazywał pierwszą pięćdziesiąt.

Spore nadzieje na wyjaśnienie wielu niewiadomych wiązałam ze spotkaniem u Chulaków, lecz mój trochę więcej niż czterdziestoletni organizm zbuntował się zaraz za progiem. Widok tyłu przyjaznych twarzy wzruszył mnie niebotycznie. Przepychali się w wąskim przedpokoju, chcąc mnie wyściskać, i mówili wszyscy jednocześnie. Przez mgłę z własnych łez widziałam Aśkę, tatka, Henriettę, Renatę, Przemka i stojącego na końcu Bruna. Nawet Rysiek z niezmiennie kamienną twarzą stał mi się tak bliski, że poczułam ukłucie w sercu. Chciałam coś powiedzieć, wytłumaczyć się, przeprosić, ale z mojego gardła wydobył się jedynie obcy bełkot.

Zobaczyłam jeszcze, jak Bruno, rozpychając moją rodzinę dość brutalnie, zbliża się do mnie pospiesznie z zaniepokojonym wyrazem twarzy, a potem ktoś zgasił światło.

Po raz pierwszy w życiu przespałam całą dobę. Obudziło mnie irytujące, miarowe pikanie szpitalnych urządzeń nieznanego mi przeznaczenia, do których zostałam podłączona. Moje zdenerwowanie spotęgowała awersja do szpitalnych zapachów, kojarzących się z niedawno przebytą chorobą i wciąż wiszącym nade mną wyrokiem. Intensywnie mrugałam oczami, by pozbyć się mgły, i chwilę później zobaczyłam wyraźnie uśmiechniętą twarz Bruna. Nie podejrzewałam, że potrafię się jeszcze tak szczerze i mocno ucieszyć na widok faceta. O dziwo, żadne z urządzeń nie odnotowało przyspieszonego bicia serca czy podwyższonego ciśnienia.

— Czy musieliście mnie wieźć do szpitala?! — rzuciłam z irytacją. — Co takiego się stało?

Bruno z niedowierzaniem cofnął się na krzesło, ale za chwilę powrócił ze swoim uroczym uśmiechem.

— Straciłaś przytomność.

— To nie wystarczy już poklepać porządnie po twarzy? — jęknęłam, unosząc z obrzydzeniem pokłutą rękę.

— Nie śmiałem — powiedział, udając zawstydzenie. — Bić kobietę?!

— Przecież mogła mnie tłuc Aśka, Renata albo... Henrietta. Ta ostatnia miała nawet powody, aby mnie

porządnie skopać.

Bruno pokręcił głową z niedowierzaniem. Przysunął się bliżej z krzesłem. Dopiero teraz dostrzegłam obecność dwóch pacjentek, leżących nieruchomo na łóżkach po mojej lewej stronie. Irytujące pikanie dochodziło z urządzeń, do których one były podłączone. Do mojego ramienia podłączona była jedynie opróżniona do połowy kroplówka.

— Muszę się do tego przyzwyczaić, że reagujesz zupełnie nieadekwatnie do sytuacji — rzekł Bruno. — Znowu mnie zaskoczyłaś. Strach się do ciebie obrócić plecami.

Westchnęłam ciężko, oswajając się z obecnością kroplówki i szpitalnych zapachów: mieszaniny chorób, cierpienia, niepewności, środków dezynfekujących i wreszcie... porażki. Dla wsparcia psychicznego spojrzałam w okno po prawej stronie, spodziewając się, że widok przejrzyście błękitnego nieba postawi mnie na nogi. Z niedowierzaniem patrzyłam na... padający gęstymi płatami śnieg! No i jak tu być normalnym w tym zwariowanym świecie, gdzie nawet natura straciła rozsądek!

— Przepraszam, ale po prostu nie znoszę szpitali i mam powody. To dla mnie trudne — próbowałam wyjaśnić ze ściśniętym gardłem. — I dlaczego boli mnie gardło? Jakbym sobie je zdarła, krzyząc wniebogłosy...

— Cóż, bo krzyczałaś i mówiłaś przez sen.

— Jak to? — Uniosłam się na łokciach w czystym oburzeniu, ale po chwili opadłam na poduszkę, dodając: — Pewnie miałam koszmary. Nie pamiętam.

— Koszmary?! — oburzył się Bruno, tym razem z szelmowskim uśmiechem. — Dzięki! Zwłaszcza że mówiłaś cały czas o mnie i to bynajmniej nie wyglądało na koszmar.

Poczułam, że nie tylko purpurowieję na twarzy, ale i żołądek ze złowrogim burczeniem podchodzi mi do gardła, wysyłając ból gardła w niebyt.

— Co... co takiego mówiłam? — zdobyłam się wreszcie na odwagę, by zapytać.

— Że jestem przystojny, wyjątkowy, seksowny... — wyliczał i po chwili zniżył głos do szeptu: — I jeszcze, że chciałabyś ze mną robić takie i takie, i jeszcze inne rzeczy, w różnych pozycjach i miejscach, aż mnie tutaj wciskało w krzesło. Nie tylko mnie oblewał rumieniec zażenowania, ale też personel medyczny zaalarmowany nocnymi krzykami został zawstydzony. Twoja wyobraźnia mnie przeraża, Paulino...

— A mnie twoja zaskakuje — odpowiedziałam, gdy dotarło do mnie, że sobie ze mnie żartuje. — Bić po twarzy dla odzyskania przytomności nie chciał, bo kobieta, ale kopać leżącego, to proszę bardzo! Pierwszy!

— Ależ gdzieżbym śmiał — powiedział, kładąc dłoń na sercu. — Mogę zawołać świadka w osobie lekarza prowadzącego. Wszystko słyszał i potwierdzi. Choć się nie przyzna, że bardzo mi zazdrości, szczególnie twojego pomysłu z kajdankami...

— Bruno! Ostrzegam cię, przestań! — pogroziłam mu palcem wolnej od kroplówki ręki.

Zamiast okazać skruchę, niespodziewanie zbliżył się do mnie i wciągnął w namiętny pocałunek.

Gdybym była podłączona do urządzeń monitorujących czynności życiowe, to niewątpliwie uległyby zniszczeniu w wyniku gwałtownego wzrostu ciśnienia i tętna.

— No proszę! — usłyszeliśmy niespodziewanie znajomy głos przepełniony oburzeniem. — A ja właśnie się kłóciłam z lekarzem, żeby cię jeszcze zatrzymał na obserwacji!

— Jestem napastowana — wydusiłam, odrywając się od Bruna, który bez słowa skierował się do drzwi. Joanna od razu zajęła zwolnione krzesło. Bruno odwrócił się na chwilę w progu, by przesłać mi całusa zza pleców mojej bratowej-przyjaciółki, i znikł.

— Od początku wiedziałam, że to twoje postanowienie „żadnych facetów” pęknie jak bańka mydlana — westchnęła Joanna, wykładając na mój stół dwie pomarańcze i sok w kartonie z tychże owoców.

Rozmarzonym wzrokiem wpatrywałam się w pusty próg drzwi. Wciąż jakieś przeszkody...

— Mam wezwać lekarza? — dopytywała rozbawiona Joanna. — Wyglądasz na nieprzytomną, choć masz otwarte oczy. Ależ cię wzięło! Jedyne pożytkiem z tej śmierci Grzegorza...

— No nie! — zaprotestowałam. — Ta uwaga akurat jest nie na miejscu! Już prawie zapomniałam o tym samobójstwie!

— Teraz to ja muszę powiedzieć „no nie”! — oburzyła się Joanna. — Wciągnęłaś w swoje śledztwo całą rodzinę, kandydatów na członków rodziny i co? Koniec?! Ty sobie przespałaś całą dobę spokojnie, a my? Renata i Aleksander całą noc rozmawiali i przepłakali.

— Powiedział coś? — zainteresowałam się, odpierając nieskutecznie wyrzuty sumienia.

— Pewnie, że powiedział — parsknęła Joanna, efektownie przewracając oczami. — Tylko Renacie.

— I co? Po ślubie? Rozstali się? — zapytałam z niepokojem.

Joanna wzruszyła ramionami. Nie wyglądała na załamana, więc żadna tragedia nie dotknęła naszej rodziny.

— Dowiemy się wszystkiego, gdy już przestaniesz być poza zasięgiem — odparła tajemniczo i dodała: — Kroplówka się skończyła. Zbieraj się, ofiarno namiętności. Zabieram cię do nas.

Czas na szczere wyznania

Oluś skinął na kelnera. Zamówił dwie kolejki wódki, obie dla siebie. Czekałam, aż wypije jeden kieliszek za drugim, rozglądając się po pogrążonym w mroku wnętrzu ponurej knajpki, o której istnieniu wiedzą jedynie jej stali bywalcy i miłośnicy depresyjnych piosenek puszcanych przez głośnik nad barem. Oprócz naszego zajęte były jeszcze dwa stoliki. W rogu za tekturowym przepierzeniem siedzieli hałaśliwi budowlańcy w roboczych drelichach. Stopień ich utyłania świadczył, że choć sporo pracowali, to energii i czasu starczy im jeszcze na picie i bełkotliwe dialogi. Wciśnięty w róg, pod mikroskopijnym oknem, opierał się o ścianę krótko ostrzyżony młodzieniec, energicznie operując palcami na klawiaturze swojego telefonu.

— Też się pani napije? — spytał Oluś.

— Czy prawda będzie trudna do zniesienia?

Oluś wzruszył ramionami, a ja odniosłam wrażenie, że zmienił się ostatnio. Jakby postarzał. A może to efekt zaciemnienia lokalu.

— Jak to było z tą żabą? Trzeba ją pokroić? Zabić?

— Połknąć. Zjeść albo połknąć żabę.

— Właśnie. Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, że dowiaduje się ostatnia? — spytał ku mojemu niebotycznemu zdumieniu, zapalając papierosa, i tytułem wytłumaczenia dorzucił: — Właściciel pozwala tutaj na wszystko, ale jeśli to pani przeszkadza, wezmę jedynie trzy machy.

— W porządku — odpowiedziałam, sięgając po szklankę z sokiem jabłkowym, którą właśnie postawił przede mną kelner. Hałaśliwi budowniczowie III RP ryknęli właśnie zgodnym śmiechem, zagłuszając wyjącego rozpaczliwie wokalistę zespołu Myslovitz.

— Ten pani ochroniarz i Bruno tak mnie podeszli, że wszystko musiałem im powiedzieć. Zresztą z punktu widzenia śledztwa to było raczej przesłuchanie.

— Znałeś go? — zdecydowałam się popchnąć rozmowę do przodu i w interesującym mnie kierunku.

— Trudno powiedzieć. I tak, i nie. To skomplikowane.

Przez chwilę przyglądał się kelnerowi odbierającemu zamówienie od młodzieńca z rogu sali, który niezdecydowany przeglądał niedbale kartę, głośno zastanawiając się nad każdą pozycją i wypytyjąc o szczegóły. Oluś uśmiechał się, obserwując tę scenę, a może do własnych myśli kierował ten tajemniczy uśmiech?

Poprawił się na krześle i zaczął mówić. W miarę toczącej się opowieści przestało dla mnie istnieć hałaśliwe i ponure otoczenie.

Było świąteczne popołudnie czternaście lat temu. Rodzina Ryczkiewiczów wyszła na spacer. Tata ciągnął sanki, na których siedziała dwójka dzieci: dziewięcioletnia Lilka i jedenastoletni Aleksander. Mama szła tuż za nimi wraz z babcią. Na przemian rzucały w dzieci kulkami śnieżnymi, wzbudzając salwy dziecięcego śmiechu. Nie usłyszeli warkotu silnika zbliżającego się szybko samochodu. Szli zaśnieżonym chodnikiem zajęci wspólną zabawą. Potężne uderzenie wyrzuciło sanki z dziećmi w górę. Oboje runęli w śnieżną zaspę, która zamortyzowała upadek. Takiego szczęścia nie miała trójka dorosłych, która zginęła na miejscu. Lilka i Alek blisko miesiąc spędzili w szpitalu, gdzie dowiedzieli się, że są sierotami. Jakiś pijany młody chłopak kłócił się z dziewczyną i wjechał w idących po chodniku. To opowiedział im dziadek. On także leżał jakiś czas w tym samym szpitalu, ale na serce, które omal nie pękło z rozpaczy i bólu. Nie był w stanie zająć się wnukami, więc trafili do domu dziecka, zanim jedna z dalekich krewnych nie uzyskała prawa do opieki nad nimi. Dziadek odwiedzał ich często, ale ciotka z czasem starała się ograniczać ich kontakty. Starszy człowiek żył jedynie umorzonym śledztwem, ewidentną niesprawiedliwością, bezkarnością sprawcy, którego wysoko postawiony ojciec uwolnił od kary. Dziadek nie potrafił się z tym wszystkim pogodzić i nieustannie protestował, lecz nikt go nie słuchał.

Może sam, a może z czyjąś pomocą, spadł ze schodów na klatce schodowej i nie przeżył tego upadku. Swoją obsesją dochodzenia sprawiedliwości na własną rękę zaraził oboje wnuków. Nie da się opisać straty, jaką ponieśli. Szczególnie Lilka, z którą ciotka często odwiedzała psychologa. Z byle powodu załamywała się i targła na swoje życie. Zaczęła wagarować i włóczyć w nieciekawym towarzystwie. Olek sporo czasu spędzał na poszukiwaniach siostry w podejrzanych miejscach. Przyprawdzał najpierw pijaną, a potem naćpaną. Pierwszy raz targnęła się na swoje życie w wieku trzynastu lat. Ciotka poddała się cztery lata później, gdy Olek był na studiach. Już jej nie szukała, już nie wpuszczała do domu, gdy wracała. Pewnego dnia Lilka nie wróciła wcale. Olek rozpaczliwie szukał siostry, ale niestety, nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie jest. Załamał się. Z całej rodziny tylko ona mu została. Z bólem patrzył na jej cierpienie.

Pewnego dnia przyjechała do niego do akademika. Prawie jej nie poznał. Wyglądała jak staruszka, a miała zaledwie dwadzieścia lat. Spoglądał na przerzedzone, tłuste włosy, zapadnięte jak u zombi oczy, popękane usta, braki w uzębieniu. Sama skóra i kości. W tych oczach czaiło się coś złego. Usiadła obok niego i jakby rozstali się wczoraj, zaczęła od zdania: „Wiem, gdzie on jest!”. Od razu zrozumiał, że mówi o sprawcy wypadku. Też się nim interesował. Wiedział, że uniknął nawet najmniejszej kary i podobno wyjechał za granicę wysłany przez ojca na studia. Zniknął, by swoją bezkarnością nie popsuć tatusiowi startu w następnych wyborach. Chociaż według oficjalnej wersji wypadku rodzina Ryczkiewiczów gwałtownie wkroczyła na jezdnię z winy pijanego ojca, który nieodpowiedzialnie pociągnął sanki z dziećmi na ulicę, to akcja dziadka zrobiła swoje. Ludzie zaczęli mówić o oszustwie. Synuś zniknął, a tatuś zgrabnie manipulował, aby zafałszować obraz zabitej rodziny.

Olek oddalony od swojego miasta o blisko czterysta kilometrów przestał się interesować tematem.

Skończył studia i został na uczelni, wiążąc z nią swoją przyszłość. Bolała go niesprawiedliwość, ale nie czuł się na siłach jej przeciwstawić. Poznał Renatę, zakochał się, planowali wspólną przyszłość. Wspomnił siostrze o ślubie, ale ona zdawała się kompletnie nieobecna. Chciała zemsty i nic nie było w stanie jej powstrzymać. Nieustannie mówiła o stracie rodziców, zmarnowanym dzieciństwie, śmierci dziadka, a właściwie zamordowaniu go, bo wersja z wypadkiem nawet nie mieściła się jej w głowie. Zgodził się, aby mu pokazała tego człowieka, bo było mu żal siostry, choć ona absolutnie nie chciała od niego żadnej pomocy.

— Nie mówiła o nim inaczej jak „on” i dlatego nawet nie wiedziałem, że zmienił nazwisko. Koniecznie chciała, żebym był przy tym, gdy wreszcie dokona się zemsta. Poznała „przyjaciół”, których też skrzywdził i którzy jej pomogą. „Teraz będzie dobry moment” — powtarzała. Mówiła jak nawiedzony kaznodzieja i bardzo się martwiłem, że oszalała, ale się zgodziłem. Sam nie wiem dlaczego.

Pojechał z siostrą do Świeradowa-Zdroju. Kiedy ją odebrał z dworca, zaskoczyła go ładną i na oko drogą suknią, upiętymi starannie włosami i makijażem. Mimo wysiłków wyglądała mizernie, lichy i niezdrowo. Unikała jego wzroku, ale wyczuł, że jest pod wpływem narkotyków.

Od tych swoich „przyjaciół” dostała zaproszenia na zamkniętą imprezę. Lilka w niezdrowym podnieceniu kreśliła plan działania na miejscu. Umówili się, że usiądzie obok tamtego w barze, przypadkiem potrąci i wtedy Olek go zobaczy. Weszli do eleganckiego lokalu, gdzie obsługa od razu zareagowała na niereprezentacyjnie wyglądającą Lilkę, podejrzewając, że ukradła komuś zaproszenie. Olek po raz pierwszy w życiu wręczył łapówkę, wsuwając ochroniarzowi sto złotych do ręki, by wreszcie zostali wpuszczeni do środka. Siostra szybko wypatrzyła tamtego. Siedział przy barze w towarzystwie innego mężczyzny. Jeszcze przez moment człowiek pochylający się nad szklanką z drinkiem i rozmawiający z przyjacielem był Olkowi obojętny i obcy. Dopiero gdy Lilka zajęła wolne miejsce obok, poczuł narastający w nim bunt. Drogi garnitur, złoty zegarek co chwilę błyskający w światłach baru. Lśniące, jasne włosy i twarz, choć nie uśmiechnięta, to tryskająca sukcesem i samozadowoleniem. Nędzna postać siostry tak boleśnie kontrastowała ze swobodną elegancją tamtego, że wybiegł z baru, nie czekając na Lilkę.

Biegł przed siebie z nieznośnym bólem w sercu, starając się zgubić po drodze gniew. Całe dzieciństwo od chwili wypadku przebiegło mu przed oczami: rodzice, których twarze pamiętał już tylko z nielicznych zdjęć, dziadek, naćpana siostra. Dopiero po dłuższym czasie zatrzymał się w nieznanym sobie okolicy. Dysząc ciężko, wiedział, że już nie może uciekać. Nie uda się uciec od cierpienia, od bólu, oszukać własne serce, zapomnieć. Wtedy podjął decyzję, że wróci po siostrę, zabierze ją do najlepszego psychiatry i przyłoży się bardziej do terapii. Opowie wszystko Renacie i razem będą musieli zaopiekować się Lilką.

— Gdy wróciłem do hotelu, zobaczyłem go na tym balkonie — westchnął. — I nie poczułem nic. Kompletnie nic. Dopiero gdy minęła mnie płacząca Lilka, ogarnęło mnie przerażenie, że to ona. Nie mogłem potem jej znaleźć. Przez dwa dni żyłem w przerażeniu i niepokoju o Lilkę, ale wreszcie się

zjawiała. Ona nawet nie wiedziała, że tamten nie żyje. Powtarzała tylko naćpana, że strasznie stchórzyła i zawiodła rodziców.

Romantyzm z burzą w tle

O tym, że Piotr Murarz został aresztowany, dowiedziałam się podczas przesłuchania na komendzie w Legnicy, gdzie ze szczegółami musiałam opowiedzieć o włamaniu, księdze i porwaniu. Niestety, tym razem to Bruno pozostawał poza zasięgiem, a przesłuchującemu mnie policjantowi daleko było do niego — niski, ze skłonnością do tycia i gęstą, czarną czupryną. Jego monotonne stukanie jednym palcem w klawiaturę sprawiało, że odbiegałam daleko myślami do Złotoryi.

Tajemniczą blondyną okazała się zupełnie mi nieznana z nazwiska i imienia Sabina Otworowska. Rozpoznałam ją ze zdjęcia, ale nic nie potrafiłam o niej powiedzieć i o jej związkach z moim byłym mężem nieboszczykiem również. Aresztowanie Piotra i owej Sabiny nie wzbudziło we mnie wielkiej radości, choć mogłam wreszcie bezpiecznie wrócić do mieszkania na Cmentarnej i rozstać się z Ryśkiem, całkowicie już zadomowionym u Chulaków. Co prawda Joanna i, o dziwo, nawet mój brat naciskali, żebym została dłużej w ich gościnnym mieszkaniu, ale musiałam wracać do pracy. Po pierwsze, z obawy przed zwolnieniem, bo urlop mi się już kończył, a i Bożydar nie próżnował, jak dowiadywałam się z codziennych telefonów od Justyny, której niepokój o nasze stanowiska rósł szybciej niż ciążowy brzuszek. Po drugie, musiałam czymś się wreszcie zająć, by nie myśleć o sobie w kategorii „kobieta porzucona”.

Tatko i Henrietta wyjechali razem do Drezna. Renatę i Olusia pochłonęły sprawy Lilki, choć moja siostrzenica tematu ślubu bynajmniej nie porzuciła. Szczęśliwie dla nas w swoje kolejne pomysły na idealne wesele angażowała swoją przyszlą szwagierkę, katując ją nieustannie nowymi trendami, katalogami, targami i realizując swój plan na własną działalność w przyszłości. Jak znosiła to Lilka, trudno powiedzieć, bo nie mieliśmy jeszcze okazji jej poznać. Mimo że nie wypowiedaliśmy tego głośno, to wszyscy mieliśmy obawy przed tym spotkaniem, czy znając smutną i tragiczną historię rodziny Ryczkiewiczów, będziemy potrafili stosownie się zachować i jej czymś nie urazić. Wszystkich nas ta historia okropnie przygnębiła i przypomniała o naszej stracie. Wówczas dotknęło nas równie wielkie cierpienie, ale ogromne poświęcenie tatka dla nas, zajęcie się dwojgiem zrozpaczonych, pozbawionych matki dzieci, pracą, domem, by wszystko, co wspólnie zaczęli budować, nie rozpadło się, pochłonęło tatka na tyle, że stłumił w sobie nienawiść i nie szukał zemsty na sprawcy wypadku. Nie wszyscy jednak zostają bohaterami i różnie radzą sobie z bólem, stratą, tragedią.

Właśnie wjeżdżałam do Złotoryi. Pogratulowałam sobie, że zdecydowałam się na powrót busem i to jeszcze okrężną drogą, bo znajome rogatki miasteczka powitałam z prawdziwą ulgą i radością. To już jest mój dom i moje miejsce na świecie. I nawet sunące ku miastu od strony Wilczej Góry sinoszare chmury,

od czasu do czasu wypuszczające jasne błyski jak ostrzeżenie przed zbliżającą się ulewą, nie zdołały przyćmić mojej radości. Nawet moja sąsiadka, mijająca mnie z obrzydzeniem na schodach, wydała się bliska i swojska.

Dopiero wszechpanujący, nieruszony od pamiętnego włamania bałagan w moim mieszkaniu zgasił nieco moją euforię. Trzeba będzie się ostro zabrać do sprzątanania i zapewne normalna kobieta uczyniłaby to natychmiast, ale czy ja jestem normalna?

Wiem, że nie powinnam tego robić. Jednak ponury nastrój, niesprzyjające okoliczności, niefortunny zbieg zdarzeń, fatalne samopoczucie i co tam jeszcze mnie dopadło w ostatnim czasie i chwili obecnej zmusiły mnie do złamania kolejnych zasad. Chwyając się myśli, że gdy osiągnę dno, to wreszcie będę miała się od czego odbić, ruszyłam do kuchni i sięgnęłam po zupkę chińską o kuszącym aromacie duszonej kaczki, na tyle ostrą, by wypaliła moje kubki smakowe, gardło, wnętrze, przygnębienie i niechętny do działania mózg. Zdążyłam zanurzyć pierwszą łyżkę w parującej zawartości, gdy zadzwonił telefon.

— Masz ochotę na smażonego pstrąga w migdałach? — usłyszałam ciepły, przyjemny dla mego ucha głos.

Spojrzałam na parującą miseczkę z zupką à la kaczka w nieco innym świetle, zdecydowanie dla niej niekorzystnym.

— Zawsze! — wykrzyknęłam z nadspodziewanym entuzjazmem.

— To za piętnaście minut na dole. Będę czekał w samochodzie.

Zastygłam z telefonem przy uchu, bijącym hałaśliwie sercem i uśmiechem bezbrzeżnego szczęścia. Na wszelki wypadek nie poddawałam analizie mojej reakcji na Bruna i ekspresowo, bezrefleksyjnie dokonywałam na sobie zabiegów upiększających. Wcisnęłam się we wciąż elegancką sukienkę z dawnych czasów, obułam w szpilki i wyszarpując spod sterty rzeczy w trzecim pokoju archaiczny parasol, stanęłam w przedpokoju gotowa na wszystko.

— Pięknie wyglądasz — powitał mnie Bruno, gdy zajęłam miejsce pasażera. — Apetycznie.

Nie zdążyłam zapiąć pasów, gdy wcisnął mnie w fotel gorącym pocałunkiem. Pewnie dałabym się porwać fali namiętności, ale mój żołądek nie pozwolił się zbyć, upomniawszy się o obiecane pstrąga głośnym burczeniem.

— Ejże! — wykrzyknęłam, udając oburzenie. — Czy to nie napastowanie?

Bruno uruchomił silnik z szelmowskim uśmiechem, za którym tak tęskniłam.

— Przepraszam, to się więcej nie powtórzy.

Spojrzałam na Bruna ze wzruszeniem, czując, że mogłabym go teraz zwyczajnie zjeść zamiast tego pstrąga. Co się ze mną dzieje? Znam go tak krótko, a pochłania mnie całkowicie...

— To poniekąd taka pożegnalna kolacja — oznajmił Bruno, gdy kelner zabrał nasze puste talerze.

Niewielki stolik, przy którym siedzieliśmy, nie stwarzał dystansu między nami i pochyliwszy się bardziej nad blatem, swobodnie mogliśmy się zetknąć głowami, ale gdy usłyszałam „pożegnalna”,

poczułam, jakby blat się wydłużył, a Bruno oddalił aż po horyzont. Zastygłam jak jaszczurka na skale w upalnym słońcu, wpatrując się w niebieskie oczy mężczyzny, dla którego zapomniałam o zasadzie bezfacetowości. Znow trzeba będzie połknąć żabę? Wzdrygnęłam się mimowolnie od tych płazowych skojarzeń.

— Co się stało? — wydusiłam ze ściśniętego gardła, starając się zachować beztroski wyraz twarzy.

— Muszę wyjechać.

— Na misję? — palnęłam.

— Skąd ten pomysł? — Roześmiał się. Ujął moje dłonie ponad stołem i pocałował. — Masz takie rozczulające dłonie — wyznał, nie czekając na odpowiedź.

— Nie rozumiem.

— Ja też, ale gdy przyglądam się twoim drobnym dłoniom, delikatnym palcom, paznokciom, to ogarnia mnie... wzruszenie. Trudno mi nawet sobie to wytłumaczyć. A gdy cię dotykam...

Z sali dobiegł nas brzdęk tłuczonego szkła i zaraz głośne okrzyki matki oraz płacz dziecka. Świat mógł się walić wokół nas, my jednak nie odrywaliśmy od siebie wzroku.

— Wyjeżdżasz i mam ci je zapakować na wynos? — palnęłam.

— No tak — pokiwał głową ze zrozumieniem. — Wyjeżdżam służbowo, aby domknąć pewną sprawę. To zajmowało tak wiele czasu — mówił poważnie. — Ostatnio nawet nie tylko mój, ale całej komendy. Dlatego nie mogłem się zająć... tobą.

— I moją sprawą — rzuciłam wbrew sobie z pretensją, delikatnie wysuwając swoje dłonie z subtelnego uścisku.

— Taaak. A raczej sprawą nieboszczyka byłego męża, który pęta się między nami jak niepomszczona albo niepogrzebana ofiara — westchnął, rzucając tęskne spojrzenie.

— Tylko nie każ mi nie myśleć o tym śledztwie. Zapomnieć i już — wypowiedziałam twardo, wyprasząc romantyczny nastrój z restauracji wprost w szalejącą na zewnątrz burzę. — Zostałam w to wplątana i chociaż na początku sama się trochę w to wmieszałam, to później, gdy odpuściłam, omal nie straciłam oka, dwaj krzyżaccy rycerze wcisnęli mi księgę, polowano na mnie, włamano się do mieszkania, porwano i jeszcze ta sprawa z Olusiem!

Z trudem panowałam nad cisnącymi się do oczu łzami.

— Nawet nie masz pojęcia, jakie masz szczęście, że żyjesz — odparł. — I ja też mam szczęście, że żyjesz...

Ogarnęła mnie błogość, ale tylko na moment.

— Skoro sprawa jest zamknięta i sprawca ujęty, to chyba mogę znać szczegóły? — podchwyciłam.

— Sprawcy — poprawił mnie.

— Sprawcy? — powtórzyłam jak echo. — Kto jeszcze?

— Dominika D.

Całe szczęście, że siedziałam na krześle, dzięki czemu nie straciłam równowagi.

— O matko! — wykrzyknęłam na tyle głośno, by ściągnąć na siebie karcące spojrzenia wszystkich obecnych w restauracji. — Czyli jednak to nie było samobójstwo? Skoro sprawcy...

— Myślę, że powinniśmy się przenieść w inne miejsce — zaproponował Bruno, przywołując skinieniem kelnera, który i tak patrzył w naszym kierunku. — Pojedziemy do mnie.

— Ejże! — zaprotestowałam, wyczuwając męski podstęp. — Nie udadzą się twoje manewry wojskowo-policyjne. Nie żebym miała coś przeciwko, ale muszę się wreszcie wszystkiego dowiedzieć bez rozpraszenia, i nie tylko ja, więc proponuję salon Joanny i Przemka.

Bruno zamarł z portfelem w dłoni, z na wpół wyciągniętym banknotem rozważając mój pomysł. Zamarł również z rachunkiem w dłoni stojący przy naszym stoliku kelner. Mnie też nie pozostało zrobić nic innego, jak zastygnąć w oczekiwaniu.

Chwilę później w deszczu wracałam z Brunem do Legnicy.

Ostatni etap śledztwa

Niechże to się wreszcie skończy! — rzucił na powitanie mój brat, otwierając nam drzwi w szlafroku zarzuconym na piżamę. — Chyba wszyscy się w końcu przeniesiemy do Złotoryi, ale w charakterze pacjentów.

Joanna przewróciła oczami, stojąc za plecami męża.

— Przepraszam, ale chyba dałem się zmanipulować — wytłumaczył Bruno, rzucając mi potępieńcze spojrzenie.

— Nawet przez myśl mi nie przeszło, że to mógł być twój pomysł — parsknął Przemek, wciągając go do salonu.

— Ja nie zgłaszam pretensji — odezwała się Joanna, odbierając ode mnie mokry parasol i popychając mnie delikatnie w stronę kuchni.

Gdy się tam znalazłyśmy, zachichotała konspiracyjnie i mocno klepnęła mnie w ramię, po czym bez słowa wcisnęła tacę z dzbankiem soku i czterema szklankami. Sama przyniosła do salonu nalewkę, na wszelki wypadek.

— Grzegorz zajmował się szantażem — zaczął Bruno, zaznaczając na wstępie, że o wszystkim wie nieoficjalnie, gdyż nie on prowadził śledztwo, i pewnie i tak będę jeszcze wzywana na przesłuchania, bo to nie koniec. — Przez duże „S”. Praca w banku to była znakomita przykrywka dla pobocznej i dość dochodowej działalności, którą prowadził. Zawartość obu ksiąg, bo drugą ukrył w gospodarstwie, gdzie trzymał konia...

— Konia?! — krzyknęłam, nie mogąc sobie wyobrazić Grzegorza jako właściciela jakiegokolwiek zwierzęcia, pamiętając nasze kłótnie, gdy chciałam kupić psa albo kota.

— Tak. To był rycerz krzyżacki konny — wyjaśnił Bruno. — Musiał mieć konia. W domu go nie trzymał...

— Skąd wiedzieliście o tym... krzyżackim hobby? — spytałam.

— Przecież sama powiedziałaś, od kogo otrzymałaś księgę. Dotarcie do owych heroldów nie zajęło wiele czasu...

Pacnęłam się otwartą dłonią w czoło.

— I gdzie tego konia trzymał? — zainteresowała się Joanna.

— W swoim gospodarstwie, które oddał w dzierżawę i za opiekę nad koniem. Rzadko tam przyjeżdżał.

— To tam mnie wieźli? — spytałam, przełykając z trudem ślinę, gdyż na samo wspomnienie mojej niewygodnej podróży w bagażniku robiło mi się słabo.

— Owszem. Byli przekonani, że wiesz wszystko i pokażesz im, gdzie jest druga część. Zresztą niedawno trafili na ślad, że był właścicielem tego gospodarstwa, ale wskazówki co do miejsca ukrycia drugiej księgi znajdowały się w pierwszej.

— Oni, oni, oni — wtrącił Przemek. — To znaczy kto?

— Piotr Murarz, Dominika Dąbrowska i Sabina Otworowska — wyjaśnił.

— I gdzie była? — spytała Joanna.

— W skrytce za żłobem konia...

Więcej już nie przerywaliśmy Brunowi pytaniami.

O tym, czym zajmuje się jej szef, Dominika Dąbrowska przekonała się na własnej skórze. Traktował ją bardzo źle, więc postanowiła się zwolnić i nagle Grzegorz się zmienił. No i w ramach polepszenia stosunków wysłał w delegację do Holandii. A tam wynajął jednego przystojniaka, który ją uwiódł, wsypał do drinka narkotyki, a potem zaprowadził do klubu sado-maso i nie tylko pozwolił na wykorzystanie, ale jeszcze sfilmował i sfotografował. Dominika obudziła się w hotelu, obolała, ale u boku przystojniaka, więc niczego nie podejrzewała. Wróciła i dopiero po miesiącu, gdy Grzegorz już wystarczająco się nacieszył jej nieświadomością, zaprosił ją do gabinetu i pokazał jedno ze zdjęć. Omal nie zemdląca, a potem chciała go zabić! Co miała robić? Nie, nie wykorzystywał jej seksualnie, bo od razu powiedział z pogardą, że brzydzi się takimi szmatami, które każdy miał. Teraz nie tylko nie mogła się zwolnić, ale musiała znosić okropne poniżenia...

Dlatego gdy w banku pojawił się Piotr Murarz, a Dominika ekspresowo zorientowała się, że to posunięcie centrali niekonsultowane z dyrektorem, postanowiła zawrzeć sojusz. Wiadomo, że nic tak nie solidaryzuje ludzi jak wspólny wróg. Działała bardzo ostrożnie i powoli, bo obawiała się, że znów zostanie oszukana albo że Grzegorz zorientuje się i wtedy wyśle jej zdjęcia rodzinie, tak jak groził.

Trafiła na podatny grunt, jako że Piotr okazał się pazerny na pieniądze. Pensja zastępcy dyrektora jakiegoś małego oddziału nie satysfakcjonowała go, choć wysoko postawiony wujek obiecał posadę we Wrocławiu, gdy tylko wygra wybory. Nie wygrał jednak i protekcji starczyło jedynie na skromne stanowisko, a Piotr miał wielkie potrzeby. Dlatego zapalił się do pomysłu przejęcia interesu Grzegorza. Dobrowolnie na pewno nie zdradziłby im żadnych informacji, więc chwyтали się różnych sposobów. Akurat się rozwiódł, więc podsuwali mu nastolatki, z którymi seks zainteresowałby wymiar sprawiedliwości. Nic. Kiedy związał się z Drudzką i ona zaczęła zagadywać o szantaże, natychmiast z nią zerwał. Nie dał się złowić, jakby nie miał słabego punktu. Piotr nawet podsuwał swoją narzeczoną, Sabinę, aby wyciągnąć jakieś informacje. Daremnie. Grzegorz wciąż okazywał się sprytniejszy.

To Dominika pogrzebała w jego przeszłości i poznała poprzednie nazwisko Grzegorza oraz jego matki, jednak nic z tamtą sprawą nie mogła zrobić. Odnalazła Lilkę i zaprzyjaźniła się z nią, opierając swoją przyjaźń głównie na pieniądzach i podsycając chęć wyrównania rachunków z mordercą. Wymyśliła całą intrygę, ale okazja przyszła niespodziewanie dopiero w postaci imprezy firmowej. Na imprezę integracyjną zapowiedziała się wierchuszka, więc Grzegorz nie mógł odmówić udziału. Dominika

ściągnęła siostrę Olusia, Lilkę, i za jej pośrednictwem załatwiła tabletkę gwałtu. Najpierw postanowili go upić, żeby wyznał, gdzie trzyma wszystkie materiały, ale przecież nie pił alkoholu. Dominika wrzuciła Grzegorzowi tabletkę do soku w momencie, gdy Lilka stanęła przed nim i powiedziała: „Nazywam się Lilianna Ryczkiewicz. Miałam siedem lat, brata i rodziców. Pamiętasz, jak zabiłeś moją rodzinę?”. Stała przed nim jak zjawą, jednym duszkiem wypił cały sok. Do pokoju zaprowadził go Piotr, który podtrzymując go niczym usłużny, zatroskany przyjaciel, mijał współbiesiadników, tłumacząc, że szef wypił o jeden kieliszek za dużo. Niewiele było osób, które mogły to zapamiętać z racji mocnego nadużycia alkoholu. Dominika czekała na dole i udawała pijaną, klejąc się do barmana. Po chwili zjawił się Piotr, by także zapewnić sobie alibi, ale w pokoju zostawił Lilkę, aby mogła wreszcie zemścić się na mordercy.

Niestety, Grzegorz nic nie powiedział. Płakał i przeproszał bełkotliwie. Lilka wybiegła z płaczem i nikt jej od tamtej pory nie widział. Piotr wrócił do pokoju i to on załatwił sprawę do końca. Jego krótkiej nieobecności na sali nikt nie zauważył. Jedynie trzeźwy barman mógł coś pamiętać, ale bardziej zajęty był Dominiką, a kelnerka, wściekła i zazdrosna, nie przestawała skupiać się na tych scenach. Drugi kelner i didżej nie odróżniali od siebie gości. Dla nich była to masa ludzi, którą należało obsłużyć i zabawić.

Powrót do rzeczywistości

Powrót do pracy okazał się dość trudny, ale konieczny. Szczególnie że Bruno wyjechał, i to zaraz po naszej wieczornej wizycie u Chulaków, i powróciły jak nieczyste sumienie moje myśli i widmo Grzegorza, u którego boku spędziłam w zidioceniu i totalnym zaślepieniu tyle lat. Nie pomogło intensywne bieganie w coraz dalsze trasy. Obiegnięcie kuli ziemskiej wzdłuż i wszerz by nie pomogło. Wciąż gryzło mnie jedno pytanie: Dlaczego Grzegorz mnie przekazał swoją „Księgę drani”? Mroczne, a nawet zbrodnicze tajemnice, skrywane pod markowymi ubraniami, kosztowną biżuterią, idealnymi uśmiechami, wysportowanymi sylwetkami, niekojarzącymi się z półświatkiem, do którego zalicza się stereotypowo ludzi bez pracy, brudnych, bezdomnych, biednych czy niewykształconych. Czy tak bardzo mnie nienawidził, że chciał mnie wpędzić w tarapaty, ściągnąć na mnie zdesperowanych szantażowanych, aby mnie zabili? Czy też wierząc w moją uczciwość, wiedział, że oddam wszystko policji, a sprawców ukrywanych przestępstw, z których nieujawniania czerpał zyski, dopadnie ręka sprawiedliwości? Dominika, Piotr i Sabina, obciążając siebie wzajemnie, powiedzieli wiele, ale na moje pytanie mógł odpowiedzieć jedynie Grzegorz, a ten już się pewnie nie odezwie ani za pośrednictwem krzyżackich heroldów, ani wirtualnego cmentarza.

Złotoryja bez Bruna zupełnie opustoszała. Zresztą trwały wakacje i powróciły upały. W „Złotoryjskich Wiadomościach” wielką czcionką ostrzegano przed upałem, szczególnie osoby starsze i dzieci. Przyglądając się umieszczonemu poniżej zdjęciu kobiety w moim wieku z wielkim termometrem w dłoni, na którym nic nie widać, przez chwilę zadumałam się, czy zaliczam się już do tych starszych. Mogłam mieć wątpliwości, bo kolejny raz w mojej torebce zamiast telefonu znalazł się pilot do telewizora i nie pomogło zaklejenie go wściekle różową taśmą.

Drugą ważną informacją wytłuszczoną nadmiernie zainteresowałam się bardziej. „Policja wciąż poszukuje gwałciciela ze Złotoryi”. Poniżej umieszczono paszportowe zdjęcie owego gwałciciela, prezentującego się dość pospolicie. Ciarki przeszły mi po plecach, bo nie miałam pojęcia, że ktoś taki grasuje po spokojnym miasteczku, gdzie wieczorem biegałam, czując się bezpiecznie. Został nawet złapany, ale uciekł i teraz śledczy ze Złotoryi poszukują go za granicą wraz z Interpolem. Odłożyłam na stojak gazetę z przecuciem, że dopóki Dawid Z. nie zostanie złapany, dopóty nie powróci Bruno N.

Nasze małe akwarium w Bombkolandii, gdzie do tej pory toczyłyśmy z Justyną swój artystyczny, ale w miarę ustabilizowany i spokojny żywot, skurczyło się jeszcze bardziej za sprawą dodatkowego biurka z Bożydarem w pakiecie i gęstej atmosfery, jaką stwarzał, nieustannie krytykując wszystko i wszystkich. Był młodym, przystojnym i wysokim facetem, ale od pierwszego uścisku dłoni wzbudził mój wewnętrzny

niepokój. Co wydawało się dziwne, bo nikt do tej pory nie wzbudzał mego niepokoju, Grzegorza nie wyłączając. Bożydar podkreślił na wstępie mocno egzaltowanym tonem, że tylko on jest tutaj artystą, i to utalentowanym. Posuwał się coraz dalej, modyfikując nasze projekty, a potem przedstawiając zachwyconemu szefowi jako swoje. W końcu Justyna nie wytrzymała. Po powrocie z gabinetu szefa, gdzie usłyszała, że powinna brać przykład z młodego kolegi, szczególnie jeśli chodzi o wydajność, zobaczyła na biurku własne wzory, poprawione jedynie jakby od niechcenia, i wywołała potężną awanturę, rozpoczynając od efektownego zrzucenia wszystkiego z blatu biurka Bożydara.

— Ty złodzieju! — ryknęła, a ja zamarłam, bo jeszcze takiej zdenerwowanej jej nie widziałam. Do tej pory nie przejmowała się wartością swojego talentu, prawami autorskimi swoich obrazów, dając się naciągać i wykorzystywać, ale może ciąża tak ją odmieniła?

Bożydar zerwał się na równe nogi, aby zbierać rzeczy z posadzki.

— Ludziom z prawdziwym talentem trudno żyć pomiędzy miernotą — rzucił.

— Chyba złodziejom pomiędzy uczciwymi! — poprawiła Justyna, biorąc się pod boki.

W tym momencie zadzwonił mój telefon. Zignorowałam go, obserwując awanturę i nie zapominając, że Justyna jest w ciąży i nie powinna się tak denerwować. Ostatecznie nie znamy Bożydara, a co, jeśli rzuci się na nią w morderczym szale?

Dopiero gdy dzwoniący wyraźnie dał do zrozumienia, że nie pozwoli się zignorować, podejmując trzecią próbę kontaktu, odebrałam.

— Ciociu, myślisz, że podświetlenie stolików od dołu jest dobrym pomysłem? — spytała bez wstępów dawna Renata. — Czy nie będziemy mieli wampirycznego wyglądu? W sumie powinniśmy to zobaczyć, bo może będzie współgrało z oświetleniem na górze?

Wreszcie poczułam, że moje życie wraca na swoje tory, a widmo Grzegorza, które nękało mnie w samotne wieczory i dni, znika na zawsze. Dostrzegłam w końcu słońce rozjaśniające świat, które do tej pory zupełnie w swym przygnębieniu ignorowałam. Nawet kłócący się zawzięcie współpracownicy wydali się po prostu... piękni, więc zasłaniając słuchawkę, wykrzyknęłam do nich ze szczerym zachwytem:

— O rany, jacy wy jesteście piękni!

Osiągnęłam lepszy efekt, niż gdybym wrzasnęła: „CISZA!”. Justyna i Bożydar nie tylko przestali się na siebie wydzierać, ale od razu powrócili do swoich stołów.

— Halo? Ciociu, jesteś tam? — dopytywała zaniepokojona milczeniem Renata. — Halo?

— Jestem, jestem — odezwałam się radosnym głosem. — Co z tym światłem?

Po raz pierwszy musiałam przyznać, że trajkotanie Renaty na temat pomysłów związanych ze ślubem sprawiło mi przyjemność i nie byłam w stanie zbyć jej byle czym, aby zakończyć rozmowę.

— Mnie się ten pomysł nie bardzo podoba, ale boję się urazić Lilkę — kontynuowała niezrażona. — Tak niewiele czasu zostało. A wiesz, że jednak ta moja koleżanka pijaczka nie będzie świadkową? Wyobraź sobie, że ukradła narzeczonego naszej innej koleżance, której też pomagałyśmy z Lilką

w organizowaniu wesela. Na szczęście się nie odbyło, bo tamta krowa z tą kanalią uciekła! Myślisz, że może mi to przynieść nieszczęście? Sukienkę już wymieniłam, ale licho nie śpi... Zaproponowałam świadkowanie Lilce. Nawet pojęcia nie masz, jak się zaangażowała w przygotowania...

I wreszcie weselny finał!

Opuściłam roztańczoną salę, by ochłoniąć nieco na świeżym powietrzu. Przezornie zabrałam ze sobą żakiet, bo czułam się cała mokra od tych hulanek. *Czerwone korale* pomogły zbić kalorie wchłonięte wraz z kotlecikami, sałatkami z majonezem i po zbyt częstym zaglądaniu na wiejski stół. Przecież nie mogłam pozwolić, by tyle znakomitego jedzenia się zmarnowało!

Gdy tylko zamknęły się za mną drzwi, pogratulowałam sobie przezorności, szczelniej otulając się kłapami żakietu. Chłodny wieczór zapowiadał zbliżającą się jesień, choć do tej kalendarzowej zostały jeszcze dwa tygodnie. Odruchowo spojrzałam w granatowe niebo, na które monopol miał wybrakowany księżyc. Iście romantyczny wieczór, więc postanowiłam się wyciszyć, spacerując po parku. Gdy zobaczyłam wielki, stary klon pośrodku zielonego ogrodu, nie mogłam się oprzeć pragnieniu energiodajnego przytulenia się do niego. Balansując na palcach, by nie zapadać się obcasami w ziemię, ruszyłam przez trawnik i po chwili obejmowałam już drzewo z policzkiem przyklejonym do kory.

Może coś w tym jest, że drzewo przekazuje nam energię w zamian za wszystkie nasze bolączki i niechciane myśli. Wystarczyło zaledwie kilka sekund, abym poczuła się silniejsza wewnątrz, ale jeszcze usiadłam na wystającym z ziemi wielkim korzeniu i oparłam się plecami o klon. Na wszelki wypadek niech energia jeszcze przepływa, a ja sobie pomyślę.

Co dalej? Co dalej będzie ze mną, z Renatą i Olusiem, tatkiem i Henriettą oraz z Aśką i Przemkiem? Pewnie zamartwiałabym się dłużej, gdyby nie uporczywy smród unoszący się w powietrzu. Pociągnęłam kilka razy nosem, ale nie przestałam go czuć. Obejście drzewa dookoła przekonało mnie jedynie, że smród jest wszędzie i paskudnie psuje mój romantyczny, samotny seans energetyczny! Ewidentnie śmierdzi... kupą! No, ale to przecież niemożliwe, że ode mnie! Owszem, jestem już po czterdziestce, ale zwieracze mam w porządku, więc na pewno coś wypuścili w powietrzu. Może rolnicy stosują jakiś śmierdzący nawóz, bo przecież jesteśmy na wsi, jak by na to nie patrzeć.

— Tutaj się ukrywasz?! — Zostałam zniecka wyrwana z moich poszukiwań źródła smrodu przez uśmiechniętego Bruna.

Nie tracił czasu na czekanie na odpowiedź i zachłannie porwał mnie w ramiona, by z równą zachłannością, ale i namiętnością zaangażować nas w długi pocałunek. Po chwili wyrwałam się jednak, choć bardzo niechętnie.

— Czujesz, jak tutaj coś śmierdzi? — rzuciłam, spoglądając w rozanielone wciąż oczy Bruna.

— Słucham? — spytał jeszcze nieprzytomnie.

— Coś śmierdzi — powtórzyłam, delikatnie się od niego odsuwając.

— Myślisz, że ode mnie? — odparł z urazą, od razu wachając się pod pachami. — No może i trochę się spociłem... Ale nie mam zapasowej koszuli... A te tańce... Przepraszam...

— Kupą śmierdzi... znaczy gównem — sprostowałam, przerywając niepotrzebne tłumaczenia, bo wcale mi jego zapach nie przeszkadzał, to nie był żaden smród.

— Jezu! Ode mnie?! — ryknął, płosząc ptaki ukryte w konarach drzewa, i na wszelki wypadek odskoczył do tyłu.

— Nie, zanim tutaj przyszedłeś, to śmierdziało! Nie wiem, ale to chyba jakieś nawozy. Nic nie czujesz?

Pociągnął nosem.

— Nie wiem — odparł z powątpiewaniem.

— Obejdź drzewo i zobaczysz, że wszędzie śmierdzi — zaproponowałam, delikatnie popychając go dla zachęty.

Wciąż pociągając zabawnie nosem, obszedł drzewo i stanął ponownie przede mną.

— I co? Czujesz wszędzie, prawda? — dopytywałam.

— Prawdę mówiąc, coś czuję, ale tylko w tym miejscu... — odpowiedział, patrząc mi w oczy, aż ciarki przechodziły, ale nie uległam.

— Nie żartuj sobie.

— Wcale nie żartuję — powiedział z ręką na sercu. — Masz rację, że śmierdzi, ale tam za drzewem nie śmierdziało.

— Czyli czujesz, że tutaj? — drążyłam i od razu zaatakowałam: — Ode mnie, tak?!

Bruno złapał się za głowę.

— Kiedy byłem bardzo blisko ciebie, to nic poza twoim zapachem nie czułem...

— Ale przecież powiedziałaś, że śmierdzi tylko w tym miejscu, gdzie stoję! — upierałam się, czując wciąż ten okropny, nieznośny smród i lęk, że może to ja rzeczywiście straciłam kontrolę nad swoim organizmem.

— Nic takiego nie powiedziałem — bronił się.

— Obszedłeś drzewo i...

— Skończ już to śledztwo! — przerwał mi spokojnie i stanowczo. — Pewnie wdepnęłaś w jakąś psią niespodziankę albo wpadł ci w nią żakiet. Innej możliwości nie ma.

Natychmiast sprawdziłam i moja czerwona, piekąca ze wstydu twarz dobitnie świadczyła, że Bruno miał rację. Na jednej ze szpilek znajdowała się obrzydliwa i śmierdząca maź zaklejona suchymi liśćmi, którą niezwłocznie zaczęłam usuwać, szurając stopą po trawie.

— Wiesz co? — usłyszałam chwilę później rozbawiony głos Bruna. — Następnym razem, gdy znajdziemy się w sytuacji, powiedzmy, hmm, daleko posuniętej, to cię zaknebluję, zwiążę i wywiozę na bezludną wyspę, aby nic ci się już nie przydarzało i nam nie przeszkodziło.

— „Zaknebluję i zwiążę”? I to mówi praworządny policjant?! — parsknęłam, biorąc się pod boki.

Przycisnął mnie mocno do drzewa, aż mi zaparło dech. Po chwili poczułam, jak jego gorący oddech tuż przy uchu zamienia moją krew w wulkaniczną lawę.

— Tak mówi zakochany facet. Z naciskiem na „zakochany” — wyszeptał, a potem zdjął moje buty, by odrzucić je daleko, i wreszcie bez zewnętrznych i wewnętrznych przeszkód doprowadził sprawy do szczęśliwego finału!

Nie mam pojęcia, czy mój związek z Brunem przetrwa dłużej niż dotychczasowe, czy dłużej niż moje dwa małżeństwa i czy znów się nie okaże, że jestem w jakiś sposób wybrakowaną kobietą, ale wchodzę w to! Wchodzę, choćby na krótko i w bucie z kupą na podeszwie! Bo ileż czasu zostaje na wybrzydzenie kobiecie trochę więcej niż po czterdziestce?

Monika B. Janowska



Potknąć
zabę

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO